

IRIS  
MURDOCH

*Mity i dobry*

PRZEŁOŻYŁA  
ALDONA BIAŁA

WYDAWNICTWO  GDAŃSK 1994

## Rozdział pierwszy

Kierownikowi departamentu Białego Domu, pracującemu spokojnie w letnie popołudnie w swym gabinecie, nie co dzień zdarza się przerywać pracę na odgłos wystrzału z rewolweru.

Oktawian Gray, leniwy, otyły mężczyzna, „idealna kula”, jak go nazywała kochająca żona, powoli pisał na kremowym firmowym papierze jakieś niezwykle mądre zdanie, jednocześnie wdychając z lubością przyjemny, senny zapach wypitego podczas lunchu doskonałego burgunda. Wtedy usłyszał strzał.

Oktawian wyprostował się i wstał. Strzał rozległ się gdzieś blisko, w tym samym budynku. Nie było żadnych wątpliwości co do jego pochodzenia. Oktawian doskonale znał ten dźwięk, choć minęło wiele lat odkąd, jako żołnierz, słyszał go po raz ostatni. Jego ciało rozpoznało go, gdy tak stał, nagle sparaliżowany powracającymi wspomnieniami i uczuciem - teraz tak mu obcym - konfrontacji z czymś strasznym i całkowicie nieznanym.

Podszedł do drzwi. W parnym, dusznym korytarzu, pośród zgiełku londyńskiej ulicy, panowała idealna cisza. Chciał krzyknąć: „Co to!? Co się stało!?” , ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wrócił do pokoju i instynktownie skierował się do telefonu - swego naturalnego łącznika ze światem. W tej chwili usłyszał tupot nóg.

- Proszę pana, proszę pana, stało się coś strasznego!

Goniec, McGrath, rudowłosa mężczyzna o jasnoniebieskich oczach, bladej twarzy i różowych wargach, stanął roztrzęsiony w drzwiach.

- Wynoś się. - Richard Biranne, jeden z podsekretarzy Oktawiana, przecisnął się koło McGratha, wypchnął go z pokoju i zamknął drzwi.

- Co się, do diabła, dzieje? - spytał Oktawian.

Biranne oparł się o drzwi. Przez chwilę oddychał głęboko, a potem powiedział swym wysokim głosem, starannie wymawiając każde słowo:

- Słuchaj, wiem, że trudno w to uwierzyć, ale Radeechy właśnie się zastrzelił.

- Radeechy? Dobry Boże! Nie żyje?

- Tak.

Oktawian usiadł. Wyglądził na podkładce kartkę kremowego papieru. Przeczytał niedokończone zdanie, po czym znowu wstał.

- Chyba tam pójść zobaczyć. - Podeszedł do drzwi, które otworzył przed nim Biranne. - Zdaje się, że powinniśmy wezwać Scotland Yard.

- Już pozwoliłem to sobie uczynić - powiedział Biranne.

Pokój Radeechy'ego był piętro niżej. Pod zamkniętymi drzwiami stał tłumek gapiów, którzy z rozdziawionymi ustami słuchali McGratha.

- Rozejdźcie się - powiedział Oktawian. - Wróćcie do swoich pokoi. - Powoli zaczęli się rozchodzić. - Ty też - zwrócił się do McGratha. Biranne otworzył drzwi.

Oktawian zobaczył Radeechy'ego, leżącego górną częścią ciała na biurku, z głową przekręconą na bok. Obaj mężczyźni weszli do środka; Biranne zamknął drzwi na klucz i po chwili namysłu znowu je otworzył.

Czerwonawobrazowa skóra na karku Radeechy'ego wydymała się nad sztywnym, białym kołnierzykiem. Oktawianowi przyszło do głowy, by sprawdzić, czy Radeechy ma otwarte oczy, lecz by dojrzeć jego tonącą w cieniu twarz, musiałby się nisko nad nim pochylić. Lewa ręka Radeechy'ego zwiśla bezwładnie, prawa leżała na biurku. W dłoni, tuż koło głowy, tkwił pistolet - stary rewolwer. Oktawian starał się zapanować nad sobą, usiłował oddychać powoli, zebrać myśli i przypomnieć sobie, kim jest. Nie pierwszy raz widział trupa, ale nigdy przedtem nie oglądał człowieka zmarłego tak nagle w letnie popołudnie w Białym Domu.

Szybko przypomniał sobie, że jest kierownikiem departamentu i jako taki powinien zachować spokój i wziąć sprawę w swoje ręce.

- Kto go znalazł? - spytał Biranne'a.

- Ja. Przechodziłem obok jego pokoju, kiedy usłyszałem strzał.

- Przypuszczam, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że nie żyje? - Jego słowa zabrzmiały dziwnie. Oktawian poczuł się niemal zażenowany.

- Na pewno nie żyje. Spójrz na ranę. - Biranne wskazał palcem na głowę Radeechy'ego.

Oktawian podszedł do biurka, okrążył je, stanął za Radeechym i, pochyliwszy się nad nim, zobaczył okrągłą dziurkę w jego głowie, na prawo od niewielkiego wgłębienia u podstawy czaszki. Otwór był spory, ciemny i miał oczernione brzegi. Trochę krwi, niezbyt dużo, spłynęło pod kołnierzyk.

- Pewnie włożył rewolwer do ust - powiedział Biranne. - Kula przeszła na wylot.

Oktawian zauważył, jak schludnie przycięte są siwe włosy na ciepłym, bezbronnym karku Radeechy'ego. Odruchowo chciał ich dotknąć, chciał dotknąć materiału marynarki, pogłodzić go lekko, ze zdumieniem. Oto leżą przed nim szczątki istoty ludzkiej, jej ubranie, doczesne przedmioty osobistego użytku. Tajemnica śmierci Radeechy'ego przypomniła mu o ulotności życia, o konieczności rozkładu każdej żyjącej istoty na części, kawałki, materię. Radeechy, który partaczył większość zadań, nie spartaczył tego.

Oktawian nigdy specjalnie nie przepadał za Radeechym. Nie znał go zbyt dobrze. Radeechy był jednym z tych dziwaków, których można znaleźć w każdym departamencie administracji państwowej i którzy, choć niezwykle inteligentni, nie posiadają podstawowej umiejętności wyrażania własnego zdania i nigdy nie awansują wyżej niż na kierownika. Mówiono o nim, że ma, delikatnie to ujmując, nie po kolei w głowie. Mimo wszystko wyglądał na zadowolonego. Miał rozległe zainteresowania. Ciągłe prosił o urlop; ostatnim razem, przypomniał sobie Oktawian, powodem był *poltergeist*.

- Zostawił jakiś list?

- Niczego takiego nie zauważyłem - odpowiedział Biranne.

- To do niego niepodobne! - wykrzyknął Oktawian. Radeechy przy każdej okazji robił jakieś notatki. - Pewnie do końca dnia

będziemy mieli policję na głowie. I to właśnie teraz, kiedy już miałem urwać się na weekend. - Po własnym głosie rozpoznał, że najgorsze miał już za sobą. Teraz mógł być opanowany, praktyczny i nawet nieco żartobliwy.

- Zajmę się nimi, jeśli chcesz - powiedział Biranne. - Pewnie będą chcieli zrobić zdjęcia, i tak dalej. Muszę pamiętać, żeby im powiedzieć, że dotykałem rewolweru. Przesunąłem go trochę, żeby zobaczyć twarz Radeechy'ego. Mogą znaleźć moje odciski palców!

- Dzięki, ale lepiej sam zostanę. Biedaczysko... Ciekawe, dlaczego to zrobił.

- Nie wiem.

- Był jakiś dziwny. Wszystkie te zabawy z duchami...

- Nie wiem - powtórzył Biranne.

- A może..., no tak, ta okropna sprawa z jego żoną. Ktoś mi powiedział, że po jej śmierci już nigdy nie doszedł do siebie. Sam zauważyłem, że był strasznie przygnębiony.

- Tak - odpowiedział Biranne. Zaśmiał się piskliwie, co zabrzmiało jak zwierzęcy skowyt. - To cholernie w jego stylu, tak wziąć i się zabić w biurze!

- Kate, kochanie - Oktawian zadzwonił do swojej żony w Dorset.

- Cześć, kochanie. Jak się masz?

- Dobrze - odpowiedział - ale coś się stało w biurze. Wrócę dopiero jutro rano.

- Ojej! A więc nie przywitasz się dziś z Barbie! - Barbara była ich jedynym dzieckiem, miała czternaście lat.

- Tak, to fatalnie i strasznie mi przykro, ale po prostu muszę zostać. Mamy tu policję i jest straszne zamieszanie.

- Policję? Co się stało? Chyba nic strasznego?

- No, i tak, i nie - odparł. - Ktoś popełnił samobójstwo.

- O Boże! Znamy go?

- Nie, nie, spokojnie. To nikt z naszych znajomych.

- Dzięki Bogu! Tak mi przykro, moje ty biedactwo. Bardzo bym chciała, żebyś mógł dziś przyjechać. Barbie będzie taka zawiedziona.

- Tak, wiem. Ale zobaczymy się jutro. Wszystko u was w porządku? Jak tam mój harem?

- Twój harem umiera z tęsknoty za tobą!

- Świetnie! Trzymaj się, kochanie. Zadzwoń jeszcze wieczorem.
- Oktawian, weźmiesz ze sobą Ducane'a, prawda?
- Oczywiście. I tak przyjeżdża dopiero jutro, więc mogę go przywieźć.
- Doskonale. Willy nie może się go doczekać.
- Coś mi się wydaje, że to *ty* nie możesz się go doczekać, co, najdroższa? - Uśmiechnął się.
- Pewnie, że tak! Jest tu bardzo potrzebny.
- Będziesz go miała, skarbie, będziesz go miała. Będziesz miała wszystko, czego tylko zapragniesz.
- Świetnie!

## Rozdział drugi

- Macie wynieść te kamienie do ogrodu - powiedziała Mary Clothier.

- Dlaczego? - spytał Edward.
- Dlatego, że to są kamienie ogrodowe.
- Dlaczego? - spytała Henrietta.

Bliźnięta, Edward i Henrietta Biranne, miały po dziewięć lat. Były to chude, jasnowłose dzieci o nadzwyczaj podobnych buziach, okolonych aureolą pięknych, złotych loków.

- To zwyczajny gruz. Nie ma w nich niczego niezwykłego.
- *W każdym* kamieniu jest coś niezwykłego - powiedział Edward.
- W sensie metafizycznym masz rację - powiedział Theodore Gray, który właśnie wszedł do kuchni, ubrany w stary szlafrok w czerwono-brązową kratkę.

- Ale ja nie robię porządków w sensie metafizycznym - odparła Mary.

- Gdzie jest Pierce? - Theodore zwrócił się do bliźniaków. Pierce był piętnastoletnim synem Mary Clothier.

- Na górze, w pokoju Barbie. Dekoruje go muszelkami. Nazbierał ich chyba z tonę.

- O Boże! - westchnęła Mary. Morze zawładnęło ich domem. Pokoje dzieci były pełne piachu, kamieni, pokruszonych muszli oraz uschniętych szczątków morskich organizmów zwierzęcych i roślinnych.

- Jeżeli Pierce mógł przynieść muszle, to my możemy przynieść kamienie. - wywnioskowała Henrietta.

- Nikt nie powiedział, że Pierce może przynosić muszle - odparła Mary.

- Ale zabronić to mu nie zabronisz, co? - odparował Edward.

- Kiedy byłam w twoim wieku za takie odszczekiwanie się dostałabym klapsa - powiedziała Casie, gospoś. Właściwie nazywała się Mary Casie, ale ponieważ miała na imię tak samo jak Mary Clothier, zostało tylko „Casie” - dzikie, tajemnicze słowo, przypominające imię jakiegoś zwierzęcia.

- Zgadza się, ale co z tego, jak odpowiedziałyby Edward - wtrącił się Theodore. - Czy nie będę zbyt wymagający, jeżeli poproszę o herbatę? Fatalnie się czuję.

- Biedna, stara Casie, ciężkie miała życie! - westchnął Edward.

- Nie zabronię mu - odparła Mary - po pierwsze dlatego, że jest już za późno, a po drugie dlatego, że przyjazd Barbary jest szczególną okazją. - To ostatecznie przekonało dzieci.

Barbara Gray od stycznia przebywała w szkole w Szwajcarii. W czasie Wielkanocy pojechała na narty z rodzicami, którzy byli zapalonymi podróżnikami.

- Niektórym to dobrze. - Ów niejasny, lecz niewątpliwie ważki komentarz Casie wygłaszała dość często.

- Casie, możemy sobie wziąć te kurze łapki? - spytała Henrietta.

- I jak ja mam zachować porządek w kuchni, kiedy te dzieciaki ciągle buszują w śmieciach jak jakieś wygłodniałe koty?

- Henrietto, nie wyciągaj *wszystkiego*, dobrze? - powiedziała Mary. Razem z kurzymi łapkami, ze śmietnika wyłoniła się sterta zmiętego papieru, ziarnka kawy, zwędłe liście sałaty i garść włosów.

- Nikt na mnie nie zważa - poskarżyła się Casie. - Marnuję tu życie.

- Każde życie jest zmarnowane - powiedział Theodore.

- Macie mnie za gorszą od siebie.

- Jesteś od nas gorsza - przyświadczył Theodore. - Czy mogę prosić o herbatę?

- Och, zamknij się, Theo - powiedziała Mary. - Nie drażnij się z Casie. Twoja herbata stoi tam, na tacy.

- Cytrynowa. Mmm... Świetnie.



- Myślałam, że nie czuje się pan dobrze - powiedziała Casie.
- Woreczek żółciowy trochę mi dokuczka. Gdzie jest Mingo?

Mingo, wielki, szary pies nieco podobny do nieostrzyżonego pudła, zawsze towarzyszył Theodorowi przy śniadaniu w łózku. Kate i Oktawian ciągle opowiadali sprośne dowcipy o tym, co łączy Theodora i Mingo.

- Przyniesiemy go, wujku Theo! - wykrzyknął Edward.

Po krótkiej szarpaninie Mingo został wyciągnięty zza pomalowanego w kwiaty pieca z lanego żelaza, który, choć nieprzydatny i kosztowny w utrzymaniu, wciąż wypełniał ogromną niszę przy kuchennym palenisku. Theodore, z tacą w ręku, zaczął wchodzić po schodach, eskortowany przez dwójkę bliźniaków, które, zgodnie z rytuałem własnego autorstwa, razem dźwigały psa. Jego głupkowato uśmiechnięty pysk wyglądał spod ręki Edwarda, włochate łapy wlokły się po ziemi, a rozkołysany ogon rytmicznie unosił brzeg bawełnianej sukienki Henrietty.

Theodore, chorowity, starszy brat Oktawiana, niegdyś inżynier, pracujący w Delhi, obecnie - już od dawna bezrobotny, znany był z tego, że opuścił Indie będąc w niełasce, lecz jak dotąd nikomu nie udało się odkryć, czyja to niełaska zmusiła go do wyjazdu z Indii. Nie było też wiadomo, czy Theodore właściwie lubi, czy też nie cierpi swego brata, a jego pogardliwe uwagi pod adresem Oktawiana przyjmowano z powszechnym zadowoleniem. Theodore był wysokim, chudym, siwym, łysiejącym mężczyzną o wypukłym czole oznaczonym hieroglifami bruzd i przymrużonych, bystrych, myślących oczach.

- Paulo, czy ty naprawdę musisz czytać przy stole? - spytała Mary.

Paula Biranne, matka bliźniaków, była pogrążona w czytaniu książki. Wychowanie swoich dzieci całkowicie pozostawiła Mary. Przed prawie dwoma laty rozwiodła się z Richardem Biranne. Mary od długiego czasu była wdową.

- Przepraszam - Paula zamknęła egzemplarz Lukrecjusza. Uczyła łaciny i greki w miejscowej szkole.

Pory posiłków zawsze były dla Mary czymś istotnym. Były to pory komunikacji, rytualne zgromadzenia o niemalże metafizycznym znaczeniu. Ludzka mowa i zwykłe współtętnienie kołły rany

i zablizniały rysy zrozumiały jedynie dla niespokojnej wrażliwości Mary oraz wprowadzały pewną harmonię, której istnienia znowu tylko ona była świadoma. W owych chwilach kontaktu to Mary była autorytetem, którego nikt nie kwestionował. Jeżeli w ich domu istniała zbiorowa nieświadomość, to Mary była jego zbiorową świadomością. Regularne pory śniadania, lunchu i kolacji były ponadto jednym z niewielu elementów formalizmu w sytuacji, która, jak to odczuwała Mary, zawsze wisiała na krawędzi niezupełnie nieprzyjemnej, lecz całkowicie nieodwracalnej anarchii.

Promienie gorącego słońca, wpadające poprzez ogromne okna o oryginalnych gotyckich wierzchołkach i białych ornamentach z lanego żelaza, na zielono ocienionych z jednej strony przez wiciokrzew, z drugiej - przez wistarię, oświetliły plamy na obrusie w biało-czerwoną kratkę, okruchy ciasta na stole, ziarenka kawy i włosy walające się po wyłożonej płytami podłodze. Sytuacja wyglądała w ten sposób, że bliźniaki już wypili herbatę, Theo wziął swoją na górę, Pierce w ogóle nie zszedł na śniadanie, Kate jak zwykle się spóźniła, a Mary, Paula i Casie właśnie jadły.

- Ona znowu kupiła sobie nowy samochód - powiedziała Casie.

- Wolałabym, żebyś powiedziała, kogo masz na myśli i nie nazywała każdego „ona” - odparła Mary.

- Moja siostra. - Casie, która większość życia poświęciła opiece nad swoją ostatnio niedomagającą matką, o której mówiła „ta stara suka”, nie mogła darować swej młodszej siostrze, że tamtej udało się uniknąć takiego losu i bogato wyjść za mąż. Casie, czerwoniczka kobieta o burzy stalowosiwych włosów, miała skłonności do częstych napadów płaczu wywoływanych obejrzanymi w telewizji smutnymi rzeczami, w ten sposób usiłując wzbudzić w Mary współczucie.

- Jaką markę? - spytała Paula nieobecny głosem. Nadal myślała o Lukrecjuszu, zastanawiając się, czy pewien fragment można dać na egzaminie.

- Triumph, czy jakoś tak... Niektórym to dobrze. Costa Brava i tak dalej.

- Dzisiaj znowu widzieliśmy ten latający talerz - oznajmiła Henrietta, która wróciła niosąc Montrose'a, kota Barbary. Bliźniaki często powtarzały to stwierdzenie.

- Naprawdę? - powiedziała Mary. - Henrietto, nie stawiaj Montrose'a na stole.

Montrose było to wielkie, kakaowobure zwierzę o złotych oczach, kwadratowym tułowiu i prostokątnych łapach, odznaczające się wyjątkowym uporem i samouwielbieniem. Dzieci nieustannie toczyły zacięte spory na temat jego inteligencji i niezmordowanie wymyślały coraz to nowe testy, mające udowodnić mądrość kota. Istniały jednak pewne wątpliwości co do interpretacji uzyskanych danych, gdyż bliźniaki zawsze chętnie odwoływały się do podstaw i zastanawiały, czy współpracę z rasą ludzką w ogóle można uznać za objaw inteligencji. Montrose miał jeden niewątpliwy talent - umiał na zawołanie nastroszyć swe przylizane futro, przeistaczając się z gładkiego, przegowanego sześcianu w puszystą kulę. To się nazywało „ptasi wygląd Montrose'a”.

- Nawet mnie nie pytaj, skąd mają pieniądze. Aż się prosi zostać socjalistą - powiedziała Casie.

- Przecież ty jesteś socjalistką - odparła Mary. Oczywiście wszyscy byli socjalistami, lecz cecha ta wydawała się godna uwagi jedynie w wypadku Casie.

- A czy ja mówię, że nie jestem? Powiedziałam tylko, że aż się prosi zostać socjalistą.

- Wiecie, który ptak jest największy? - spytał Edward, przepychając się między swoją siostrą i Mary.

- Nie. Który?

- Kazuar. Je Papuasów. Zabija ich, uderzając łapami.

- Kondor chyba jest większy - powiedziała Henrietta.

- To zależy, czy się bierze pod uwagę rozpiętość skrzydeł, czy wagę.

- A albatros? - wtrąciła Paula. Zawsze chętnie dyskutowała ze swymi dziećmi, które niezmiennie traktowała jak równe sobie, dorosłe osoby.

- Albatros ma największą rozpiętość skrzydeł - wyjaśnił Edward - ale o wiele mniejszy tułów. Wiecie, jakiej wielkości kość piersiową musiałyby mieć człowiek, gdyby chciał latać? Mary, wiesz, jakiej wielkości musielibyśmy mieć kość piersiową, gdybyśmy chcieli latać?

- Nie wiem.

- Pięć metrów szerokości.

- Naprawdę? Coś takiego.

- W wypadku kondora... - zaczęła Paula.

- Ostrożnie, Henrietto - powiedziała Mary do Henrietty, która była zajęta uderzaniem twarzy brata łapami Montrose'a.

- W porządku. Ma schowane pazury - uspokoiła ją Henrietta.

- Na jego miejscu nie miałabym schowanych pazurów - powiedziała Casie. - Kiedy byłam w waszym wieku, uczono mnie, że nie wolno się znęcać nad zwierzętami.

- Naprawdę prosiłabym, żebyście coś zrobili z tymi kamieniami - powiedziała Mary. - Ciągłe będziemy się o nie potykać. Może ułóżcie je od najładniejszego do najbrzydszego, a potem znajdziemy jakieś miejsce na zewnątrz dla tych mniej wartościowych.

Pomysł ułożenia kamieni według hierarchii wartości od razu spodobał się bliźniakom. Puścili kota, usiadły na podłodze nad stertą kamieni i wkrótce pograżyły się w sporze.

- Czy Theo był u Willy'ego? - spytała Paula.

- Nie. Zaproponowałam mu to, ale tylko się roześmiał i powiedział, że nie jest jego niańką.

Willy Kost - naukowiec na emigracji - mieszkał na terenie posiadłości Oktawiana, w małym domku znanym jako Trescombe Cottage, stojącym na wzgórzu, nieco wyżej od Trescombe House. Willy cierpiał na melancholię, która była przyczyną troski wszystkich domowników.

- Chyba znowu się pokłócili. Zupełnie jak dzieci. Byłaś u niego?

- Nie - odpowiedziała Mary. - Nie miałam czasu. Wysłałam Pierce'a. U Willy'ego wszystko w porządku. A ty?

- Nie - odrzekła Paula. - Też miałam strasznie wypełniony dzień.

Mary odetchnęła z ulgą. Czuła się osobiście odpowiedzialna za Willy'ego, jak gdyby był jej własnością, i zależało jej na tym, by zawsze wiedzieć, jak się czuje. Jutro pójdzie do niego.

- Jak to dobrze, że Ducane przyjeżdża - powiedziała Paula. - Jego obecność zawsze pomaga Willy'emu.

- To Ducane przyjeżdża? Chciałabym, żeby mnie czasami o czymś poinformowano!

- Chyba wiesz, że pokój nie jest przygotowany? - powiedziała Casie.

- Kate pewnie uważa, że to już normalna rzecz i dlatego cię nie uprzedziła.

John Ducane, przyjaciel i współpracownik Oktawiana, często gościł u nim podczas weekendu.

- Casie, czy mogłabyś po herbacie posprzątać pokój?
- Oczywiście, że nie mogłabym - odparła Casie. - Bo to mój czas wolny. Chciałaś chyba spytać, czy posprzątam. Tak, posprzątam.

W tej chwili do kuchni weszła Kate Gray, a za nią Mingo i natychmiast, jak za sprawą jakiegoś gwiazdnego promienia, całe otoczenie rozpadło się na atomy i zgromadziło na nowo wokół Kate jako centrum. Mary sama zniewolona jakąś niewidzialną siłą, ujrzała twarz Pauli, przypominającą teraz uśmiechnięty psi pyszczek i poczuła, że jej usta również rozciągają się w uśmiechu. Mingo zaczął szczeekać, Montrose wskoczył na stół, Casie wlała więcej gorącej wody do dzbanka, a bliźniaki, burząc starannie ułożone kamienie, podskoczyły do Kate i, uczepiwszy się brązowymi, upiaszczonymi rękoma paska u jej sukienki, jęły trajkotać jak nakręcone.

Jasna, okrągła twarz Kate promieniowała w aureoli złotych włosów. Jej pełne wdzięku zaniedbanie jeszcze bardziej podkreślało schludność, szczupłość i czystość pozostałych dwu kobiet: Mary, która ze swymi prostymi, ciemnymi włosami, założonymi za uszy wyglądała jak wiktoriańska guwernantka i Pauli o szczupłej twarzy, spiczastym podbródku i starannie ułożonych brązowych włosach. Kate, sama nieokreślona, nadawała znaczenie innym; była ciepłem, dźwiękiem, światłem, w którym wyglądali korzystniej niż zazwyczaj. Kate nieznacznie się zaciągała, mówiła z lekkim irlandzkim akcentem.

- Oktawian jednak dziś nie przyjedzie.
- Co za szkoda - powiedziała Mary. - Nie przywita się z Barbie.
- Tak, to fatalnie. Coś się stało w biurze.
- Co takiego?
- Jakiś facet się zabił.
- Dobry Boże! - wykrzyknęła Paula. - Naprawdę się zabił? Tam, w biurze?
- Tak. Jakie to okropne.
- Kto to był? - spytała Paula.
- Nie wiem.
- Jak się nazywał?
- Nawet nie spytałam. Nie znamy go.
- Biedaczysko - powiedziała Paula. - Chciałabym wiedzieć, jak się nazywał.
- Dlaczego? - spytał Edward, który właśnie eksperymentował na ścięgnach kurzej łapki.

- Bo to jakoś łatwiej myśleć o kimś, gdy się zna jego nazwisko.  
- Dlaczego? - spytała Henrietta, która kuchennym nożem kroїła drugą łapkę.

- Jakie to niezwykle, jak mówi Platon, że możemy *pomyśleć* o wszystkim i nawet, gdy ta rzecz jest bardzo daleko, potrafimy dotrzeć do niej myślą - powiedziała Paula. - Chyba jednak mogę o nim myśleć, choć nie znam jego nazwiska...

- To dobrze, że o nim myślisz - powiedziała Kate. - Jesteś taka dobra. Zawstydzasz mnie. Czuję się zawstydzona. Ja myślę tylko o Oktawianie i Barbarze.

- Dlaczego się zabił? - spytał Edward.

- Przygotuję pokój dla Ducana - powiedziała Mary do Casie.

- Już to widzę - odparła Casie.

Razem wstały i wyszły z kuchni.

Promienie leniwego słońca, oświetlające dom od frontu, odbijały się wydłużonymi, blad złotymi prostokątami na wyblakłej, kwiecistej tapecie, którą wyłożone były ściany wielkiego hallu, służącego w weekendy jako jadalnia. Przez otwarte na oścież drzwi słychać było odległe kukanie kukułki, a za zarośniętym podjazdem, za przyciętym, opadającym ukośnie trawnikiem i sterczącą kępą truskawkowokremowej tawuli, wyrastało morze - srebrzyście niebieskie, zbyt rzadkie i przezroczyste, by je nazwać metalicznym, podobne do cieniutkiej, srebrnej folii. Wznosiło się i w jakimś niewidocznym miejscu zlewało z bladym, połyskliwym błękitem letniego nieba. W pudrowej złocistości słońca i eterycznej rzadkości morza było już coś z wieczornej pory.

Mary i Casie wspięły się po łuku białych schodów, Mary - mknąc jak strzała, Casie - wlokąc się noga za nogą, i na górze zamieniły parę słów. Mary puściła Casie do pokoju gościnnego, a sama skierowała się do pokoju Barbary.

Mary Clothier i jej syn Pierce mieszkali w Trescombe House już prawie od czterech lat. Ojciec Mary, chorowity, niezaradny mężczyzna, był urzędnikiem w agencji ubezpieczeniowej. On i eteryczna, delikatna matka Mary zmarli w tym samym czasie na zapalenie płuc, pozostawiając swoje jedyne, dziewięcioletnie wówczas dziecko podstarzałej i raczej niezamożnej ciotce. Dzięki stypendiom Mary zdołała jednak uzyskać dobre wykształcenie.

W szkole poznała Kate. Kate podziwiała Mary, a także, całkiem instynktownie, zaopiekowała się nią. Zostały bliskimi przyjaciółkami. Wiele lat później Kate zaproponowała Mary - tułającej się, ubogiej i towarzysko niewyrobionej wdowie - wspólne mieszkanie. Mary zgodziła się i, pełna złych przeczuc, przyjechała na okres próbny. Została na dobre. Kate i Oktawian byli zamożni i mieli ogromną przewagę jako ludzie towarzysko ustawieni. Mary, która niekiedy uważała się za romantycznego wyrzutka, doceniała obie te zalety swoich przyjaciół i była gotowa przyjąć ich pomocną dłoń. Ale oczywiście nie mogłaby się zgodzić na ten akt, gdyby nie niewątpliwa hojność jej gospodarzy, zaleta, która w jakiś sposób przejawiała się w ich okrągłości, w dużej, kulistej, łysej głowie Oktawiana, przykrytej jedwabną, złotowłosą tonsurką, w pulchnej twarzy i kędzierzawej szopie miłych w dotyku, jasnych włosów Kate. Odznaczeni się jakąś niedbałą wspaniałomyślnością, a także nadmierną szczodrością grzesznika, opowiadającego się za cnotą. Byli razem szczęśliwi i chętnie uszczęśliwiali innych. Mary nie trapił fakt, że tak naprawdę jest im niezwykle użyteczna. Zajmowała się domem, opiekowała dziećmi, zawsze była na posterunku. Wiedziała jednak, że jej korzyści są o wiele większe.

Obecność Pauli o twarzy przypominającej lisi pyszczek na początku wywoływała u Mary mieszane uczucia. Paula była koleżanką Mary z college'u i Kate poznała ją dopiero, gdy ta po rozwodzie wprowadziła się do nich. „Wszyscy zapraszają do siebie rozwiedzioną kobietę” - mówiła Paula. Mary zaprosiła Paulę, którą Kate bardzo polubiła. Kate zaproponowała, żeby Paula została u nich na czas nieokreślony, Oktawian zaczął żartować na temat swojego haremu i wkrótce sprawa została przypieczętowana. Mary czuła wielki respekt przed swoją starszą koleżanką z college'u. Czuła, że w bliższym kontakcie Paula może się okazać wymagająca, obawiała się również, że Paula wzbudzi w niej zazdrość. Była bezkompromisowa i niekiedy Mary widziała w niej osobę nieświadomie zarozumiałą. Jej siła charakteru, wiara w słuszność swojego postępowania, skrupulatność, dokładność i prawdomówność rzucały cień na nijakość i zamęt, które, jak to czuła Mary, były nieodłącznymi składnikami jej osobowości. Paulę cechowała chłodna wyniosłość, nie zniszczona nawet przez rozwód, którego szczegółów Mary nigdy nie poznała; wszyscy wiedzieli tylko tyle, że Richard Biranne to nieodpowiedzialny

kobieciarz. Oczywiście przesadą byłoby przypuszczać, że zarówno Kate jak i Paula będą „uwielbiały” Mary. Z właściwą sobie nadwrażliwością Mary obserwowała objawy wzajemnej sympatii Pauli i Kate, i podczas pierwszych miesięcy pobytu Pauli z prawdziwą męką czekała, co będzie dalej. W końcu jednak to właśnie chłód Pauli, jej obojętność ukołysały nerwy Mary i nawet przysporzyły jej energii potrzebnej do obiektywnej oceny sytuacji. Niebawem doszła do wniosku, że nie ma się czego obawiać. Wzajemna sympatia Pauli i Kate nie stwarzała dla niej zagrożenia. Możliwość spisku nie istniała. Wraz z pojawieniem się tej pewności zaczęła odczuwać przyjemność w uczestniczeniu w tym luźnym trójkacie.

Czwórce dzieci też wiodło się całkiem nieźle. Wszystkie chodziły do szkoły: Pierce do Bryanston, bliźniaki do Bedales, a Barbara do La Residence w Szwajcarii. Ich obecność i nieobecność, w połączeniu z szachownicą dni powszednich i weekendów, czyniły z życia Mary mozaikę różnych, nierzadko sprzecznych zdarzeń i nastrojów. Gdy dzieci nie było w domu, Kate często spędzała większą część tygodnia w Londynie u Grayów, lub wyjeżdżała z Oktawianem, dla którego rozkłady lotów były tym samym, czym dla większości ludzi są rozkłady jazdy pociągów. Wraz z nadejściem weekendu dom zmieniał się pod wpływem tajemnicy stanu małżeńskiego. Kate i Oktawian czarująco i intensywnie poślubieni, zasiadali na przygotowanych tronach. Paula i Mary miały wówczas status kobiet samotnych. Śmiały się z dowcipów Oktawiana o haremie i do późna w nocy wsłuchiwały się w dochodzące zza ściany niekończące się rozmowy małżonków, głosy szemrzące jak rzeka. Kiedy dzieci wracały do domu, atmosfera stawała się mniej zagęszczona - tylko dlatego, że było bardziej tłoczno, panowała większa anarchia i mniej było prywatności. Lecz i one zmieniały się po przyjeździe do rodziców: Barbara nagle stawała się „dzieckiem domu”, co było pół na pół przywilejem, pół na pół karą. Również obecność mężczyzn: Oktawiana i ostatnio Johna Ducane'a (nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby do grona mężczyzn zaliczyć wujka Theo), sprawiała, że dzieci stawały się może nie tyle grzeczne, co spokojniejsze i bardziej zgodne.

Ogólnie Mary była zadowolona, a raczej odczuwała zniechęcenie, nerwowe, niejasne zadowolenie - jedyne, do jakiego była zdolna. Alistair Clothier umarł przed laty, osierocając malutkiego Pierce'a



i pozostawiając swoją żonę bez grosza przy duszy. Mary, która przed ślubem porzuciła uniwersytet, było bardzo ciężko. Została maszynistką. Dawna uczelnia Alistaira przyznała Pierce'owi stypendium. Jakoś dali sobie radę, lecz Mary nigdy nie przebaczyła losowi tego, że tak sobie z niej zadrwił. Stała się cyniczna, zgorzkniała, nauczyła się mało oczekiwać od życia i zadowalać tym, co ma. Kate, nawet nie zdając sobie sprawy ze stanu Mary, częściowo ją wyleczyła. Sama wiecznie i bezmyślnie szczęśliwa sprawiła, że Mary zapragnęła szczęścia i zaczęła mieć nadzieję na osiągnięcie go. Demonstracyjne okazywanie uczuć przez Kate dodało Mary odwagi. Bujny, życiodajny egoizm i zadowolenie Kate i jej męża nauczyły Mary pewnego rodzaju hedonizmu, który, choć dosyć mizerny w porównaniu z ich hedonizmem, okazał się dla niej zbawienny. Poza tym wreszcie w pełni zrozumiała swoje problemy i pogodziła się z nimi.

Mary przeszła przez korytarz, obserwując bliźniaki, które pojawiły się na trawniku przed domem. Właśnie rozpoczynały jedną ze swych „specjalnych zabaw”, które same wymyślały, i których Mary, pomimo wielokrotnych obserwacji, nigdy nie zdołała pojąć. Niekiedy podejrzewała, że owe gry rządzą się prawami matematyki i są zrozumiałe tylko dla tych niezwykłych dzieci, niewątpliwie posiadających coś w rodzaju cybernetycznych mózgow. Większość zabaw miała krótkie i niewiele mówiące nazwy, na przykład „Patyki”, albo „Pióra”. Ta, którą teraz rozpoczęły na pochyłym trawniku, pokrytym prostokątami i trójkątami wyznaczonymi za pomocą sznurka, nie wiedzieć czemu nazywała się „Szlachetna Mysz”.

Drzwi do pokoju Barbary były otwarte i Mary zobaczyła w środku swojego syna, pochylonego i ze skupieniem wpatrującego się w blat ogromnego stołu pod oknem. Pierce miał śniadą cerę, ciemne włosy, piwne oczy i wydatny nos, tworzący z czołem linię prostą, co nadawało jego pulchnej twarzy nieco zwierzęcy wygląd. Wiele osób, włączając w to niektórych nauczycieli, czuło niekiedy nieprzepatą chęć pogładzenia go, jak kucyka, po czole i nosie. Dzięki poważnemu, nieruchomemu spojrzeniu i pedantycznemu, powolnemu sposobowi mówienia sprawiał wrażenie intelektualisty, w rzeczywistości jednak, choć inteligentny, nie przykładał się zbytnio do nauki i z pewnością nie był mołem książkowym. Mary, wciąż nie zauważona, podeszła do drzwi i zobaczyła, że Pierce ułożył na stole

skomplikowany wzór, przedstawiający spiralę z setek muszelek, od najmniejszych w środku po coraz większe na zewnętrznych zwojach. Pochylił się, by ze stosu na podłodze wybrać muszlę i w tej chwili wyczuł obecność Mary.

Powoli odwrócił się do niej. Jego ruchy rzadko były szybkie. Spojrzał na Mary bez uśmiechu, niemal ponuro. Patrzył na nią jak zwierzę, wprawdzie usidłone, ale nie przestraszone - niebezpieczne, zuchwałe zwierzę. Mary poczuła, że w tej chwili jest tylko jakąś szczupłą, ciemnowłosą kobietą, matką w pewien sposób reprezentującą przeszłość Pierce'a i spoglądającą na niego, jak gdyby już była duchem. Myśl ta na moment pojawiła się w jej umyśle wraz z przypływem egoistycznej miłości do syna i przejmującym żalem - nie wiedziała tylko: nad nim, czy nad sobą. Chwilę później, gdy zastanawiała się, co powiedzieć, ogarnęła wzrokiem ładny pokój Barbary - wysprząpany i pusty, lecz już oczekujący. Olbrzymi wzór z muszelek był zupełnie nie na miejscu. Pasował do cichych rozmyślań Pierce'a o Barbarze, lecz kłócił się z zamieszanym, towarzyszącym przygotowaniom do jej przyjazdu, którego Mary oczekiwała z niejakim lękiem. Precyzyjna praca przy układaniu muszelek nagle wydała jej się niezwykle typowa dla Pierce'a - tak samo powolna, introwertyczna i całkowicie pozbawiona inwencji.

Na zewnątrz rozległy się okrzyki, na żwirze zatrzeszczały opony samochodu, Mingo zaczął radośnie ujadać. Pierce nie od razu się poruszył. Jeszcze przez chwilę wytrzymał pełen udręki wzrok matki, a gdy cofnęła się, niespiesznie przeszedł koło niej i wyszedł na korytarz.

- Mamo, było cudownie, w samolocie zjadłam przepyszny lunch i proponowali mi szampana, och Mary, nie powinnaś dźwigać mojej walizki, prawda, mamo? Spójrzcie tylko na ogon Mingo - kręci się jak śmigło, nie skacz, Mingo, zrobisz krzywdę Montrose'owi tymi swoimi łapskami, Montrose poznał mnie, prawda mamo? Dokąd poszedł wujek Theo, gdzieś mi mignął, Edwardzie, nie szarp mnie tak za spódnicę, jest nowa, Henrietto, mam dla ciebie taką śliczną sukienkę, kupiłam ją w Genewie, co u Willy'ego, mam dla niego niesamowitą lornetkę, przemyciłam ją, odważna jestem, co? Dla wszystkich mam prezenty, *laisse moi donc, Pierce, que tu m'embetes*, mamo, codziennie jeździłam konno i już świetnie mówię po francusku i strasznie dużo ćwiczyłam na flecie, grałam na koncercie, ale jestem opalona, co?

Patrzcie tylko, jaka jestem opalona, mam, przywiozłam ci trochę koronki, dla Mary mam broszkę, a dla taty zegarek, Henrietto, czy nie mogłabyś zabrać Montrose'a, ostrożnie z tą walizką, w środku jest włoskie szkło, Mary, połóż ją na łóżku, dobrze? Och, jak bosko znowu być w domu, szkoda, że nie ma tatusia, wszystko jest takie cudowne, pójdę do Willy'ego, co, u diabła robią te muszle na moim stole, zgarnijcie je, dobrze? O kurczę, pospadały na podłogę, Casie, co bliźniaki robiły w moim pokoju, połóż drugą walizkę na łóżku, świetnie, dzięki, mam, było tak cudownie, byłam na takiej fantastycznej zabawie i wszyscy musieli się ubrać na biało-czarno i leciałam helikopterem, strasznie się bałam, samolot to zupełnie co innego...

## Rozdział trzeci

John Ducane spojrział w oczy Jessiki Bird, które powoli wypełniały się łzami. Ducane spuścił wzrok. Nie porzucił jej, kiedy powinien był to zrobić, kiedy rozstanie oznaczałoby dla niego cierpienie. Opuszczał ją teraz, kiedy cierpienie było już mniejsze, a jego miejsce zaczęła zajmować ulga. Powinien porzucić ją wcześniej. Ale i teraz musi to zrobić. Potrzebował tej myśli, by się uodpornić na jej łzy.

Znowu podniósł wzrok i spojrział ponad jej głową. Teraz dopiero dostrzegł dziwaczną pokój Jessiki, który dzięki skromnemu umeblowaniu wyglądał jak kajuta na statku. Nie było tu swojskich stert książek czy papierów, mówiących coś o właścicielu, a kolory i kształty były czyste i stanowcze. Jeżeli przyjąć, że meble to poręczne, dostosowane do potrzeb człowieka przedmioty, służące do siedzenia, leżenia, pisania, to pokój ów ich nie zawierał, dominowały w nim płaszczyzny. Nawet krzesło, na którym siedział Ducane, jedyne w tym pomieszczeniu, było tylko ukośną płaszczyzną, nie posiadającą żadnych przyjaznych wygięć, pasujących do ludzkiej sylwetki. Nawet łóżko, na którym niegdyś zmagął się z Jessiką, przypominało pokład - tak było wygładzone i równe. Na półkach, bezosobowych jak blaty kawiarnianych stolików, stały dziwaczne przedmioty - ni to bibeloty, ni dzieła sztuki, które Jessika gdzieś znalazła lub wykonała sama. Nocami włóczyła się po wysypiskach śmieci, znosząc do domu cegły, dachówki, kawałki drewna, zwoje drutu. Czasami coś z tego robiła, a czasami pozostawiała nietknięte. Jednak większość

swoich prac Jessica wykonała z gazet, kosztem regularnie zatykanych rur w łazience. Na wpół rozmiękła papierowa papka, na której miejscami było jeszcze widać druk, stężała w zgrabny, lekki jak piórko przedmiot o prześwitującym kolorowym wnętrzu. Ducane'owi często wydawało się, że owe obiekty, stojące tajemniczo w rzędach, należą do jakiegoś ciągu zasad, których nie potrafił pojąć. Nie miały być podziwiane i wkrótce zostały zniszczone.

Jessika uczyła rysunków i angielskiego w szkole podstawowej. Miała dwadzieścia osiem lat, lecz wyglądała na osiemnaście. Ducane o okrągłych, niebieskich oczach, haczykowatym nosie i szarej cerze, miał czterdzieści trzy lata i na tyle wyglądał. Poznali się na przyjęciu i, co ich oboje zdumiało, zakochali się w sobie. Jessica, w krótkiej spódniczce, blada, chuda, z długimi, brązowawożłotymi włosami, omiatającymi jej ramiona lub związanymi w koński ogon z wplecionymi weń wstążkami, była dla Ducane'a czymś niezrozumiałym i z pewnością nie w jego typie. Uważał, że jest wszechstronnie utalentowana i prawie całkowicie pozbawiona intelektu; była amalgamatem, z jakim nigdy przedtem się nie zetknął. Należała do *rasy* ludzi młodych, których odmienności nigdy nawet nie usiłował zrozumieć. Przez krótki czas byli sobą zaintrygowani i szczęśliwi. Ducane dawał jej w prezencie książki, których nie czytała, biżuterię, której nie mogła nosić i drobne *objets d'art*, które, ustawione pośród jej prymitywnych ozdóbek, przybierały istic surrealistyczny wygląd. Na próżno usiłował namówić ją, by zaczęła pracować w materiałach stałych. Uważała, że jest skorumpowany, fascynujący, nieskończenie stary.

Choć Ducane nie zdawał sobie z tego sprawy, jego niespokojna, utajona zmysłowość potrzebowała jakiegoś wyrafinowanego, intelektualnego bodźca, którego Jessica dostarczyć mu nie mogła. Jego głęboki purytanizm w żadnym wypadku nie mógł wytrzymać dłuższego romansu. Ducane nie miał temperamentu kochanka i wiedział o tym. Jego przygody były nieczęste i dosyć krótkie. Miał również wyrzuty sumienia, że zatrzymuje przy sobie tę młodą, atrakcyjną dziewczynę, nie zamierzając jej poślubić. Ducane, który chciał, by życie było proste, nie znosił poczucia winy i wszelkiego rodzaju niedomówień. Z czasem, gdy zmniejszyło się jego podniecenie, wywołane odkrywaniem czegoś nowego, dziwaczne poczucie piękna Jessiki jęło mu się wydawać bardziej

męczące, niż urocze i już nie widział w niej rzadkiego, egzotycznego zwierzęcia, a jedynie ekscentryczną, nie taką młodą dziewczynę, mającą w sobie tyleż samo tajemniczości, co jakaś dziwaczna Angielka w średnim wieku. Wówczas, zawstydzony, że nie uczynił tego wcześniej, postanowił zakończyć romans, do którego nigdy nie powinien był dopuścić. Powinien zostawić ją półtora roku temu. Wtedy jednak, wzruszony jej łzami, pozwolił sobie na słabość i zgodził się, by - już tylko jako przyjaciele - spotykali się prawie tak często jak dotąd. Wciąż jeszcze trochę ją kochał, więc tym bardziej był skłonny do tego ustępstwa.

W jego namiętności było być może więcej wyrachowania, niż sobie zdawał sprawę, gdyż, kiedy tylko wyzwolił się z pierwotnego poczucia winy, na nowo odkrył w Jessice świeżość, wdzięk, dotykał jej z autentyczną rozkoszą i wmawiał sobie, że oto zyskał dziecko, przyjaciela. Stopniowo i z coraz większym smutkiem zaczął sobie uświadamiać, że Jessika nie ma tego co on, uczucia wolności. Nie wyzwolił jej. Nadal była w nim zakochana i doprawdy nadal zachowywała się jak jego kochanka. Całe jej życie składało się z bycia z nim, czekania na niego, z jego obecności, nieobecności, i znowu obecności. Obserwowała go z niepokojem, tłumiąc w sobie uczucie, instynktownie obawiając się, że z jej powodu poczuje się uwięziony lub winny. Dotykała go niezwykle delikatnie, ostrożnie i tęsknie, jak gdyby chciała wydobyć z niego jakąś esencję, jakąś silną substancję, która dodawałaby jej sił w chwilach samotności. Świat docierał do niej jedynie za jego pośrednictwem. Ducane dostrzegł wreszcie intensywność jej cierpienia, którego niekiedy nie potrafiła ukryć. Oboje zaczęli się bać, stali się kłótlivi i skłonni do irytacji. Wreszcie Ducane uznał, że istnieje tylko jedno wyjście - brutalne i całkowite rozstanie. Wszystko dobrze przemyślał. Jednak gdy tylko zaczął ją przekonywać, znowu otoczyła ich znajoma, duszna atmosfera żalu i namiętności.

- Co ja takiego zrobiłam?
- Nic nie zrobiłaś.
- To dlaczego nie może być po staremu, dlaczego teraz mi to mówisz?
- Wszystko przemyślałem. Ta sytuacja jest niezdrowa.
- Nie ma w tym nic niezdrowego. Po prostu cię kocham.

- I w tym cały kłopot.
- Na świecie jest tak mało miłości. Dlaczego chcesz zabić moją?
- To nie takie proste, Jessiko. Nie mogę przyjąć twojej miłości.
- Nie rozumiem, dlaczego.
- To nieuczciwe wobec ciebie. Nie mogę cię więzić.
- A może ja chcę być twoim więźniem?
- Nie chodzi o to, czego ty chcesz. Zrozum to wreszcie.
- Wydaje ci się, że pragniesz mojego dobra?
- Tak jest naprawdę.
- Jeżeli jesteś mną zmęczony, dlaczego mi tego po prostu nie powiesz?
- Jessiko, wiesz, że cię kocham. Ale nie mogę dalej zadawać ci bólu.
- Z czasem będę cierpiała coraz mniej. A zresztą - dlaczego życie miałyby być pozbawione cierpienia?
- Oboje się męczymy. Czuję się odpowiedzialny...
- Do diabła z twoją odpowiedzialnością! Na pewno wzięłeś sobie nową kochankę.
- Nie wzięłem sobie nowej kochanki.
- Przysięgałeś na wszystko, że w razie czego mi powiesz.
- Dotrzymuję obietnic. Nie mam nowej kochanki.
- No to dlaczego nie może być po staremu? Nie żądam od ciebie tak wiele.
- Powiedziałem już.
- W każdym razie nie pozwolę ci tak po prostu odejść. Ja naprawdę... nie... nie wytrzymałabym tego...
- O Boże - westchnął Ducane.
- Zabijasz mnie - powiedziała - z powodu jakiejś głupoty.
- O Boże - powtórzył, wstał i odwrócił się do niej plecami. Bał się, że Jessika, klęcząca przed nim na podłodze, przypadnie mu do stóp. Gwałtowność jego słów i jej zaskoczenie do tej pory trzymały ich na dystans.

„Ludzka słabość, zło tkwiące we mnie sprawiły, że automatycznie zachowuję się jak brutal” - pomyślał. - „Ona ma rację - miłości nie wolno zabijać; nigdy jej nie jest za dużo. A jednak muszę zabić tę miłość. O Boże, dlaczego czuję się jak morderca? Gdybym tylko mógł wziąć całe cierpienie na siebie! Ale to właśnie jedna z kar za zło, być może najgorsza - pragnąć tego i nie móc.”

- Domyślałam się, że istnieje jakiś wyjątkowy powód - powiedziała za jego plecami łamiącym się głosem. - Coś musiało się wydarzyć w twoim życiu...

Problem polegał na tym, że miała rację i Ducane czuł się osłabiony przez nieszczerłość swoich motywów. Wiedział, że postępuje słusznie i pewnie potrafiłby zrealizować swój zamiar, gdyby nie to, że hamowała go własna interesowność. Chciał uwolnić Jessikę, lecz jeszcze bardziej pragnął wolności dla siebie samego. Gdyż tym, co wydarzyło się w życiu Ducane'a była Kate Gray.

Ducane znał Kate od lat, ale dopiero niedawno, gdy ich znajomość z niezwykłą łatwością, będącą przywilejem wieku średniego, nabrała cech bardzo bliskiej zażyłości, uświadomił sobie, że jest w niej trochę zakochany i wyczuł, że i ona trochę się w nim kocha. Odkrycie to wcale go nie zaszokowało. Kate w każdym calu była mężatką. Był przekonany, że w jej pięknej główce nie powstała myśl, którą podczas długich, nocnych rozmów nie podzieliłaby się ze swoim mężem. Nie wątpił, że małżonkowie rozmawiają o nim. Może nie drwili z niego, ale na pewno był przyczyną ich żartów. Wyobrażał sobie, jak Kate mówi: „Wiesz, John chyba trochę się we mnie kocha!”. Oktawian był we wszystko wtajemniczony. Sytuacja nie była niebezpieczna - możliwość nawiązania romansu nie istniała. Ducane mógł zgodnie z prawdą oświadczyć Jessice, że nie ma kochanki i nie zamierza jej mieć. Kierując się jakimś ostrożnym instynktem, nigdy nawet nie wspomniał Jessice o Kate, ani Kate o Jessice. Wiedział, że Kate, patrząc teraz na niego z innej perspektywy, myśli, że w nikim nie jest zakochany, co było dla niego szalenie ważne. Ironia losu polegała na tym, że istotnie w nikim nie był zakochany, z tym, że teraz, gdy jego uczucia do Kate stały się gorętsze, musiał natychmiast przeciąć ostatnie więzy, łączące go z Jessiką.

Kate wniosła w jego życie coś nowego; była w tym jakaś rezygnacja, pogodzenie się z faktem, że już nie jest młody i coraz mniejsze ma szanse na małżeństwo. Potrzebował spokojnej przystani, domu, może nawet rodziny. Wiedział, że Kate doskonale go rozumie, choć nigdy mu tego nie powiedziała. Rozmawiali bez słów, wymieniając dość namiętne, a często nawet niezwykle namiętne pocałunki i uśmiechali się porozumiewawczo, kiedy tylko zdołali wykraść dla siebie chwilę samotności. Wiedział, że dla Kate była to tylko rozrywka; cieszyła ją świadomość, że tak go usidliła. Ducane'owi



ich znajomość niekiedy przynosiła dużo cierpienia, lecz potrafił zapanować nad tym bólem, a nawet uznać go za element swojego szczęścia. Hojność Kate, jej zadowolenie, a nawet miłość do męża, może zwłaszcza miłość do męża, mogły stworzyć mu namiastkę domu. Lubił i cenił Oktawiana, przepadał za dziećmi, zwłaszcza za Barbarą. Pragnął wreszcie być z kimś na stałe, kochać miłością uczciwą i był pewien, że mógłby związać się właśnie z Kate, a poprzez nią - z jej rodziną i całym domostwem. Lecz by to uczynić z czystym sumieniem, powinien najpierw zakończyć, i to całkowicie, cały ten pogmatwany i oparty na kompromisach romans z Jessiką, do którego nigdy nie powinien był dopuścić. Kate nigdy go o nic nie wypytywała. Gdyby jednak do tego doszło, musiałby zdobyć się na wyjawienie prawdy. Dlatego właśnie teraz, słuchając szlochania Jessiki, czuł się jak morderca.

Ducane wsiadł do samochodu i usiadł obok szofera. Czuł się wyczerpany, roztrzęsiony i zbrukany. Ustąpił, wziął Jessikę w ramiona i obiecał, że przyjdzie znowu w przyszłym tygodniu. Od początku to samo.

By dać upust swojemu żalowi, powiedział do kierowcy:

- Okropność... to znaczy - okropny dzień... wszystko nie tak...

Szofer Ducane'a, Szkot o nazwisku Gavin Fivey, rzucił swemu pracodawcy przelotne spojrzenie. Nic nie powiedział, lecz w geście jakim uchwycił kierownicę było coś z pełnego współczucia, mocnego uścisku dłoni.

Ojciec Ducane'a był radcą prawnym w Glasgow, lecz pieniądze Ducane miał dzięki swemu dziadkowi, który zrobił karierę jako gorzelnik. Jediną ekstrawagancją Ducane'a, poza Bentleyem, był służący. Zdawał sobie sprawę, że ta jego fanaberia jest przyczyną wielu plotek i dowcipów, lecz Ducane - niezbyt sprawny fizycznie, czego przyczyną była według niego leworęczność - nigdy nie nauczył się prowadzić samochodu i nie widział powodu, dla którego nie miałby sobie sprawić szofera. Poza domem usługiwało mu jeszcze parę innych osób; Fivey, pracujący u Ducane'a od niedawna, jako pierwszy eksperymentalnie zamieszkał na miejscu.

Fivey wywarł pozytywne wrażenie na Ducanie dzięki dwóm rzeczom: swojemu wyglądowi i więziennej przeszłości, którą, nie wdając się w szczegóły, dyskretnie ujawniło biuro pracy. Liczyło się

również to, że - podobnie jak Ducane - był Szkotem. Chodził nawet do tej samej podstawowej szkoły w Glasgow, w której wychował się Ducane. To odkrycie w połączeniu z odmiennością ich późniejszych losów wręcz zafascynowało Ducane'a. Miał nadzieję, że Fivey opowie mu o swoich kryminalnych przygodach, lecz jak dotąd dowiedział się bardzo niewiele o przeszłości swojego służącego, poza tym, że matka Fiveya, jak ten któregoś dnia nieoczekiwanie oznajmił, „była syreną”. „Wie pan, taką syreną w cyrku” - dodał. Ducane nie dopytywał się, czy była prawdziwą syreną, czy tylko taką udawała. Wolał nie wiedzieć.

Fivey miał niezwykle wygląd. Ogromna, kudłata głowa upodabniała go do jakiegoś przebierańca z balu karnawałowego albo, jak czasami wydawało się Ducane'owi, do zaczarowanego Spodka\*. Ducane nie mógł się zdecydować, czy ta cecha szpeci, czy też upiększa Fiveya. Jego gęste włosy i długie, sumiaste wąsy były rudawobrazowe, skóra miała brązowomorelowy odcień i usiana była nadzwyczaj wielkimi piegami, co sprawiało, że twarz Fiveya przypominała pysk jakiegoś zwierzęcia, najpewniej spaniela. Piwne, szeroko rozstawione oczy były lekko skośne i, gdyby Ducane nie wiedział, że Fivey jest Szkotem, wzięłby go za Słowianina. Fivey był jeszcze na tyle nowy, że Ducane, któremu nigdy nie przyszło na myśl, by z kimś rozmawiać o swoim służącym, chętnie snuł domysły na jego temat i traktował go jako coś w rodzaju hobby. W domu Fivey był niezwykle schludny, poza tym umiał ugotować dwie czy trzy potrawy. Był małomówny i najwyraźniej nietowarzyski: cały wolny czas spędzał w swym pokoju, czytając magazyny dla pań. Ducane'a irytowało, gdy Fivey jadł w samochodzie miętowe cukierki i gdy, sprząając, dosyć ponurym głosem śpiewał jakobińskie piosenki. Ducane podejrzewał, że być może Fivey nie zdaje sobie sprawy, iż śpiewa zbyt głośno. Do tej pory nie miał serca go upominać. Mógł przynajmniej sądzić, że służący jest w miarę zadowolony.

Rodzice Ducane'a nie żyli, a ze swoją jedyną bliską krewną - zamężną siostrą, mieszkającą w Oban - widywał się rzadko. Ducane studiował historię, potem prawo w Balliol, przeniósł się do All Souls i wkrótce potem został przyjęty w poczet prawników. Przez jakiś czas był adwokatem, lecz jako kiepski aktor nie zrobił kariery

\* **Postać ze *Snu nocy letniej Szekspira*.**

w sądownictwie. Raziły go żarty prawników w poważnych sprawach i nie brał udziału w walkach o władzę, które uważał za zgubne dla swojego charakteru. Podczas wojny został wcześniej skierowany do służby wywiadowczej i, ku swojemu żalowi, lata wojny spędził w Białym Domu. Przeszedł do służby cywilnej i był obecnie doradcą prawnym w departamencie rządowym, na którego czele stał Oktawian. Pozostał przy swych akademickich zainteresowaniach, odznaczył się jako ekspert w prawie rzymskim, które sporadycznie wykładał w London College. Był wiecznie zajęтым człowiekiem sukcesu i uważał się za osobę poważaną. Ludzie podziwiali go i dostrzegali w nim jakąś tajemniczość. Ducane patrzył na swoją karierę chłodnym okiem. Zachował, a nawet świadomie rozwijał, swoją świadomość i sumienie szkockiego purytanina. Nie miał żadnych religijnych przekonań. Pragnął tylko wieść czyste, proste życie i być dobrym człowiekiem, co uważał za realny, możliwy do spełnienia cel.

Gdy Bentley skrzył, Ducane, pogrążony w bolesnych rozmyśleniach o Jessice, poczuł - nie po raz pierwszy - niejasną chęć położenia dłoni na ramieniu Fiveya. Złapał się na tym, że już nawet położył rękę na oparciu fotela szofera. Kontakt, nagle tak żywy w jego wyobraźni, przyniósłby mu jakąś głęboką i uzdrawiającą ulgę. Uśmiechnął się do siebie ze smutkiem. Oto kolejny z paradoksów życia. Wycofał rękę z tej niebezpiecznej pozycji.

## Rozdział czwarty

- Cześć, Oktawian. Dostałem wiadomość, że chcesz się ze mną zobaczyć. - Ducane zajął do gabinetu Oktawiana. Była niedziela rano, nazajutrz po samobójstwie Radeechy'ego.

- Wejść, wejść. Jesteśmy w strasznych tarapatach.

W pokoju był już Richard Biranne i George Droysen - niegdyś dziennikarz, teraz - młody kierownik w departamencie.

Ducane wszedł i spojrzał pytająco na Oktawiana.

- Nie będziesz zadowolony - powiedział Oktawian. - Mam mu powiedzieć, Droysen, czy ty to zrobisz?

- Powiedz mu.

- Chodzi o tego przekłętą Radeechy'ego.

O śmierci Radeechy'ego Ducane dowiedział się poprzedniego dnia. Spotykał czasami Radeechy'ego w biurze, ale mało go znał.

- Słucham.

- Prasa jak zwykle robi zamieszanie. Mówiąc krótko: Droysen był wczoraj na Fleet Street; podobno dziennikarze dowiedzieli się czegoś o Radeechym.

- To znaczy - czego?

- Jeszcze nie wiemy, ale o co może chodzić w takich wypadkach? Kobiety i pieniądze.

- Szantaż?

- Na to wygląda. Zamieszana jest w to dziewczyna, znana jako Helena Trojańska. Chyba wszyscy domyślamy się jej profesji? I jest jeszcze jakaś „ogromna suma pieniędzy, która zmieniła właściciela”.

Tak to brzmiało, prawda, Droysen? „Ogromna suma pieniędzy, która zmieniła właściciela.”

- Kto był tym właścicielem? - spytał Ducane.

- Nie wiem.

- Ale jeszcze nie podali tego do gazet?

- Nie, nie, to bardzo świeża sprawa. Droysenowi udało się dowiedzieć, że jeden z największych brukowców zakupił prawa do publikacji, lam to dopiero ogromna suma pieniędzy zmieniła właściciela! No i teraz czekają, aż coś się jeszcze wydarzy, a jednocześnie wokół krążą najprzeróżniejsze plotki.

- Nie wiesz, kto im to powiedział?

- Nie, ale podobno to ktoś od nas, z biura. Co za świństwo!

- Radeechy nie miał chyba dostępu do tajnych akt, co?

- Oficjalnie - nie. Ale co to kogo obchodzi?

- Byli u ciebie z Urzędu Ochrony Państwa?

- Jeszcze nie. Oczywiście dzwoniłem do nich, bo oni zawsze o wszystkim koniecznie muszą wiedzieć, ale tylko coś odburknęli, natomiast był tu komendant żandarmerii.

- Wie o tych plotkach?

- Coś tam słyszał, powiedziałem mu resztę i nie był zbyt zadowolony.

- Nie ma powodów do zmartwienia - powiedział Ducane. - Nawet jeszcze nie znamy tej historii.

- Tak, ale wiesz równie dobrze jak ja, że politykom nie zależy na prawdziwej sprawiedliwości, tylko na pozorach. Komendant najwyraźniej już jest naciskany, każą mu przeprowadzić oficjalne dochodzenie.

- Na czym ma polegać?

- Tego jeszcze nie wiadomo, ale w tym właśnie momencie sprawa zaczyna dotyczyć ciebie.

- Mnie?

- Tak. Nawet nie wiesz, jak bardzo cenią cię nasi szefowie. Komendant chce, żebyś to ty przeprowadził dochodzenie.

- Jaką miałbym funkcję?

- Dzięki Bogu, że przyjmujesz to tak spokojnie! Myślałem, że się wściekniesz! Nie miałbyś żadnej funkcji, dochodzenie ma być przeprowadzone tylko w obrębie naszego departamentu.

- Rozumiem. Domyślałam się, że chodzi o szybkie działanie.
- Dokładnie. Komendant nie chce rozgłosu. Jeżeli szybko to załatwimy, ustalimy, co się stało i udowodnimy, że Urząd Ochrony Państwa nie ma tu nic do roboty, to może uda się uniknąć oficjalnego dochodzenia.
- To jedna z rzeczy, których nie da się tak łatwo udowodnić - powiedział Ducane. - Jeżeli Radeechy w coś się wplątał, a prasa będzie robiła jakieś aluzje, ludzie uwierzą we wszystko. Tak to jest. W każdym razie będę musiał spróbować. Zresztą i tak nie mam wyboru! Chyba nie ma takiej możliwości, że szantażysta dostał od tego biedaka Radeechy'ego tajne akta?
- Absolutnie nie - odparł Oktawian. - Chyba zgadzacie się ze mną?
- Nigdy nic nie wiadomo - powiedział Biranne. - Ale nie podejrzewałbym o to Radeechy'ego.
- Masz rację - przytaknął George Droysen. - Znałem Radeechy'ego dość dobrze.
- Spotkania w pracy to niezbyt wiele - powiedział Ducane. - W każdym razie wygląda na to, że rzeczywiście był szantażowany?
- Tak głoszą plotki.
- I zabił się. Dlaczego?
- I to w biurze - dodał Oktawian. - To dziwne i na pewno ma swoje znaczenie. Dlaczego nie mógł się po prostu zastrzelić w domu?
- Był strasznie przybity po śmierci żony - powiedział George Droysen. - Pamiętacie, zginęła w zeszłym roku. Zdaje się, że wypadła z okna. Radeechy był zupełnie zdruzgotany.
- No, to mógłby być motyw - powiedział Ducane. - Nie zostawił żadnego listu?
- Nie - odparł Oktawian. - To też trochę dziwne. Zawsze przy byle okazji robił jakieś notatki. Tym bardziej napisałby coś przed śmiercią!
- Jeśli odkryjemy, dlaczego to zrobił, uspokoimy tych z Urzędu Ochrony. Chyba będziemy musieli się coś niecoś o nim dowiedzieć. Biranne, dobrze go znałeś?
- Prawie wcale. Widywaliśmy się tylko w biurze, a i to nieczęsto. Nie, nie znałem go.

- Sam rzadko z nim rozmawiałem - powiedział Ducane, - ale prawdę mówiąc, zdziwiła mnie ta historia z Heleną Trojańską. Nigdy bym nie pomyślał, że Radeechy to takie ziółko.

- Każdy facet to niezłe ziółko - powiedział Biranne i zachichotał. Ducane zignorował tę uwagę.

- Wyglądał raczej na jakiegoś zwariowanego naukowca. Ostatnio rozmawiał ze mną o *poltergeistach*.

- Zadawał się z duchami - dodał George Droysen.

- W końcu spirytyzm, magia zawsze miały jakiś związek z seksem - powiedział Oktawian. - Każdy ma swoje dziwactwa seksualne. Może po prostu to jego dziwactwo.

Ducane nie był pewien, czy każdy ma swoje dziwactwa seksualne.

- Miał jakichś bliskich krewnych? - spytał.

- Chyba tylko siostrę, która od lat mieszka w Kanadzie.

- Muszę iść na policję - powiedział Ducane - i przejrzeć ich materiały, chociaż nie podejrzewam, by mieli zbyt wiele. Wiesz, Oktawianie, że mam dobre układy ze Scotland Yardem. Ty, Droysen, przejdź się może jeszcze raz na Fleet Street, zdobądź dla nas tę historię i dowiedz się, kto ją sprzedał prasie.

- Obejrzę stare kąty - powiedział Droysen. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Przygotuj dla mnie oficjalny nakaz, Oktawianie.

- Już gotowy.

- Dopisz tam jeszcze, że mam prawo nie ujawniać niczego, co nie będzie związane z celem dochodzenia.

- Uważasz, że tak można? - spytał Oktawian z wahaniem.

- Oczywiście. W końcu nie prowadzimy śledztwa w sprawie moralności tego biednego Radeechy'ego. A przy okazji - jak miał na imię?

- Joseph - odpowiedział Biranne.

- Wybierasz się do Dorset, Oktawianie? - spytał Ducane.

- Oczywiście! Co więcej - ty jedziesz ze mną. Nie ma sensu zaczynać, dopóki nasz dzielny Droysen nie wykona swego zadania.

- Zgoda. Zadzwoń do mnie, jak tylko się czegoś dowiesz. - Dał Droysenowi numer telefonu w Trescombe. - Cóż, to wszystko, przyjaciele.

Ducane wstał. Droysen również się podniósł. Biranne nadal siedział, patrząc z szacunkiem na Oktawiana.

Ducane pożałował swych złych manier. Tak się przyzwyczał do swojej dominacji w znajomości z Oktawianem, że na moment zapomniał, że jest w jego gabinecie i na jego, a nie swoim zebraniu. W tej chwili jednak wzięło w nim górę uczucie wrogości wobec Biranne'a. Kiedyś, wiele lat temu, podsłuchiwał w restauracji, jak Biranne głośno się zastanawiał, czy Ducane jest homoseksualistą. Próbując pozbyć się tego natrętnego wspomnienia, Ducane nagle przypomniał sobie ów szczególny, szydrczy śmiech Biranne'a.



## Rozdział piąty

- Jak starożytni Rzymianie gotowali jajka? - spytał swą matkę Edward Biranne.

- A wiesz, że nie mam pojęcia - odparła Paula.

- Jak jest po grecku „jajka w koszulkach”? - spytała Henrietta.

- Nie wiem. W literaturze są wzmianki na temat jajek, ale nie przypominam sobie żadnych informacji o sposobie ich gotowania.

- Może jedli je na surowo - powiedziała Henrietta.

- Raczej nie - odpowiedziała Paula. - A co mówi Homer?

Bliźniaki, od wczesnych lat dzieciństwa uczone przez swą matkę łaciny i greki, były już ekspertami w tej dziedzinie. Nie przypominały sobie jednak, co na ten temat mówi Homer.

- Trzeba sprawdzić w Lidellu i Scotcie - powiedziała Henrietta.

- Willy będzie wiedział - powiedział Edward.

- Czy możemy zrobić sobie dzisiaj kąpiel z wodorostami? - spytała Henrietta.

- Lepiej spytajcie Mary - odparła Paula.

- Na dole jest list do ciebie - powiedział Edward. - Mogę sobie wziąć znaczek?

- Ty świnió! - krzyknęła jego siostra. Bliźniaki, gotowe do współpracy w większości spraw, rywalizowały ze sobą w dziedzinie filatelistyki.

Paula się roześmiała. Właśnie miała wyjść z domu.

- Jaki to znaczek?

- Australijski.

Paula poczuła nagły chłód w sercu. Wciąż mechanicznie się uśmiechając i nie przerywając beztroskiej paplaniny z dziećmi, wyszła z pokoju i zeszła na dół. Oczywiście list mógł być od kogo innego. Jednak nie miała żadnych innych znajomych w Australii.

Listy zawsze leżały na dużym, okrągłym stole z różanego drzewa, który stał pośrodku hallu, zazwyczaj zavalony stertami gazet i książek aktualnie czytanych przez domowników i akcesoriami, służącymi bliźniakom w ich zabawach. Edward zbiegł pierwszy i złapał swoją książkę, którą przedtem położył na liście, tak, aby Henrietta nie zobaczyła znaczka. Paula z daleka rozpoznała charakterystyczne pismo Eryka.

- Mamusiu, mogę go sobie wziąć?

- A czy ja mogę sobie wziąć następny - krzyknęła Henrietta - i jeszcze następny, i jeszcze następny?

Paula drżącą ręką pośpiesznie rozdarła list, wyszarpnęła kartkę, włożyła ją do kieszeni i oddała kopertę synowi. Wyszła na dwór.

Ogromne, pęknięte sklepienie morza i nieba otoczyło Paulę jak mury zimnej piwnicy; zadrzała w słońcu jak gdyby padły na nią promienie jakiejś trzośliwej gwiazdy. Schyliła głowę i szybkim krokiem ruszyła poprzez trawnik, łąkę i weszła na ścieżkę, schodzącą wzdłuż głogowego żywopłotu wprost do morza. Widziała jak jej odziane w sandały stopy ślizgają się na fioletowych kamieniach opadającej stromo plaży, gdy tak mknęła, niemal spadając, w stronę wody. Usiadła na skalnym grzebieniu, wzniesając grzechoczącą lawinę kamyczków. Tuż pod sobą miała morze. Było dziś niezwykle spokojne, niemal nieruchome, dotykało brzegu cichym, mokrym pocałunkiem, a niekiedy bryzą lilipucich fal. Słońce świeciło wprost w zieloną wodę, oświetlając usiane kamieniami piaszczyste dno, na krótko odsłonięte przez odpływ i dalej - pstre pasmo fiołkoworóżowych wodorostów. Powierzchnia wody rzucała na piach cień - delikatny i pokryty bąbelkami jak skaza na szkle.

O tym, że kiedyś kochała się w Eryku Sears, Paula wiedziała z listów, które niedawno znalazła. Sama nie mogła sobie tego przypomnieć. Pamiętała jednak pewne wydarzenia i swoje zachowanie, które tłumaczyć mogło jedynie właśnie uczucie do Eryka. Samej miłości naprawdę nie pamiętała. Najwyraźniej została nie tylko zniszczona, lecz nawet usunięta z jej świadomości za sprawą tamtej okropnej sceny.

Eryk Sears był przyczyną rozvodu Pauli. Z pochopnym okrucieństwem bardzo zazdrosnego mężczyzny, Richard, którego liczne zdrady tolerowała z istic anielską cierpliwością, rozwiódł się z nią z powodu tego jednego błędu. Wszystkie okoliczności tej sprawy, nieprzytomna namiętność Pauli do Eryka, zostały wymazane z jej pamięci, lecz ów straszny czas, ból i wstyd, wciąż w niej żyły - nie oswojone i nie rozwiązane. Była szalona, była zła i nie uniknęła kary. Jej duma, wyniosłość, jej wysokie mniemanie o sobie zostały boleśnie zranione, a rana ta nadal nieustannie ją bolała i paliła. Wydawało jej się, że nikt o tym nie wie, choć niekiedy domyślała się, że Richard oczywiście musi wiedzieć.

Szwał romans z Erykiem - zresztą bardzo krótki - teraz uważała za coś tak niewypowiedziane podłego i niegodziwego, że nie mogła uwierzyć, choć bardzo się starała, iż była weń wplątana. Co prawda wobec innych okazywała wyrozumiałość, pobłażała nawet Richardowi, uważała jednak, że wierność w małżeństwie jest czymś szalenie ważnym. Zdrada pozbawiała godności i zazwyczaj wiązała się z kłamstwami, a przynajmniej z przemilczeniami i półprawdami. Pauli bardzo zależało na czymś, co można nazwać „moralnym postępowaniem”. Ktoś kiedyś o niej powiedział, zresztą nieco krzywdząco, że „nie potępia cudzych występków, pod warunkiem, że się o nich nie opowiada”. I rzeczywiście - Pauli prawie udało się przekonać męża, że bardziej nienawidzi jego kłamstw niż przygód. Kiedy wspominała swoje postępowanie, najbardziej bolało ją nie to, że poszła z Erykiem do łóżka, lecz to, że nie powiedziała Richardowi całej prawdy, że grała przed nim żalowaną komedię i uwikłała się w sytuację, której nie rozumiała i nad którą nie potrafiła zapanować. Teraz czuła niesłabnący żal i tylko dzięki nieustannym wysiłkom rozsądku udało jej się uniknąć całkowitego załamania.

Nie miała pojęcia, co by się stało, gdyby nie ta okropna scena z Richardem. Prawdopodobnie i tak by się z nią rozwiódł, był aż chory z zazdrości. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby nadal kochać Eryka - zbyt wiele przez niego straciła. Jednak tym, co naprawdę, i to wręcz momentalnie, zniszczyło jej miłość, była druzgocząca fizyczna porażka, jakiej Eryk doznał w starciu z Richardem. Była to niesprawiedliwość - głęboka, mroczna niesprawiedliwość sił, które rządzą nami w najbardziej ekstremalnych sytuacjach, i które, choć nie mają nic wspólnego z moralnością, niekiedy musimy uznawać za

równe bogom. Scena ta wciąż prześladowała Paulę we śnie i na jawie: krzyk Eryka, wykrzywiona twarz Richarda, krew, która zdawała się zalewać wszystko. Oczywiście wszyscy udawali, że to był wypadek.

Biedny Eryk. Znał mroczną decyzję boga i poddał się jej. Wstyd całkowicie go pokonał. Paula odwiedzała go w szpitalu, lecz szybko zrozumiała, że Eryk sobie tego nie życzy. Jakoś się uporali z pożegnaniem. Napisał, że jedzie do Australii, a potem stamtąd w pożegnalnym liście powiadomił ją, że na statku poznał dziewczynę, którą zamierza poślubić. To było prawie dwa lata temu. Paula chciała zerwać wszelki kontakt, chciała zapomnieć, że Eryk w ogóle istnieje.

Promienie słońca oslepiająco odbijały się od wody. Mrużąc oczy, powoli rozwinęła list.

*Najdroższa!*

*Mój list z pewnością Cię zdziwi - a może nie? Czuję, że o mnie myślisz. Kiedy ostatnio do Ciebie pisałem, miałem zamiar się ożenić. Wszystko skończyło się fiaskiem. Muszę Ci się przyznać, że od dawna jestem w rozpaczliwym stanie. Nie wiedziałem, że tak potworne cierpienie może trwać tak długo. Piszę, by Ci powiedzieć, że mój przyjazd tutaj był błędem, błędem było rozstanie z Tobą. Postanowiłem wrócić. Gdy dostaniesz ten list, będę już na statku.*

*Oczywiście nie wiem, co się u Ciebie do tej pory wydarzyło, lecz moja intuicja mówi mi, że nie wyszłaś ponownie za mąż. Paulo, jesteśmy sobie przeznaczeni. Podczas tych ostatnich strasznych miesięcy wreszcie to rozumiałem. Istnieją wieczne więzy, które powstają w urzędach stanu cywilnego, w kościołach, i istnieją wieczne więzy, które powstają w inny, bardziej przerażający sposób. Wiesz, co mam na myśli. Cierpiałem dla ciebie, dla ciebie byłem ranny. Pustkę w moim życiu tylko Ty możesz wypełnić, mój ból tylko Ty możesz ukoić. Myślałem, że jakoś „dam sobie radę” z tym, co się wydarzyło. Nie zdołałem. I wiem, że i Tobie się to nie udało. (A przy okazji - miałem o Tobie naprawdę niezwykle sny.) Uważam, że należymy do siebie. Musimy żyć z tym, co się stało, musimy się z tym pogodzić i przejść przez to razem. (Jak dziwny jest ludzki umysł. Odkąd przyjechałem do Australii miałem wiele powodów do smutku. Ludzie mnie zawiedli, oszukali i porzucili. Ale prawdziwy ból czuję dopiero na myśl o tym.) Jesteś mi to winna, Paulo, a wiem, że zawsze spłacasz swoje długi. Z pewnością nie jesteś zadowolona ze swojego zachowania wobec mnie wtedy, gdy (rozmyślnie używam tych słów) niemal zginąłem, gdyż byłem winny miłości do Ciebie. Trzeba uznać*

*przeszłość, pogodzić się z tym, co było. Możemy się nawzajem uzdrowić, możemy się uratować, Paulo - tylko my możemy to uczynić. Czekaj na mnie, módl się za mnie, przyjmij mnie, moja najukochańsza. Napiszę jeszcze ze statku.*

*Twój na wieki*

*Eryk*

Paula zmięta kartkę. Podarła ją na strzępki i rzuciła na nieruchomą, napiętą powierzchnię wody. Za sprawą tego listu przed jej oczami znowu stanął Eryk - ze wszystkimi szczegółami, które już zdążyła zapomnieć, jak demon, przesłaniający sobą jasne morze. Przypomniała jej się jego wymuszona ekstaza, bezwzględna przebiegłość, egoizm i to przemieszanie słabości i okrucieństwa, które niegdyś uważała za tak wzruszające. Oczywiście postąpiła podle, porzucając go w końcu tak nagle. Ale nie kochała go już i nie potrafiła mu pomóc. To nie ulegało wątpliwości. Czy jednak, zadała sobie pytanie, usiłując pozbierać myśli, teraz mogłaby mu pomóc, czy powinna spróbować? Być może miał rację, twierdząc, że wciąż są sobie coś winni. Aż zadrżała. Na myśl o ponownym spotkaniu się z Erykiem, poczuła dławienie w gardle, jakieś chore przerażenie. Eryk miał w sobie coś demonicznego. Paula nigdy nie bała się Richarda, choć był człowiekiem zdolnym do przemocy. Teraz zdała sobie sprawę, że zawsze bardzo bała się Eryka. I to właśnie była ta cecha miłości, o której tak całkowicie zapomniała.

## Rozdział szósty

„To był abisyński kot,  
Co narobił strasznych psot”

- zaśpiewał Edward, wyciągając Montrose'a z koszyka, do którego Mingo, onieśmielony zimnym spojrzeniem kota, ostrożnie i bez rezultatu usiłował się wdrapać. Montrose, obrażony, wyslizgnął się z rąk Edwarda, skoczył na kuchenkę i nastroszył się, przybierając swój „ptasi wygląd”.

- Czy możemy sobie zrobić kąpiel z wodorostami? - spytała Henrietta.

- A po co ci wodorosty w kąpeli? - zdziwiła się Mary.

- Są dobre na reumatyzm - wtrącił Edward.

- Przecież ty nie masz reumatyzmu, prawda?

- Właściwie to one są dla wujka Theo, ale pomyśleliśmy, że lepiej będzie jak wypróbujemy je na sobie - na wypadek, gdyby zawierały jakieś trujące substancje.

- Ostatnio, kiedy zrobiliście sobie kąpiel z wodorostami, wszystko spłynęło razem z wodą i przez dwa dni mieliśmy pozatykane rury - odezwała się Casie, która właśnie weszła, niosąc koszyk z sałata i pomidorami.

- Przyrzekamy, że tym razem nic się nie zatka!

- W takim razie zgoda - odpowiedziała Mary. - Słuchajcie, naprawdę chciałabym, żebyście wynieśli te kamienie do ogrodu.

Kate i Ducane, którzy właśnie przechodzili obok, uśmiechnęli się do siebie i poszli do hallu. Ducane zawołał w kierunku kuchni:

- Mary! Idziemy do Willy'ego!  
- Nie spóźnijcie się na herbatę. Dziś niedziela.  
- Jak tam moja mała nimfa? - zagadnął Ducane Barbarę, która minęła go w drzwiach.

- *J'aimerais mieux t'avoir dans mon lit que le tonnerre* - odparła z udawaną afekcją.

Ducane roześmiał się, a gdy wyciągnął rękę, by ją lekko pociągnąć za włosy, Barbara zwinnie uskoczyła w bok.

Zupełnie jak jej matka, Barbara miała okrągłą twarz i takie same dość krótkie, lekko kręcone, jasne włosy. Jednak w odróżnieniu od rozczochranych loków Kate, które falowały wokół jej twarzy jak jakaś nieco zwariowana aureola, włosy Barbary, o wiele staranniej ostrzyżone, okrywały jej głowę niczym misternie wykonany, filigranowy hełm. Cerę miała świeżą jak u dziecka, różową i błyszczącą tym rozkosznym połyskiem rumianego jabłuszka, który zazwyczaj znika w wieku dojrzewania. Miała na sobie krótką spódniczkę i chodziła boso. Jej roztańczone stopy i długie nogi były gładkie, lśniące i złotobrazowe.

- Może byś poszła poszukać Pierce'a? - zaproponowała Kate. - Widziałam go koło cementarza. Wyglądał na dosyć osamotnionego.

Barbara ze świętym oburzeniem pokręciła głową.

- Muszę poćwiczyć grę na flecie. Zamierzam zagrać Mozarta dla Willy'ego.

- A mnie nie zagrasz Mozarta? - spytał Ducane.

- Nie. Tylko Willy'emu - odparła i w podskokach pobiegła w głąb domu.

- Jak te dzieci rosną! - westchnął Ducane. - Jest już twojego wzrostu. I prawie tak samo ładna.

- Mój skarb! Zdaje się, że odkąd przyjechała nie bardzo może się dogadać z Pierce'm.

- Wiesz, jak to jest. Dojrzewają.

- Tak. Dzisiejsza młodzież szybko się rozwija. Ale myślałam, że skoro zawsze byli dla siebie jak rodzeństwo, to może się jakoś uodpornią.

- Przeciwno *temu* nie można się uodpornić. - W chwili, gdy wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że wcale nie podoba mu się myśl o Barbarze w jakikolwiek sposób związanej z *tym*. Wolałby, żeby nigdy nie dorosła.

- Ale wracając do tego nieszczęśnika - powiedziała Kate, nawiązując do poprzedniego tematu ich rozmowy, - dlaczego to zrobił?

Ducane nie powiedział Kate o dochodzeniu. Wiadomość o powierzonym mu zadaniu przyjął, co prawda, spokojnie, lecz daleko mu było do radości. Zanosilo się na niezłe zamieszanie. Szybkie dotarcie do prawdy nie będzie rzeczą łatwą, a udowodnienie, że Urząd Ochrony Państwa nie ma tu nic do roboty i, że nie trzeba przeprowadzać bardziej szczegółowego dochodzenia, może się okazać wręcz niemożliwe. Jednak to nie perspektywa porażki i kompromitacji najbardziej zniechęcała Ducane'a. Nie miał ochoty włączyć z butami w czyjeś osobiste sprawy. Poza tym, postać Radeechy'ego, o którym od przyjazdu do Dorset dość dużo myślał, wydawała mu się zagadkowa i jednocześnie złowieszcza. Był przekonany, że zainteresowanie Radeechy'ego spirytyzmem miało jakiś związek z jego samobójstwem. Czuł instynktownie, że gdy zacznie badać tę sprawę, doszuka się czegoś naprawdę paskudnego.

- Nie wiem, dlaczego to zrobił - odparł. - Niedawno stracił żonę. Może to był powód.

Przeციeli poziomy trawnik na tyłach domu, minęli dwie wysokie, pierzaste akacje, przedostali się przez niską palisadę utworzoną ze sznurków i patyków, służących dzieciom do zabawy i weszli na ścieżkę między dwoma bliźniaczymi żywopłotami z przełącznika, którą w zeszłym roku Barbara i Pierce w pocie czoła ułożyli z kamyków zebranych na plaży. Dłoni Ducane'a pieszczotliwym gestem przesuwała się po gęstych zwojach krzaków. W tej chwili jego umysł pracował na kilku różnych poziomach. Na jednym, być może najwyższym, zaprzątnięty był myślami o Willym, którego niebawem miał zobaczyć, i którego nie widział od dłuższego czasu, gdyż podczas ostatnich dwóch pobytów Ducane'a w Dorset, Willy telefonicznie oznajmił, że nie życzy sobie żadnych gości. Na drugim poziomie Ducane z niepokojem myślał o Radeechym i zastanawiał się, co George Droyesen odkryje na Fleet Street. A na jeszcze innym poziomie z przygnębieniem wspominał swoją słabość pod koniec spotkania z Jessiką i zastanawiał się, co do diabła ma z nią począć w przyszłym tygodniu.

Teraz jednak nie zaprzętał sobie nią głowy. Nigdy się nie spodziewał, że z kłopotów wybawi go jakiś cud, ale właśnie dzisiaj



jego przygnębienie było nieco mniejsze, złagodzone przez przyплыw niezrozumiałego optymizmu. Czuł, że w ten czy inny sposób wszystko się jakoś ułoży. Czuł tak być może dlatego, że jednocześnie przeżywał szczerą i intensywną radość, wywołaną obecnością Kate, bliskością jej ciała i pewnością, że pocałuje Kate, gdy dotrą do bukowego lasu.

Istniała w nim jeszcze, i to wcale nie na najniższym, choć z pewnością najmniej świadomym, poziomie, świadomość otoczenia, uczestniczenia, wnikania w naturę, w gęste krzewy przełącznika, w rosnące na końcu ogrodu serpie o kulistych koronach i ogromnych liściach, w różowe, nagrzane od słońca cegły w murze. Cegły te, pozbawione krawędzi i rogów, były tak stare i zniszczone, że wyglądały jak naturalne skupisko czerwonych kamieni lub morskich organizmów. „W Dorset wszystko jest okrągłe”, pomyślał Ducane. Malutkie pagórki są okrągłe, te cegły są okrągłe, cisy, które rosną w żywopłocie są okrągłe, krzewy przełącznika, serpie, korony akacji, kamienie na plaży, kępa małych bambusów - wszystko to jest okrągłe. „Wszystko w Dorset jest w sam raz” - myśl ta przyniosła mu natychmiastową radość i przepłynęła przez wszystkie poziomy jego umysłu ciepłym i kojącym strumieniem. Szedł tak, z Kate u boku, otoczony chmurą skłębionych myśli, których skomplikowaną chemię określa się mianem zdrowia psychicznego.

Szli teraz wąską ścieżką między dwoma wysokimi, spadzistymi nasypami, po których pięły się kwitnące pokrzywy i wierzbówka, wyrastające z wysokiego, żółtego mchu tak zakurzonego i wyschniętego na upalnym słońcu, że ledwo przypominał roślinę. W powietrzu unosiła się jakaś ciężka, zbutwiała woń, prawdopodobnie zapach mchu. Gdzieś nieopodal, wysoko na drzewie zakukała kukułka - czysto, spokojnie, głucho. Kate wzięła Ducane'a za rękę.

- Chyba nie powinnam wchodzić z tobą do Willy'ego - powiedziała. - Ostatnio jest dosyć przygnębiony. Lepiej będzie jak zobaczysz się z nim sam. Willy nie mógłby się chyba zabić, co?

Willy Kost co jakiś czas oznajmiał, iż jego życie jest ciężarem nie do udźwignięcia, i że wkrótce zamierza je zakończyć.

- Nie wiem - odparł Ducane.

Czuł, że zbyt mało zrobił dla Willy'ego. Większość osób, która go znała, miała takie wrażenie. Jednak niełatwo było mu pomóc. Ducane poznał Willy'ego na konferencji w Londynie, gdzie wygłosił dość

mętny wykład na temat pojęcia *specificatio* w prawie rzymskim. Willy był naukowcem żyjącym z renty przyznanej mu przez rząd niemiecki i pracującym nad wydaniem Propercjusza. To właśnie Ducane pomógł mu w przeprowadzce z kawalerki w Fulham do Trescombe Cottage. Od tamtej pory często zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Zapewnił swemu przyjacielowi opiekę całego domostwa, lecz Willy w każdej chwili mógł wybrać samotność.

- Myślę, że gdyby rzeczywiście planował samobójstwo, to nie pozwalałby dzieciom przychodzić, kiedy tylko chcą - powiedziała Kate. Dorosłych Willy często nie wpuszczał do domu, dla dzieci jego drzwi zawsze stały otworem.

- Tak, chyba masz rację. Ciekawe, czy rzeczywiście pracuje, kiedy nie chce się z nikim widzieć.

- Może tylko rozmyśla i wspomina. Jakie to smutne.

- Ja nigdy nie myślałem o samobójstwie. A ty, Kate?

- Dobry Boże, oczywiście, że nie! No, ale przecież zawsze miałam tak udane życie.

- Ludziom takim jak my, o normalnych, zdrowych umysłach, strasznie trudno sobie wyobrazić jak to jest, kiedy każda chwila istnienia przynosi cierpienie, kiedy życie jest piekłem.

- Tak, wiem. Te wszystkie okropności, o których nie może zapomnieć i które ciągle mu się śnią.

Willy Kost podczas wojny był w Dachau.

- Szkoda, że Theo nie stara się go częściej odwiedzać - powiedział Ducane.

- Theo! Na nim nie można polegać. On sam jest jednym kłębkim nerwów. To ty powinienesz częściej odwiedzać Willy'ego. Umiesz otwarcie rozmawiać z ludźmi i mówić im, co mają robić. Nie każdy tak potrafi.

- To brzmi okropnie! - roześmiał się.

- Poważnie. Jestem pewna, że Willy poczułby się lepiej, gdyby ktoś go po prostu zmusił, żeby opowiedział o obozie. Myślę, że jeszcze nigdy nikomu nie wspomniał o tym ani słowem.

- Wątpię. Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla niego trudne - odparł, choć kiedyś podobna myśl przyszła mu do głowy.

- Z przeszłością trzeba się pogodzić.

- Jeżeli ktoś doświadczył tak niewyobrażalnej niesprawiedliwości i cierpienia, to po prostu może okazać się niemożliwe.

- Nie można wybaczyć?
- Oczywiście. Nie można nawet o tym myśleć.

Ducane często na próżno usiłował sobie wyobrazić, jak musi się czuć Willy Kost.

- Kiedyś myślałam, że może jakoś się przełamie w obecności Mary. Ona naprawdę zna go najlepiej, to znaczy poza tobą, ale ona mówi, że w ogóle z nią nie rozmawiał o... *tym*.

Ducane powtarzał sobie w duchu: „Już prawie jesteśmy w lesie, już prawie jesteśmy w lesie”. Padały na nich cienie pierwszych drzew, z oddali dochodziło oszalałe, lubieżne kukanie kukułki.

- Usiądźmy tu na chwilę - powiedziała Kate.

Przed nimi leżał szary, gładki pień powalonego drzewa, obsypany po obu stronach suchymi, poskręcanyymi złotobrazowymi brzożowymi liśćmi. Brodząc w liściach, usiedli na nim i odwrócili się do siebie twarzami.

Kate położyła dłonie na ramionach Ducane'a i zaczęła uważnie mu się przyglądać. Ducane zająrzył głęboko w jej ciemnoniebieskie oczy o cętkowanych tęczęwkach. Oboje westchnęli. Potem Kate złożyła na jego wargach długi, leniwy pocałunek. Ducane zamknął oczy, odchylił głowę pod naporem jej ust i mocno ją do siebie przytulił, czując na policzku łaskotanie jej puszystych włosów. Przez chwilę siedzieli nieruchomo.

- Boże, jestem taka szczęśliwa - westchnęła Kate.

- Ja też. - Odsunął się od niej i uśmiechnął. Czuł się odprężony i wolny; pragnął jej, ale nie rozpaczliwie. Za jej plecami widział brązową, usłaną dywanem otchłań lasu; nad nimi słońce skrzyło się w powodzi na wpół przezroczystych liści.

- Teraz jeszcze bardziej niż zwykle wyglądasz jak Księżę Wellington. Uwielbiam to pasmo siwych włosów. John, wszystko jest w porządku, prawda?

- Tak - powiedział z powagą. - Tak. Dużo o tym myślałem i naprawdę uważam, że wszystko jest w porządku.

- Oktawian..., no wiesz jaki on jest. Ty wszystko rozumiesz.

- Oktawian to bardzo szczęśliwy człowiek.

- Tak, Oktawian jest bardzo szczęśliwym człowiekiem. A to szalenie ważne.

## Rozdział czwarty

- Cześć, Oktawian. Dostałem wiadomość, że chcesz się ze mną widzieć. - Ducane zajrzał do gabinetu Oktawiana. Była niedziela rano, nazajutrz po samobójstwie Radeechy'ego.

- Wejdz, wejdz. Jesteśmy w strasznych tarapatach.

W pokoju był już Richard Biranne i George Droysen - niegdyś dziennikarz, teraz - młody kierownik w departamencie.

Ducane wszedł i spojrzał pytająco na Oktawiana.

- Nie będziesz zadowolony - powiedział Oktawian. - Mam mu powiedzieć, Droysen, czy ty to zrobisz?

- Powiedz mu.

- Chodzi o tego przekłętego Radeechy'ego.

O śmierci Radeechy'ego Ducane dowiedział się poprzedniego dnia. Spotykał czasami Radeechy'ego w biurze, ale mało go znał.

- Słucham.

- Prasa jak zwykle robi zamieszanie. Mówiąc krótko: Droysen był wczoraj na Fleet Street; podobno dziennikarze dowiedzieli się czegoś o Radeechym.

- To znaczy - czego?

- Jeszcze nie wiemy, ale o co może chodzić w takich wypadkach? Kobiety i pieniądze.

- Szantaż?

- Na to wygląda. Zamieszana jest w to dziewczyna, znana jako Helena Trojańska. Chyba wszyscy domyślamy się jej profesji? I jest jeszcze jakaś „ogromna suma pieniędzy, która zmieniła właściciela”.

Tak to brzmiało, prawda, Droysen? „Ogromna suma pieniędzy, która zmieniła właściciela.”

- Kto był tym właścicielem? - spytał Ducane.

- Nie wiem.

- Ale jeszcze nie podali tego do gazet?

- Nie, nie, to bardzo świeża sprawa. Droysenowi udało się dowiedzieć, że jeden z największych brukowców zakupił prawa do publikacji. Tam to dopiero ogromna suma pieniędzy zmieniła właściciela! No i teraz czekają, aż coś się jeszcze wydarzy, a jednocześnie wokół krążą najprzeróżniejsze plotki.

- Nie wiesz, kto im to powiedział?

- Nie, ale podobno to ktoś od nas, z biura. Co za świństwo!

- Radeechy nie miał chyba dostępu do tajnych akt, co?

- Oficjalnie - nie. Ale co to kogo obchodzi?

- Byli u ciebie z Urzędu Ochrony Państwa?

- Jeszcze nie. Oczywiście dzwoniłem do nich, bo oni zawsze o wszystkim koniecznie muszą wiedzieć, ale tylko coś odburknęli, natomiast był tu komendant żandarmerii.

- Wie o tych plotkach?

- Coś tam słyszał, powiedziałem mu resztę i nie był zbyt zadowolony.

- Nie ma powodów do zmartwienia - powiedział Ducane. - Nawet jeszcze nie znamy tej historii.

- Tak, ale wiesz równie dobrze jak ja, że politykom nie zależy na prawdziwej sprawiedliwości, tylko na pozorach. Komendant najwyraźniej już jest naciskany, każą mu przeprowadzić oficjalne dochodzenie.

- Na czym ma polegać?

- Tego jeszcze nie wiadomo, ale w tym właśnie momencie sprawa zaczyna dotyczyć ciebie.

- Mnie?

- Tak. Nawet nie wiesz, jak bardzo cenią cię nasi szefowie. Komendant chce, żebyś to ty przeprowadził dochodzenie.

- Jaką miałbym funkcję?

- Dzięki Bogu, że przyjmujesz to tak spokojnie! Myślałem, że się wściekniesz! Nie miałbyś żadnej funkcji, dochodzenie ma być przeprowadzone tylko w obrębie naszego departamentu.

- Rozumiem. Domyślałam się, że chodzi o szybkie działanie.
- Dokładnie. Komendant nie chce rozgłosu. Jeżeli szybko to załatwimy, ustalimy, co się stało i udowodnimy, że Urząd Ochrony Państwa nie ma tu nic do roboty, to może uda się uniknąć oficjalnego dochodzenia.
- To jedna z rzeczy, których nie da się tak łatwo udowodnić - powiedział Ducane. - Jeżeli Radeechy w coś się wplątał, a prasa będzie robiła jakieś aluzje, ludzie uwierzą we wszystko. Tak to jest. W każdym razie będę musiał spróbować. Zresztą i tak nie mam wyboru! Chyba nie ma takiej możliwości, że szantażysta dostał od tego biedaka Radeechy'ego tajne akta?
- Absolutnie nie - odparł Oktawian. - Chyba zgadzacie się ze mną?
- Nigdy nic nie wiadomo - powiedział Biranne. - Ale nie podejrzewaliśmy o to Radeechy'ego.
- Masz rację - przytaknął George Droysen. - Znałem Radeechy'ego dość dobrze.
- Spotkania w pracy to niezbyt wiele - powiedział Ducane. - W każdym razie wygląda na to, że rzeczywiście był szantażowany?
- Tak głoszą plotki.
- I zabił się. Dlaczego?
- I to w biurze - dodał Oktawian. - To dziwne i na pewno ma swoje znaczenie. Dlaczego nie mógł się po prostu zastrzelić w domu?
- Był strasznie przybity po śmierci żony - powiedział George Droysen. - Pamiętacie, zginęła w zeszłym roku. Zdaje się, że wypadła z okna. Radeechy był zupełnie zdruzgotany.
- No, to mógłby być motyw - powiedział Ducane. - Nie zostawił żadnego listu?
- Nie - odparł Oktawian. - To też trochę dziwne. Zawsze przy byle okazji robił jakieś notatki. Tym bardziej napisałyby coś przed śmiercią!
- Jeśli odkryjemy, dlaczego to zrobił, uspokoimy tych z Urzędu Ochrony. Chyba będziemy musieli się coś niecoś o nim dowiedzieć. Biranne, dobrze go znałeś?
- Prawie wcale. Widywaliśmy się tylko w biurze, a i to nieczęsto. Nie, nie znałem go.

- Sam rzadko z nim rozmawiałem - powiedział Ducane, - ale prawdę mówiąc, zdziwiła mnie ta historia z Heleną Trojańską. Nigdy bym nie pomyślał, że Radeechy to takie ziółko.

- Każdy facet to niezłe ziółko - powiedział Biranne i zachichotał. Ducane zignorował tę uwagę.

- Wyglądał raczej na jakiegoś zwariowanego naukowca. Ostatnio rozmawiał ze mną o *poltergeistach*.

- Zadawał się z duchami - dodał George Droysen.

- W końcu spirytyzm, magia zawsze miały jakiś związek z seksem - powiedział Oktawian. - Każdy ma swoje dziwactwa seksualne. Może po prostu to jego dziwactwo.

Ducane nie był pewien, czy każdy ma swoje dziwactwa seksualne.

- Miał jakichś bliskich krewnych? - spytał.

- Chyba tylko siostrę, która od lat mieszka w Kanadzie.

- Muszę iść na policję - powiedział Ducane - i przejrzeć ich materiały, chociaż nie podejrzewam, by mieli zbyt wiele. Wiesz, Oktawianie, że mam dobre układy ze Scotland Yardem. Ty, Droysen, przejdź się może jeszcze raz na Fleet Street, zdobądź dla nas tę historię i dowiedz się, kto ją sprzedał prasie.

- Obejrzę stare kąty - powiedział Droysen. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Przygotuj dla mnie oficjalny nakaz, Oktawianie.

- Już gotowy.

- Dopisz tam jeszcze, że mam prawo nie ujawniać niczego, co nie będzie związane z celem dochodzenia.

- Uważasz, że tak można? - spytał Oktawian z wahaniem.

- Oczywiście. W końcu nie prowadzimy śledztwa w sprawie moralności tego biednego Radeechy'ego. A przy okazji - jak miał na imię?

- Joseph - odpowiedział Biranne.

- Wybierasz się do Dorset, Oktawianie? - spytał Ducane.

- Oczywiście! Co więcej - ty jedziesz ze mną. Nie ma sensu zaczynać, dopóki nasz dzielny Droysen nie wykona swego zadania.

- Zgoda. Zadzwoń do mnie, jak tylko się czegoś dowiesz. - Dał Droysenowi numer telefonu w Trescombe. - Cóż, to wszystko, przyjaciele.

Ducane wstał. Droysen również się podniósł. Biranne nadal siedział, patrząc z szacunkiem na Oktawiana.

Ducane pożałował swych złych manier. Tak się przyzwyczyił do swojej dominacji w znajomości z Oktawianem, że na moment zapomniał, że jest w jego gabinecie i na jego, a nie swoim zebraniu. W tej chwili jednak wzięło w nim górę uczucie wrogości wobec Biranne'a. Kiedyś, wiele lat temu, podsłuchiwał w restauracji, jak Biranne głośno się zastanawiał, czy Ducane jest homoseksualistą. Próbując pozbyć się tego natrętnego wspomnienia, Ducane nagle przypomniał sobie ów szczególny, szyderczy śmiech Biranne'a.



## Rozdział piąty

- Jak starożytni Rzymianie gotowali jajka? - spytał swą matkę Edward Biranne.

- A wiesz, że nie mam pojęcia - odparła Paula.

- Jak jest po grecku „jajka w koszulkach”? - spytała Henrietta.

- Nie wiem. W literaturze są wzmianki na temat jajek, ale nie przypominam sobie żadnych informacji o sposobie ich gotowania.

- Może jedli je na surowo - powiedziała Henrietta.

- Raczej nie - odpowiedziała Paula. - A co mówi Homer?

Bliźniaki, od wczesnych lat dzieciństwa uczone przez swą matkę łaciny i greki, były już ekspertami w tej dziedzinie. Nie przypominały sobie jednak, co na ten temat mówi Homer.

- Trzeba sprawdzić w Lidellu i Scotcie - powiedziała Henrietta.

- Willy będzie wiedział - powiedział Edward.

- Czy możemy zrobić sobie dzisiaj kąpiel z wodorostami? - spytała Henrietta.

- Lepiej spytajcie Mary - odparła Paula.

- Na dole jest list do ciebie - powiedział Edward. - Mogę sobie wziąć znaczek?

- Ty świnió! - krzyknęła jego siostra. Bliźniaki, gotowe do współpracy w większości spraw, rywalizowały ze sobą w dziedzinie filatelistyki.

Paula się roześmiała. Właśnie miała wyjść z domu.

- Jaki to znaczek?

- Australijski.

Paula poczuła nagły chłód w sercu. Wciąż mechanicznie się uśmiechając i nie przerywając beztroskiej paplaniny z dziećmi, wyszła z pokoju i zeszła na dół. Oczywiście list mógł być od kogo innego. Jednak nie miała żadnych innych znajomych w Australii.

Listy zawsze leżały na dużym, okrągłym stole z różanego drzewa, który stał pośrodku hallu, zazwyczaj zawalony stertami gazet i książek aktualnie czytanych przez domowników i akcesoriami, służącymi bliźniakom w ich zabawach. Edward zbiegł pierwszy i złapał swoją książkę, którą przedtem położył na liście, tak, aby Henrietta nie zobaczyła znaczka. Paula z daleka rozpoznała charakterystyczne pismo Eryka.

- Mamusiu, mogę go sobie wziąć?

- A czy ja mogę sobie wziąć następny - krzyknęła Henrietta - i jeszcze następny, i jeszcze następny?

Paula drżącą ręką pośpiesznie rozdarła list, wyszarpnęła kartkę, włożyła ją do kieszeni i oddała kopertę synowi. Wyszła na dwór.

Ogromne, pęknięte sklepienie morza i nieba otoczyło Paulę jak mury zimnej piwnicy; zadrżała w słońcu jak gdyby padły na nią promienie jakiejś złośliwej gwiazdy. Schyliła głowę i szybkim krokiem ruszyła poprzez trawnik, łąkę i weszła na ścieżkę, schodzącą wzdłuż głogowego żywopłotu wprost do morza. Widziała jak jej odziane w sandały stopy ślizgają się na fioletowych kamieniach opadającej stromo plaży, gdy tak mknęła, niemal spadając, w stronę wody. Usiadła na skalnym grzebieniu, wznecając grzechoczącą lawinę kamyczków. Tuż pod sobą miała morze. Było dziś niezwykle spokojne, niemal nieruchome, dotykało brzegu cichym, mokrym pocałunkiem, a niekiedy bryzą lilipucich fal. Słońce świeciło wprost w zieloną wodę, oświetlając usiane kamieniami piaszczyste dno, na krótko odsłonięte przez odpływ i dalej - pstre pasmo fiołkoworóżowych wodorostów. Powierzchnia wody rzucała na piach cień - delikatny i pokryty bąbelkami jak skaza na szkle.

O tym, że kiedyś kochała się w Eryku Sears, Paula wiedziała z listów, które niedawno znalazła. Sama nie mogła sobie tego przypominąć. Pamiętała jednak pewne wydarzenia i swoje zachowanie, które tłumaczyć mogło jedynie właśnie uczucie do Eryka. Samej miłości naprawdę nie pamiętała. Najwyraźniej została nie tylko zniszczona, lecz nawet usunięta z jej świadomości za sprawą tamtej okropnej sceny.

Eryk Sears był przyczyną rozwodu Pauli. Z pochopnym okrucieństwem bardzo zazdrosnego mężczyzny, Richard, którego liczne zdrady tolerowała z iście anielską cierpliwością, rozwiódł się z nią z powodu tego jednego błędu. Wszystkie okoliczności tej sprawy, nieprzytomna namiętność Pauli do Eryka, zostały wymazane z jej pamięci, lecz ów straszny czas, ból i wstyd, wciąż w niej żyły - nie oswojone i nie rozwiązane. Była szalona, była zła i nie uniknęła kary. Jej duma, wyniosłość, jej wysokie mniemanie o sobie zostały boleśnie zranione, a rana ta nadal nieustannie ją bolała i paliła. Wydawało jej się, że nikt o tym nie wie, choć niekiedy domyślała się, że Richard oczywiście musi wiedzieć.

Swoj romans z Erykiem - zresztą bardzo krótki - teraz uważała za coś tak niewypowiedzianie podłego i niegodziwego, że nie mogła uwierzyć, choć bardzo się starała, iż była weń wplątana. Co prawda wobec innych okazywała wyrozumiałość, pobłażała nawet Richardowi, uważała jednak, że wierność w małżeństwie jest czymś szalenie ważnym. Zdrada pozbawiała godności i zazwyczaj wiązała się z kłamstwami, a przynajmniej z przemilczeniami i półprawdami. Pauli bardzo zależało na czymś, co można nazwać „moralnym postępowaniem”. Ktoś kiedyś o niej powiedział, zresztą nieco krzywdząco, że „nie potępia cudzych występków, pod warunkiem, że się o nich nie opowiada”. I rzeczywiście - Pauli prawie udało się przekonać męża, że bardziej nienawidzi jego kłamstw niż przygód. Kiedy wspominała swoje postępowanie, najbardziej bolało ją nie to, że poszła z Erykiem do łóżka, lecz to, że nie powiedziała Richardowi całej prawdy, że grała przed nim żalostną komedię i uwikłała się w sytuację, której nie rozumiała i nad którą nie potrafiła zapanować. Teraz czuła niesłabnący żal i tylko dzięki nieustannym wysiłkom rozsądku udało jej się uniknąć całkowitego załamania.

Nie miała pojęcia, co by się stało, gdyby nie ta okropna scena z Richardem. Prawdopodobnie i tak by się z nią rozwiódł, był aż chory z zazdrości. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby nadal kochać Eryka - zbyt wiele przez niego straciła. Jednak tym, co naprawdę, i to wręcz momentalnie, zniszczyło jej miłość, była druzgocząca fizyczna porażka, jakiej Eryk doznał w starciu z Richardem. Była to niesprawiedliwość - głęboka, mroczna niesprawiedliwość sił, które rządzą nami w najbardziej ekstremalnych sytuacjach, i które, choć nie mają nic wspólnego z moralnością, niekiedy musimy uznawać za

równe bogom. Scena ta wciąż prześladowała Paulę we śnie i na jawie: krzyk Eryka, wykrzywiona twarz Richarda, krew, która zdawała się zalewać wszystko. Oczywiście wszyscy udawali, że to był wypadek.

Biedny Eryk. Znał mroczną decyzję boga i poddał się jej. Wstyd całkowicie go pokonał. Paula odwiedzała go w szpitalu, lecz szybko zrozumiała, że Eryk sobie tego nie życzy. Jakoś się uporali z pożegnaniem. Napisał, że jedzie do Australii, a potem stamtąd w pożegnalnym liście powiadomił ją, że na statku poznał dziewczynę, którą zamierza poślubić. To było prawie dwa lata temu. Paula chciała zerwać wszelki kontakt, chciała zapomnieć, że Eryk w ogóle istnieje.

Promienie słońca oślepiająco odbijały się od wody. Mrużąc oczy, powoli rozwinęła list.

*Najdroższa!*

*Mój list z pewnością Cię zdziwi - a może nie? Czuję, że o mnie myślisz. Kiedy ostatnio do Ciebie pisałem, miałem zamiar się ożenić. Wszystko skończyło się fiaskiem. Muszę Ci się przyznać, że od dawna jestem w rozpaczliwym stanie. Nie wiedziałem, że tak potworne cierpienie może trwać tak długo. Piszę, by Ci powiedzieć, że mój przyjazd tutaj był błędem, błędem było rozstanie z Tobą. Postanowiłem wrócić. Gdy dostaniesz ten list, będę już na statku.*

*Oczywiście nie wiem, co się u Ciebie do tej pory wydarzyło, lecz moja intuicja mówi mi, że nie wyszłaś ponownie za mąż. Paulo, jesteśmy sobie przeznaczeni. Podczas tych ostatnich strasznych miesięcy wreszcie to rozumiałem. Istnieją wieczne więzy, które powstają w urzędach stanu cywilnego, w kościołach, i istnieją wieczne więzy, które powstają w inny, bardziej przerażający sposób. Wiesz, co mam na myśli. Cierpiałem dla ciebie, dla ciebie byłem ranny. Pustkę w moim życiu tylko Ty możesz wypełnić, mój ból tylko Ty możesz ukoić. Myślałem, że jakoś „dam sobie radę” z tym, co się wydarzyło. Nie zdołałem. I wiem, że i Tobie się to nie udało. (A przy okazji - miałem o Tobie naprawdę niezwykle sny.) Uważam, że należymy do siebie. Musimy żyć z tym, co się stało, musimy się z tym pogodzić i przejść przez to razem. (Jak dziwny jest ludzki umysł. Odkąd przyjechałem do Australii miałem wiele powodów do smutku. Ludzie mnie zawiedli, oszukali i porzucili. Ale prawdziwy ból czuję dopiero na myśl o tym.) Jesteś mi to winna, Paulo, a wiem, że zawsze spłacasz swoje długi. Z pewnością nie jesteś zadowolona ze swojego zachowania wobec mnie wtedy, gdy (rozmyślnie używam tych słów) niemal zginąłem, gdyż byłem winny miłości do Ciebie. Trzeba uznać*

*przeszłość, pogodzić się z tym, co było. Możemy się nawzajem uzdrowić, możemy się uratować, Paulo - tylko my możemy to uczynić. Czekaj na mnie, módl się za mnie, przyjmij mnie, moja najukochańsza. Napiszę jeszcze ze statku.*

*Twój na wieki*

*Eryk*

Paula zmięta kartkę. Podarła ją na strzępki i rzuciła na nieruchomą, napiętą powierzchnię wody. Za sprawą tego listu przed jej oczami znowu stanął Eryk - ze wszystkimi szczegółami, które już zdążyła zapomnieć, jak demon, przesłaniający sobą jasne morze. Przypomniała jej się jego wymuszona ekstaza, bezwzględna przebiegłość, egoizm i to przemieszanie słabości i okrucieństwa, które niegdyś uważała za tak wzruszające. Oczywiście postąpiła podle, porzucając go w końcu tak nagle. Ale nie kochała go już i nie potrafiła mu pomóc. To nie ulegało wątpliwości. Czy jednak, zadała sobie pytanie, usiłując pozbierać myśli, teraz mogłaby mu pomóc, czy powinna spróbować? Być może miał rację, twierdząc, że wciąż są sobie coś winni. Aż zadrżała. Na myśl o ponownym spotkaniu się z Erykiem, poczuła dławienie w gardle, jakieś chore przerażenie. Eryk miał w sobie coś demonicznego. Paula nigdy nie bała się Richarda, choć był człowiekiem zdolnym do przemocy. Teraz zdała sobie sprawę, że zawsze bardzo bała się Eryka. I to właśnie była ta cecha miłości, o której tak całkowicie zapomniała.

## Rozdział szósty

„To był abisyński kot,  
Co narobił strasznych psot”

- zaśpiewał Edward, wyciągając Montrose'a z koszyka, do którego Mingo, onieśmielony zimnym spojrzeniem kota, ostrożnie i bez rezultatu usiłował się wdrapać. Montrose, obrażony, wyslizgnął się z rąk Edwarda, skoczył na kuchenkę i nastroszył się, przybierając swój „ptasi wygląd”.

- Czy możemy sobie zrobić kąpiel z wodorostami? - spytała Henrietta.

- A po co ci wodorosty w kąpeli? - zdziwiła się Mary.

- Są dobre na reumatyzm - wtrącił Edward.

- Przecież ty nie masz reumatyzmu, prawda?

- Właściwie to one są dla wujka Theo, ale pomyśleliśmy, że lepiej będzie jak wypróbujemy je na sobie - na wypadek, gdyby zawierały jakieś trujące substancje.

- Ostatnio, kiedy zrobiliście sobie kąpiel z wodorostami, wszystko spłynęło razem z wodą i przez dwa dni mieliśmy pozatykane rury - odezwała się Casie, która właśnie weszła, niosąc koszyk z sałata i pomidorami.

- Przyrzekamy, że tym razem nic się nie zatka!

- W takim razie zgoda - odpowiedziała Mary. - Słuchajcie, naprawdę chciałabym, żebyście wynieśli te kamienie do ogrodu.

Kate i Ducane, którzy właśnie przechodzili obok, uśmiechnęli się do siebie i poszli do hallu. Ducane zawołał w kierunku kuchni:

- Mary! Idziemy do Willy'ego!  
- Nie spóźnijcie się na herbatę. Dziś niedziela.  
- Jak tam moja mała nimfa? - zagadnął Ducane Barbarę, która minęła go w drzwiach.

- *J'aimerais mieux t'avoir dans mon lit que le tonnerre* - odparła z udawaną afekcją.

Ducane roześmiał się, a gdy wyciągnął rękę, by ją lekko pociągnąć za włosy, Barbara zwinnie uskoczyła w bok.

Zupełnie jak jej matka, Barbara miała okrągłą twarz i takie same dość krótkie, lekko kręcone, jasne włosy. Jednak w odróżnieniu od rozczochranych loków Kate, które falowały wokół jej twarzy jak jakaś nieco zwariowana aureola, włosy Barbary, o wiele staranniej ostrzyżone, okrywały jej głowę niczym misternie wykonany, filigranowy hełm. Cerę miała świeżą jak u dziecka, różową i błyszczącą tym rozkosznym połyskiem rumianego jabłuszka, który zazwyczaj znika w wieku dojrzewania. Miała na sobie krótką spódniczkę i chodziła boso. Jej roztańczone stopy i długie nogi były gładkie, lśniące i złotobrazowe.

- Może byś poszła poszukać Pierce'a? - zaproponowała Kate. - Widziałam go koło cmentarza. Wyglądał na dosyć osamotnionego.

Barbara ze świętym oburzeniem pokręciła głową.

- Muszę poćwiczyć grę na flecie. Zamierzam zagrać Mozarta dla Willy'ego.

- A mnie nie zagrasz Mozarta? - spytał Ducane.

- Nie. Tylko Willy'emu - odparła i w podskokach pobiegła w głąb domu.

- Jak te dzieci rosną! - westchnął Ducane. - Jest już twojego wzrostu. I prawie tak samo ładna.

- Mój skarb! Zdaje się, że odkad przyjechała nie bardzo może się dogadać z Pierce'm.

- Wiesz, jak to jest. Dojrzewają.

- Tak. Dzisiejsza młodzież szybko się rozwija. Ale myślałam, że skoro zawsze byli dla siebie jak rodzeństwo, to może się jakoś uodpornią.

- Przeciwno *temu* nie można się uodpornić. - W chwili, gdy wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że wcale nie podoba mu się myśl o Barbarze w jakikolwiek sposób związanej z *tym*. Wolałby, żeby nigdy nie dorosła.

- Ale wracając do tego nieszczęśnika - powiedziała Kate, nawiązując do poprzedniego tematu ich rozmowy, - dlaczego to zrobić?

Ducane nie powiedział Kate o dochodzeniu. Wiadomość o powierzonym mu zadaniu przyjął, co prawda, spokojnie, lecz daleko mu było do radości. Zanosiło się na niezłe zamieszanie. Szybkie dotarcie do prawdy nie będzie rzeczą łatwą, a udowodnienie, że Urząd Ochrony Państwa nie ma tu nic do roboty i, że nie trzeba przeprowadzać bardziej szczegółowego dochodzenia, może się okazać wręcz niemożliwe. Jednak to nie perspektywa porażki i kompromitacji najbardziej zniechęcała Ducane'a. Nie miał ochoty włączyć z butami w czyjeś osobiste sprawy. Poza tym, postać Radeechy'ego, o którym od przyjazdu do Dorset dość dużo myślał, wydawała mu się zagadkowa i jednocześnie złowieszcza. Był przekonany, że zainteresowanie Radeechy'ego spirytyzmem miało jakiś związek z jego samobójstwem. Czuł instynktownie, że gdy zacznie badać tę sprawę, doszuka się czegoś naprawdę paskudnego.

- Nie wiem, dlaczego to zrobić - odparł. - Niedawno stracił żonę. Może to być powód.

Przecięli poziomy trawnik na tyłach domu, minęli dwie wysokie, pierzaste akacje, przedostali się przez niską palisadę utworzoną ze sznurków i patyków, służących dzieciom do zabawy i weszli na ścieżkę między dwoma bliźniaczymi żywopłotami z przełącznika, którą w zeszłym roku Barbara i Pierce w pocie czoła ułożyli z kamyków zebranych na plaży. Dłoń Ducane'a pieszczotliwym gestem przesuwiała się po gęstych zwojach krzaków. W tej chwili jego umysł pracował na kilku różnych poziomach. Na jednym, być może najwyższym, zaprzątnięty był myślami o Willym, którego niebawem miał zobaczyć, i którego nie widział od dłuższego czasu, gdyż podczas ostatnich dwóch pobytów Ducane'a w Dorset, Willy telefonicznie oznajmił, że nie życzy sobie żadnych gości. Na drugim poziomie Ducane z niepokojem myślał o Radeechym i zastanawiał się, co George Droyesen odkryje na Fleet Street. A na jeszcze innym poziomie z przygnębieniem wspominał swoją słabość pod koniec spotkania z Jessiką i zastanawiał się, co do diabła ma z nią począć w przyszłym tygodniu.

Teraz jednak nie zaprzątał sobie nią głowy. Nigdy się nie spodziewał, że z kłopotów wybawi go jakiś cud, ale właśnie dzisiaj



jego przygnębienie było nieco mniejsze, złagodzone przez przyływ niezrozumiałego optymizmu. Czuł, że w ten czy inny sposób wszystko się jakoś ułoży. Czuł tak być może dlatego, że jednocześnie przeżywał szczerą i intensywną radość, wywołaną obecnością Kate, bliskością jej ciała i pewnością, że pocałuje Kate, gdy dotrą do bukowego lasu.

Istniała w nim jeszcze, i to wcale nie na najniższym, choć z pewnością najmniej świadomym, poziomie, świadomość otoczenia, uczestniczenia, wnikania w naturę, w gęste krzewy przetacznika, w rosnące na końcu ogrodu serpie o kulistych koronach i ogromnych liściach, w różowe, nagrzane od słońca cegły w murze. Cegły te, pozbawione krawędzi i rogów, były tak stare i zniszczone, że wyglądały jak naturalne skupisko czerwonych kamieni lub morskich organizmów. „W Dorset wszystko jest okrągłe”, pomyślał Ducane. Malutkie pagórki są okrągłe, te cegły są okrągłe, cisy, które rosną w żywopłocie są okrągłe, krzewy przetacznika, serpie, korony akacji, kamienie na plaży, kępa małych bambusów - wszystko to jest okrągłe. „Wszystko w Dorset jest w sam raz” - myśl ta przyniosła mu natychmiastową radość i przepłynęła przez wszystkie poziomy jego umysłu ciepłym i kojącym strumieniem. Szedł tak, z Kate u boku, otoczony chmurą skłębionych myśli, których skomplikowaną chemię określa się mianem zdrowia psychicznego.

Szli teraz wąską ścieżką między dwoma wysokimi, spadzistymi nasypami, po których pięły się kwitnące pokrzywy i wierzbowka, wyrastające z wysokiego, żółtego mchu tak zakurzonego i wyschniętego na upalnym słońcu, że ledwo przypominał roślinę. W powietrzu unosiła się jakaś ciężka, zbutwiała woń, prawdopodobnie zapach mchu. Gdzieś nieopodal, wysoko na drzewie zakukała kukułka - czysto, spokojnie, głucho. Kate wzięła Ducane'a za rękę.

- Chyba nie powinnam wchodzić z tobą do Willy'ego - powiedziała. - Ostatnio jest dosyć przygnębiony. Lepiej będzie jak zobaczysz się z nim sam. Willy nie mógłby się chyba zabić, co?

Willy Kost co jakiś czas oznajmiał, iż jego życie jest ciężarem nie do udźwignięcia, i że wkrótce zamierza je zakończyć.

- Nie wiem - odparł Ducane.

Czuł, że zbyt mało zrobił dla Willy'ego. Większość osób, która go znała, miała takie wrażenie. Jednak niełatwo było mu pomóc. Ducane poznał Willy'ego na konferencji w Londynie, gdzie wygłosił dość

mętny wykład na temat pojęcia *specificatio* w prawie rzymskim. Willy był naukowcem żyjącym z renty przyznanej mu przez rząd niemiecki i pracującym nad wydaniem Properejusza. To właśnie Ducane pomógł mu w przeprowadzce z kawalerki w Fulham do Trescombe Cottage. Od tamtej pory często zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Zapewnił swemu przyjacielowi opiekę całego domostwa, lecz Willy w każdej chwili mógł wybrać samotność.

- Myślę, że gdyby rzeczywiście planował samobójstwo, to nie pozwalałby dzieciom przychodzić, kiedy tylko chcą - powiedziała Kate. Dorosłych Willy często nie wpuszczał do domu, dla dzieci jego drzwi zawsze stały otworem.

- Tak, chyba masz rację. Ciekawe, czy rzeczywiście pracuje, kiedy nie chce się z nikim widzieć.

- Może tylko rozmyśla i wspomina. Jakie to smutne.

- Ja nigdy nie myślałem o samobójstwie. A ty, Kate?

- Dobry Boże, oczywiście, że nie! No, ale przecież zawsze miałam tak udane życie.

- Ludziom takim jak my, o normalnych, zdrowych umysłach, strasznie trudno sobie wyobrazić jak to jest, kiedy każda chwila istnienia przynosi cierpienie, kiedy życie jest piekłem.

- Tak, wiem. Te wszystkie okropności, o których nie może zapomnieć i które ciągle mu się śnią.

Willy Kost podczas wojny był w Dachau.

- Szkoda, że Theo nie stara się go częściej odwiedzać - powiedział Ducane.

- Theo! Na nim nie można polegać. On sam jest jednym kłębkim nerwów. To ty powinieneś częściej odwiedzać Willy'ego. Umiesz otwarcie rozmawiać z ludźmi i mówić im, co mają robić. Nie każdy tak potrafi.

- To brzmi okropnie! - roześmiał się.

- Poważnie. Jestem pewna, że Willy poczułby się lepiej, gdyby ktoś go po prostu zmusił, żeby opowiedział o obozie. Myślę, że jeszcze nigdy nikomu nie wspomniał o tym ani słowem.

- Wątpię. Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla niego trudne - odparł, choć kiedyś podobna myśl przyszła mu do głowy.

- Z przeszłością trzeba się pogodzić.

- Jeżeli ktoś doświadczył tak niewyobrażalnej niesprawiedliwości i cierpienia, to po prostu może okazać się niemożliwe.

- Nie można wybaczyć?
- Oczywiście. Nie można nawet o tym myśleć.

Ducane często na próżno usiłował sobie wyobrazić, jak musi się czuć Willy Kost.

- Kiedyś myślałam, że może jakoś się przełamie w obecności Mary. Ona naprawdę zna go najlepiej, to znaczy poza tobą, ale ona mówi, że w ogóle z nią nie rozmawiał o... *tym*.

Ducane powtarzał sobie w duchu: „Już prawie jesteśmy w lesie, już prawie jesteśmy w lesie”. Padały na nich cienie pierwszych drzew, z oddali dochodziło oszalałe, lubieżne kukanie kukułki.

- Usiądźmy tu na chwilę - powiedziała Kate.

Przed nimi leżał szary, gładki pień powalonego drzewa, obsypany po obu stronach suchymi, poskręcanyymi złotobrazowymi brzoźowymi liśćmi. Brodząc w liściach, usiedli na nim i odwrócili się do siebie twarzami.

Kate położyła dłonie na ramionach Ducane'a i zaczęła uważnie mu się przyglądać. Ducane zajął się głęboko w jej ciemnoniebieskie oczy o cętkowanych tęczęwkach. Oboje westchnęli. Potem Kate złożyła na jego wargach długi, leniwy pocałunek. Ducane zamknął oczy, odchylił głowę pod naporem jej ust i mocno ją do siebie przyculił, czując na policzku łaskotanie jej puszystych włosów. Przez chwilę siedzieli nieruchomo.

- Boże, jestem taka szczęśliwa - westchnęła Kate.

- Ja też. - Odsunął się od niej i uśmiechnął. Czuł się odprężony i wolny; pragnął jej, ale nie rozpaczliwie. Za jej plecami widział brzoźową, usłaną dywanem otchłań lasu; nad nimi słońce skrzyło się w powodzi na wpół przezroczystych liści.

- Teraz jeszcze bardziej niż zwykle wyglądasz jak Księżę Wellington. Uwielbiam to pasmo siwych włosów. John, wszystko jest w porządku, prawda?

- Tak - powiedział z powagą. - Tak. Dużo o tym myślałem i naprawdę uważam, że wszystko jest w porządku.

- Oktawian..., no wiesz jaki on jest. Ty wszystko rozumiesz.

- Oktawian to bardzo szczęśliwy człowiek.

- Tak, Oktawian jest bardzo szczęśliwym człowiekiem. A to szalenie ważne.

- Wiem. Kate, kochanie, jestem strasznie samotny. A ty jesteś dla mnie taka dobra. Postępujemy bardzo rozważnie. Wszystko jest w porządku.

- Wiem, chciałam tylko, żebyś ty to powiedział. Tak się cieszę. Jesteś pewien, że to nie będzie dla ciebie jakoś bolesne, smutne, no wiesz...?

- Oczywiście będę trochę cierpiał, ale dam sobie radę. Ale będzie też tyle radości.

- Tak. Nie można być ciągle zadowolonym i bezpiecznym. Możemy sobie tak dużo ofiarować. Miłość jest bardzo ważna, prawda? Tak naprawdę tylko ona się liczy.

- Proszę - powiedział Willy Kost.

Ducane wszedł do domku.

Willy siedział przy kominku wyciągnięty na niskim krześle, piętami grzebiąc w wysypującym się szarym popiele z drewna. Gramofon, stojący za nim, grał na zwolnionych obrotach. Ducane'owi wydawało się, że gramofon Willy'ego zawsze gra na zwolnionych obrotach. Hałas momentalnie zirytował Ducane'a, który był niemuzykalny do tego stopnia, że wręcz nie mógł znieść nawet najśłodszej melodii. Gdy zbliżał się do domku był ożywiony i podekscytowany. Spokój wywołany rozmową z Kate, doskonałe zrozumienie, które osiągnęli tak szybko, sprawiły, że teraz mógł z zadziwiającą łatwością skupić się na problemie Willy'ego. Muzykę odebrał jako coś obcego.

Willy, wiedząc o nastawieniu Ducane'a do muzyki, wstał, podniósł ramię gramofonu z płyty i wyłączył aparaturę.

- Przepraszam, Willy.

- Nie szkodzi - powiedział Willy. - Usiądź. Napijesz się czegoś? Herbaty?

Pokuśtykał do swojej małej kuchenki i wkrótce Ducane usłyszał syczenie, a potem perkotanie kuchenki olejnej. Główny pokój domku był pełen książek; niektóre stały na półkach, inne wciąż jeszcze leżały nierozpakowane w skrzyniach. Kate, która nie wyobrażała sobie życia bez ogromnej przestrzeni wypełnionej widocznymi przedmiotami, nieustannie narzekała, że Willy jeszcze się nie rozpakował. Musiała mu wybaczyć, kiedy się wzdrygnął na jej propozycję pomocy.

Duży stół usłany był tekstami i notatnikami. Ducane położył dłoń na otwartej stronie, udając, że czyta. Jak zwykle w obecności Willy'ego czuł lekkie skrępowanie.

- Jak ci idzie, Willy?
- Co masz na myśli?
- No, życie, praca.

Willy wrócił do pokoju i, oparty o krzesło, obserwował swego gościa z pełnym rozbawienia dystansem. Był niskim mężczyzną o delikatnych rysach twarzy i cienkich, wykrzywionych wargach, które zawsze sprawiały wrażenie nieco wilgotnych i drżących. Miał gęste, dość długie, siwe włosy, jednolicie brązową, nieco błyszczącą twarz i ironicznie zwężone, piwne oczy. Aksamitna, brązowa myszka na policzku nadawała mu dziwnie kokieteryjny wygląd.

- *Dzień do dnia przemawia, noc nocy objawia mądrość.*

Ducane uśmiechnął się zachęcająco.

- Doskonałe!
- Doprawdy? Przepraszam na chwilę, pójdę zrobić herbatę.

Wrócił z tacą. Ducane wziął filiżankę i zaczął rozglądać się po pokoju. Willy z wielką szklanką mleka usiadł na swoim krześle.

- Zazdroszczę ci tego - powiedział Ducane, wskazując na stół.
- Nieprawda.

Willy miał rację. Zawsze, kiedy spotykali się po dłuższej przerwie, Ducane na początku nieco udawał, usiłował schlebiać Willy'emu. Również teraz zachowywał się protekcyjnie i obaj o tym wiedzieli. Dystans, jaki stwarzał między nimi ten spontaniczny, odruchowy protekcyjnalizm i schlebianie, Willy mógł z łatwością przełamać, jeżeli tylko miał siłę, by okazać swą bezpośredniość. Czasami ją miał, czasami nie i wtedy jedynie biernie obserwował wysiłki przyjaciela. Ducane'owi wreszcie udawało się bez żadnej pomocy pokonać tę automatyczną sztuczność w swym zachowaniu, lecz zawsze wymagało to nieco czasu i sporej dawki powagi i dobrej woli. Willy nigdy nie był łatwy w obcowaniu.

- A jednak czegoś ci zazdroszczę - powiedział Ducane. - Może po prostu chciałbym być poetą.

- Wątpię - odparł Willy. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Wyglądało na to, że ma jeden ze swych biernych dni.

- Nie ma niczego lepszego niż obcowanie na co dzień z poezją. Moje zajęcie jest o wiele bardziej prozaiczne. - Otworzył książkę na chybił trafił i przeczytał dwuwiersz.

*Ouare, dum licet, inter nos laetemur amantes:  
non satis est ullo tempore longus amor.*

Słowa Propercjusza, zwłaszcza ostatnie *amor*, o ileż silniejsze od śpiewnego włoskiego *amore* wywołały w jego umyśle obraz Kate. Ujrzał jej miękkie ramiona, które tak często podziwiał. Nigdy nie pieścił jej nagich ramion. *Amor*.

- Bzdury! - powiedział Willy. - Zupełnie jakby bredził we śnie. Cóż, większość ludzi mówi przez sen, nawet poeci, nawet najwięksi poeci. - Po chwili dodał. - Jedyna *amor*, o której cokolwiek wiem to *amor fati*.

- Czyli przejaw najprawdziwszego zła.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Że to źle kochać przeznaczenie? Tak. To, co się wydarza przeważnie nie powinno się wydarzyć. Dlaczego mamy to kochać?

- Oczywiście nie można mówić o celowości przeznaczenia, gdyż jest ono mechaniczne.

- Ależ skąd! - zaprotestował Ducane. - Nie jesteśmy mechanizmami!

- Postępowanie człowieka jest bardziej mechaniczne niż postępowanie jakiegokolwiek innej istoty. Dlatego możemy uzyskać przebaczenie.

- Kto powiedział, że trzeba nam wybaczać? W każdym razie to nie tłumaczy miłości do przeznaczenia.

- Oczywiście jest to niezwykle trudne, być może wręcz niemożliwe. Czy można wymagać czegoś, co jest niemożliwe? Wydaje mi się, że tak.

- Rozumiem, że można poddać się losowi, ale żeby go kochać chyba trzeba być pijanym.

- A nie powinno się być pijanym?

- Oczywiście, że nie.

- A jeżeli to jedyny sposób na przetrwanie?

- Przestań, Willy!

Takie rozmowy z Willym niekiedy go przerażały. Nigdy nie był pewien, czy mówi on poważnie, czy też może ma na myśli

zupełnie co innego. Ducane czuł się wykorzystywany, tak jakby Willy używał go jako trwałej, neutralnej powierzchni, na której rozgniatał, jak owady, myśli, które go nękały. Bał się, że wbrew własnej woli przytaknie Willy'emu, wyrządzając mu tym samym krzywdę. Czuł się jednocześnie bezsilny i odpowiedzialny.

- Przetrwąć można w inny sposób - powiedział.

- Nawet bez Boga?

- Tak.

- Nie rozumiem, jak.

Ducane nie pierwszy już raz poczuł, że między nimi istnieje straszliwa przepaść oddzielająca zdrowych od psychicznie okaleczonych.

- Ale pracujesz, prawda? - spytał. Wiedział, że znowu wpada w swój protekcyjny ton, bał się jednak tych dziwnych obsesji Willy'ego, bał się, że w takich chwilach może nieświadomie jeszcze bardziej w nim umocnić jakąś desperacką decyzję.

- Nie.

- No, wiesz! - Ducane wiedział, że Willy z niecierpliwością oczekiwał tej wizyty. Wiedział też, że niewymownie go ona przynębiała. To się już zdarzało. Prawdę mówiąc zdarzało się to często, choć wszyscy, włączając w to obu zainteresowanych, ochoczo udawali, że Ducane nad wyraz dobrze wpływa na Willy'ego.

Ducane pomyślał: „Gdybym nie był takim zahamowanym purytaninem, objąłbym go teraz albo wziął za rękę”.

- Co jest? - Willy wypowiedział te słowa pieszczotliwie, dobitnie zaznaczając swój obcy akcent. Pytanie to stało się już rytuałem.

Ducane roześmiał się. Między nimi znowu przepłynął jakiś prąd, który jednak odbił się od Willy'ego, pozostawiając go jeszcze bardziej samotnym i nieodgadnionym niż kiedykolwiek.

- Po prostu martwię się o ciebie.

- Daj spokój. Opowiedz mi, co u ciebie. Opowiedz mi o życiu i o tym słynnym miejscu, zwanym „biurem”. Czy wiesz, że jeszcze nigdy tam nie byłem, a przecież tyle osób spędza w nim większość swojego życia? Opowiedz mi o biurze.

Upiór Radeechy'ego znowu stanął przed Ducane'm, a wraz z nim wróciło zaintrygowanie i przemieszana ze strachem ciekawość, którą czuł wcześniej. Wiedział, że nie może opowiedzieć Willy'emu

o Radeechym. Samobójstwo to choroba zakaźna i między innymi dlatego jest tak niebezpieczne. Czuł również, że w tej sprawie tkwi zarodek szaleństwa, może nawet zła, na które nie powinien narażać duszy Willy'ego, której wrażliwości Ducane nawet nie potrafił ocenić, czy choćby sobie wyobrazić.

- W biurze jest strasznie nudno. Masz szczęście, że tam nie pracujesz. - Powiedział sobie w duchu: „Muszę wszystkim powiedzieć, żeby nie wspominali Willy'emu o Radeechym. Gdyby Willy kiedykolwiek popełnił samobójstwo, nigdy bym sobie nie wybaczył, wiedziałbym, że to moja wina”. Cóż jednak mógł zrobić? Gdyby tylko udało mu się namówić Willy'ego do rozmowy o przeszłości!

- Jak ostatnio sypiasz? - spytał gwałtownie.

- Doskonale, dopóki kukułka mnie nie obudzi o wpół do piątej!

- Nie masz koszmarów?

Spojrzeni na siebie. Ducane wciąż stał z filizanką w ręku, Willy siedział wyciągnięty na krześle. Willy uśmiechnął się przebiegle i zaczął cicho pogwizdywać.

Rozległo się głośne pukanie, drzwi otworzyły się i do środka wpadły bliźniaki, mówiąc jedno przez drugie.

- Coś ci przynieśliśmy! - krzyknął Edward.

- Nigdy nie zgadniesz, co! - krzyknęła Henrietta.

Podeszły do Willy'ego i położyły mu na kolanach jakiś lekki, miękki przedmiot o opływowych kształtach. Willy wyprostował się i pochylił nad nim, wydając pełne zaciekawienia okrzyki.

- Co to może być? Jak myślisz, John?

Ducane przybliżył się i spojrzał na nieco wydłużoną, zielonkawą kulę długości paru centymetrów, którą Willy zaintrygowany obracał w palcach.

- To chyba ptasie gniazdo - powiedział. Czuł, że psuje im zabawę, że jest *de trop*, intruzem w gronie bliskich przyjaciół, nie umiejącym dopasować się do ich rytmu.

- To gniazdo sikorki! - wykrzyknął Edward.

- Już wychowała swoje pisklęta - dodała Henrietta. - Obserwowaliśmy, jak buduje swoje gniazdo, przez cały czas ją obserwowaliśmy, dopóki nie odfrunęła. Prawda, że to prześliczne gniazdko? Na zewnątrz jest zrobione z mchu i porostów, widzisz? Zobacz, jak ładnie uplecione! A w środku jest wysłane piórkami.



- Ktoś obliczył, że w ognie sikorki jest ponad dwa tysiące piór!  
- zakrzyknął Edward.

- Jest bardzo piękne - przyznał Willy. - Dziękuję wam, bliźniaki!

- Spojrzał na Ducane'a znad gniazda, które trzymał delikatnie w dłoniach. - Do widzenia, John. Dziękuję, że przyszedłeś.

- Jakaś wstrętna wrona chciała je przegonić - opowiadała Henrietta, - ale były takie dzielne...

Willy i Ducane uśmiechnęli się do siebie. Uśmiech Ducane'a był ironiczny i zgaszony, Willy'ego - przepraszający i przepojony smutkiem, którego Ducane nie potrafił zgłębić. Uniósł rękę w pożegnalnym geście i ruszył do drzwi.

- Wszystko w porządku! Powiedz im, że u mnie wszystko w porządku! - Willy krzyknął za nim.

Trawiastą ścieżką, prowadzącą przez łąkę, Ducane doszedł do cienistego, bukowego lasu. Gdy znalazł się przy gładkim, szarym pniu, na którym niedawno siedział z Kate, przystanął i stał tak parę chwil całkiem nieruchomo. Potem ukląkł na szeleszczących, suchych brzoźowych liściach i oparł ręce na ciepłej powierzchni drzewa. Nie myślał o Willym, nie było mu go żal. Było mu niewymownie żal samego siebie, gdyż nie miał w sobie tej siły, którą daje cierpienie i ból. Modliłby się o cierpienie, nie wierzył jednak w Boga, a o ten nie nazwany rodzaj cierpienia, które obdarza mądrością, nie można się modlić, nie popełniając błuźnierstwa.

## Rozdział siódmy

- Odkąd przyjechałaś jeszcze ani razu nie zaśpiewaliśmy naszej kąpielowej piosenki - powiedziała Henrietta z wyrzutem.

- No to śpiewaj - odparła Barbara.

- Nie, musimy ją zaśpiewać we czwórkę, inaczej się nie liczy.

- Nie pamiętam, jak to leci.

- Nie wierzę ci - powiedział Pierce.

Barbara leżała wyciągnięta na bluszczu. Pierce stał obok, oparty o nagrobek, z którego paznokciem zawzięcie zeskrobywał żółte porosty.

- No idźcie się kąpać - powiedziała Barbara. - Mnie się nie chce. Jestem za bardzo rozleniwiona.

- Mingo strasznie się zgrzał - zauważył Edward. - Dlaczego psy nigdy się nie kładą w cieniu?

Mingo leżał, dysząc, obok Barbary, która od czasu do czasu bosą stopą kołysała jego ciepły, owczy tułów. Na dźwięk swojego imienia pies przewrócił oczami i na kilka centymetrów unióś swój kiełbaskowaty ogon, który po chwili bezwładnie opadł.

- Od samego patrzenia robi mi się gorąco - powiedziała Henrietta. - Chciałabym, żeby spadł deszcz.

- To go stąd zabierz - odparł Pierce. - Wrzuć go do morza.

- Idźcie poszukać latających talerzy - zaproponowała Barbara.

- Widzieliśmy je naprawdę!

- Idziesz, Pierce? - spytał Edward.

- Nie. Idźcie się kąpać, bliźniaki, i przestańcie wreszcie zawracać głowę.

- W dzisiejszych czasach nikt już nie lubi się kąpać - westchnęła Henrietta, nagle bliska łez.

- Pierce, masz zły humor! - krzyknął Edward oskarżycielskim tonem. Zły humor przez całą czwórkę uważany był za poważne przewinienie.

- Nie, nie mam. Przepraszam.

- A może nie pójdziemy się kąpać? - oponowała Henrietta. - Pobawmy się lepiej w „borsucze miasto”.

- Wolę się kąpać - odparł Edward.

- Idźcie na plażę - powiedział Pierce. - Może później dojdę do was. No idźcie, nie wygłupiajcie się.

- Mingo, chodź, stary - zawołał Edward.

Mingo wstał dość niechętnie. Jego szary, włochaty pysk był pokornie uśmiechnięty, lecz pies był zbyt zmęczony upałem, by zamachać ogonem, który zwiślał bezwładnie. Ruszył za bliźniakami, ostrożnie stawiając wielkie, niezdarne łapy na sprężystym bluszczu.

Stary cmentarz znajdował się jakieś dwieście metrów od domu. Wraz z sześciokątnym kościółkiem o zielonej kopule, pustą i zamkniętą na kłódkę świątynią boga geometrii, był świadkiem barwnego osiemnastowiecznego życia tej okolicy. Gęsto usiany nagrobkami plac pochylał się ku morzu a za nim, przesłonięte mgiełką drzew porastających małe dolinki lub wyłuskane na chwilę przez promienie słońca z zagłębień w okrągłych pagórkach widać było jasne, prostokątne fasady domów, w których niegdyś mieszkała owa zamilkła już ludność. Tam byli najbardziej dyskretnymi i spokojnymi z duchów; tutaj nieco może wyblakli, lecz żyli wciąż jak prawdziwe sny prawdziwych śniących. Drapowane urny i pomniki, ścięte kolumny, pochylone płyty, inskrybowane anielskimi *putti* i pokryte pełnymi ufnościami, doskonale proporcjonalnymi napisami, połyskujące niebieskawo w jaskrawym słońcu, drżały na krawędzi obecności i nieobecności i, jak niektóre greckie wykopaliska, zdawały się być jedynie halucynacją.

A jednak, pomimo swej zwartości, miejsce to niezupełnie było osadą. Miało w sobie ten rodzaj jedności, którą jakiś bóg mógłby nieco niedbale narzucić miejscu, do którego zamierzał

powrócić, i o którym w końcu zapomniał; w swej tajemniczości nie przypominało dzieła człowieka. Czuło się tu ludzką mowę, słowa wypowiedane i natychmiast - niczym w teatrze pod gołym niebem - wchłaniane przez powietrze. Natura zagarnęła cmentarz z niemalże okrutną bezwzględnością, jak gdyby chciała sparaliżować, zamglić i zmaćcić istnienie tych zbyt czujnych śniących. Cały obszar był zarośnięty przez bardzo gęsty bluszcz o drobnych listkach, który całkowicie zakrywał mniejsze nagrobki i piął się po wyższych płytach.

Z miejsca, gdzie znajdowali się Pierce i Barbara, widać było wznoszącą się ponad drzewami na wschodzie cienką, szarą wieżę kościoła parafialnego w Trescombe, a na zachodzie, zza zbocza porośniętego cisami powyginanymi na boki przez nagłe porywy i pieszczotliwe podmuchy silnego morskiego wiatru, ledwie przeziarał dach ratusza. Naprzeciw rozciągała się połać wyskubanej przez owce zielonej trawy, która przechodziła w usianą kamieniami łąkę, graniczącą z plażą. Bliźniaki właśnie dotarły do jej skraju i zwołniły na kamieniach, przystając co chwila, by wytrząsnąć żwir z sandałów. Mingo, który najwyraźniej już się otrząsnął z apatii, pobiegł przodem; z oddali słychać było jego głośne i ożywione szczekanie, „morskie szczekanie Mingo”, jak je nazywał Edward. Mingo - choć doskonale obeznany z morzem - niezmiennie wpadał w szczery podziw na widok bezkresu wodnego żywiołu. Nieco dalej zamajaczyła sylwetka wujka Theo, idącego bardzo wolno ze spuszczoną głową. Kiedy wujek Theo szedł na spacer, zdawało się, że patrzy wyłącznie na swoje stopy, jak gdyby był zafascynowany ich miarowymi ruchami. Za nim widać było grupkę nieznanomych wczasowiczów, „tubylców”, których na tym odcinku wybrzeża na szczęście spotykało się niewiele, jako że plaża była tu kamienista i stromo opadająca, a silne prądy utrudniały kąpiel.

Wyciągnięta na materacu z bluszczu, Barbara wygrzewała się w słońcu. Zrzuciła sandały, białą, bawełnianą sukienkę w malutkie, jasnozielone stokrotki niedbale podciągnęła do góry i rzuciła się na ciemne, falujące listowie, ukazując opalone uda. Jej na wpół przymknięte oczy były wilgotne.

Pierce siedział tyłem do niej i zaciekle zrywał bluszcz z małej, kwadratowej kamiennej tablicy, na której ukazała się płaskorzeźba, przedstawiająca płynący statek.

- A więc uważasz, że kłamiesz? - odezwała się Barbara po chwili.

- Nie wierzę, że nie pamiętasz tej piosenki. To niemożliwe.
- Dlaczego? Kiedy się jest w Szwajcarii, to miejsce wydaje się strasznie odległe.
- To miejsce jest o wiele ważniejsze od Szwajcarii.
- A kto mówi, że nie?
- Płakałaś, kiedy musiałaś wyjechać.
- Teraz jestem już dorosła. Płacę tylko kiedy mi się nudzi. A ty mnie nudzisz. Może byś poszedł popływać, co?
- Nie chcę. Chyba, że ty pójdziesz ze mną.
- Dlaczego przez cały czas łazisz za mną? Nie możesz czegoś zrobić sam? A w ogóle, to co ty tu robisz? Chyba miałeś być na jachcie z tymi Pember-Smithami?
- Pieprzę Pember-Smithów!
- Dlaczego jesteś taki wściekły?
- Nie jestem wściekły!
- Nie krzycz!
- Wcale nie krzyczę!

Pierce usiadł na ziemi i oparł się o nagrobek. Chciał położyć głowę na brązowych nogach Barbary, nieco ponad kolanami, i głośno zapłakać. Chciał też zniszczyć coś, wszystko, może siebie samego. Szarpał bluszcz, zanurzając dłonie głęboko i wrywając mocne, odporne, żyłaste pędy.

Przełamał się wreszcie i powiedział:

- Coś jest nie tak między nami, Barbie. Chyba chodzi o seks.
- Może u ciebie jest coś nie w porządku z seksem, ale nie u mnie.
- Jesteś już wystarczająco dorosła, żeby flirtować z Ducane'm, co?
- Nie powiedziałam, że jestem wystarczająco dorosła na cokolwiek. I wcale nie flirtuję z Ducane'm. Tak się składa, że jest moim przyjacielem.
- Zobacz, co zrobiłaś z sukienką.
- Nic z nią nie zrobiłam. Po prostu nic mnie nie obchodzi, czy tutaj jesteś, czy nie.
- Jesteś teraz Panna Ważna Osoba, co?
- Zawsze byłam Panna Ważna Osoba.
- Barbie, chciałybyś zobaczyć gniazdo bargiela kowalika?
- Nie. Mówiłeś mi już chyba ze trzy razy o tym gnieździe.

- A ty mi opowiadałaś pięć razy o tym, jak byłaś w Chateau de Chillon.

- Nie tobie opowiadałam. Opowiadałam innym, a ty tylko słuchałaś. *Que tu es bete*, Pierce!

- Nie musisz się przede mną popisywać swoim francuskim. To nie robi na mnie żadnego wrażenia.

- Wcale się nie popisuję. To u mnie naturalne, bo mówiłam w tym języku przez kilka miesięcy!

- Nie krzycz na mnie. No, dobra, idę. Jest odpływ. Popłynę do jaskini Gunnara. Wpłynę do jaskini Gunnara.

Jaskinia była jednym z najważniejszych elementów mitologii całej czwórki. Otwierała się u podnóża klifu wprost na morze i, choć słynęła jako kryjówka przemytników, jej jedyne wejście znajdowało się nad powierzchnią wody tylko przez krótki czas podczas odpływu. Mary Clothier, której bujna wyobraźnia podsuwała przerażające sceny tonięcia i uwięzienia w podziemiach, już dawno temu surowo zabroniła dzieciom wpływać do jaskini. Barbara i bliźniaki, które trochę były się jaskini, nigdy nie złamały tego zakazu. Pierce, który bardzo bał się jaskini, niekiedy okazywał nieposłuszeństwo. Kilka razy podczas odpływu wpłynął do środka i chociaż nie znalazł tam stałego lądu, odniósł wrażenie, że jaskinia wdziera się wysoko w klif. Gdyby rzeczywiście tak było, mogło się okazać, że nawet gdy podczas przypływu wejście do jaskini znajduje się pod wodą, nad jej powierzchnią istnieje jakaś górna grota, tworząca idealną kryjówkę dla przemytników. Pierce widział tylko jeden sposób na przekonanie się: należało wdrapać się w górę jaskini i czekać na rozwój wypadków. Oczywiście, gdyby się mylił i podczas przypływu jaskinia całkowicie wypełniła się wodą, z pewnością by utonął. Jednak nawet ta możliwość, choć napawała go przerażeniem, była zaskakująco podniecająca i, zwłaszcza od przyjazdu Barbary, Pierce nieustannie myślał o jaskini, wyobrażając sobie jej ciemność jako coś w rodzaju spełnienia, w którym ukryte skarby i śmierć przez utonięcie zlewały się w turkoczący wir boskiej nieświadomości. To jednak należało do świata fantazji. W rzeczywistości jego badania jak dotąd były dość krótkie i ostrożne; za każdym razem pośpiesznie wypływał na zewnątrz, na długo zanim przypływ podszedł pod wejście do jaskini, które otwarte było tylko przez około czterdzieści minut.

- Idź, jeśli chcesz - powiedziała Barbara. - Tylko, że to głupota robić coś, czego się boisz. To nienormalne.

- Nie boję się, tylko jestem ciekawy. To jaskinia przemytników. Chciałbym odkryć, czy coś po nich zostało.

- Nie wiadomo, czy to jaskinia przemytników. Nie wiadomo, czy Gunnar był przemytnikiem. Nie wiadomo, czy Gunnar w ogóle istniał. Nie tak jak z Rzymianami. Gunnar to tylko legenda.

- Rzymianie, ha, ha! Pamiętasz tę rzymską monetę w jeziorze?

- Tak.

- To ja ją tam podrzuciłem. Kupiłem ją od jakiegoś gościa ze szkoły.

Barbara usiadła i obciągnęła sukienkę. Spojrzała z furią na Pierce'a.

- To wstrętne, wstrętne!

Pierce wstał.

- Chciałem, żebyś zwróciła na mnie uwagę... - wymamrotał.

- A teraz chcesz mnie zranić!

„Co się z nami stało?” - pomyślał. - „Kiedyś byliśmy tacy szczęśliwi.”

Na nagrobku z płaskorzeźbą płynącego statku raptownie zmateriałizował się Montrose. Chowając pazury przeistoczył się w puszystą kulę, i beczelnie spojrzał z góry na Barbarę zwięzonymi oczami.

Pierce zgarnął kota w ramiona, wciągnął unoszący się z jego ciepłej sierści zapach wody toaletowej Barbary i rzucił Montrose'a na jej kolana.

- Barbaro, tak strasznie cię przepraszam, nie gniewaj się na mnie.

Barbara przekreśliła się, uklękła na bluszczu i wtuliła twarz w futro Montrose'a. Pierce ukląkł naprzeciw niej, wyciągnął rękę i jednym palcem dotknął jej nagiego kolana. Spojrzeli na siebie zdziwieni, niemal przestraszeni.

- Ja też cię przepraszam - powiedziała. - Myślisz, że staliśmy się źli?

- Jak to, źli?

- No, wiesz... Kiedy byłem młodsza i czytałem w gazetach i książkach o naprawdę złych, niedobrych ludziach, czułam, że jestem taka dobra i niewinna, czułam, że ci ludzie są tacy inni niż ja, że nigdy nie mogłabym być taka zła, albo zachowywać się tak jak oni. Czy ty też się tak czujesz?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że chłopcy częściej mają do czynienia ze złem - powiedział z wahaniem.

- No, tak - powiedziała Barbara. - Coś mi się zdaje, że wszystko będzie o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażałam.

- Oktawian, kochanie, czy ty nigdy nie przyjdiesz do łóżka?

- Już idę, skarbie. Słyszysz sowę?

- Tak, pięknie pohukuje. A przy okazji, Mary załatwiła dla Barbie tego kucyka.

- Świetnie. Kate, najdroższa, skończyła się pasta do zębów.

- Na toaletce jest nowa tubka. Nie przewróć się o te wszystkie mapy i przewodniki.

- Kochanie, chyba nas nie stać na tę podróż do Angory.

- Wiem. Zrezygnowałam z Angory. Zdecydowałam się na Samarkandę.

- Wiesz, że to w Związku Radzieckim?

- Naprawdę? No, może nas nie zjedzą...

- Tam jest okropnie gorąco.

- Czy Samarkanda leży nad morzem?

- Niestety nie. Wolałabyś pojechać nad morze?

- Myśleliśmy kiedyś o Rhodes...

- Możemy spytać Paulę o Rhodes; pamiętasz - pojechała tam kiedyś na wycieczkę. A przy okazji, co się dzieje z Paulą? Wygląda na strasznie przygnębioną i zmartwioną.

- Semestr się kończy. Przejmuje się egzaminami.

- Ducane był u Willy'ego, prawda?

- Tak. Najpierw był u niego Ducane, a potem Mary.

- No i jak się czuje?

- Dobrze. Powiedział Mary, że Ducane go rozweselił.

- Ducane jest taki miły...

- I taki dobry...

- Na pewno dobrze wpływa na Willy'ego.

- Na nas wszystkich dobrze wpływa. Oktawian...

- Słucham, kochanie.

- Pocałowałam Ducane'a dziś w lesie.

- Brawo! Był zadowolony?

- Był słodki.



- Nie rozkochaj go w sobie za bardzo, kochanie, żeby potem nie cierpiał.

- Nie, nie, nie skrzywdzę go. Panuję nad sytuacją.

- Właściwie to dosyć rozsądny człowiek. No i taki uczciwy.

- Tak. Dziwne, że nigdy się nie ożenił.

- Nie robiłbym z tego sensacji.

- No, nie wiem. Jak myślisz, może jest homoseksualistą? Jakoś tak podświadomie? Nigdy nie słyszałam, żeby był związany z jakąś kobietą.

- Tylko dlatego, że jest taki cholernie skryty i małomówny.

- Rzeczywiście jest małomówny. Wiesz, że nawet mi nie wspomniał o tym dochodzeniu?

- Strasznie się nim martwi.

- W takim razie tym gorzej, że nic mi nie powiedział! A przy okazji, Ducane uważa, że nie powinniśmy mówić Willy'emu o tym nieszczęśniku, jak mu tam..., o Radeechym.

- I ma rację. Nie pomyślałam o tym.

- On zawsze o wszystkim pamięta. Ten Radeechy chyba nie był szpiegiem, czy kimś takim?

- Absolutnie nie. Wydaje mi się, że John jest raczej rozdrażniony perspektywą mieszania się w czyjeś osobiste życie.

- Ja niestety chyba byłabym zachwycona!

- Zdaje się, że jego to przeraża. Boi się, że może odkryć coś... dziwnego.

- Masz na myśli jakieś... ekscesy erotyczne?

- Tak. Wiesz, to stary purytanin.

- Wiem i strasznie go za to lubię. Ciekawe, co on myśli o tym, co my robimy.

- W ogóle o tym nie myśli.

- Oktawian, pospiesz się. Myślę, że teraz Ducane mógłby mi powiedzieć o swoich kobietach, o przeszłości. Teraz na pewno mi powie.

- Chcesz go o to spytać?

- Tak. Ja się nie boję Ducane'a.

- Chcesz powiedzieć, że ja się go boję? No, może trochę. Nie chciałbym mu się narazić.

- Ja też. Nie uważasz, że jest nieco podejrzany? Ten jego służący...

- Nie, nie uważam. Ducane nie jest homoseksualistą.
  - Oktavian, czy ty kiedykolwiek widziałeś tego służącego?
  - Nie.
  - Spytam go i o to. On nie umie kłamać.
  - Ale umie być zakłopotany.
  - No, to może tylko wybadam tę sprawę. Wpadnę tam kiedyś, kiedy Ducane'a nie będzie i trochę się rozejrzę.
  - Kate, kochanie, chyba nie myślisz, że...
  - Nie, oczywiście, że nie. Ducane nie dałby się w nic wplątać.
- Również dlatego jest taki cudowny.
- Wplątać? O niemal każdym tak można powiedzieć.
  - Nie dałby się w nic wplątać. I dlatego nie można go zranić.
  - Ciebie też nie można zranić. Ani mnie.
  - Kochanie, tak się cieszę, że możemy sobie mówić wszystko.
  - Ja też się cieszę.
  - Bóg w niebiesiech, wszystko na swoim miejscu. Chodź do łóżka, kochanie.
  - Już idę.
  - Kochanie, jesteś taki okrągłutki...
  - Gotowa?
  - Tak. Och, skarbie! Zgadnij tylko, co Barbie ci przywiozła na urodziny!
  - Co?
  - Zegar z kukułką!

## Rozdział ósmy

Ducane patrzył zza biurka na gońca, Petera McGratha.

- Dotarła do mnie informacja, która pozwala mi przypuszczać, że pan, panie McGrath, niedawno sprzedał prasie obelżywą informację, dotyczącą pana Radeechy'ego - powiedział gładko.

Czekał. W pokoju było gorąco. Z zewnątrz dobiegał stłumiony zgiełk londyńskiej ulicy. Nad biurkiem cicho latała malutka muszka, co chwila przysiadając na dłoni Ducane'a.

McGrath utkwiał wzrok w twarzy Ducane'a i po chwili odwrócił oczy, a raczej przewrócił nimi, jak gdyby wykonywał jakieś ćwiczenie. Potem parę razy zamrugął, znowu zerknął na Ducane'a, po czym uśmiechnął się naiwnie.

- Noo..., to chyba i tak by się wydało, prawda, proszę pana?

Ducane'a drażnił jego szkocki akcent, którego pochodzenia nie mógł dokładnie zlokalizować, i wygląd McGratha. Mężczyzna nie powinien mieć tak rudych włosów i tak białej skóry, takich wodnistych, niebieskich oczu i takich cukierkoworóżowych ust pośrodku tego wszystkiego. McGrath był w bardzo złym guście.

- Teraz żądam wyjaśnień od pana, McGrath - powiedział, układając na biurku dokumenty i strząsając z ręki natrętną muchę.

- Przede wszystkim chcę dokładnie poznać wszystkie szczegóły tej historii, którą pan sprzedał, a następnie zadam panu szereg pytań na temat jej pochodzenia.

- Wyleją mnie?

Ducane zawahał się. Zwolnienie McGratha właściwie było pewnikiem, jednak w tej chwili Ducane potrzebował jego współpracy.

- To nie leży w moich kompetencjach, panie McGrath - odparł. - Jeżeli zapadła taka decyzja, to niewątpliwie zostanie pan zawiadomiony przez odpowiednie władze.

McGrath oparł na biurku białe, porośnięte rzadkimi, rudawymi włosami, dłonie i pochylił się do przodu.

- Jestem pewien, że mnie wyleją. O co zakład? - powiedział popufale. Ducane dopiero teraz zauważył w głosie McGratha naleciałości podmiejskiego żargonu.

- Będziemy prosili o dostarczenie kopii tej historii. Kiedy może nam ją pan doręczyć?

McGrath znowu się wyprostował. Ze zdziwieniem uniósł jedną brew. Jego brwi były jasnorude i prawie niewidoczne.

- Nie mam kopii - powiedział.

- Czyżby?

- Przysięgam, proszę pana, że nie mam kopii. Wie pan, ja nie napisałem tej historii. Pisanie nie bardzo mi wychodzi. A wie pan, jacy są ci dziennikarze. Wszystko im opowiedziałem, oni to spisali, a potem mi przeczytali i dali do podpisania. Sam niczego nie pisałem.

„Na pewno nie kłamie” - pomyślał Ducane.

- Ile panu zapłacili?

Błada twarz McGratha wyciągnęła się.

- To już moja sprawa, proszę pana...

- Radzę nieco zmienić ton, McGrath - przerwał mu Ducane. - Zachował się pan bardzo nieodpowiedzialnie i teraz może pan mieć poważne kłopoty. Dlaczego pan sprzedał tę historię?

- No cóż, proszę pana... Taki gentleman, jak pan po prostu nie wie, co to znaczy być w potrzebie. Sprzedałem ją dla pieniędzy, proszę pana i wcale się tego nie wstydzę.

„Co za bezczelny facet” - pomyślał Ducane. - „I w dodatku kłamie w żywe oczy”. Choć Ducane nie zdawał sobie z tego sprawy, jednym z powodów, dla których nie osiągnął szczytów w swej karierze adwokata, była nieumiejętność wyobrażenia sobie takiej podłości, do jakiej on sam nie byłby zdolny. Jego wyobraźnia dotycząca świata zła była po prostu przedłużeniem wzorców własnych przewinień. Tak więc jego opinia o McGrathie, że „kłamie

w żywe oczy" była jedynie pustym i abstrakcyjnym stwierdzeniem. Ducane nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest być McGrathem. Niemożność zrozumienia tego rodzaju łaďactwa sprawiała, że McGrath wydawał się Ducane'owi wręcz interesujący i zaskakująco sympatyczny.

- No, dobrze. Sprzedał ją pan dla pieniędzy. A teraz, panie McGrath, proszę jak najbardziej szczegółowo opowiedzieć mi tę historię o panu Radeechym, którą sprzedał pan prasie.

McGrath znowu przewrócił oczami.

- Naprawdę niewiele pamiętam... - powiedział niespiesznie.

- Chyba się pan nie spodziewa, że w to uwierzę. I tak wkrótce się wszystkiego dowiemy. Ale jeżeli teraz pan mi pomoże, to niewykluczone, że i ja będę mógł pomóc panu.

- No cóż - zaczął McGrath, po raz pierwszy okazując pewien niepokój. - Hmm... Lubiłem Radeechy'ego, proszę pana, naprawdę go lubiłem...

Ducane poczuł rosnące zainteresowanie. McGrath nagle wydał mu się bliski, tak jak bliski może być byk dla torreadora.

- Dobrze pan go znał...? - spytał łagodnie. Często zdarzało mu się przesłuchiwać ludzi i nieobce mu było to uczucie podniecenia, wrażenie jakby w ciszy pokoju snuł pajęczynę życzliwej atmosfery dla niczego nie podejrzewającej ofiary. Był w tym dobry i miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. To zmuszanie ludzi do mówienia było nie tylko kwestią tego, co mówili, czy nawet jak mówili - był to talent, polegający na wysyłaniu jakichś telepatycznych, niemalże wyczuwalnych fluidów.

- Tak... - odparł McGrath. Patrzył na swoje dłonie, które znowu położył na biurku. Były zaskakująco czyste. Na jednej usiadła muszka, lecz nie strząsał jej. Nawzajem się sobie przypatrywali. - Zawsze był dla mnie bardzo miły. Załatwiałem dla niego różne sprawy, takie tam... Poza biurem.

- Jakie sprawy? - spytał Ducane łagodnie.

- No, do tych swoich czarów potrzebował różnych rzeczy. Jeździłem do niego do domu, wie pan, w Ealing.

- To znaczy dostarczał mu pan rekwizytów, których potrzebował do wypełniania swoich... magicznych rytuałów?

- Tak. To był dziwny gość, ten pan Radeechy. Taki nieszkodliwy wariat. Ale i bystry facet. Wiedział wszystko o całej tej magii, o historii,

i tak dalej. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś miał tyle takich grubych książek. Normalny mózgowiec, strasznie oblatany.

- Czego pan mu dostarczał?

- Och, różności. Nigdy nie wiedziałem, czego zażąda następnym razem. Kiedyś sobie zażyczył piór, białych piór. Przywoziłem mu też różne zioła i olejki. Kupowałem je w sklepach ze zdrową żywnością. Czasami potrzebował też ptaków, albo małych zwierząt, na przykład myszy.

- Żywych?

- Tak, proszę pana. Kupowałem je w sklepie ze zwierzętami. Aż w końcu zaczęli na mnie podejrzliwie patrzeć.

Ducane wzdrygnął się.

- Słucham dalej.

- Przywoziłem mu też wodorosty, wilczą jagodę i inne takie. Chciał mnie nauczyć je rozpoznawać, żebym mógł jeździć na wieś i sam zbierać, ale się nie zgodziłem.

- Dlaczego?

- Nie lubię wsi - powiedział McGrath i po chwili dodał: - Trochę się bałem tych wszystkich roślin, w sklepie to zupełnie co innego, rozumie pan...

- Rozumiem. Czy pan Radeechy naprawdę wierzył w te swoje rytuały?

- Chryste, no pewnie, że tak - McGrath odparł urażonym tonem.

- Nie robił tego dla zabawy. Umiał to robić, to znaczy, to naprawdę działało...

- Działało...?

- No, nie wiem, nigdy przy tym nie byłem, ale pan Radeechy to był niezwykły człowiek, proszę pana, człowiek o nadprzyrodzonych zdolnościach. Tworzył wokół siebie jakąś niesamowitą atmosferę.

- Czy ma pan jakieś dowody na istnienie nadprzyrodzonych zdolności pana Radeechy'ego, czy tylko miał pan takie wrażenie?

- No, nie mam żadnych dowodów, ale to się czuło, jak...

- Tak, rozumiem. Gdzie pan pierwszy raz spotkał pana Radeechy'ego?

- Tutaj, w biurze, proszę pana.

- Rozumiem. I robił pan dla niego te dziwaczne zakupy, za które panu płacił?

- No, tak, proszę pana, trochę mi płacił za mój czas...
- Czy poznał pan panią Radeechy?
- Niezbyt często ją widywałem, proszę pana, raczej trzymała się na uboczu, ale czasami się z nią witałem.
- Czy miała coś przeciwko pańskim wizytom?
- Och nie, wcale nie, proszę pana. Ona o wszystkim wiedziała. To była bardzo pogodna pani, bardzo przyjacielska i uprzejma.
- Jak się panu wydaje - jakie były stosunki między nimi?
- Byli sobie bardzo oddani, proszę pana. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak rozpaczał po śmierci żony. Przez parę miesięcy w ogóle nie uprawiał czarów.
- Czy pani Radeechy była zaniepokojona zainteresowaniami swojego męża?
- Nigdy nie widziałem, żeby się denerwowała, ale na pewno była trochę przygnębiona z powodu dziewczyn.
- Dziewczyn...?
- Tak. Wie pan, do uprawiania czarów potrzebne są dziewczyny. „No, jestem już blisko” - pomyślał Ducane. Lekko zadrżał; w pokoju cicho zawibrowały jakieś zwierzęce, magnetyczne prądy.
- Wiem, że w wielu magicznych rytuałach wykorzystywane są dziewczęta, często dziewice. Czy może mi pan powiedzieć o tym coś więcej?
- Nic mi nie wiadomo o żadnych dziewicach! - parsknął McGrath nieco szalonym śmiechem.
- Ducane'owi przyszło do głowy, że McGrath był zafascynowany Radeechym. W jego śmiechu brzmiał jakiś nienormalny podziw.
- To znaczy, że te dziewczyny, których pan Radeechy... używał... były... no, kim one były? Znał je pan?
- Tak, trochę - odparł McGrath ostrożnie. Poruszył ręką, strząsając natrętą muchę. Spojrzał na Ducane'a, unosząc swe bezbarwne brwi. - Takie dziwki... Właściwie to nigdy nie widziałem go w akcji.
- Jak pan myśli, co on z nimi robił? - Ducane spostrzegł, że uśmiecha się do McGratha - zachęcająco, może nawet nieco konspiracyjnie. Temat rozmowy automatycznie stwarzał swojską, męską atmosferę.
- Co z nimi robił? - McGrath również się uśmiechnął. - No, właściwie to nigdy przy tym nie byłem, ale raz czy dwa zakradłem

się od tyłu i zająłem przez okno. Wie pan, byłem ciekawy. Pan też by był ciekawy, proszę pana.

- Chyba tak - odparł Ducane.

- To znaczy, chyba nie robił nic z *tych* rzeczy, to był strasznie dziwny facet. Pamiętam, że raz na stole leżała dziewczyna, a na jej brzuchu stała taka srebrna filiżanka. I ta dziewczyna była zupełnie goła.

„Czarna msza” - pomyślał Ducane.

- Czy dziewczyny przychodziły pojedynczo, czy po kilka na raz?

- Pojedynczo, proszę pana, tylko, że czasami któraś nie mogła przyjść, więc zawsze było parę w zastępstwie. Zawsze raz w tygodniu, w niedzielę, czasami jeszcze dodatkowo w inne dni.

- Co jeszcze pan widział?

- No, może niezupełnie widziałem, ale wszędzie leżały porozrzucone jakieś dziwne rzeczy.

- Na przykład co?

- No, bicze i sztylety, i różne takie. Ale nigdy nie widziałem, żeby ich używał, to znaczy wobec tych dziewczyn.

- Rozumiem. A teraz proszę mi opowiedzieć o Helenie Trojańskiej.

- O Helenie Trojańskiej? - Błada twarz McGratha równomiernie poróżwiała. Zabrał ręce z biurka. - Nie znam nikogo takiego.

- No, no, panie McGrath. Wiemy, że wymienił pan to imię w historii, którą sprzedał pan prasie. Kim ona jest?

- Och, Helena *Trojańska* - odparł McGrath takim tonem, jakby w grę mogła wchodzić jeszcze jakaś inna Helena. - Tak, zdaje się, że była pewna młoda osoba o tym imieniu. Po prostu jedna z dziewczyn.

- Dlaczego jeszcze przed chwilą twierdził pan, że jej nie zna?

- Nie dosłyszałem, co pan powiedział.

- Hmm... No cóż, proszę mi o niej opowiedzieć.

- Nie ma o czym mówić. Nic nie wiedziałem o tych dziewczynach. Właściwie ich nie znałem. Po prostu to imię obito mi się o uszy, no i jakoś je zapamiętałem.

„Kłamie” - pomyślał Ducane. - „Ta dziewczyna musi być w coś zaplątana.”

- Czy zna pan nazwiska i adresy pozostałych dziewczyn? Policja może chcieć je przesłuchać.



- Policja? - Twarz McGratha skurczyła się, jak gdyby miał się rozpłakać.

- Tak - powiedział Ducane łagodnie. - To czysta formalność. Mogą być potrzebne podczas dochodzenia.

Nie było to prawdą. Ustalono z policją, że dochodzenie, które miało być przeprowadzone następnego dnia, nie będzie dotyczyć „dziwnych” aspektów trybu życia zmarłego.

- Nie znam ich imion ani adresów - wymamrotał McGrath. - Nic mnie z nimi nie łączyło.

„Nic więcej mi nie powie” - pomyślał Ducane.

- Panie McGrath, wiem, że w historii, którą pan sprzedał, jest również mowa o szantażu. Czy zechciałby pan wyjaśnić tę sprawę?

Twarz McGratha znowu poróżowiała; wyglądał teraz jak dziecko.

- Szantaż? Ja nic nie mówiłem o szantażu. W ogóle nie użyłem tego słowa.

- Mniejsza o słowo - odparł Ducane. - Porozmawiajmy o tym, co się pod nim kryje. „Pewna suma pieniędzy zmieniła właściciela”, czyż nie tak?

- Nic mi o tym nie wiadomo - McGrath wtułił głowę w ramiona. - Ci kolesie z prasy strasznie się na to napalili, właściwie to był ich pomysł.

- Nie wysłali sobie tego z palca. Musiał im pan coś zasugerować.

- To oni zaczęli. To oni zaczęli. Mówiłem im, że niczego nie jestem pewien.

- A jednak musiał pan coś wiedzieć, czegoś się domyślać. Co to było?

- Pan Radeechy raz mi coś powiedział, ale mogłem go źle zrozumieć. Powiedziałem im...

- Co pan powiedział?

- Zaraz... - McGrath spojrzał Ducane'owi prosto w oczy. - Radeechy mówił..., zaraz, zaraz..., powiedział, że ktoś od niego wyłudza pieniądze. Ale nie powiedział kto i nic więcej o tym nie wiem. A zresztą mogłem go źle zrozumieć i teraz widzę, że nie powinienem był o niczym opowiadać, ale ci faceci tak się napalili, jakby to był właśnie najlepszy kawałek w całej tej sprawie.

„Kłamie” - pomyślał Ducane. - „Przynajmniej, jeżeli chodzi o Radeechy'ego”. Nagle zrozumiał: to McGrath był tym szantażystą.

Chciwość stępiła jego iście szkocką przebiegłość. Na pewno myślał, że nic się nie wyda. „Nieudolny oszust” - pomyślał Ducane.

- Pewnie spodziewał się pan, że nic się nie wyda, McGrath?  
- stwierdził Ducane, uprzejmie się uśmiechając. - I że nigdy nie dojdziemy, kto sprzedał tę historię?

McGrath spojrział na niego jakby z ulgą i nawet całkiem głośno odetchnął.

- Chłopczy z prasy obiecywali, że nikt się nie dowie.

- Chłopczy z prasy obiecują wszystko, żeby zdobyć jakąś informację.

- Następnym razem będę o tym pamiętał - powiedział McGrath.

- To znaczy...

Roześmiali się obaj.

- Czy mam rozumieć, McGrath, że to, co pan mi przed chwilą powiedział, całkowicie pokrywa się z tym, co opowiedział pan dziennikarzom?

- Tak, proszę pana, to wszystko. Prasa oczywiście trochę to rozdmuchała, ale ja powiedziałem im tylko tyle.

- Niczego pan nie zataił, McGrath? Nie radziłbym, zwłaszcza, że wkrótce znajdziemy się w posiadaniu tej historii. Czy na pewno powiedział mi pan wszystko?

- Tak, proszę pana - McGrath przerwał i po chwili ciągnął dalej. - Na pewno źle pan o mnie myśli. To nieładnie sprzedać informację o człowieku, który dopiero co wziął i się zabił, co? Ale, wie pan, ja potrzebowałem pieniędzy. Nie, żeby coś miał do pana Radeechy'ego, nic z tych rzeczy. Był dla mnie bardzo dobry, ten pan Radeechy i naprawdę go lubiłem. Chciałbym, żeby pan to zrozumiał, proszę pana. Naprawdę lubiłem pana Radeechy'ego.

- Rozumiem - powiedział Ducane. - Myślę, że na razie to wszystko, McGrath. Nie będę pana dłużej zatrzymywał.

- Na razie? - w głosie McGratha zabrzmiało lekkie przerażenie. Podniósł się z krzesła. - Czy będzie pan mnie jeszcze wzywał, proszę pana?

- Może tak - odparł Ducane, - może nie.

- Czy będę musiał przyjść na dochodzenie?

- Prawdopodobnie nie będzie to konieczne.

- Wyleją mnie? Jak pan myśli? Pracowałem tu dziesięć lat. A moja emerytura? Co z nią będzie, jeżeli...?

- To już sprawa kierownictwa - przerwał mu Ducane. - Żegnam pana, McGrath.

McGrath nie miał ochoty iść. Rozmowa wywołała jakiś dziwny rodzaj ciepła, niemalże intymności i McGrath zapragnął, żeby Ducane go pocieszył. Chciał też się dowiedzieć, czy jego wykroczenie zostanie surowo ukarane, ale ze zdenerwowania nie mógł znaleźć właściwych słów. Stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, otwierając i zamykając swe różowe usta podobne do kociego pyszczka.

- Do widzenia - powiedział Ducane.

- Dziękuję, proszę pana, bardzo panu dziękuję. - McGrath odwrócił się i dość powoli wyszedł z pokoju. Za nim wyleciała muszka.

„No, no” - pomyślał Ducane, odchylając się na krześle. McGrath prawdopodobnie rzeczywiście powiedział to samo jemu i dziennikarzom. Z pewnością był to doskonały materiał na skandalizującą historię. McGrath najwyraźniej ukrywał coś, co dotyczyło jednej z dziewczyn, Heleny Trojańskiej, ale być może zataił to również przed prasą. Mógł wspomnieć o niej dziennikarzom tylko dlatego, że, jak powiedział Ducane'owi, jej *nom de guerre* było wyjątkowo charakterystyczne i dodawało pikanterii całej sprawie. Przyczyny zatajenia mogły być zresztą całkiem niewinne, niewykluczone, że McGrath kochał się w tej dziewczynie. Ale równie dobrze mogło to być coś ważnego. „Problem polega na tym” - pomyślał Ducane, - „że chociaż mu powiedziałem, że wkrótce dotrzemy do tej historii, to wcale tak może nie być.” Przy obecnym stanie rzeczy nie można było zmusić gazety do jej wyjawienia.

Jeśli zaś chodzi o szantaż, to Ducane nie miał na ten temat wyrobionego zdania. Gdy przesłuchiwał McGratha, naszyły go podejrzenia, że to sam McGrath mógł być tym szantażystą, czy w ogóle jakimś szantażystą. Przypuszczenie to teraz wydawało mu się mniej pewne. McGrath być może miał zadatki na szantażystę, ale, według oceny Ducane'a, dość pośledniego. Ducane wyobraził sobie, jak McGrath, patrząc chytrze na Radeechy'ego, z szacunkiem sugeruje, że nędzne wynagrodzenie, które dostaje za „zakupy” mogłoby być nieco wyższe. I widział też jak Radeechy, na poły rozbawiony, rzeczywiście podnosi stawkę. Nie mieściło mu się jednak w głowie, że McGrath mógłby wyłudzać od Radeechy'ego ogromne sumy pieniędzy. McGrath nie miałby tyle tupetu, a poza tym nie

był na to wystarczająco niesympatyczny. Może rzeczywiście lubił Radeechy'ego i w pewien sposób był nim zafascynowany. Gdyby jednak szantaż McGratha był czymś tak błahym, nie stałby się przyczyną samobójstwa Radeechy'ego. Czy był więc ktoś inny oprócz McGratha, jakiś prawdziwy szantażysta?

Ducane przypomniał sobie, że celem dochodzenia jest wykazanie, czy sprawa ta leży w gestii Urzędu Ochrony Państwa. Radeechy oficjalnie nie miał dostępu do tajnych akt, więc sam fakt, że naraził się na szantaż i prawdopodobnie rzeczywiście był szantażowany, nie powinien zainteresować Urzędu Ochrony Państwa. Problem polegał na tym, że jego samobójstwo pozostało niewyjaśnione. Jeżeli Radeechy *ex hypothesi* został zmuszony do wykradzenia tych akt i jeżeli obawiał się demaskacji, to byłby to całkiem wystarczający powód do samobójstwa. Z drugiej jednak strony nie istniały żadne dowody na to, że Radeechy tak postąpił; nie miał bliskich kontaktów z osobami, które mogłyby mu przekazać te materiały, jego najbliżsi znajomi twierdzili, że podobne zachowanie nie leżało w jego charakterze i Ducane był skłonny zgodzić się z nimi. Oczywiście nikt nie wiedział, jakiej sumy pieniędzy Radeechy nie był w stanie przeznaczyć na ukrycie pewnych rzeczy, być może czegoś, o czym nie wspomniał McGrath, o czym McGrath nie wiedział, zakładając, że w grę wchodził jakiś inny, ważniejszy szantażysta. Ducane jednak nie mógł sobie wyobrazić Radeechy'ego jako szpiega. Za tym wszystkim kryło się coś innego. „Moim głównym zadaniem jest odkrycie, dlaczego się zabił” - pomyślał. - „Może to być potwornie proste, mógł to zrobić z powodu żony. A jeżeli to jest tak potwornie proste, to potwornie trudno będzie to udowodnić!”

Wiadomo było, że pan i pani Radeechy byli sobie „oddani” i istniały dowody na to, że byli szczęśliwym małżeństwem. Przyczyna rzeczywiście mogła tkwić tutaj. Ducane nie potrafił sobie wyobrazić, jak pani Radeechy radziła sobie z wyskokami męża, lecz teraz wystarczająco dużo wiedział o tajemnicy stanu małżeńskiego, by zrozumieć, że nie istnieje praktycznie nic, z czym ta niezwykła instytucja nie dałaby sobie rady. Pani Radeechy po prostu mogła tolerować obecność jego dziewczyn. McGrath opisał ją jako „bardzo pogodną panią” i opinia ta zgadzała się z osądami innych ludzi. McGratha oczywiście trzeba będzie przesłuchać ponownie i to o wiele ostrzej. „Postraszanie i złamanie McGratha nie powinno być zbyt

trudne" - pomyślał Ducane. Jednak nie chciał tego robić, dopóki nie upewni się, czy prasa udostępni informacje. Do przeprowadzenia tych delikatnych negocjacji wyznaczony został George Droysen.

W tej chwili Ducane zaczął myśleć o Jessice. Jego skojarzenia przebiegały następująco: nie można być obrońcą, nie widząc siebie w roli sędziego, a wyobrażenia Ducane'a często rozwijała się w tym kierunku. Jednakże, a była to jedna z przyczyn jego niewysłowionej niechęci do atmosfery panującej w sądzie, cała sytuacja „sędziowania” wydawała mu się odrażająca. Z uwagą obserwował sędziów i doszedł do wniosku, że żadna istota ludzka nie jest warta być sędzią. Teoretycznie sędzia reprezentuje majestat i bezstronność prawa, którego jest instrumentem. W praktyce, z powodu nieprecyzyjności prawa i niedoskonałości człowieka, sędzia ma w rękach dość dużą władzę, którą może wykorzystać mądrze lub nie. Rozum mówił Ducane'owi, że sądy sprawiedliwości muszą istnieć i że prawo angielskie jest na ogół dobre, a angielscy sędziowie to dobrzy sędziowie. Nienawidził jednak tej konfrontacji pomiędzy więźniem na ławie oskarżonych i siedzącym wyżej sędzią, ubranym jak król lub papież. Jego serce, świadome dumy sędziów, czuło, że tak być nie powinno i czuło to tym goręcej, że istniało w Ducanie coś, co chciało być sędzią.

Ducane wiedział, że były chwile, kiedy sobie mówił: „Spośród tych wszystkich ludzi tylko ja jestem wystarczająco dobry i skromny, żeby zostać sędzią”. Potrafił wyobrazić sobie siebie jako prawdziwie sprawiedliwego człowieka i sędziego. Nie wiedział dobrze, co począć z tymi wizjami. Teraz, kiedy już nie brał pod uwagę możliwości zostania prawdziwym sędzią, traktował je jako coś w rodzaju nieszkodliwego idealizmu. Niekiedy jednak wydawało mu się, że pełniły one najbardziej zgoną rolę w jego życiu.

W tych wyobrażeniach o sobie jako sędzi Ducane doświadczał, choć nie całkiem świadomie, jednego z największych paradoksów moralności; czuł, że aby stać się dobrym człowiekiem, być może konieczne jest myślenie o sobie jako dobrym człowiekiem, jednak to samo wyobrażenie może wręcz uniemożliwiać osiągnięcie celu czy to z powodu podświadomego zadufania, czy też za sprawą jakiegoś głęboko ukrytego bluźnierstwa, które się popełnia, gdy dobroć pojmowana jest w niewłaściwy sposób. By stać się dobrym człowiekiem, niezbędne mogą się okazać rozmyślenia o cnocie, lecz

i prości ludzie pozbawieni skłonności do refleksji mogą osiągnąć bezmyślną doskonałość. Ducane w każdym razie miał wysoce refleksyjną naturę i od dzieciństwa dążył do tego, by zostać dobrym człowiekiem; choć nie miał w sobie nic demonicznego, był diabelsko dumny, kalwińsko-szkocką dumą, która z łatwością mogła ściągnąć na niego wieczne potępienie, o czym Ducane doskonale wiedział.

Ten metafizyczny dylemat nie jawił mu się w żadnej wyraźnej formie, raczej odczuwał go jako niezupełnie nieprzyjemną atmosferę, poczucie winy o podłożu niemalże seksualnym. Gdyby Ducane wierzył w Boga, a wiarę stracił, gdy w wieku lat piętnastu wystąpił z surowego odłamu kościoła protestanckiego, modliłby się żarliwie za każdym razem, kiedy nachodziło go to uczucie. A tak tylko z zaciśniętymi zębami walczył z nim, usiłując nie dopuścić, by przekształciło się w coś interesującego. Uczucie owo, ogarniające go za każdym razem gdy czuł swą władzę, zwłaszcza władzę oficjalną nad kimś innym, teraz zostało wyzwolone w wyniku przesłuchania McGratha. I właśnie to lekko podniecające uczucie władzy nad McGrathem przywiodło mu na myśl inną osobę, nad którą miał władzę, a osobą tą była Jessica.

Ducane ze smutkiem uświadamiał sobie, że niezadowolenie ze swojego zachowania wobec Jessiki przynajmniej częściowo było spowodowane wizerunkiem siebie jako kochanka, postaci niewątpliwie niegodnej miana dobrego człowieka. Ducane już dawno temu doszedł do wniosku, że jest człowiekiem, który po prostu nie powinien mieć romansów, a przygoda z Jessiką była wyraźnym przykładem sytuacji, w której dobro co prawda dostrzega się i pochwała, czyniąc jednak zło. Jednakże uważał również, że jedynym celem zerwania z przeszłością jest poprawa przyszłości. Co powinien zrobić z całym tym bałaganem? Czy mógł, samemu będąc zamieszany w tę sprawę, być, czy choćby usiłować zostać, sprawiedliwym sędzią dla biednej Jessiki? Jak może się od tego w wystarczającym stopniu zdystansować, jak może oceniać błędy, skoro on sam je popełnia? Jeszcze większy zamęt w jego głowie wprowadzał znajomy, oskarżający głos przypominający mu, że tak bardzo teraz pragnie wyprostować swoje życie tylko po to, by mieć czyste sumienie, czy - mówiąc bardziej dosadnie - wolne pole do rozwoju znajomości z Kate. Ale czy to nie oczywiste, że powinien, bez

względu na motywy, całkowicie zerwać z Jessiką, przestać się z nią widywać? „Biedna Jessica” - pomyślał. - „O Boże, biedna Jessica!”

- Mogę wejść na chwilę?

Rozmyślenia Ducane'a przerwał głos Richarda Biranne'a, który właśnie zajrzał do pokoju.

- Wejź, wejź - powiedział Ducane uprzejmie, jednocześnie doświadczając gwałtownego, niemalże fizycznego uczucia wrogości, które na widok Biranne'a ogarniało całe jego ciało.

Biranne wszedł i usiadł naprzeciwko Ducane'a. Ducane spojrzał na inteligentne oblicze swego gościa. Biranne miał twarz intelektualisty, pociągłą, przystojną, o nieco cierpiętniczym wyrazie. Szywne, kręcone włosy w myszowatym kolorze sterczały wokół jego głowy na kształt jakiegoś falistego gniazda, jeszcze bardziej wydłużając jego twarz. Bezkształtne wargi były wykrzywione i dosyć ruchliwe. Miał precyzyjny sposób wysławiania się i wysoki głos, nieprzyjemnie kolidujący z otoczeniem, zupełnie jakby wszystkie przedmioty w najbliższym sąsiedztwie wprawiał w wibracje i doprowadzał do granicy rozpadu. Ducane przypuszczał, że Biranne ma powodzenie u kobiet.

- Droysen powiedział mi o McGrathie - powiedział Biranne. - Byłem ciekaw, czy wyciągnąłeś coś z tego grzesznika, jeżeli wolno spytać.

Ducane nie widział powodów, dla których nie miałyby przedyskutować tej sprawy z Biranne'em, zwłaszcza, że ten widział początek całego dramatu.

- Tak, widziałem się z nim - powiedział. - Dowiedziałem się co nieco. Mam już jakiegokolwiek pojęcie o sprawie.

- O! Co z niego wyciągnąłeś?

- Powiedział, że kupował rzeczy do tych magicznych poczynąń Radeechy'ego. Mówił, że do czarów potrzebne były nagie dziewczyny. To i jeszcze parę innych drobiazgów wygadał prasie.

- Dowiedziałeś się czegoś o tych dziewczynach?

- Jeszcze nie. McGrath twierdzi, że nic o nich nie wie. W co nie wierzę.

- Hmm... A co z tym szantażem?

- Nie wiem. Całkiem możliwe, że to sam McGrath po cichu szantażował Radeechy'ego. Ale to nieważne. Jest coś jeszcze. Jest jeszcze ktoś inny.

- Ktoś inny? Nie rozumiem. Czy to tylko twoje przypuszczenia? Wydaje mi się, że masz już wszystko, co potrzebne do rozwiązania zagadki.

- To się nie trzyma kupy. Dlaczego Radeechy się zabił? I dlaczego nie zostawił żadnego listu? I dlaczego zrobił to w biurze? Czuję, że pod tym coś się kryje.

- Gdzieś to musiał zrobić! To ciekawe, że według ciebie McGrath mógł go szantażować. Przecież to właśnie mógł być powód.

- Nie wydaje mi się. Ale wkrótce się dowiem.

- Jesteś bardzo pewny siebie. Wpadłeś na jakiś ślad?

Ducane nagle zrobił się czujny. Niepokoił go widok Biranne'a siedzącego na krześle, z którego jeszcze nie całkiem zniknął wielobarwny obraz McGratha. Znowu ogarnęło go to lekko podniecające uczucie bycia niegodnym i jednocześnie dumnym, wywołane przesłuchiwaniami McGratha. Nad Biranne'em Ducane jednak nie miał władzy. Biranne nie był więźniem na ławie oskarżonych.

- Tak - odpowiedział. - Mam jeden czy dwa punkty zaczepienia. Zobaczymy, zobaczymy...

Czuł teraz, w sposób niemalże fizyczny, właściwy mu zamęt w głowie, przemieszany z niechęcią do Biranne'a. Musi wreszcie zapomnieć o tamtym szyderyczym śmiechu. Przecież sam często naigrawał się z bezbronnych ludzi, nie chcąc przy tym wyrządzać im krzywdy. Przechulone i urażone „ja” musi wreszcie skończyć ze swymi obsesjami. Przypomniała mu się wojenna kariera Biranne'a. Oto kolejny powód do zazdrości, kolejne źródło tej całkowicie niegodnej niechęci. Ducane spojrzął na Biranne'a, który właśnie szykował się do wyjścia i w tej chwili zakurzone światło słoneczne, wypełniające pokój, przywiodło przed jego oczy oślepiającą wizję Pauli i bliźniaków, tak jak ich ostatnio widział na plaży w Dorset. Ducane, który lubił i podziwiał Paulę, nigdy nie wątpił, że to Biranne był przyczyną rozvodu. Słyszał, jak Biranne opowiadał o kobietach. Teraz jednak, gdy obserwował swego gościa, czuł coś w rodzaju współczucia: mieć taką żonę jak Paula, mieć takie dzieci jak bliźniaki i tak świadomie i całkowicie ich utracić.



## Rozdział dziewiąty

- Rób, co chcesz - powiedziała Jessica - tylko nie mów „nigdy”.  
Chyba bym umarła.

John Ducane milczał przygnębiony. Z miną skruszonego winowajcy wyglądał jak ktoś inny, obcy.

- Po prostu nie mogę zrozumieć - ciągnęła Jessica. - Musi być jakieś wyjście, musi być. Wymyśl coś, John, wymyśl coś, na miłość boską!

- Nie ma wyjścia - wymamrotał, - nie ma wyjścia.

Stał pod oknem w gęstym świetle popołudniowego słońca, skurczony pod naporem nieszczęścia wywołanego cierpieniem prze-  
rażającym i osobliwym, jak gdyby pokryty był łuskami i strupami. Bardzo powoli kołysał głową na boki jak zwierzę, prężące kark pod bolesnym jarzmem. Rzucił Jessice przenikliwe, niechętnie spojrzenie.

- O Boże - westchnął.

- Chciałbyś, żebym ci ułatwiła odejście, prawda? Ale nie mogę tego zrobić. Równie dobrze mógłbyś zażądać, żebym się zabiła, przestając oddychać.

- Moje biedne dziecko - powiedział cicho. - Nie walcz, nie walcz, nie walcz...

- Ja nie walczę. Po prostu chcę żyć.

- Wszystko tak strasznie się poplątało, Jessiko...

- Może u ciebie coś się poplątało. Ja się nie zmieniałam. John, dlaczego nie możesz mi tego wytłumaczyć? Dlaczego nam to robisz?

- Nie możemy dalej trwać w takim emocjonalnym chaosie. Nie mamy żadnego punktu oparcia, stabilności, zwyczajności. Żyjemy uczuciami i pożeramy siebie nawzajem. Męczysz się.

- Ty o mnie nie myślisz, John - powiedziała. - Wiem dobrze. Myślisz tylko o sobie. A jeżeli chodzi o zwyczajność, to dlaczego mielibyśmy być zwyczajni? Nie jesteśmy zwyczajnymi ludźmi.

- Chciałem powiedzieć, że nie możemy być razem na stałe. Nie jesteśmy małżeństwem, ale też nie jesteśmy tylko przyjaciółmi. To nie ma sensu, Jessiko, tak nie jest dobrze.

- Przyznaję, że ostatnio było nie najlepiej, ale wszystko się unormuje, jeżeli tylko przestaniesz się miotać.

- Musimy wszystko wyjaśnić. Życie powinno być proste.

- Nie rozumiem, dlaczego. A jeżeli życie nie może być proste?

- W każdym razie powinno. Życie powinno być proste i jasne. Nie może być takie z powodu tego, co się między nami dzieje. Jesteśmy jak narkomani.

- Nic się nie dzieje poza tym, że cię kocham. To w twojej głowie coś się dzieje.

- W porządku, wymyśliłem to sobie. Nigdy nie powinienem być do tego dopuścić, Jessiko. To ja jestem za wszystko odpowiedzialny. Naprawdę postąpiłem podle.

- Nasz związek to jedna z najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłeś. Bez względu na skutki.

- Nie możemy pomijać skutków.

- Dlaczego nie potrafisz żyć terazniejszością? Żyjesz wszystkim tylko nie terazniejszością. Dlaczego nie możesz po prostu się nade mną ulitować?

- Jesteśmy ludźmi, Jessiko. Nie możemy żyć tylko terazniejszością.

Jessica zamknęła oczy. Jej miłość do Johna była tak ogromna, że w tej chwili czuła się jakby płonęła żywcem. „Gdybym tylko mogła przestać istnieć i spopielić się u jego stóp” - pomyślała.

Ta nagła decyzja o zerwaniu była dla niej całkowicie niezrozumiała, to był wyrok śmierci za niezawinioną zbrodnię wydany przez jakiś nieznany sąd. Wszystko było po staremu, aż nagle to.

John Ducane był pierwszą wielką pewnością w życiu Jessiki. Nie znała swego ojca, który umarł, gdy była niemowlęciem. Robotniczy

dom matki i ojczyma był miejscem, którego nie znosiła, i z którego w końcu uciekła do Akademii Sztuk Pięknych. Teraz jednak swoje życie studenckie oceniała jako pozbawione treści i przypominające jedną wielką pijacką imprezę. Była w łóżku z paroma chłopcami. Wypróbowała kilka nowych, modnych technik malarskich. Nikt nie zdołał jej niczego nauczyć.

Jak większość studentów Jessica była, do stopnia, którego w pełni nie doceniał nawet John Ducane, całkowicie poza kręgiem kultury chrześcijańskiej. Nie tylko nigdy nie wierzyła w Boga; nigdy nawet nie uczyła się o Biblii czy o doktrynach Kościoła. Chrystus był dla niej postacią mitologiczną, wiedziała o nim tyle, co o Apollu. Była w istocie niewinną poganką, choć słowo to sugeruje pewne przekonanie, którego w życiu Jessiki nigdy nie było. A gdyby ktoś spytał, czym Jessica żyła podczas studiów, odpowiedź prawdopodobnie by brzmiała: „młodością”. Ja i jej towarzyszy łączyło jedno silne credo - to, że byli młodzi.

Jessica uważała, czy może raczej kiedyś tak uważała, że jest utalentowaną artystką, lecz jakoś nigdy nie mogła się zdecydować, czym się zająć. Wykształcenie artystyczne nie dało jej żadnych widocznych inklinacji, zdolności, czy choćby wiedzy o historii malarstwa, a jedynie coś w rodzaju tęsknoty za nieokreśloną „działalnością artystyczną”. Do tej pory pragnienie to zdążyło się przekształcić w głód duchowy. Ona i jej koledzy przestrzegali pewnych zasad postępowania, mającego coś ze statusu plemiennego tabu. Jessica nigdy nie posiadała umiejętności przekształcania swego otoczenia w siedlisko moralności - umiejętności określanej niekiedy mianem poczucia moralności. Jej świat był całkowicie pozbawiony strachu przed konwencjami. Jej moralności brakowało logicznych motywów. Jej kontakty z rówieśnikami, a nie znała nikogo innego, były tak otwarte i wolne, że w końcu okazały się pozbawione smaku. Przyzwyczała się nawet do uprawiania seksu w obecności osób trzecich, co nie było perwersją, lecz manifestacją wolności.

Jessica kilkakrotnie była zakochana, lecz w rzeczywistości bardziej przejmowała się tym, by nie zająć w ciąży. Ciągłe zmiany i brak uczuć były jej główną zasadą, której przestrzegała z iście religijnym zapałem, i która sprawiała, że Jessica pozostała zarówno niedoświadczona, jak i w pewnym sensie nie zepsuta i niewinna. Jej styl życia cechowała pewna uczciwość. Jej prawość przyjęła

postać pogardy dla wszystkiego co stałe, niezmienne, solidne, ogólnie mówiąc - „stare”, pogardy, która w miarę upływu lat przeistoczyła się w głęboko ukryty lęk. Tak więc owo nieszczęsne, nie sprecyzowane dążenie do Absolutu, do tego, co przecież właśnie jest najbardziej stałe, najbardziej niezmienne, najsolidniejsze i najstarsze, musiało się objawić pod innym imieniem. Dlatego Jessica starała się tworzyć i kochać to, co doskonałe lecz chwilowe.

Ten właśnie zapał, ten fanatyzm usiłowała wpoić dzieciom w szkole. Uczyła je jak pracować z papierem, który można zmiąć po lekcji, z plasteliną, którą można z powrotem zgnieść w bezkształtną bryłę, z cegłami, kamieniami i kolorowymi kulkami, które po ułożeniu można znowu pomieszać. A jeżeli farba miała pokryć białą powierzchnię, to musiała popłynąć jak rzeka, jak mgła, jak zmieniające się układy świata chmur. Nie pozwalała dzieciom niczego przerysowywać, a kiedy pewien chłopczyk chciał kiedyś zabrać rysunek do domu, został surowo napomniany. „A więc to tylko zabawa, proszę pani?” - zdziwiło się zaintrygowane dziecko i w tej chwili Jessica poczuła rozpierającą dumę nauczyciela, który odniósł sukces.

Niechęć Jessiki do pogodzenia się ze „stałością”, którą utożsamiała - może zresztą słusznie - z czystością serca, i która niegdyś, do momentu poznania Johna Ducane'a, przepełniała ją poczuciem duchowej wyższości, zdążyła stać się czymś o wiele mniej pewnym. W rozmowach z Jessiką Ducane wyrażał swoje zdziwienie, odkrywając jej ignorancję na temat wielkich malarzy, a ona potępiała pozbawione indywidualizmu, chaotyczne upodobania artystyczne Ducane'a. Podobało mu się niemal wszystko! Lubił Giotta i Piera i Tintoretta i Tycjana i Rubensa i Rembrandta i Velasqueza i Tiepolego i Ingresa i Renoira i Matisse'a i Bonnard'a i Picassa! Jessica była bliska zdania, że gust tak katolicki winien jest niewierności. Pod presją ostrożnie przyznawała, że podobają się jej jeden czy dwa pojedyncze obrazy, które dobrze знаła. Ale tak naprawdę ceniła tylko to, co mogła natychmiast wykorzystać we własnej działalności, a tego w miarę upływu lat było coraz mniej.

Ducane był najważniejszym wydarzeniem w jej życiu. Sprawił, że całkowicie straciła pewność siebie, a jednocześnie dostarczył jej jedynego możliwego lekarstwa na tę niepewność. Ukryta tęsknota

Jessiki za miejscem idealnego wytchnienia, tęsknota, która przepływała przez jej gorączkowo pracujące palce, została zaspokojona właśnie przez niego. Kochała go bez żadnych zastrzeżeń, la szczególnie stałość, ta obca jej solidność i powolność, przynależność do establishmentu, wiek, a przede wszystkim purytyzizm! Wydawało jej się, że przez całe życie szukała właśnie tego. Jego purytańska nieśmiałość i rezerwa podniecały ją do szaleństwa. Uwielbiała powagę, z jaką traktował akt miłosny.

John i Jessica właściwie nigdy nie zdołali siebie zrozumieć nawzajem, głównie z jego winy. Gdyby był mądrzejszym człowiekiem, lub gdyby miał ten rodzaj tupetu, na który nie pozwalała mu jego wybredność, potraktowałby młodą Jessikę jak swojego ucznia. W głębi duszy Jessica pragnęła, by John nią pokierował. Oczywiście nie była pewna jakiego rodzaju przewodnictwa potrzebuje, wiedziała jedynie, że John jest mądry i głęboki, ona zaś - głupia i pusta. John wyczuwał w niej ten głód, lecz instynktownie obawiał się go i nie chciał znaleźć się w pozycji nauczyciela. Skrupulatnie unikał wywierania jakiegokolwiek wpływu na swą młodą, tak uległą kochankę. Gdy tylko wyczuł jak wielką władzę posiada, zignorował jej istnienie i był w tym winien nieszczerości o wiele poważniejszej niż estetyczna poligamia, którą zarzucała mu Jessica. To odrzucenie władzy było błędem. John powinien był śmiało pokierować Jessiką. Stworzyłoby to bardziej zrozumiały układ między nimi, a także zmusiło Johna do szczerości wobec Jessiki. W istniejącej sytuacji John odchodził po to, by nie ograniczać Jessiki, po to, by stworzyć dla niej szansę rozwoju; ona jednak nie była zdolna do rozwoju i ignorując wolną przestrzeń, którą jej ofiarowywał, wielbiła go, niczego nie rozumiejąc. Była dla niego niemal całkowicie niepojęta dzięki słowu „artysta”, które utożsamiał z konwencjonalnym pojęciem, nie zdając sobie sprawy, że Jessica jest jakimś nowym i kompletnie innym gatunkiem zwierzęcia.

„Nie zniosę tego bólu” - myślała. - „On musi zabrać ten ból. To jest jakiś koszmar, to tylko zły sen, to nie może być prawda. Kiedy przestaliśmy być kochankami, myślałam, że chce, żebyśmy została z nim na zawsze. Pogodziłam się z tym, przeszłam przez to, bo tak bardzo go kochałam, bo chciałam, żeby było, tak jak on chce. A on pozwalał, żeby go kochała i na pewno był zadowolony, że go kocham. Nie

może teraz ode mnie odejść, to niemożliwe, to jakaś piramidalna pomyłka."

Popołudniowe, letnie londyńskie słońce, wypełniające pokój zamglonym blaskiem, przesłaniało postać Johna zasłoną zakurzonego światła, nadając mu pozory martwoty, jak gdyby był mówiącą lalką, wewnątrz której skrywał się prawdziwy John.

Ducane milczał, wyglądając przez okno.

- Przyrzeknij, że jeszcze przyjdiesz - powiedziała Jessica. - Umrę, jeżeli mi tego nie przyrzekniesz.

Ducane odwrócił się, schylając głowę przed światłem.

- Nic dobrego z tego nie będzie - powiedział cicho. - Lepiej już pójde. Napiszę do ciebie.

- To znaczy, że już do mnie nie przyjdiesz?

- To nie ma sensu, Jessiko.

- Chcesz powiedzieć, że mnie opuszczasz?

- Napiszę do ciebie...

- To znaczy, że teraz wychodzisz i już nie wrócisz?

- O Boże. Tak.

Jessica zaczęła krzyczeć.

Leżała na łóżku, obok niej - John Ducane z twarzą wtuloną w jej ramię, suchymi, chłodnymi włosami dotykający jej policzka. Ręce Jessiki błędziły po ciemnym materiale jego marynarki, wreszcie się spotkały i złączyły, zamykając Johna w mocnym, ciasnym uścisku. Gdy jej dłonie splotły się na plecach Johna, Jessica westchnęła głęboko i utkwiała wzrok w suficie, na którym słońce odbijało się złotymi, ukośnymi promieniami, kładło głębokie, cętkowane cienie i złoto wypełniło jej oczy, które robiły się coraz większe i większe jak ogromne jeziora przepełnione spokojem. Bo potworny ból zniknął, zniknął całkowicie, a jej ciało i dusza aż osłabły z ulgi.

## Rozdział dziesiąty

Na górze rozległ się głośny łoskot, a po nim - przeciągłe zawodzenie.

Mary, jak oparzona, rzuciła na stół należący do Henrietty „Przegląd UFO”, który ukradkiem podczytywała i wbiegła na schody, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Scena w pokoju wujka Theo nie zawiodła jej oczekiwań. Theo siedział na łóżku z zakłopotaną miną, trzymając w objęciach Mingo. Casie płakała, usiłując wyciągnąć zza paska chusteczkę do nosa. Na podłodze leżała taca, wokół walały się potłuczone naczynia, rozmazane masło, pokruszony chleb i ciasto. Dywan nie ucierpiał, gdyż podłoga w pokoju wujka Theo zawsze była grubo usłana starymi gazetami i bielizną, więc rozlana herbata wsiąkła w ten śmietnik.

- Och, Casie, przestań już - powiedziała Mary. - Idź na dół i wstaw wodę. Ja to posprzątam. No, idź.

Casie wyszła, wciąż zawodząc.

- Co się stało? - spytała Mary.

- Powiedziała, że jest beużyteczną, steraną, starą suką, ja przytaknałem i wtedy grzmotnęła tacą o podłogę.

- Theo, nie powinienes tak dokuczać Casie. To bardzo nieładnie.

Mingo zeskoczył na podłogę i zaczął obwąchiwać szczątki śniadania. Wystające z obu stron jego pyska wełniane kłaki, którymi teraz omiatał potłuczoną porcelanę, przypominały wasy. Jego wilgotny) różowy nos poruszył się, gdy wysunął delikatne, równie

różowe wargi i niezwykle zręcznie podniósł z podłogi cienką kromkę chleba z masłem.

- Zabierz Mingo od tego ciasta - poprosił Theo. - Wygląda całkiem nieźle i zamierzam je zjeść. Czy mogłabyś je tu położyć? - Podał jej gazetę.

Mary zebrała co większe kawałki ciasta i położyła je na gazecie. Potem, marszcząc nos zupełnie jak Mingo, zaczęła układać szczątki na tacy. W pokoju, który wujek Theo rzadko kiedy pozwalał sprzątać, unosił się lekki zapach lekarstw, środków odkażających i bardziej wyczuwalna zestarzała woń ludzkiego potu. Bliźniaki twierdziły, że to właśnie ten zjełczały zapach jest podstawą zażyłości między wujkiem Theo i Mingo, i Mary była skłonna w to uwierzyć, lecz uważała również, że woń owa nie ma żadnej fizycznej przyczyny i jest raczej wynikiem jakiejś duchowej emanacji pary pies-człowiek.

Pies znowu znalazł się na łóżku, w objęciach Theo; wełniany pysk Mingo promieniał ze szczęścia, łapy sterczały bezwładnie, a ogon, na którym siedział, kołysał się na boki. Theo również był rozpromieniony, z jego twarzy emanował jakiś blask - zbyt przenikliwy i wszechobecny, by go nazwać uśmiechem. Patrząc na nich surowo, Mary pomyślała, że Mingo jakoś upodobnił się do Theo, a może było na odwrót.

Wujek Theo zawsze był dla Mary zagadką. Dziwiła się, że pozostali domownicy w ogóle się nim nie interesują. Kiedy została poinformowana, że Theo opuścił Indie będąc w niełasce - zupełnie jakby ten fakt był częścią jego imienia, lub tytułem szlacheckim - Mary naturalnie spytała o rodzaj tej niełaski. Nikt nic nie wiedział. Najpierw Mary pomyślała, że jej pytanie pewnie uznano za niestosowne. Później jednak doszła do wniosku, że to po prostu nikogo nie obchodzi. Co najdziwniejsze, wyglądało na to, że ten brak zainteresowania był spowodowany przez samego Theo - zupełnie jakby ten wysyłał jakieś promienie, które paraliżowały ciekawość domowników. Ta właściwość Theo przypominała umiejętność stawania się niewidzialnym, i rzeczywiście - wujek Theo często wydawał się niemal dosłownie niedostrzegalny, jak to ktoś ujął: „Nikogo tam nie było. Ach, nie, był tam Theo”.

Dlaczego wujek Theo w ten sposób paraliżował zainteresowanie innych ludzi? Na ten temat Mary miała dwie sprzeczne teorie, między którymi się wahała. Pierwsza teoria - płytka i uspokajająca - mówiła



o tym, że wujek Theo miał w sobie tak dużo zwierzęcej łagodności i tak niewiele intelektu, że po prostu nie bardzo był wart uwagi - tak jak nie jest jej wart pająk w kącie. Theo zachowywał się jak człowiek obłożnie chory, przesadnie dużą ilość czasu spędzał w łóżku, zawsze jadł tam śniadanie, a czasami również lunch i obiady. Ciagle mówił o domownikach, których nazywał swoimi „wirusami”. Nikt jednak nie wierzył, że Theo cierpi na jakąś określoną, prawdziwą chorobę. Niekiedy był nieprzyjemny, a często ponury, lecz jego złe nastroje miały w sobie coś z błazenady i nikt nigdy nie brał ich na poważnie. Theo potrafił również rozluźnić się fizycznie, zupełnie jakby był całkowicie pozbawiony ładunków elektrycznych. Być może to właśnie ta ociężałość, ten spokój odwracały od niego uwagę współmieszkańców. Po prostu nie było się czym interesować.

Zdarzało się jednak, że Mary skłaniała się ku drugiej, bardziej niepokojącej teorii, zgodnie z którą niewidzialność wujka Theo była raczej czymś w rodzaju osiągnięcia, a może przekleństwa. Mary pojmowała wówczas jego lenistwo i spokój nie tyle jako depresję, lecz jako coś po drugiej stronie depresji, coś, czego nie potrafiła nazwać. Tak jakby ktoś miał połamane wszystkie kości, a jednak wciąż się poruszał jak jakaś kulawa lalka. Nie chodziło o to, że pod maską wujka Theo dojrzała nagły błysk czy isierkę cierpienia. Nie było żadnej maski. Ta szczególna bezcelowość wujka Theo po prostu przenosiła ją w nowy *gestalt*, ukazujący go jako człowieka, który przeszedł przez piekło i został pozbawiony woli działania.

Mary spojrzała na wujka Theo, który bawił się z Mingo, węsząc nosem w jego sierści jak terier tropiący szczura. W przeciwieństwie do swego młodszego brata, którego przypominał w stopniu minimalnym, Theo był dosyć wysoki i kościsty. Pasma tłustych, siwych włosów zwisały mu z tyłu głowy, poza tym był prawie całkowicie łysy. Miał niezwykle wysokie czoło, lecz wszystkie elementy jego twarzy były ciasno skupione przy sobie i wysunięte do przodu, jak gdyby roztargniona ręka Stwórcy w pośpiechu umieściła je zbyt blisko czubka dość długiego nosa. Choć miał więc dużą głowę, jego twarz sprawiała wrażenie małej, ciasnej i przez to nieco psiej. Mary nigdy nie mogła, nawet przyglądając mu się z bliska, określić koloru jego oczu. Kiedyś, sprząając jego pokój, znalazła stary paszport i gdy go otworzyła, by sprawdzić, co sam Theo sądzi o kolorze swoich oczu, okazało się, że są one „brązowozielone”.

Mary ze zmartwieniem odkryła, że w miarę upływu czasu maleje jej zainteresowanie Theo. Być może to właśnie te promienie niewidzialności zabijały w niej ciekawość i wkrótce Mary stanie się tak samo obojętna jak inni? Przyzwyczajona do tego, że ludzie często obdarzają ją zaufaniem, Mary raz czy dwa próbowała wypytać Theo o Indie, ale tylko uśmiechnął się tym swoim psim uśmiechem i zmienił temat. Współczuła mu i chciała mu pomóc, lecz ich znajomość pozostała dosyć nieokreślona. Prawda była taka, że Mary po prostu nie kochała wystarczająco mocno, by go zrozumieć. Budził w niej fizyczną niechęć, a należała do tych kobiet, które kochać mogą tylko to, czego pragną dotknąć.

- Czy mogłabyś jeszcze zrobić herbaty? - poprosił Theo.

- Tak. Zaraz tu przyślę Casie. Musisz się z nią pogodzić. Naprawdę sprawiasz jej przykrość.

- Nie martw się. Casie i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. - Była to prawda. Mary zawsze widziała, że między nimi istnieje coś w rodzaju pozytywnej więzi.

- Chciałabym, żebyś poszedł do Willy'ego. Nie widziałeś się z nim od trzech tygodni. Pokłóciliście się, czy co?

Theo zamknął oczy, wciąż się uśmiechając.

- Nie spodziewaj się, że tacy dwaj neurotyczni egocentrycy jak ja i Willy będą żyli z sobą zgodnie.

- Willy nie jest neurotycznym egocentrykiem. Właśnie się do niego wybieram. Na pewno o ciebie pyta. A jeżeli cię... potrzebuje?

- Mary, nikt mnie nie potrzebuje. Idź zrobić mi herbaty. Kochana jesteś.

Mary zaczęła schodzić ze schodów, zirytowana własnym zachowaniem. „Jestem do niczego” - pomyślała. Takie spotkania z Theo, niemożność dotarcia do niego, przejrzania go, sprawiały, że było jej żal samej siebie, co jeszcze bardziej oddalało ją od Theo. Bardziej niż byłaby skłonna się do tego przyznać, Mary wierzyła, że jej istnienie jest usprawiedliwione talentem do służenia ludziom. Porażka związana z Theo raniła jej próżność.

Na dole znalazła Casie - już nie zapłakaną lecz wściekłą i z furią przygotowującą drugą tacę ze śniadaniem dla Theo. Gdy Mary skierowała się do tylnych drzwi, usłyszała dobiegające z góry dźwięki fletu. Ostry, przenikliwy dźwięk działał Mary na nerwy. Całkowita

nieumiejętność zapamiętania jakiegokolwiek melodii sprawiała, że Mary odbierała muzykę jako coś szczególnie nieznośnego. Choć Barbara już całkiem dobrze opanowała grę na flecie, instrument ten był dla Mary niemalże narzędziem tortur. Zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Pierce, i czy leżąc w swoim pokoju lub ukryty gdzieś w ogrodzie, również słucha tych rozdzierających serce dźwięków.

Było bardzo spokojne, letnie popołudnie; powietrze - gęste od słońca i pyłków kwiatowych - omiotło twarz Mary jak ciepły puszek do pudru. Boleściwe zawrodoenie fletu słabło. Mary weszła na kamienistą ścieżkę, przeszła przez furtkę w murze i zaczęła wspinać się na wzgórze pomiędzy dwoma wysokimi stokami alei. Zbocza porośnięte były kwitnącymi, białymi pokrzywami, które Mary bardzo lubiła. Po drodze zerwała kilka i wetknęła je do kieszeni sukienki w biało-niebieską kratkę. Była nieco senna i gdy dotarła do bukowego lasu, odruchowo usiadła okrakiem na powalonym pniu. Stopą odzianą w sandał zaczęła delikatnie szeleścić w poskręcanych, brzoźowych liściach. Drzewo było gładkie i szare na wierzchołku, lecz poniżej poziomu liści miało kolor i konsystencję mlecznej, kruchej czekolady i gdy Mary usiadła, z kory uniósł się nieco stęchły zapach, od którego aż kręciło się w nosie. Mary zaczęła rozmyślać o Willym.

Od jakiegoś czasu czuła rosnący niepokój, którego źródło upatrywała w swej znajomości z Willym. Podobnie jak w przypadku Theo, miała silne poczucie przegranej. Z Willym było jednak inaczej, gdyż bardzo go kochała i uważała, że jest jej wyjątkowo bliski. Do Trescombe Cottage przyjechał, gdy Mary już tam osiadła na dobre. Z miejsca wzięła na siebie odpowiedzialność za niego. „Co u Willy'ego?” - pytali ją inni domownicy. Początkowo była pewna, że Willy wkrótce obdarzy ją zaufaniem i zacznie opowiadać o swojej przeszłości, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wyglądało na to, że nikt nawet nie wie, gdzie Willy się urodził. Ducane twierdził, że w Pradze, Oktawian mówił, że w Wiedniu. Mary nie miała własnej teorii i w końcu zaakceptowała tę smutną, europejską tajemniczość Willy'ego jako coś w rodzaju fizycznej właściwości, która wzruszała ją tak jak żadna wiedza o jego życiu wzruszyć by nie zdołała.

Mary ustawicznie sobie powtarzała, że to wielkie szczęście mieszkać z tyloma osobami, które się kocha i że tak wiele miłości z pewnością wystarczy, by zaspokoić serce kobiety. Wiedziała doskonale, czując to zarówno sercem, jak i uświadamiając sobie

rozumem, że miłość do ludzi jest rzeczą najważniejszą. Lecz czuła też głębokie niezadowolenie, a niekiedy miewała bolesne uczucie niedosytu i wówczas zdawało jej się, że całe jej życie to jakaś maskarada, i że odgrywa rolę uprzejmej, uczuciowej, usłużnej kobiety, którą tak naprawdę nie jest. Nie chodziło jednak o to, że zniknęły z jej świata uniesienia czy splendor, który ją niegdyś otaczał. Ani uniesienia, ani splendor nigdy nie objawiły się w jej życiu. Jej miłość do mężczyzn, nawet do męża, zawsze była jakoś neurotyczna i niespełniona. Bardzo kochała Alistaira lecz było to uczucie nerwowe, męczące i dla niej i dla niego, i chociaż zarówno jej ciało jak i umysł przepojone były miłością, nigdy nie zdołały kochać zgodnie. Nigdy nie była pełna spokojnej miłości jak przelewające się naczynie. Raczej cierpiała z miłości, jak drzewo cierpi od zimnego wiatru - zresztą pojęcie zimna zawsze jakoś kojarzyło jej się z miłością małżeńską. Mary nie wierzyła w zalety analizowania samej siebie i zadowoliliła się niejasnym wrażeniem, że taka właśnie niespokojna, niespełniona miłość jest jedyną, jaką potrafi przeżywać.

Znajomość z Willym nie przynosiła jej zadowolenia, a niekiedy wręcz doprowadzała ją do szału, lecz teraz stała się czymś niezwykle ważnym i Mary całkiem podstawnie mogła mieć nadzieję, że ich kontakty z czasem staną się lepsze, łatwiejsze, pełniejsze. Nie spodziewała się już jakiegoś wielkiego „przełomu”. Nie oczekiwała, jak na początku, że Willy nagle chwyci ją za rękę i opowie wszystko o Dachau. W pewnym sensie nawet już tego nie chciała. Miała jednak nadzieję, że jakiś sprytny, mały duszek, który czuwa nad tą dziwną przyjaźnią, zdoła zbliżyć ich do siebie.

- Willy, czy mogę wejść?

- Och, to ty, Mary. Wejź, wejź. Czekałem na ciebie. Piłeś już herbatę?

- Tak, dziękuję. - Nie było to prawdą, ale Mary nie chciała, by Willy kręcił się po domu. Chciała, żeby siedział spokojnie na krześle, podczas gdy to ona będzie chodzić.

Willy z powrotem zajął swoje miejsce na niskim krześle koło kominka.

- Może mleka? Właśnie piję.

- Nie, Willy, dziękuję.

Jak zwykle zaczęła przechadzać się po pokoju, a Willy z wyciągniętymi nogami i piętami zagrzebanymi w drzewnym popiele

popijał mleko i obserwował ją. Często po przyjściu Mary milczeli tak przez długi czas. Obecność Willy'ego zawsze była dla niej lekkim szokiem. Żeby to przetrzymać musiała osnuć jego pokój własną pajęczyną, rozprzestrzenić się po to, by ograniczyć jego obecność.

Domek Willy'ego, prostokątna budowla z cegieł, wzniesiona za bezcen przez przodków Oktawiana, składała się z jednego dużego pokoju, kuchni, łazienki i maleńkiej sypialni. Większość ścian była pokryta półkami, które Oktawian, rzuciwszy okiem na paki z książkami Willy'ego, zamówił u miejscowego stolarza. Ale na południowej ścianie było wychodzące na morze podłużne, wąskie okno, a pod nim - szeroki, biały parapet, na którym goście Willy'ego poustawiali różne przedmioty. Pragnąc zjednać go sobie, czy też może chcąc okazać swoją troskę, przynosili często całkowicie bezużyteczne prezenty, podobnie jak ci, którzy przed legowiskiem świętego węża kładą naczynia z mlekiem.

Odruchowo sprawdzając, czy parapet jest zakurzony, Mary zauważyła dwa jasnoszare, karbowane kamienie, pewnie przyniesione przez bliźniaki, małe pudełko na karty pełne ptasich jajek - niewątpliwie również prezent od dzieci, kupkę mchu i piór, wyglądającą na rozpadające się ptasie gniazdo, papierową torebkę z pomidorami, słoik po dżemie z dwiema białymi różami Madame Hardy, zerwanymi z krzaka rosnącego przed domkiem, drewniany talerz z rysunkiem stokrotki, który Barbara przywiozła Willy'emu ze Szwajcarii, lornetkę - również podarunek od Barbary - i brudną filiżankę. Wzięła ją do ręki i w tej samej chwili przypomniała sobie, że w kieszeni sukienki wciąż ma białe, kwitnące pokrzywy. Weszła do kuchenki i umyła filiżankę, parę talerzy i noży. Potem z kredensu wyjęła ogromny kieliszek do wina, włożyła do niego więdnące pokrzywy i zaniósła je na parapet. „Ciekawe, kto przyniósł te róże” - pomyślała. Na pewno nie Willy.

- Przyniosłaś mi kwitnące pokrzywy i wstawiłaś je do kielicha.

- Tak.

- Gdybym był poetą, napisałbym o tym wiersz. Groźne pokrzywy wstawione do kielicha przez dziewczynę...

- Nie są groźne - powiedziała Mary. - Nie mają kolców. A ja nie jestem dziewczyną. - Willy nie miał zamiaru nauczyć się rozpoznawania gatunków kwiatów, rosnących w okolicy, właściwie

nie chciał poznać nawet samej okolicy, co początkowo irytowało, a później oczarowało Mary.

- Dziewczyno, dziewczyno... - powtórzył miękko.

„Ciekawe, czy Willy rzeczywiście chciałby być poetą” - pomyślała Mary. Zapragnęła go dotknąć, ale wiedziała, że jeszcze nie powinna tego robić. Zamiast tego powiedziała:

- Willy, chciałabym, żebyś poszedł ze mną i zobaczył się z Theo.

- Ja nie chodzę, żeby się z kimś zobaczyć. To ludzie przychodzą do mnie.

- Tak, wiem. Ale on cię chyba potrzebuje...

- Nie, nie. Nie jestem mu potrzebny.

- Nieprawda. Uważam, że jesteś dla niego kimś wyjątkowym.

- Tylko jedna osoba jest dla niego wyjątkowa i z pewnością nie jestem nią ja. Powiedz mi, co słyhać u innych, jak się ma twój przystojny syn?

- No, właśnie. Willy, czy mógłbyś pomóc Pierce'owi z łaciną? Strasznie się o to martwi.

- Tak, oczywiście. Niech przyjdzie któregoś dnia o tej porze.

Willy nie przyjmował gości po szóstej. Twierdził, że wieczorami pracuje, ale Mary w to wątpiła. W poszukiwaniu klucza do tajemnicy Willy'ego, często zastanawiała się nad charakterem jego samotności. Jakie były jego wieczory i noce? Kiedyś niepohamowana ciekawość kazała jej wpaść do niego niespodzianie około dziewiątej. Światła były zgaszone, Willy siedział w blasku ognia i Mary odniosła wrażenie, że płakał. Był tak zdenerwowany jej późną wizytą, że nie ważyła się już tego powtarzać.

- Twierdzi, że z greką daje sobie radę. Choć oczywiście bliźniaki znają ją nieporównywalnie lepiej.

- Tak - powiedział Willy. - Greka bliźniaków rzeczywiście jest *erstaunlich*.

Mary nie lubiła, kiedy Willy używał niemieckich słów lub zwrotów. Pierwszego lata, które tu spędził, namówiła go, żeby ją uczył niemieckiego. Willy z właściwą sobie delikatnością przerwał te lekcje, gdy okazało się, że Mary nigdy nie ma czasu na naukę i odrabianie prac domowych, a poza tym bardzo ją przygnębiają niepowodzenia. Następnego lata, poświęcił tyle samo czasu Pauli; przeczytali głośno całą *Iliadę* i *Odyseję*. Mary była wówczas aż chora z zazdrości.

- Co jest?
- Nic - odpowiedziała krótko, lecz wiedziała, że Willy doskonale wie, o czym myślała.
- Co się dzieje z Paula? - spytał. Gdy Mary tak grasowała po pokoju, a on ją obserwował, ich myśli jakoś dziwnie przeplatały się ze sobą.
- Czy coś się stało?
- Tak. Chyba się martwi, albo czegoś się boi.
- Chodzi pewnie o koniec semestru - powiedziała Mary. - Jest przemęczona. Była u ciebie? - To ona mogła przynieść te białe róże.
- Nie, spotkałem ją rano na plaży. - Latem, bardzo wcześnie rano, jeszcze zanim inni wstali, Willy często chodził na spacerzy brzegiem morza.

Mary znowu zatrzymała się przy oknie, gdzie jej palec wymalował na kurzu spiralny wzór, wyraźnie widoczny w jaskrawym słonecznym świetle. Z domku widok na Trescombe House zasłaniał las, lecz ponad pochyłymi koronami drzew widać było fragment plaży: po prawej stronie rdzawy cypel znany jako Red Tower, po lewej, ponad zielonym polem, przezierał opuszczony cmentarz, mała zielona kapliczka boga geometrii, a w oddali niewyraźnie majaczyło cienkie pasmo plaży w Murbury z białą-czarną latarnią na jej krańcu. Mary zauważyła, że na wodzie, blisko brzegu coś się unosi; wzięła lornetkę, by się temu przyjrzeć.

- Ach! - westchnęła.
- Co się dzieje?
- Ta lornetka jest niesamowita!

Kiedy ustawiła ostrość, zobaczyła liście na drzewach tak wyraźnie, jak gdyby znajdowały się zaledwie parę centymetrów od jej twarzy. Nigdy nie miała w ręku tak silnej lornetki. Skierowała okular ze wzgórza na morze, by wyłowić wzrokiem przedmiot, który przed chwilą dostrzegła. Ujrzała drobne fale na samym skraju wody, błyszczącą, satynową skórę gładkiej tafli, a potem rękę. Wreszcie ukazała jej się mała, zielona plastikowa łódka, którą bliźniaki, na cześć Wyspy *skarbów*, nazwały „Hispaniola”. W łódce siedzieli Kate i John Ducane - oboje w kostiumach kąpielowych. Były one ciemne i wyglądały na mokre - widocznie dopiero co się kąpali. Śmiali się beztrosko i żywo; Ducane położył rękę na kolanie Kate. Mary opuściła lornetkę.

Wróciła do pokoju, stanęła przed Willym i spojrzała na niego. „Wesołość i śmiech nie są moim przeznaczeniem” - pomyślała ze smutkiem. Alistair był wesołym człowiekiem, lecz Mary jakoś wolała raczej obserwować jego wesołość niż w niej uczestniczyć. Kate była wesoła i potrafiła rozweselać innych, nawet Willy’ego. Paulę z Willym łączyło coś innego: spokojny, koleżeński układ oparty na wspólnych interesach. „Ale ja go tylko zasmucam” - pomyślała. - „I on mnie też tylko zasmuca.”

- Co jest, moje dziecko?

- Ty - powiedziała. - Ty, ty, ty. Och, tak cię kocham.

Często to powtarzała, lecz jej słowa zawsze gdzieś znikwały, jak gdyby natychmiast wchłaniał je nieskończony sprzeciw, któremu stawiała czoła. Pragnęła dotknąć Willy’ego, zaniepokoić, nawet zranić, lecz on pozostawał niedostępny i nawet jego czułość miała w sobie coś odległego. Nie przyszło jej do głowy, że Willy może być po prostu obojętny na jej uczucie, nie wątpiła też, że mu się podoba. Właściwie nie była piękna, lecz miała ugruntowane przekonanie o własnej sile przyciągania. Nie, musiało ich dzielić coś innego. Jeżeli Theo sprawiał na niej wrażenie człowieka o połamanych kościach, który mimo to wciąż się porusza, to Willy był jak mieszkaniec jakiegoś innego wymiaru, który może komunikować się ze zwyczajnym światem tylko w sposób powierzchowny. Nie martwiłaby się tym, gdyby nie to, że ten jego inny wymiar jawił się jej jako miejsce przerażające. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to jest cierpieć tak straszną niesprawiedliwość. Czy Willy kiedykolwiek będzie potrafił im wybaczyć? Dla niej byłoby to problemem, nie miała jednak żadnych dowodów na to, że Willy miał takie dylematy. Być może jego demony wyglądały zupełnie inaczej.

Usiadła, przysunawszy krzesło blisko niego. Spojrzała na dół, na swoje piersi, przytulone do siebie jak dwa bliźniacze ptaszki i pomyślała: „Jestem skarbem, czekającym na odkrywcę”.

- Spójrz, Mary, twoje pokrzywy się podniosły.

- Jesteś... Jesteś... Och, jak ty mnie irytujesz!

Zaczęła go głaskać, delikatnie przeczesując palcami jedwabiste, siwe włosy aż nieco podniosły się pod jej dotykiem. Potem zaczęła opuszkami palców gładzić jego twarz, najpierw lekko wodząc nimi po wysokim, nieco porysowanym czole, po cienkim, żydowskim



nosie, miękkim wgłębieniu nad ustami, szorstkiej, kłującej brodzie, potem przesunęła palce na jego oczy, policzki, wyczuwając kości i znowu dotknęła jego warg. Czuła miękkie ludzkie ciało nad kośćmi: wzruszające, bezbronne i śmiertelne. Wreszcie, ruchem, który nie zakłócił jej ruchów, Willy chwycił jej rękę i przyłożył ją płasko do swojej skroni. Zamknęła oczy i przez długi czas siedzieli tak, milcząc. I takie było ich kochanie się.

## Rozdział jedenasty

- Jak myślisz, czy to bezpiecznie przyznawać się do swojego szczęścia? - spytała Kate.

- Uważam, że jeżeli ktoś tak szczęśliwy jak ty nie przyznaje się do tego choć czasem, to jest wyjątkowo niewdzięczną osobą! - odparł John Ducane.

- Niewdzięczną? Wobec nich? Oni są niemoralni i nie zasługują na wdzięczność. Tak, to prawda, że jestem szczęśliwa. Jednak nie zawsze tak samo. Teraz na przykład czuję tak ogromną radość, że chyba zaraz zemdleję!

Płynęli małą, zieloną łódką po idealnie spokojnym morzu, w którym przed chwilą się kapali. Łódka, która nie miała wiosła, była napędzana rękami załogi. Udawało się to tylko przy całkowicie bezwietrznej pogodzie, inaczej szybko wypełniała się wodą i przewracała.

Nie opodal na plaży bliźniaki, które już wcześniej zaliczyły kąpiel w morzu, jak zwykle były zajęte badaniem kamieni. Wujek Theo, który kamieni nie lubił, a nawet uważał, że są niebezpieczne, kiedyś powiedział, że bliźniaki zachowują się jak ludzie skazani przez jakiegoś boga na nie kończące się, niezrozumiałe poszukiwania. Wujek Theo dopiero co wstał po wypiciu swojej porannej herbaty i siedział teraz na piasku przy ubraniach Pierce'a. Mary nie pozwalała wchodzić do domu w mokrych kostiumach kąpielowych, więc dzieci zawsze przebierały się na plaży. Pierce, zmęczony pływaniem, leżał bez sił na kamieniach, połową ciała zanurzony

w wodzie jak jakiś wyrzucony na brzeg morski stwór. Mingo, który pływał z Piercem, otrząsał się z wody, spryskując tęczowymi kropelkami jego spodnie i lewy rękaw marynarki wujka Theo. Montrose siedzący na przypominających szczerbate zęby resztkach drewnianego falochronu, nastroszył się, przybierając swój „ptasi wygląd” i ze złośliwością w bursztynowych oczach obserwował błżeństwo Mingo. Paula i Oktawian, już całkowicie ubrani, szli wolno plażą, rozmawiając o polityce. W oddali jacyś tubylcy rozbili obóz. Była sobota.

- Tak, powinniśmy myśleć o tym, jacy jesteśmy szczęśliwi - powiedziała Kate. - Wyobrażać sobie, co to by było, gdybyśmy się urodzili jako hinduscy wieśniacy... - Jednak tak na prawdę nie mogła teraz myśleć o hinduskich wieśniakach, ani o tym, jaka jest szczęśliwa, mogła tylko rozkoszować się pieszczotliwym dotykiem słońca, które osuszało słońcą wodę na jej pulchnych nogach i ramionach.

- Wiesz, myślę, że wszyscy troszkę się ciebie boją - powiedziała, powracając do swej poprzedniej myśli. - Willy, Mary i Oktawian na pewno też. Ja się nie boję i dlatego jest tak cudownie!

- Nie wierzę, że ktokolwiek może się mnie bać - zaoponował Ducane, lecz słowa Kate najwyraźniej sprawiły mu przyjemność.

- Jestem taka szczęśliwa w twoim towarzystwie. Również dlatego, że kiedy jesteśmy sami, czuję się całkowicie wolna! Widzisz, jaka jestem zaborcza!

- To lepiej dla nas obojga, że ja nie jestem.

- Kochanie, przebac mi! Oczywiście, że mi przebacysz. Ty sam jesteś strasznie szczęśliwy. Czuję to. O Boże, to słońce jest cudowne! Bliźniaki ciągle powtarzają, że nie mogą się doczekać deszczu, ale ja wolę, żeby zostało dokładnie tak jak jest. - Kate była w tym stanie uniesienia, kiedy mowa staje się nieco niewyraźna, jak śpiew ptaka czy szmer strumienia.

Łódź, którą Ducane popychał leniwymi ruchami ręki po przyjemnie opornej tafli wody, unosiła się teraz niemal nieruchomo na morzu. Kate i Ducane siedzieli bardzo blisko siebie w ciasnej łódce, lecz nie dotykali się. Ducane leżał na rufie z rękami rozłożonymi na boki. Kate siedziała na dziobie, na boku, z podkurczonymi nogami. Między gołą stopą Ducane'a i jej kolanem był mniej więcej centymetr odległości, co oboje uświadamiali sobie z przyjemnością, jak gdyby przez tę wąską cieśninę przepływał rozkosznie wartki strumień.

Kate obserwowała Ducane'a z czułą ciekawością. Oczywiście wiedziała go już wcześniej tak rozebranego, tylko że wtedy, ubiegłego lata, nie był dla niej najważniejszą rzeczą na świecie, którą stał się teraz. „Jak to cudownie” - pomyślała, - „że można się zakochać w starym przyjacielu. To jedna z zalet średniego wieku. Właściwie to nie jestem zakochana, ale czuję się tak, jakbym była, jednocześnie nie przeżywając całego tego cierpienia, związanego z miłością. To apoteoza przyjaźni, to coś, co wydaje się możliwe tylko w młodości, i o czym się później zapomina. Całe to podniecenie związane z miłością w warunkach całkowitego bezpieczeństwa. John jest tak wzruszająco chudy, i taki blady, a włosy na jego torsie już zaczynają siwieć. Co jest tak boskiego w męskich ciałach? Są bardziej tajemnicze, bardziej uduchowione, niż ciało kobiety. Dlaczego kości na jego nadgarstkach wyglądają tak bosko? O Boże, nie chciałabym, żeby czuł się oceniany. Musi wiedzieć, że go podziwiam. Dlaczego patrzy teraz na mnie dokładnie tak samo jak ja?” Jeszcze bardziej podkuliła nogi, czując przyjemny dotyk wilgotnego kostiumu na piersiach. W tej chwili jej badawcze, ciekawskie spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Ducane'a; roześmiali się ze zrozumieniem. Ducane wyjął jedną rękę z wody, pochylił się do przodu i bardzo powoli dotknął kolana Kate. Poczowała ciężar jego ręki i chłodną wodę, ściekającą po jej ciepłej, suchej skórze.

Łódź nagle przechyliła się do przodu. Ducane gwałtownie zabrał rękę z nogi Kate. Przed nimi rozległo się miękkie pluskanie wody. To Pierce, który podpłynął niezauważony, złapał za linę, która zwisała z dziobu i zaczął holować łódź.

Ducane'a zirytowało i zaniepokoiło to wtargnięcie w ich intymność. Miał nadzieję, że chłopiec niczego nie widział. Beztroskie rozkoszowanie się chwilą obecną, słońcem, pływaniem, słodkim, irlandzkim głosem Kate zostało zakłócone. Ducane stracił dobry nastrój, a słoneczny dzień ustąpił miejsca ścianie ciemności, której na imię Jessica.

Jego związek z Jessiką zmieniał się w rzeź i Ducane nie wiedział, co na to poradzić. Rządziły nimi emocje, jak gdyby nadal byli kochankami. Ducane'a pokonały jej łzy. Wiedział, że dał jej zastrzyk z morfiny po to, by oszczędzić bólu zarówno jej jak i sobie. Gdy myślał o tej sprawie, jak zwykle był pewien, że musi od niej odejść, że musi dokończyć robotę. Kiedy jednak wdawał się w szczegóły, nie

tylko wzdrygał się, lecz wręcz tracił tę pewność. Czy może zadawać komuś aż tyle bólu? Gdybyż już było po wszystkim! „Nie mogę tego zrobić listownie” - pomyślał. - „Zresztą i tak od razu przyszłaby do biura”.

Czy miał prawo choćby przez sekundę być szczęśliwym z Kate, przyjmować to, co mu tak hojnie ofiarowała, jednocześnie sprawiając innej osobie tak straszne cierpienie? Co by sobie Kate o nim pomyślała? Co by sobie pomyślała Jessica, gdyby się dowiedziała o jego flircie z Kate? Gdzie się podział Ducane, ten uczciwy człowiek? Teraz oczywiście było jasne, że nigdy nie powinien wplątywać się w ten romans z Jessiką. Jednak do całkiem niedawna potrafił przynajmniej w dość jasny sposób myśleć o tym, co uważał za swój grzech. Ból, który przez to cierpiał, i który, jak śmiał przypuszczać, cierpiała też Jessica, był przynajmniej dość jasnym bólem. Po prostu musieli się rozstać, choć było to potworne, i to wszystko. Teraz już nie był tego taki pewien. Kiedy przestała krzyczeć po tym jak jej przyrzekł, że jeszcze będą się spotykać, leżał bezwładnie na łóżku, z głową na jej ramieniu i poczuł jakiś nowy rodzaj rozpacz. W chwili olśnienia, spowodowanego tą rozpaczą, zrozumiał, jak bardzo jego szaleństwo zraniło ich oboje.

Kiedy po raz pierwszy zaczął uważać swój związek z Kate za coś ważnego, i kiedy postanowił zerwać z Jessiką - nie wiedząc jeszcze, jak to będzie wyglądać - zauważył w swoim nowym świecie istotny aspekt: teraz będzie mógł we właściwy sposób służyć potrzebom innych ludzi. W końcu nie był zakochany w Kate. Podziwiał ją, czuł się szczęśliwy w jej obecności, ale tak naprawdę jej nie kochał. Było to osiągnięcie średniego wieku. Kate nigdy nie mogłaby stać się dla niego ciężarem i nie była jego obsesją. Kiedy był kochankiem Jessiki i później, gdy próbował się od niej uwolnić, stał się nieczuły, niedostępny i nieuważny. Ludzi, którzy przychodzili do niego po wsparcie, traktował z roztargnieniem. Nie potrafił już interesować się nikim innym oprócz siebie samego. Swoją świat z Kate wyobrażał sobie nie jako *tete-a-tete*, lecz znowu jako zaludnioną krainę - tym razem szczęśliwą. W Kate pociągała go jej nieosiągalność - a ta go mogła uwolnić raz na zawsze. Kate dałaby schronienie jego zbyt długo błakającemu się sercu, będzie więc mógł pełniej, sprawniej, bo radośniej, żyć w świecie innych ludzi, będzie mógł im w pełni poświęcić swą uwagę.

Lecz to był bardzo odległy krajobraz, krajobraz bez Jessiki. „Czy kiedykolwiek go osiągnę?” - zastanawiał się. - „Może powinienem odsunąć się od Kate, przynajmniej na jakiś czas? Czy moim obowiązkiem jest zostać z Jessiką? W obecnym układzie żaden ze mnie pożytek. Myślę tylko o sobie. Dziś rano nie pomogłem Willy'emu.” Willy przeraził Ducane'a swoim sprzeciwem, odmową rozmowy. „Gdybym dziś poświęcił Willy'emu całą swoją uwagę, mógłbym go zmusić do mówienia. Może Willy powinien być zostać w Londynie? Tutaj jest zbyt samotny. Być może popełniłem straszliwy błąd. Jeżeli Willy się zabije, to będzie to moja wina.”

Te ponure rozważania przywiodły mu na myśl Radeechy'ego. Wciąż nie miał tej historii i wydawało się prawdopodobne, że będzie musiał działać bez niej. Postanowił niespodzianie odwiedzić McGratha w przyszły poniedziałek wieczorem i wszystko z niego wyciągnąć. Ile tego może być? Z gorzką niechęcią Ducane pomyślał o „biczach, sztyletach i innych takich”, które McGrath widział w domu Radeechy'ego. Co Radeechy robił z tamtymi dziewczynami? Jego ból dziwnie zmalał, gdy odkrył, że oto może podziwiać opalone ramiona Kate i jej pulchne plecy, a gdy się pochyliła do przodu, pomyślał: „W jakże naturalny sposób usiłujemy uleczyć własne zło innym złem. Występek jest ucieczką przed poczuciem winy, często z ulgą wpadamy w jeszcze głębsze bagno”. A potem pomyślał: „Biedny Radeechy”.

Pierce całkiem szybko holował łódkę, trzymając linę w zębach. Towarzyszył mu Mingo, którego sztywno uniesiona, sucha głowa dziwnie kontrastowała z lśniąca, moką głową chłopca, nurkującego i prześlizgującego się przez wodę jak foka.

- Gdzie jest Barbie? - Kate zawołała do chłopca.
- Jeździ na kucyku - odpowiedział, puszczając linę.
- Zupełnie zwirowała na tym punkcie - powiedziała Kate, znowu odwracając się do Ducane'a. - I jest zbyt odważna. Mam nadzieję, że zrobiliśmy dobrze, posyłając ją do tej szkoły w Szwajcarii.
- Na pewno dostanie się do Oxfordu - powiedział Ducane. - To mądra dziewczyna, no i świetnie mówi po francusku.
- Chciałabym, żeby Willy jednak zgodził się uczyć ją niemieckiego. - Willy nie wiedzieć czemu nie chciał pomóc Barbarze z jej niemieckim.

Łódka zwolniła. Pierce puścił linę i płynął teraz w kierunku klifu, ku wschodniej części Red Tower, która w tym miejscu pionowo schodziła w wodę. Ducane poczuł ulgę, jak gdyby pozbył się obecności jakiegoś małego diablaka.

- Nie wpływaj tam, Pierce! - Kate krzyknęła za nim.

- Nie wpłynę!

- To jaskinia Gunnara - powiedziała, pokazując ciemną linię u podnóża klifu. - Pewnie jest odpływ.

- Tak, już mi to mówiłaś - powiedział Ducane. - Wejście jest otwarte tylko podczas odpływu.

- Aż mnie ciarki przechodzą - powiedziała Kate. - Wyobrażam sobie, że jest pełna ciał topielców, którzy szukali tam skarbów i zostali przyłapani przez morze.

- Wracajmy. - Ducane zadrżał. Zaczął powoli przesuwac łódkę po kleistej, połyskliwej tafli wody. Kate nieco zmieniła pozycję i jej noga dotknęła jego nogi. Spojrzeli na siebie badawczo, niespokojnie.

## Rozdział dwunasty

- Dlaczego Szekspir nigdy nie napisał sztuki o Merlinie? - spytała Henrietta.

- Bo to sam Szekspir był Merlinem - stwierdził wujek Theo.

- Ja też się często nad tym zastanawiałam. - powiedziała Paula.

- Dlaczego nigdy nie korzystał z legend o królu Arturze?

- Chyba wiem, dlaczego - powiedziała Mary.

Zapadła cisza. Mary zawahała się. Była pewna, że wie, ale nagle okazało się, że nie potrafi tego wytłumaczyć.

- Dlaczego? - spytał John Ducane, uśmiechając się do niej zachęcająco.

- Szekspir wiedział... że świat magii... że to niebezpieczny temat... a takie kontakty... niezupełnie z tego świata... po prostu się na tym nie znał... bo to taka specyficzna atmosfera... po prostu nie potrafił...

Mary przerwała. Nie o to jej chodziło, ale naprawdę wiedziała. Świat Szekspira był czymś innym, większym.

- Chyba cię rozumiem - powiedział Ducane. - Całkowicie. - Znowu się uśmiechnął.

Wszyscy znowu zaczęli rozmawiać. Była niedziela. Jedli lunch przy okrągłym stole w hallu. Casie krążyła wokół nich, zbierając talerze, mówiąc głośno do siebie - jak zwykle, gdy podawała do stołu - i kursując ciągle do kuchni, gdzie Montrose, w swej wydłużonej postaci wylegiwał się w koszyku, obok którego stał wyraźnie zaniepokojony Mingo.



- W Rosji kobiety są dobrze traktowane - powiedziała Casie zbierając talerze po puddingu. - W Rosji mogłabym być maszynistą.

- Ale przecież nie chcesz być maszynistą, prawda? - spytała Mary.

- W Rosji kobiety to normalni ludzie. A tutaj są traktowane jak śmiecie. Nie warto być kobietą.

- Rozumiem, że nie warto być tobą, ale...

- Och, zamknij się, Theo.

- Ja uważam, że to cudownie być kobietą - powiedziała Kate. - Za nic nie zmieniałabym płci.

- Co za ulga! - powiedział Ducane.

- A ja wolałabym być maszynistą - zażartowała Mary.

Casie wycofała się do kuchni.

Podczas niedzielnego lunchu nie było wyznaczonych miejsc. Każdy siadał gdzie popadnie. Tego dnia kolejność była następująca: Mary siedziała obok wujka Theo, który siedział obok Edwarda, który siedział obok Pierce'a, który siedział obok Kate, która siedziała obok Henrietty, która siedziała obok Oktawiana, który siedział obok Pauli, która siedziała obok Barbary, która siedziała obok Ducane'a, który siedział obok Mary.

Edward właśnie opowiadał wujkowi Theo o ptakach, zwanych „miodowymi przewodnikami”, żyjących w amazońskiej dżungli. Ptaki owe mają taki sprytny układ z niedźwiedziami, że prowadzą je do barci dzikich pszczół, niedźwiedzie otwierają gniazda i wspólnie z ptakami wyjadają miód. Henrietta opowiadała Kate o pętłach i próżniach w przestrzeni kosmicznej i o tym, że po to, by dotrzeć statkiem kosmicznym do centrum galaktyki, potrzeba tylko pięćdziesięciu lat, lecz powrót może zająć tysiące lat. („Zdaje się, że nie bardzo rozumiem” - powiedziała Kate). Oktawian, który wcześniej dyskutował z Paulą na temat perspektywy reform w związkach zawodowych, teraz z niepokojem dopytywał się, czy Paula dobrze się czuje, gdyż prawie nie tknęła lunchu. Ducane i Barbara przekomarzali się po francusku; Ducane świetnie znał ten język i popisywał się nim przy byle okazji. Mary, która co chwila wstawiała, by pomóc Casie, teraz siedziała milcząca. Lubiła takie chwile, miała wówczas coś w rodzaju matczynego poczucia posiadania wobec grupy rozgadanych ludzi wokół niej. Casie właśnie stawiała na stole

ser i owoce. Oktawian sięgnął po karafkę z czerwonym winem. Poza bliźniakami, które piły Tizera i Paula, która piła wodę, wszyscy pili wino. Mary zaczęła obserwować twarz siedzącego naprzeciw niej Pierce'a.

Pierce, usadowiony pomiędzy Edwardem i Kate, też nie miał z kim rozmawiać. Z wściekłością obserwował dyskusję Barbary i Johna Ducane'a. „Mam nadzieję, że nikt tego nie dostrzegł” - pomyślała Mary. - „Wygląda tak dziwnie. O Boże, żeby się coś nie stało.”

- *Quand est ce que tu vas me donner ce petit concert de Mozart?*
- *Jamais, puisque tu ne le merites pas!*
- *Et pourquoi ce, petite egoiste?*
- *Tu n'y comprends rien a la musique, toi.*
- *Tu vas m'enseigner, alors.*
- *Tu seras docile?*
- *Mais oui, mon oiseau!*
- *Et qu'est ce que tu vas me donner en reieur?*
- *Dix baisers.*
- *C'est pas assez.*
- *Mille baisers alors!*

Pierce poderwał się gwałtownie, z hałasem odsuwając krzesło, które przewróciło się z hukiem, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami. Zapadła pełna konsternacji cisza.

- Maniery rodem ze szkoły publicznej - zauważyła Casie.

Mary chciała wstać, lecz wujek Theo z jednej strony i John Ducane z drugiej powstrzymali ją gestem ręki. Usiadła z powrotem.

- Opowiedz mi jeszcze o delfinach - powiedział wujek Theo do Edwarda.

- Mary, nie martw się... - zaczęła Kate.

Mary zdecydowała, że nie powinna zostawać. Wstała i bez słowa wyszła przez kuchnię do ogrodu. W ogrodzie było cicho, gorąco i duszno, nawet kukułka zamilkła w tym popołudniowym skwarze. Mary ruszyła kamienistą ścieżką, przesuwając dłonią po puszystych krzakach przetacznika. Przeszła przez furtkę w murze. Nie zamierzała szukać Pierce'a. Wiedziała, że gdy tylko wyszedł z domu, zaczął biec i teraz może już być w połowie drogi do cmentarza, gdzie - zagrzebany w bluszczu - i tak będzie niewidoczny. Zresztą nie

miała mu nic do powiedzenia, nawet przestała już o nim myśleć. Zdenerwowanie Pierce'a udzieliło się Mary i to jej własna, a nie jego udręka nie pozwoliła jej zostać przy stole.

„Robię z siebie kompletną idiotkę” - pomyślała. - „I jest coraz gorzej. Nie mam już osiemnastu lat i nie powinnam sobie pozwalać na takie rozczulanie się nad sobą. Żeby chociaż chodziło o coś konkretnego. A tu zupełnie o nic nie chodzi.”

Wdychając zapach rozgrzanego od słońca mchu, ruszyła aleją, doszła do lasku i usiadła na pniu, grzebiąc nogami w uschniętych liściach. „Może przydałyby mi się wakacje?” - pomyślała. - „Może po prostu o to chodzi? Czasami czuję się taka przytłoczona przez nich wszystkich. Każdy *coś* ma, a ja nie mam nic. Naprawdę powinnam znaleźć sobie jakąś odpowiednią pracę. Ale chyba jestem tu potrzebna, zwłaszcza bliźniakom. Kiedy dorosną, zapiszę się na kurs nauczycielski. I rozpocznę zupełnie nowe życie.” A później: „Czy rzeczywiście tylko tego mam się spodziewać od życia, czy tylko tym się mogę pocieszać? Lata całe spędzone na prowadzeniu cudzego domu, a potem praca w szkole? Przecież moje potrzeby są ogromne, moje pragnienia są nienasycone, chcę miłości, chcę blasku i namiętnej miłości, chcę jej teraz, chcę mieć kogoś. Och, Willy, Willy, Willy...”

W świetle mignął jakiś cień. Był to John Ducane. Mary zaskoczona poderwała się na równe nogi.

Bardzo lubiła i podziwiała Ducane'a, ale, jak to trafnie zauważyła Kate, trochę się go bała.

- Och, to ty, John...

- Usiądź, Mary. Przepraszam, że cię śledziłem.

Usiadł koło niej.

- Mary, tak mi przykro. Czuję, że to wszystko moja wina. Zachowałem się głupio i nieładnie. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

„Gniewam...?” - pomyślała Mary. - „Jestem wściekła! Jestem oszałała z bólu, jestem zrozpaczona!”

- Nie, nie, nie przejmuj się. - powiedziała. - Pierce niestety zachował się okropnie. Mam nadzieję, że Barbarze nie jest zbyt przykro.

- Nie. Wykazała wiele zrozumienia - odparł. - Nie zdawałem sobie sprawy, że... no, że to aż tak poważne. Na przyszłość będę bardziej taktowny. Nie martw się. Młodzi muszą trochę pocierpieć, nie możemy ich przed tym uchronić...

„Do diabła z ich cierpieniem!” - pomyślała Mary.

- Racja - przytaknęła. - Ale na szczęście szybko dochodzą do siebie.

„Jakie to okropne” - pomyślała nagle, - „że tak tu sobie siedzę i uprzejmie rozmawiam, a jednocześnie jestem tak strasznie zrozpaczona i rozdarta w środku. Co ja mam zrobić?” I w tej samej chwili poczuła, że może zrobić tylko jedno, co też uczyniła. Wybuchnęła płaczem.

- Dobry Boże! - wykrzyknął John Ducane. Wyciągnął z kieszeni ogromną, czystą chusteczkę, rozłożył ją i podał Mary, która natychmiast ukryła w niej twarz.

Po paru minutach, gdy łyzy nieco obeschły i Mary wytarła nos, bardzo delikatnie dotknął jej ramienia, jak gdyby chciał jej przypomnieć o swojej obecności.

- Chodzi o Pierce'a?

- Nie, nie. Nie o niego się martwię, lecz o siebie.

- Co się stało? Powiedz mi.

- Chodzi o Willy'ego.

- Chyba się nie boisz, że on...

- Nie. Nigdy nie wierzyłam, że Willy mógłby się zabić. Ja po prostu..., no, chyba się w nim zakochałam... - Zdziwiły ją własne słowa. Jej uczucie nie miało w sobie tej nieubłaganej nieuchronności, która cechowała jej wcześniejsze miłości. Ale zaczęło wypełniać całą jej świadomość i z całą pewnością to ono było prawdziwą przyczyną tych nagłych napadów smutku.

Ducane wysłuchiwał jej z powagą i skupieniem, jak gdyby Mary była pacjentką, opowiadającą o swojej chorobie.

- Cieszę się z tego - odezwał się po chwili, - bo to z pewnością pomoże Willy'emu. A co on na to? Wie o tym?

- Tak, wie. A co do jego uczuć - wiesz przecież, jaki on jest. Nigdy nie wiadomo, co czuje.

- Myślałem, że może w twojej obecności zachowuje się... zupełnie inaczej.

- Nie, nie. Znamy się chyba całkiem dobrze, ale tylko dlatego, że to ja afiszuję się ze swoimi uczuciami. On jest obojętny, bierny, całkowicie bierny.

- Nigdy ci nie opowiadał o tamtym miejscu?

- W ogóle nigdy nie mówi o sobie.  
- Wybierasz się teraz do niego?  
- Nie. Powiedział, żeby dziś nie przychodzić. Wiesz, jaki jest.  
- Wiem, jaki jest i wyobrażam sobie, że to człowiek, którego trudno kochać. Ale pomyślmy, pomyślmy...

Zapadła cisza. Mary powoli wycierała twarz chusteczką, Ducane, pochylony do przodu, ze skupioną miną kruszył w palcach suchy listek. Przed nimi przefrunęły dwa bawiące się żółte motyle. Mary wyciągnęła do nich rękę.

- Przepraszam, że cię tym obarczam - powiedziała. - Powinnam sama dźwigać swój krzyż. Naprawdę nic takiego się nie dzieje. W końcu nie jestem już taka młoda! To minie. Wszystko się jakoś ułoży.

„Ułoży się!” - pomyślała. - „Tak, ułoży się w smutek, ciszę, zapomnienie i nudę.” Wiedziała jednak, że tym, co ją dręczy jest nie gwałtowna namiętność, lecz niepokój jej niezaspokojonej kobiecej natury.

Już od dawna w niej mieszkał, był w jej zdenerwowaniu, w jej łzach. Myśl ta była tak przepojona rozpaczą, że Mary o mało co znowu się nie rozpłakała.

W tej chwili zobaczyła, że Ducane wstał. Patrzył na nią swymi okrągłymi, zdziwionymi, niebieskimi oczami.

- Wiesz, co myślę? - powiedział podekscytowanym głosem. - Myślę, że powinnaś wyjść za niego za męża!

- Wyjść za niego za męża? - powtórzyła tępo. - Przecież ci powiedziałam, jak się wobec mnie zachowuje.

- To się da zmienić. Jestem pewien, że to tylko kwestia dobrej woli. Zaraziłaś się od niego biernością, dostosowujesz się do jego nastrojów.

To prawda, że zawsze dostosowywała się do jego nastroju.

- Uważasz, że naprawdę bym mogła...?

- Musisz spróbować, musisz wziąć się w garść. Byłaś wobec niego zbyt pokorna. Zakochana kobieta ma w sobie ogromną duchową siłę, jeżeli tylko wie, jak ją wykorzystać. Nie wyobrażasz sobie, jaką władzę masz nad nami wszystkimi! Zawsze wiedziałem, że tylko ty możesz pomóc Willy'emu, ale nie myślałem, że będziesz musiała z nim walczyć, zadziwić go, obudzić, a nawet zranić. Mary, musisz

spróbować! Uważam, że powinniście się pobrać i natychmiast stąd wyjechać.

„Czy rzeczywiście jestem tak silna?” - pomyślała. Odkąd poznała Willy'ego była mu całkowicie podporządkowana. Nie zmieniło tego „afiszowanie się z uczuciami”. W jego towarzystwie ograniczała do minimum swoją obecność po to, by on mógł zaistnieć. Teraz zrozumiała, że ta właśnie taktyka zrodziła frustrującą melancholię, którą niesłusznie brała za jego zachowanie obronne.

- Powiedz sobie - ciągnął Ducane, - że wszystko jest możliwe.

„Tak, wyjdę za Willy'ego” - pomyślała Mary. - „I zabiorę go stąd”.

Z tą myślą do jej serca wpłynęło tyle radości, że wstała tak lekko i bez wysiłku, jak gdyby to dwa anioły, ujawszy ją pod łokcie, dźwignęły ją do góry.

- Spróbuję - powiedziała. - Spróbuję.

- Podobno dziś podczas lunchu okropnie się zachowałeś.

- Kto ci powiedział?

- Bliźniaki.

- No i co?

- No i nic. Zajmijmy się łaciną.

- Och, Willy... Jestem taki beznadziejny... Przepraszam...

- Barbara?

- Tak.

- A ona?

- Ja ją tylko drażnię.

- Nie mogę cię pocieszyć, Pierce. Będziesz cierpieł. Ale spróbuj zapanować nad tym cierpieniem. Zmiażdż je w swoim sercu jak Odys.

- Czy to prawda, że pierwsza miłość jest najtrudniejsza?

- Nie.

- O Boże, chyba będę musiał stąd wyjechać. Gdyby chociaż nie grała na tym przeklętym flecie. Jeszcze mnie tym dobją.

- Tak, wyobrażam sobie, że to musi być... okropne.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli trochę pochodzę? Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy każda chwila przynosi najbardziej przerażający ból.

- Co nieco o tym wiem.

- Kto był twoją pierwszą miłością, Willy?

- Dziewczyna, dziewczyna, dziewczyna...
- Jaka była?
- To było dawno temu.
- Jak to dobrze być w wieku, kiedy człowiek już się nie zakochuje.
- Jak Cefalus w pierwszej księdze *Republiki*.
- Właśnie. Przedtem w ogóle nie rozumiałem tego kawałka.

Zazdroszczę ci. Jak myślisz, czy ona się zmieni?

- Nie łudź się.
- Czy jest na to jakieś lekarstwo?
- Tylko sztuka. Albo jeszcze większa miłość.
- Umarłbym, gdybym kochał jeszcze bardziej.
- Umarłbyś po to, żeby żyć, Pierce.
- Nie, po prostu bym umarł. O kurczę, stłukłem jajko, które przyniosły ci bliźniaki. Pójdę się umyć.

Dlaczego to stłuczone jajeczko, kawałeczki pstrokatej, niebieskiej skorupki i żółtko, które zmywał z palców, sprawiło, że nagle tak intensywnie zaczął myśleć o Barbarze? *Jam jest śmierć w życiu i życie w śmierci*. Miłość bez ograniczeń powinna być siłą, wprowadzającą w życie ład i piękno. Miłość jednak może być tak silna, a jednocześnie tak bezgranicznie bezsilna - i to właśnie łamie serce. Miłość nie dąży do życia lecz do śmierci, do rozszalałych morskich jaskiń unicestwienia. Albo prowadzi do bezcelowości stłuczonego ptasiego jajeczka, którego szczątki spłukuje woda z kranu. Pewnego dnia Bóg może tak samo zmiażdżyć wszechświat i zmyć jego bezowocne, bezsilne miłości powodzią obojętnej siły.

- Przepraszam, Willy. Weźmy się za łacińską prozę.
- Rozmyślałem się. Prozę zajmiemy się jutro. Dziś będziemy czytać poezję. Ty poczytasz na głos, a potem wspólnie popłaczemy. Proszę.

Vivamus, mea Lesbia, atque amemus,  
 rumoresque senum severiorum  
 omnes unius aestimemus assis.  
 soles occidere et redire possunt:  
 nobis cum semel occidit brevis lux,  
 nox est perpetua una dormienda...

## Rozdział trzynasty

Leniwy, letni wieczór, gęsty od kurzu, spalin i zmęczenia wracających do domu ludzi, rozsnuł się nad Notting Hill jak chmura trującego gazu. Bezustanny zgiełk ruchu ulicznego rozproszył się w gęstym świetle, zniekształcającym fasady domów i twarze przechodniów. Cała dzielnica drżała, wibrowała i lekko się przesuwała, jak gdyby coś bardzo groźnego usiłowało się przedostać na ten świat.

Ducane szedł szybkim krokiem, co chwila zaglądając do mapki w notesie, która ukazywała drogę do domu Petera McGratha. Był nieco niespokojny przed tą niezapowiedzianą wizytą. Nie lubił zastraszać słabszych od siebie, a to co zamierzał teraz uczynić niestety tak się nazywało. Niepokoił się również tym, że jego wysiłek może pójść na darmo. Skoro już musi użyć siły, powinien przynajmniej zrobić to szybko, sprawnie i zdobyć dokładnie to, po co tu przyszedł. Niestety wiedział tak niewiele o swojej ofercie, że nie był pewien w jaki sposób ma ją zastraszyć; gdy minie zaskoczenie wywołane tą niezapowiedzianą wizytą, McGrath może odmówić rozmowy, odwołać się do swoich praw, a nawet „zrobić się nieprzyjemny”.

Poza tym był jeszcze ten problem, że jak do tej pory jego śledztwo niczego nie wykazało. Premier poprosił o raport z dotychczasowych rezultatów i Oktawian, który nie mógł mu nic powiedzieć, zaczynał się denerwować. Gazeta wciąż odmawiała udostępnienia informacji o Radeechym, śledztwo Georga Droysena na Fleet Street niczego nie wykazało, odnalezienie „Heleny Trojańskiej” okazało się rzeczą nie do zrealizowania, Ducane przeszukał gabinet Radeechy'ego nie



znajdując niczego godnego uwagi, a uzyskanie nakazu rewizji domu i konta bankowego Radeechy'ego rozbijało się o biurokrację. Ducane rzeczywiście miał prawo narzekać, że jego śledztwo nie ma żadnego statusu i nic dziwnego, że nie przynosi żadnych rezultatów. Jednak wiedział przecież, czego się podejmuje i nie mógł znieść myśli o porażce. McGrath wciąż był jego jedynym punktem zaczepienia i teraz wszystko zależało od tego, ile Ducane zdoła z niego wyciągnąć. Ta myśl jeszcze bardziej wzmogła jego zdenerwowanie.

Skreślił w hałaśliwą, wąską ulicę, na której - jeden przy drugim - stały zniszczone domy, kioski z gazetami i sklepiki spożywcze. Prawie wszystkie drzwi były pootwierane, a mieszkańcy, w tym wielu kolorowych, siedzieli przed domami, albo wyglądali przez okna. Niewiele budynków miało tabliczki z numerami, ale licząc od domu, który akurat go posiadał, Ducane'owi udało się odnaleźć drzwi, na których, wśród wielu innych nazwisk i obok ogromnej różnorodności dzwonek, widniało nazwisko McGratha. Przez chwilę zwlekał z naciśnięciem dzwonka. Serce waliło mu jak oszałałe. „Zupełnie jak schadzka zakochanych!” - pomyślał ponuro. I w tej chwili przez jego umysł, jak wielki, czarny ptak, przelatujący tuż nad jego głową, przemknęła myśl o Jessice. Jutro miał się z nią zobaczyć.

- Dzwonki nie działają - poinformował go osobnik, który właśnie zszedł ze schodów. - Kogo pan szuka?

- McGratha.

- Trzecie piętro.

Ducane zaczął wspinać się po nieoświetlonych schodach, na których pachniało kotami. W drodze towarzyszyły mu trzy kocury, które przemykały się bezszelestnie między jego nogami a poręczą, czekały na niego na piętrze i potem znowu gnały pod górę. Na trzecim piętrze ujrzał świeżo pomalowane drzwi z zamkiem Yale'a i dzwonkiem. Przycisnął go.

- Kto tam? - odezwał się zza drzwi kobiecy głos.

Dochodzenie w biurze nie ujawniło, że McGrath jest żonaty i Ducane brał go za kawalera.

- Chciałbym się widzieć z panem McGrathem.

- Niech pan poczeka. - Coś zaszurało i drzwi otworzyły się na parę centymetrów. - Na miłość boską, niech pan nie wpuszcza tych szcurów.

- Szczurów?

- Wszystko jedno - koty, szczury, przerośnięte szczury. Kiedy otworzę drzwi, niech pan szybko wchodzi, żeby nie wleciały za panem. Teraz - szybko!

Drzwi się otworzyły i Ducane prędko wszedł do środka, za nim wskoczył kot.

Osoba, która otworzyła drzwi była wysoką kobietą o bardzo śniadej cerze, tak śniadej, że w pierwszej chwili wziął ją za Hinduskę. Była ubrana w biały szlafrok, głowę miała owiniętą ręcznikiem i pewnie ten biały turban tak ją upodobił do Hinduski. Było w niej coś zdumiewającego, choć początkowo Ducane nie mógł zrozumieć, co. W pokoju panował mrok, zasłony były na wpół zaciągnięte.

- Nie cierpię tych kotów, wszystko wynoszą z domu, są zagłodzone prawie na śmierć i drapia. Mama mówiła, że kiedy byłam dzieckiem, jakiś kot wskoczył do mojego wózka i usiadł mi na twarzy i od tamtej pory jeżeli w pokoju są koty, to nie mogę oddychać. Śmieszne, co? A pan nie ma nic przeciwko kotom?

- Nie, nie przeszkadzają mi - powiedział Ducane. - Przepraszam, że panią niepokoję, ale szukam pana McGratha.

- Pan jest z policji?

To pytanie zainteresowało Ducane'a.

- Nie. A czy pan McGrath spodziewa się policji?

- Nie wiem, czego on się spodziewa. Ja się spodziewam policji. Spodziewam się Bomby. Pan wygląda, jakby na kogoś polował.

- Nie jestem policjantem - powtórzył Ducane.

- Nie ma go tutaj, ale zaraz wróci. Może pan poczekać.

Ducane z pewnym zdziwieniem stwierdził, że jego niepokój całkowicie zniknął, a na jego miejscu pojawiło się coś w rodzaju lekkiej ekscytacji. Był opanowany i fizycznie rozluźniony. Zaczął badać swoje otoczenie, zaczynając od stojącej przed nim kobiety.

Ta wysoka, na biało ubrana kobieta w turbanie z pewnością nie była Hinduską. Co prawda miała ciemną cerę, a spod ręcznika wmykały się kosmyki prawie czarnych włosów, lecz jej oczy były intensywnie niebieskie, jak ciemny błękit Morza Północnego w jasnym świetle. Ducane ocenił, że kobieta musi mieć w sobie celtycką krew. Patrzyła na niego spokojnie - swobodna i dumna, jak kapłanka stojąca na szczycie nieskończonej długi, kamiennych schodów i obserwująca procesję, zmierzającą ku jej tajemnicy.

Wstrząśnięty tą nagłą wizją, Ducane spuścił wzrok. Patrzył na nią niezbyt grzecznie i z pewnością zbyt długo.

- Niech pan nie mówi, kim pan jest. Sama zgadnę.

- Jestem z... - powiedział pośpiesznie.

- Och, nieważne - przerwała mu. - Jeżeli się pan zastanawia, kim do diabła ja jestem, to nazywam się Judy McGrath, to znaczy pani McGrath, oczywiście nie stara pani McGrath, ta stara suka umarła dziesięć lat temu. Jestem żoną McGratha, Boże dopomóż. No, chyba pan nie myślał, że jestem jego matką, co? Chociaż oczywiście nieco się posunęłam od czasu konkursu piękności w Rhyl... Naprawdę wygrałam ten konkurs, wie pan? Pokażę panu zdjęcie. Jest pan żonaty?

- Nie.

- Tak też myślałam. Kawalerowie mają taki świeży, niezepsuty wygląd. To matki, te stare suki, tak na nich wpływają. Niech pan siada, za to się nie płaci. Napije się pan różowego wina? Smakuje obrzydliwie, ale przynajmniej to alkohol.

Ducane usiadł na sofie, przykrytej cienką, kwiecistą kapą, której brzeg był wetknięty za oparcie. W pokoju panował rozgardiasz, duchota i unosił się zapach kosmetyków. Zza drugich, uchylonych drzwi widać było ciemną przestrzeń. Poza sofą, koło telewizora w rogu stały jeszcze dwa karłowate krzesła wyściełane jakąś sztuczną materią i nowoczesne lakierowane stoliki do kawy. Stoliki były zavalone zakurzonymi bibelotami, wazonikami, fantazyjnymi popielniczkami i porcelanowymi figurkami zwierząt. Na jednym z krzeseł leżał drogi aparat fotograficzny. Na linoleum, sięgającym ciemnego wejścia, walała się biała koronkowa halka. Panowała tu atmosfera sklepu lub poczekalni, atmosfera niepewności, tymczasowości i rozpacz, atmosfera nudy, być może nudy pani McGrath.

- O Boże, jak ja się nudziłam zanim pan przyszedł! - powiedziała pani McGrath. - Czekanie jest takie nudne.

Ducane był ciekaw, na co czekała. Jakoś wydawało mu się oczywiste, że nie na męża.

- Nie, dziękuję - powiedział, gdy podała mu kieliszek wina. Zauważył, że w drugiej ręce trzymała małe lusterko.

- Francuski piesek, co? Jestem legalną żoną McGratha, wie pan? Chce pan zobaczyć mój paszport? A może się pan boi, że

rzucę na niego urok? Nie jestem czarnuchem, nie jestem gorsza od pana. A może ma pan coś przeciwko Walijszykom? Kupa ludzi to anty-Walijszczy. Właściwie to jestem walijską Australijką, to znaczy moi rodzice byli Australijszczykami z Walii, tylko, że wrócili do domu i urodziłam się w Rhyl i tam wygrałam konkurs piękności. Mogłam zostać modelką. Pan jest Anglikiem?

- Nie, Szkotem.

- Jezu, to tak jak McGrath, tylko, że on jest południowolondyńską hieną. Urodził się w Croydon. A przy okazji - mam na imię Judy. A nie, przecież już mówiłam. Przepraszam na chwilę, muszę się przebrać.

Pani McGrath zniknęła w drugim pokoju, po drodze zgarniając z podłogi halkę. Wróciła chwilę później w bardzo krótkiej, zielonej, bawełnianej sukience, szczotkując swe kręcone, czarne włosy, które gęstą falą spływały na jej plecy. Na dole były podwinięte, co upodabniało ją do Egipcjanki.

Ducane wstał. Teraz zrozumiał, że tym, co go zdumiało w pani McGrath była po prostu jej wyjątkowa uroda.

- Zmieniłem zdanie. Czy mogę prosić o kieliszek wina?

- Pewnie. Proszę, oto pański kieliszek. Niech pan siada, niech pan siada. Zmieszczę się koło pana. O, tak. Nie będzie panu przeszkadzało, jeżeli będę szczotkować włosy? A to pech, noszę rajstopy, nie ma się na co patrzeć.

Pani McGrath, usiadła koło Ducane'a i ostentacyjnie założyła nogę na nogę. Ducane sączył wino. Gdyby rzeczywiście chciała rzucić na niego urok, w tej chwili nie miałyby nic przeciwko temu. Pokój zaczął pachnieć alkoholem, a może był to zapach pani McGrath. Ducane uświadomił sobie, że jest lekko wstawiony. Odwrócił się i spojrzał na nią.

Głęboko wcięta, zielona sukienka odsłaniała zagłębienie pomiędzy krągłymi, miękkimi, białymi piersiami. Twarz pani McGrath, nie nosząca ani śladu makijażu, teraz wyglądała na bledszą i była przezroczyście kremowa pod brązową opalenizną. Kręcone, czarne włosy trzaskały i unosiły się pod równymi pociągnięciami szczotki. „Czarna Dama” - pomyślał Ducane. - „Circe”.

Zimne, niebieskie oczy obserwowały go ze spokojem. Wciąż szczotkując włosy, sięgnęła lewą ręką po swój kieliszek. „Cyk, cyk!”

- delikatnie stuknęła nim o kieliszek Ducane'a i energicznie skręcając nadgarstek, zewnętrzną stroną dłoni pogładziła jego dłoń. Szczotka znieruchomiła.

Ręka pani McGrath wciąż dotykała jego ręki. Ducane miał uczucie, jakby go coś parzyło, a jednocześnie długa, ciepła włócznia zatapiała się głęboko w jego ciało. Nie cofnął ręki.

Szczotka upadła na podłogę. Pani McGrath wzięła w prawą rękę kieliszek swój i Ducane'a i odstawiała je na stolik. Jej lewa ręka jak wąż zaciskała się wokół jego dłoni.

Ducane spojrzął w jej niebieskie, teraz bardzo rozmarzone oczy. Powoli pochyliła się ku niemu i niezwykle delikatnie dotknęła ustami jego ust. Przez sekundę czy dwie trwali tak - usta przy ustach. Potem pani McGrath wsunęła ręce pod jego ramiona i gwałtownie się na niego rzuciła, miażdżąc pocałunkiem jego wargi. Ducane poczuł jej język. Po chwili uwolnił się i wstał.

Pani McGrath nie poruszyła się, nadal wyciągając ręce, jakby go obejmowała. Jej oczy barwy Morza Północnego były teraz zwężone, rozbawione, drapieżne i przebiegłe.

- Panie Misiu, panie Misiu - powiedziała miękko. - Podobasz mi się.

Gdy później Ducane analizował swoje zachowanie, doszedł do wniosku, że nie ma sobie nic do zarzucenia. W tamtej chwili jednak czuł przede wszystkim intensywną, nieodpowiedzialną fizyczną rozkosz, związaną ze wszystkimi szczegółami ciągu minionych wydarzeń, jak gdyby ich wszystkie posunięcia od momentu, kiedy dotknęły się ich ręce, skomponowały się w jego systemie nerwowym w jakiś rozedrgany wzór. Czuł radość człowieka, któremu na szyję zupełnie niespodziewanie zarzucono wielką girlandę kwiatów. Czuł też natychmiastową potrzebę szczerzej rozmowy z panią McGrath i wyjawienia jej nieprzyjemnej prawdy.

- Pani McGrath, to prawda, że nie jestem z policji, ale przychodzę tu jako przedstawiciel departamentu rządowego, w którym pracuje pani mąż - wyrzucił z siebie. - Pani mąż niestety ma kłopoty i muszę mu zadać parę dosyć nieprzyjemnych pytań.

- Jak się nazywasz? - spytała Judy McGrath, zmieniając pozycję na wygodniejszą.

- John Ducane.

- Jesteś słodki.

Ducane przysiadł ostrożnie na jednym ze stolików, przesunawszy na bok rodzinę różowych świnek z porcelany.

- Obawiam się, że sprawa może okazać się poważna...

- Jesteś bardzo słodki. Wiesz co? Napij się jeszcze wina. Co chcesz usłyszeć od McGratha? Może ja bym ci mogła coś powiedzieć?

Ducane zadał sobie pytanie, czy może z tego skorzystać. I jakaś zawodowa bezwzględność, jeszcze wzmocniona przez właściwe mu poczucie winy, osłabiające teraz jego rozkosz, odpowiedziała - tak.

- Pani McGrath, pani mąż szantażował pana Radeechy'ego - powiedział poważnym tonem.

Oczy Judy McGrath już nie przypominały oczu kapłanki. Spojrzała na Ducane'a bystro, lecz ufnie. Patrzyła na niego jak na starego przyjaciela, przynoszącego złe wieści.

- Domyślam się, że straci pracę? - powiedziała po chwili.

- Ile Radeechy mu dał za milczenie? - spytał Ducane. Patrzył na nią chłodnym, niemalże cynicznym wzrokiem, lecz później wydawało mu się, że te pytania i odpowiedzi, podobnie jak poprzednia scena, przesiąknięte były sporą dawką erotyzmu.

- Nie wiem. Niewiele.

Ducane wydał z siebie przeciągłe westchnienie. Wstał znowu.

Gdy zastanawiał się nad kolejnym pytaniem, usłyszał odgłosy kroków na schodach. Szybko odwrócili się od siebie.

- To on - powiedziała cicho. - Jeszcze się zobaczymy, panie Misiu, jeszcze się zobaczymy.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł McGrath.

Plan Ducane'a, mający na celu zaskoczenie McGratha, najwyraźniej się powiódł. McGrath stał w drzwiach z otwartymi ustami, gapiąc się na niego. Potem jego twarz skurczyła się w pełnym przestachu i podejrzliwości grymasie i McGrath ciężkim ruchem odwrócił się do swojej żony.

- Dobry wieczór, panie McGrath - powiedział Ducane uprzejmie. Był czujny i opanowany.

- No, to ja idę do pubu - odezwała się Judy McGrath. Wzięła z sofy torebkę i podeszła do wyjścia. Kiedy McGrath, znowu patrząc na Ducane'a, nie poruszył się, odepchnęła go na bok. Kopniakiem zamknął za nią drzwi.

- Przepraszam, że pana niepokoję - powiedział Ducane - ale muszę panu zadać jeszcze kilka pytań.

- Słucham.

Powstała między nimi niebezpieczna równość. McGrath wciąż był naładowany gwałtownością swojego niedawnego zachowania wobec żony. „Muszę go ponaglić” - pomyślał Ducane.

- Szantażował pan Radeechy'ego - powiedział.

- Czy moja żona panu to powiedziała?

- Nie. Wiemy o tym z papierów Radeechy'ego. Jak pan wie, kary za szantaż są wyjątkowo surowe.

- To nie był szantaż - powiedział McGrath. Oparł się o drzwi.

- No, powiedzmy, że Radeechy wynagradzał pana za milczenie. Szczerze mówiąc, McGrath, nie interesuje mnie pan i jeżeli teraz powie mi pan całą prawdę, zrobię wszystko, żeby pana z tego wyciągnąć. Jeżeli nie, zajmie się panem prawo.

- Nie rozumiem - powiedział McGrath. - Nie zrobiłem nic złego.

- Dobrze, dobrze. Wiemy, że wyłudzał pan pieniądze od Radeechy'ego. Pewnie nie przyszło panu do głowy, że jest pan częściowo odpowiedzialny za jego śmierć?

- Ja? - McGrath zrobił parę kroków do przodu i chwycił się oparcia sofa. Dopiero teraz zaczął myśleć i na jego twarzy pojawił się niepokój. - On się mną nie przejmował. Nie martwił się przeze mnie. Lubiłem go. Byliśmy przyjaciółmi.

- Niestety nie wierzę panu - powiedział Ducane. - Ale chciałbym wiedzieć....

- To nie był szantaż - przerwał mu McGrath. - Nie może pan tego udowodnić. Pan Radeechy dawał mi pieniądze za moje usługi. Wcale go nie prześladowałem, to nie ja. Proszę spytać pana Biranne'a, powie panu, jak tam było - w mieszkaniu Radeechy'ego. Nigdy nie groziłem panu Radeechy'emu, nie może pan udowodnić, że to był szantaż. To znaczy, to naprawdę nie był szantaż, on mnie po prostu lubił, lubił mnie i hojnie mi płacił. I to wszystko.

Ducane cofnął się parę kroków. Usiłował zebrać myśli, by zrozumieć wiadomość, która spadła na niego tak nieoczekiwanie. Niczego po sobie nie pokazał.

- Pan Biranne - powiedział chłodno. - Tak, oczywiście. Przecież często tam bywał, prawda?

- Pewnie - przytaknął McGrath. - I on może zaświadczyć co było między mną i panem Radeechym. Ja i szantaż! Nie skrzywdziłbym nawet muchy! Byłem...

Protestował tak jeszcze przez jakiś czas.

Ducane pomyślał: „A więc Biranne nie mówił prawdy o swoich stosunkach z Radeechym. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?”.



## Rozdział czternasty

Trzy kobiety szły wolno brzegiem morza. Jego gładka powierzchnia miała jasną, świetlistą barwę błękitu, usiana była migoczącymi klejnocikami światła i oddzielona cienką, granatową linią od bledszego, czystego nieba, które w taki dzień wyglądało tak, jak by je można było przejrzeć na wskroś. Rano po plaży kręciło się paru tubylców, lecz teraz, wczesnym popołudniem, o tej martwej porze, plaża świeciła pustkami. W głębi lądu, na łuku zielonego stoku, jak sylwetka w tle obrazu Ucellego, rysowała się postać Barbary na nowym kucyku.

Sylwetki odcinające się od bladego, niebieskiego światła, wydawały się monumentalne w tej pustej scenerii. Kobiety szły wolno i leniwie jedna za drugą: przodem - Paula w prostej, żółtej, bawełnianej szmizjerce, za nią Mary w białej sukience w małe niebieskie stokrotki i Kate - w fioletowo-czerwonawej sukience w ogromne kwiaty z wysp południowych. Kate szła po morskim dnie; podczas odpływu przy samym brzegu było trochę piachu. Mary i Paula szły nieco wyżej plażą, po grani szaroniebieskich i białych kamyczków.

Paula obracała na palcu obrączkę. Często miała ochotę wyrzucić ją do morza, ale zawsze powstrzymywały ją jakieś niemalże zabobonne skrupuły. „Co ja, do diabła, mam teraz zrobić?” - myślała. Właśnie dostała od Eryka pocztówkę z Singapuru. Niepokoiło ją to stopniowe zbliżanie się jej byłego kochanka. Jej pierwszą reakcją było istne przerażenie. A może jednak rzeczywiście miała do wypełnienia

jakaś misję? Być może Eryka - zranionego i okaleczonego z jej winy - uleczyć może tylko jej opieka? Początkowo, bez żadnego wyraźnego powodu, wydawało jej się, że musi poślubić Eryka lub ponownie zostać jego kochanką. Teraz już tak nie uważała. Powinna tylko stawić mu czoła, porozmawiać z nim rozsądnie i uprzejmie, jeśli będzie trzeba, rozmawiać bardzo długo. Odjechał zbyt szybko, a ona przyjęła to z tak nikczemną radością. Nigdy nie zdołała zrozumieć tamtej sytuacji, nigdy tak naprawdę o niej nie myślała, po prostu odsunęła od siebie ten problem. Jeżeli teraz spróbowałaby ją zrozumieć i pomóc Erykowi, to być może wyświadczyłaby zarówno sobie jak i jemu jakąś przysługę, o której teraz jeszcze nie miała najmniejszego pojęcia. Myśl o spotkaniu z Erykiem sprawiała jej tak straszny ból, że w żaden sposób nie mogła się z nią oswoić.

„Właściwie nigdy nie rozumiałam, co się stało” - myślała. - „To wszystko było takie okropne, że po prostu przestałam myśleć. I nigdy nie próbowałam zrozumieć Richarda. Gdybym tylko mogła powstrzymać go przed odejściem! Ale tak nienawidziłam siebie i całego tego zamieszania, że pozwoliłam mu odejść tylko po to, żeby zostać sama. A zresztą widocznie tak być musiało. Czy roztrząsanie przeszłości w ogóle ma jakiś sens? Jakoś nigdy nie wierzyłam w skruchę i wyrzuty sumienia. A jednak trzeba coś zrobić z przeszłością. Nie może tak po prostu przestać istnieć. Żyje nadal i wpływa na teraźniejszość, jak gdyby nadal się rozwijała w jakimś innym wymiarze.” Spojrzała ponad złowieszczą cichą, niebieską taflą morza, które tak przypominało jej o Eryku. „Gdybym teraz mogła spokojnie pomyśleć o tym, co wtedy zrobiłam” - myślała dalej - „czy zdołałabym nam wszystkim jakoś pomóc?” Potem uświadomiła sobie, że to „nam wszystkim” dotyczy również Richarda, lecz przecież nie mogła dla niego zrobić nic innego jak tylko całkowicie go opuścić. Może teraz pomóc Erykowi, a nie Richardowi i powinna pozbyć się tego dziwnego lęku, wywołanego rozmyślaniami o problemie, jakim jest ta pomoc. „Muszę to wszystko przemyśleć i muszę zapanować nad sytuacją. Eryk zawsze miał nade mną władzę i to właśnie było takie przerażające.” Oczywiście Paula nikomu nie zwierzyła się ze swoich kłopotów. Ukryła je głęboko w sercu jak straszliwe, krwawe arkana jakiejś mistycznej religii.

„A gdybym wyszła za Willy'ego” - myślała Mary - „i zabrała go stąd?” Myśl ta była niejasna, cudowna i zawierała nieoczekiwaną

obietnicę celu, przestrzeni, zmiany. Zaskoczyła ją. A właściwie - dlaczego nie miałyby tak zrobić? Ducane miał rację, twierdząc, że pogodziła się ze swą niższością wobec Willy'ego. Pozwoliła, by rzucił na nich oboje senny, zły urok i teraz Mary potrzebowała woli działania, by zdjąć to zaklęcie. „Nigdy nie miałam w sobie radości życia” - pomyślała. - „Alistair był radosny, cała radość w naszym małżeństwie pochodziła od niego. Ja jestem z natury niespokojna, głupio, niegodziwie niespokojna. Nawet teraz, gdy idę brzegiem tego błękitnego morza, powleczonego cukrowym światłem, widzę wszystko poprzez zasłonę niepokoju. Mój świat jest bury, matowy i wyblakły jak stara fotografia. Czy będę potrafiła go zmienić dla dobra Willy'ego? Bogowie w swej łaskawości obdarzają nas dobrocią. Czy mogą nas obdarzyć również radością? Być może to jedna i ta sama rzecz, a na imię jej «nadzieja». Gdybym zdołała choć trochę uwierzyć w szczęście, mogłabym zapanować nad Willym, mogłabym uratować Willy'ego.”

Słowa Johna Ducane'a, „Masz w sobie ogromną siłę”, właściwie już wpłynęły na jej podejście do Willy'ego. Jednak nie potrafiłaby mu się oświadczyć, choć wiele razy wyobrażała sobie, jak to robi. Lecz i tak wiele się między nimi zmieniło. „Chyba niepotrzebnie tak bardzo chciałam, żeby mi opowiedział o przeszłości, o tym, jak tam było. Czułam, że to stwarza między nami barierę. Teraz jednak wiem, że mogę ją pokonać, że mogę dotrzeć do Willy'ego i ożywić go zwyczajną pogodą ducha, zwyczajną miłością. Nie powinnam rozgrzebywać jego przeszłości, łączyć jej z teraźniejszością, którą przecież mogę z nim dzielić. Zresztą i tak mogłoby się to okazać niemożliwe. Muszę go kochać miłością wolną, spokojną, muszę wręcz czerpać z niego radość dla siebie! Już teraz czuję się mniej zależna.” Ostatnio, gdy chodziła po pokoju Willy'ego, odbierała tę zwiększoną niezależność jako doskonałe samopoczucie. I widziała, jak Willy jest tym zaintrygowany. Kiedy zobaczyła na jego twarzy wyraz zaskoczenia, roześmiała się tak serdecznie jak jeszcze chyba nigdy przedtem.

„Jak cudownie woda chłodzi moje stopy” - myślała Kate. - „Jakie to rozkoszne uczucie, kiedy coś zimnego pieści coś ciepłego - jak z tym gorącym puddingiem, we wnętrzu którego ukryta jest fura lodów. I jak intensywnie, bosko-niebieskie jest morze, jak kocioł pełen światła. Co za niesamowity kolor, jak ja bym chciała

popływać w kolorze tego morza, zanurkować w dół tego błękitnego szybu aż w sam środek wirującej, niezmaconej jasności, gdzie już nawet nie ma koloru, a tylko sama błogość. Jest tak cudownie, Oktawian w ogóle nie czuje się zraniony z powodu Johna, wiem, że tak jest, w ogóle, ani trochę, wcale się tym nie przejmuje. Oktawian jest szczęśliwy, a ja uszczęśliwię jeszcze Johna. Nadal się martwi Oktawianem, ale wkrótce się przekona, że wszystko jest w porządku, że wszystko jest w najlepszym porządku, a wtedy i on będzie szczęśliwy. Miłość jest taka cudowna, to najcudowniejsza rzecz na całym świecie. I jakie to szczęście, że mogłam się zakochać bez żadnych nieporozumień, bez strachu. Oktawian oczywiście jest wspaniały. Ma takie cudowne usposobienie. Zresztą ja też. Oboje byliśmy szczęśliwymi dziećmi, karmionymi piersią. A to się liczy. Myślę, że bycie dobrym człowiekiem to kwestia usposobienia. Tak, wszyscy będziemy tacy szczęśliwi i dobrzy. Och, jak to cudownie być mną!"

## Rozdział piętnasty

- Och, to ty - powiedział Willy Kost. - Kopę lat.

Theo powoli wszedł do domku, nie patrząc na swojego gospodarza, i zamknął drzwi, opierając się o nie ramieniem. Przeszedł przez pokój i postawił na parapecie butelkę whisky. Potem przyniósł z kuchni dzbanek z wodą i dwie szklaneczki. Jedną z nich podał Willy'emu, który usiadł przy stole.

- Co to za muzyka? - spytał Theo.

- Dwunasty kwartet, opus 127 na zwolnionych obrotach.

- Okropność.

Willy wyłączył gramofon.

- Męczarnie świadomości przedstawione na zwolnionych obrotach.

- Tak - powiedział Willy.

Theo wyjrzał przez okno.

- Świetna ta lornetka. To od Barbary?

- Tak.

- Widzę nasze Trzy Gracje, idące brzegiem morza. Jedna piękniejsza od drugiej.

- O c h .

- Wiesz, dlaczego tak długo nie przychodziłem?

- Dlaczego?

- Bo moja obecność chyba ci nie służy.

Willy sączył whisky.

- Wiesz, że to nieprawda, Theo.

- Niestety to prawda. Tobie potrzebni są zdrowi, zwyczajni ludzie. My zawsze rozmawiamy o metafizyce. A cała metafizyka to dzieło szatana. Dzieło szatana.

- Nie istnieje dobra metafizyka?

- Nie. O tej nic nie można powiedzieć.

- To smutne, bo cała rasa ludzka to takie gaduły.

- Tak, wszyscy lubimy gadać, a to jeszcze pogłębia, przedłuża, rozszerza i natęża nasze zło.

- No, no - powiedział Willy. - Bardzo niewiele osób zna te diabelskie teorie, o których mówisz.

- One mają na wszystko ogromny wpływ. Przenikają, przenikają. Stwarzają iluzję wiedzy. Nawet to, czego jesteśmy najbardziej pewni, ma jedynie iluzoryczną postać.

- Na przykład co?

- Na przykład to, że wszystko jest próżnością. Wszystko jest próżnością, Willy. Ty i ja jesteśmy tutaj jedynymi ludźmi, którzy o tym wiedzą i dlatego jesteśmy dla siebie tacy źli. Musimy o tym gadać. Ty i ja jesteśmy tutaj jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, ale wiemy także, że nie wiemy. Nasze serca są zbyt zepsute, by dostrzec prawdę, znamy ją tylko w postaci iluzorycznej.

- Nie ma żadnego wyjścia?

- Po tej stronie jest milion różnych wyjść prowadzących z powrotem do kaprysów zwyczajnego życia. Bułki do herbaty są wyjściem. Propercjusz jest wyjściem. Ale to tylko forma ucieczki. Trzeba umieć się przedostać... na... drugą stronę...

- Być może masz rację, jeżeli chodzi o Propercjusza - powiedział Willy. - Ale o bułkach do herbaty nie powiedziałbym dobrego słowa.

- Mary.

- Nie, nie. Mary to zupełnie co innego. Ale te bułki do herbaty...!

- To prawda, są bułki i bułki - przyznał Theo. - Ale weźmy Propercjusza. Jaki jest cel tych wszystkich twoich zajęć, co naprawdę chcesz przez to osiągnąć? Jałowy wysiłek, jałowy wysiłek, wypełnianie próżni, która dla dobra twojego wiecznego zbawienia lepiej powinna pozostać niewypełniona. Czy twoje wydanie Propercjusza będzie wybitnym dziełem naukowym?

- Nie.

- Czy jest potrzebne rodzajowi ludzkiemu?

- Nie.

- Nie jest wybitne, nie jest nawet potrzebne. To miernota, wypełniacz czasu. Po co to robisz?

Willy zastanawiał się przez chwilę.

- Jest wyrazem mojej miłości do Propercjusza i mojej miłości do łaciny. Miłość powinna być uzewnętrzniana. Nie da się tego wyrazić w terminach twojej szatańskiej metafizyki, ale moja praca to... niepodważalne dobro. A jeżeli niepodważalne dobro jest osiągalne, wyciąga się po nie rękę.

- Pozwól, że skoryguję twój opis, mój drogi. W tym wypadku obiektem miłości jesteś ty sam, to jest ta wartość, którą usiłujesz hołubić i chronić przy pomocy łaciny i Propercjusza.

- Możliwe - zgodził się Willy. - Ale nie rozumiem, dlaczego koniecznie trzeba wiedzieć. Zresztą ty sam jesteś specjalistą od nie-wiedzenia.

Theo odszedł od okna i stał teraz przy stole, opierając się na zaciśniętych dłoniach i patrząc na swojego gospodarza. Rozpięta marynarka zwisała luźno, odsłaniając zmiętą koszulę, poplamione brązowe szelki i brudną wełnianą kamizelkę. Pachniał potem i psem. Willy schylił się i potarł kostkę u nogi małą, delikatną dłońią.

- A co po Propercjuszu?

- Pewnie następny wypełniacz czasu.

- Słyszałeś o tym facecie, który popełnił samobójstwo?

- Nie - zdziwił się Willy. - Kto taki?

- Och, nie znamy go, jak by to ujęła Kate. Po prostu jakiś szary człowieczek z biura mojego kochanego braciszka. Wszyscy są strasznie podminowani. To najśmieszniejsze wydarzenie, odkąd Oktawian został odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. Ukrywają to przed tobą. Wiesz, dlaczego! Stajesz się dla nich jakąś świętością.

- Nie powinni się o mnie martwić - wymamrotał Willy. - Przeżyję, co mi dane.

- Tak, pewnie tak - powiedział Theo, - chociaż zupełnie nie wiem, po co. Nie mam pojęcia, po co ja sam jeszcze żyję. Teraz przez cały czas czuję się chory. I już nie mogę tam wytrzymać, dlatego przyszedłem tutaj, żeby cię torturować. Tam robi się coraz gorzej. Wszyscy tak słodko na siebie patrzą. *Homo homini lupus*, Willy, *homo homini lupus*. To zbrodniecy i nawet o tym nie wiedzą. Mój kochany

braciszek, ta idealna kulka, odczuwa erotyczną satysfakcję, widząc jak jego własna żona flirtuje z innym mężczyzną...

- Trzeba na to przymknąć oko - powiedział Willy. - Nie robią zbyt wiele złego. Wściekasz się na nas za to, że nie jesteśmy święci.

- Tak, tak, tak. A kiedy przestanę się wściekać, to będzie znaczyło, że umarłem. To jedyna rzecz, której jestem pewien i zamierzam ją wykrzykiwać jak nudny ptaszek, znający tylko jedną melodię.

- Jeśli to wiesz, musisz wiedzieć jeszcze więcej. W końcu stawiasz nas w jakimś świetle.

- Tak - odparł Theo. - To światło ukazuje mi zło, nie dając nadziei na dobro, najmniejszej nadziei, najmniejszej nadziei.

- Na pewno się mylisz - powiedział Willy. - Na pewno się mylisz.

- Reprezentujesz niezwykle wzruszającą i fundamentalną formę wiary. Co cię obchodzą potępieni!

- Theo, musisz mi kiedyś powiedzieć, może nawet teraz, co tak naprawdę przydarzyło ci się w Indiach, co się stało.

Theo pokręcił głową.

- Nie, nie, moje serce, nie. - Przerwał i po chwili ciągnął dalej.

- To ty, Willy, powiesz mi kiedyś, może teraz, jak było w... tamtym miejscu.

Willy milczał, przyglądając się swojej dłoni, jak gdyby liczył palce.

- Może... - powiedział wolno. - Kiedyś... ci powiem...

- Bzdury. Nie powinieneś mi o tym opowiadać. Nigdy. O takich rzeczach się nie mówi, nie chciałbym tego słuchać. - Chwiejnym krokiem wyszedł zza stołu, stanął za Willym i położył swe duże, masywne dłonie na jego kruchych ramionach. Zaciśnął palce.

- Jestem głupcem, Willy - powiedział.

- Wiem.

- Przebacz mi, daj mi rozgrzeszenie.

- Ciągłe chcesz, żeby ci przebaczać. Co mam ci wybaczyć? Chyba nie bezczelność, lekceważenie, nielojalność, egoizm i...

- Nie, nie! - Roześmieli się obaj.

- Mogę ci przebaczyć, Theo, ale nie mogę ci dać rozgrzeszenia. Musisz sam się rozgrzeszyć. Wybacz sobie swoją przeszłość - zapomnij o niej... całkowicie...

Theo pochylił się, aż dotknął czołem jedwabistych, siwych włosów Willy'ego. Zamknął oczy i objął go. Poczuł na swoich dłoniach pieszczotliwy uścisk jego dłoni i zyskał otuchę, po którą tu przyszedł.



## Rozdział szesnasty

- Oktawian, odkryłem coś dziwnego.
- Usiądź, John. Cieszę się, że odkryłeś cokolwiek, choćby to miało być coś dziwnego. Słucham.
- Wczoraj wieczorem poszedłem do McGratha...
- Czy McGrath szantażował Radeechy'ego?
- Tak, ale nie o to chodzi. McGrath wspomniał coś o Biranne'ie. Twierdzi, że Biranne często bywał u Radeechy'ego.
- Biranne? Myślałem, że go w ogóle nie znał.
- Bo tak utrzymywał. Nie okazałem zaskoczenia i zmusiłem McGratha do mówienia. Wróciłem do tego, co się dokładnie stało, kiedy po usłyszeniu strzału przyszedł do pokoju Radeechy'ego i wtedy wyszło na jaw coś nowego. Biranne zamknął drzwi na klucz.
- Zamknął drzwi do pokoju Radeechy'ego? Od wewnątrz?
- Tak. McGrath ujął to w ten sposób: „I wtedy pan Biranne wpuścił mnie do środka”.
- Nie kłamał?
- Raczej nie.
- Może zrobił to... odruchowo?
- Jakiś dziwny odruch. Oczywiście drzwi mogły być zamknięte tylko przez chwilę. McGrath twierdzi, że przyszedł do pokoju Radeechy'ego w niespełna minutę po usłyszeniu strzału. Ale dlaczego w ogóle były zamknięte? A zresztą, czekaj, czekaj, jest coś jeszcze. Zacząłem się zastanawiać, co się mogło wydarzyć w ciągu tych

paru chwil i dostrzegłem coś, co powinienem był dostrzec jak tylko zobaczyłem zdjęcia zrobione przez policję.

- Co takiego?

- Radeechy był leworęczny.

- Nigdy nie zwróciłem na to uwagi. No i...?

- Pistolet leżał koło jego prawej ręki.

- Dobry Boże...! - Oktawian przerwał i po chwili powiedział z wahaniem. - A może posługiwał się również prawą ręką...?

- Nie. Wyobraź sobie, że strzelasz do siebie, trzymając pistolet w lewej dłoni.

- Może pistolet po prostu upadł w ten sposób?

- To raczej niemożliwe. Dokładnie przyjrzałem się zdjęciom.

- I co teraz?

- Czekać, czekać. Biranne przecież przyznał się, że dotykał pistoletu...

- Tak, ale powiedział, że przesunął go tylko parę centymetrów, żeby zobaczyć twarz Radeechy'ego, a potem odłożył go z powrotem na to samo miejsce.

- No, właśnie...

- O Boże. Nie myślisz chyba, że to Biranne go zabił, co?

- No, nie...

- Biranne nie byłby do tego zdolny, a zresztą dlaczego...

- Nie wiem, czy byłby zdolny, czy nie. Zresztą jeśli jest motyw to i zdolności się znajdują.

- To rzeczywiście mogłaby być zbrodnia doskonała: pójść do pokoju faceta, zastrzelić go, a potem „odkryć” ciało.

- Możliwe. Ale w takim wypadku są i trudności. Radeechy'emu strzelono w usta z bardzo bliska. Ale pozwól, że dokończę swoją opowieść. Poszedłem do Scotland Yardu. Pamiętasz - prosiłem cię, żebyś tam pchnął komendanta żandarmerii. Najwyraźniej był u nich, bo strasznie rwali się do pomocy. Chciałem sprawdzić odciski palców na rewolwerze, żeby się przekonać, czy są z lewej ręki i czy znajdowały się we właściwym miejscu.

- No i...?

- Rzeczywiście były to odciski palców lewej ręki i prawdopodobnie znajdowały się w odpowiednim miejscu. To jeszcze niczego nie udowadnia, ale z pewnością Radeechy trzymał ten pistolet w taki

sposób, że mógł się z niego zastrzelić. Ale jedźmy dalej. Biranne twierdzi, że ruszał rewolwer. W jaki sposób to powiedział? Czy był jakoś szczególnie zdenerwowany albo przestraszony?

- Tak! - powiedział Oktawian. - Ale przecież wszyscy byliśmy nieźle zdenerwowani i przestraszeni! Nie na co dzień stykasz się ze śmiercią tuż po lunchu!

- Naturalnie. Odciski palców Biranne'a były tylko na lufie pistoletu. Pamiętasz, że sam dał policji odciski swoich palców?

- Tak. Nawet sobie wtedy pomyślałem, że to nadgorliwość. To jednak niczego nie udowadnia. Mógł przecież zastrzelić Radeechy'ego, wytrzeć pistolet i wsadzić go w rękę trupa. A potem zamknął drzwi na klucz.

- Racja. Ale skoro wiedział, że Radeechy był leworęczny, powinien pamiętać również o tym, żeby położyć pistolet przy jego lewej dłoni.

- Prawda. To go chyba zdradziło. Chyba, że to jakaś szatańska przebiegłość...

- Nie, nie, w to nie uwierzę. No, ale jedźmy dalej. Pamiętasz te staroświeckie, wykrochmalone narękawniki, które nosił Radeechy?

- Tak.

- Otóż odciski palców Biranne'a znaleziono również na tych narękawnikach.

- Na jego narękawnikach? Chyba się nie bili?

- Raczej w to wątpię. Nie było żadnych innych oznak walki. Wydaje mi się raczej, że Biranne przesunął ciało.

- Dziwne. Nie przyznał się do tego. Dlaczego w ogóle...?

- Pamiętasz - byłeś zdziwiony, że Radeechy nie zostawił listu pożegnalnego, że to nie w jego stylu.

- Myślisz, że... Myślisz, że Biranne przeszukał ciało i zabrał list?

- Cóż, istnieje taka możliwość. Jeżeli Biranne i Radeechy byli w coś zaplątani, Biranne mógł się obawiać, że Radeechy ma w kieszeniach jakieś dowody. Jestem prawie pewien, że przeszukał jego ciało w poszukiwaniu listu lub czegoś innego. Ten błąd z ułożeniem pistoletu również świadczy o tym, że Biranne działał w pośpiechu. Wpadł w panikę, wiedział, że ma tylko chwilę na przeszukanie ciała, zamknął drzwi na klucz - co było dość dziwne - a potem przesunął pistolet i podniósł Radeechy'ego, żeby dostać się

do jego kieszeni. A kiedy ciało znowu upadło na biurko, odruchowo położył pistolet przy prawej ręce Radeechy'ego.

- Całkiem możliwe - przyznał Oktawian. - Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy - może niezupełnie pomyślałem, raczej miałem takie wrażenie - że pistolet jakoś tak zbyt równo leży przy prawej ręce Radeechy'ego.

- Tak - powiedział Ducane ponuro. - Ja dopiero później zwróciłem na to uwagę. Niestety nie byłem zbyt bystry. Powinienem od razu zauważyć, że pistolet leży po złej stronie i gdybym był na miejscu na pewno bym to zauważył. Niestety na zdjęciach trudniej to było dostrzec.

- Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że Biranne był tam akurat wtedy, kiedy to się wydarzyło? Czy możemy mieć pewność, że to nie on... zabił..., wiem, że to straszne i trudno mi w to uwierzyć, ale to wszystko tak podejrzanie wygląda...

- Nie możemy być pewni, ale nie wierzę, że to Biranne go zabił. Gdyby to zrobił, to albo przycisnąłby pistolet do prawej dłoni Radeechy'ego, albo położył go po lewej stronie biurka. Nie zrobiłby jednej rzeczy dobrze, a drugiej źle. Zresztą i tak w to nie wierzę. A jeżeli chodzi o zbieg okoliczności... Cóż, to rzeczywiście mógł być zbieg okoliczności. Może Biranne był w pokoju jeszcze przed strzałem. A może Radeechy chciał, żeby Biranne był przy jego samobójstwie.

- Dziwne to wszystko - powiedział Oktawian. - I strasznie niepokojące. Radeechy co prawda nie miał dostępu do akt tajnych, ale Biranne wiedział praktycznie o wszystkim. Ciekawe, co oni kombinowali?

- Na pewno nie to - powiedział Ducane. - Nie. Wydaje mi się, że to coś o wiele dziwniejszego, coś z tymi czarami Radeechy'ego.

- McGrath nie mówił, co Biranne robił u Radeechy'ego?

- Nie. Widział tylko, jak Biranne tam przyjeżdżał. Myślę, że mówił prawdę. Trochę go nastraszyłem.

- A przy okazji - wylaliśmy już tego drania.

- To dobrze. Obawiam się, że już nic więcej z niego nie wyciągnę.

- A co o tym myślą chłopcy ze Scotland Yardu? Nie będą chcieli przejąć tej sprawy?

- O niczym nie wiedzą! Sam zjąłem odciski palców, a im powiedziałem coś na odczepnego.

- Hmm... Żebyśmy potem nie mieli kłopotów!
- Zostaw to mnie, Oktawian. Będziemy musieli zawiadomić policję, ale jeszcze nie teraz, żeby nie sponaszyć Biranne'a.
- Nie zażadasz od niego wyjaśnień?
- Jeszcze nie. Chcę, żeby wszystko poszło gładko. Potrzebuję jeszcze jakiegoś punktu zaczepienia. Muszę odnaleźć Helenę Trojańską. Ona jest teraz brakującym ogniwem.

Bentley Ducane'a posuwał się wolno w strumieniu innych pojazdów, płynącym po czerwonej nawierzchni ulicy Mail. Gorące powietrze drgało nad pełznącymi samochodami; drzewa w St James's Park osnute były mgiełką. W taki upalny wieczór Londyn wydawał z siebie pełne rozpacz, leniwe westchnienie. Bezcelowość londyńskiego lata jest czymś o wiele straszniejszym od mgieł i wcześniej zapadającego zmierzchu, to pora ziewania, szklitych oczu i płytkich, koszmarnych snów w przepojonych znużeniem i rozpaczą pokojach. Razem z tą nudą przez miasto skrada się zło: zło obojętności, senności i zniechęcenia. W takich chwilach zwyciężają długo zwalczane pokusy i z nonszalanckim wzruszeniem ramion popełnia się najwymyślniejsze występki.

Ducane, który siedział na przednim siedzeniu koło Fiveya, czuł jak po chodnikach, które z senną powolnością mijał jego samochód, snują się te trujące opary. Miał wrażenie, że całe jego życie stało się nadęte, wypaczone i groteskowe. Okłamał Jessikę. Powiedział, że nie może do niej przyjść w tym tygodniu z powodu wieczornej konferencji. Obiecał, że odwiedzi ją za tydzień. Czuł się przez nią coraz bardziej osaczony, zupełnie jak gdyby miała nad nim rosnącą władzę. Chwilami myślał sobie, niemalże cynicznie: „Rośnij więc, aż stanę się brutalny, aż stanę się demonem o sile demona”. Wówczas jednak dostrzegał w tych myślach przejmujące zło i znowu pogrążał się w swym zwyczajnym chaosie.

Jego pragnienie ujrzenia Kate stało się zatrwającą przemożne, tak przemożne, że tego ranka kusiło go, żeby zamiast do Scotland Yardu kazać się zawieźć do Dorset. Jednakże doskonale wiedział, że tego typu postępowanie zakłóciłoby, być może nieodwracalnie, harmonijny układ, który Kate z taką ufnością stworzyła, określiła i narzuciła im obojgu. W ich znajomości była jakaś rozkoszna i niewinna nieświadomość, którą powinien chronić przed dramatycznymi

sytuacjami i nieprzewidywanym zachowaniem. Zgoda na ogromną czułość, na głęboką miłość, lecz nie powinien sobie pozwalać na chwilę szaleństwa. Mógł pragnąć, lecz pragnąć spokojnie, a nie rozpaczliwie. Jakże niebezpieczna i niepewna wydawała mu się teraz ta ogromna, szlachetna dobroć, wokół której budował swoje życie, i w imię której zabijał miłość Jessiki! „Może powinienem powiedzieć Kate wszystko o Jessice?” - pomyślał i z ulgą wyobraził sobie, jak klęczy na ziemi z głową na kolanach Kate. „Nie, nie, to by ją strasznie zraniło” - rozmyślał posepnie - „i uznałaby mnie za kłamcę. Muszę jej powiedzieć, ale później, później, później, kiedy już będzie dawno po wszystkim, i kiedy skończy się całe to cierpienie. Gdybym powiedział jej teraz, złamałbym zasady, jej zasady. Nie mogę jej w to mieszać. Ona chce, by nasz związek był prosty i pogodny i muszę zrobić wszystko, by takim pozostał.”

Odkrycie dotyczące Biranne'a zaniepokoiło Ducane'a bardziej niż mógł to okazać Oktawianowi. Nie miał ochoty polować na człowieka, którego nie znosił i to nie znosił z całkowicie irracjonalnych powodów. Przez chwilę poczuł się zagubiony, a przyczyniło się do tego zapewne owo grzeszne letnie rozleniwienie i właściwe Ducane'owi uczucie gotowości, rezerwy i prezentowania światu pozorów siły. Zrobiło mu się żal samego siebie, poczuł się zagrożony i bezbronny. Gdy był w takim stanie, ludzie z łatwością mogli się „wedrzyć” do jego wnętrza i go zranić. Również dlatego stchórzył przed spotkaniem z Jessiką. Mogła mu zadać niewyobrażalny ból, przed czym do tej pory powstrzymywała ją ślepa miłość. Czuł, że gdyby do niej przyszedł w takim podatnym na ciosy, melancholijnym nastroju, instynktownie zadręczyłaby go na śmierć. Nie miał również ochoty walczyć z Biranne'em. Wzdrygał się na myśl o tym, że teraz może mieć nad nim władzę. Cokolwiek łączyło Biranne'a i Radeechy'ego z pewnością nie było niczym przyjemnym i, jak to wyczuwały prorocze nozdrza Ducane'a, kryło się w tym coś dziwnego. Wydawało się prawdopodobne, że Ducane wkrótce może rozpocząć jakąś prywatną wojnę z Biranne'em, na którą w swym obecnym stanie czuł się niewystarczająco trzeźwy i silny.

Była jeszcze ta dziwna sprawa z panią McGrath. Zaraz po wyjściu z mieszkania McGratha, Ducane poczuł wstyd, pewne rozbawienie i niezrozumiałą radość. Jednak później jego rozbawienie przygasało. Śledztwo było wystarczająco skomplikowane i bez jego

nieodpowiedzialnego i niedyskretnego postępowania. Nie mógł popełniać błędów. McGrath był pozbawionym skrupułów szantażystą i plotkarzem a wyższy urzędnik administracji państwowej, przeprowadzający tajne dochodzenie z pewnością nie powinien sobie pozwalać na całowanie żony takiego człowieka. Niezależnie od tego, co pani McGrath powiedziała mężowi, Ducane nie przypuszczał, by mógł mieć z tego powodu jakieś poważne kłopoty, ale była to rzecz, która po prostu nie powinna była się wydarzyć. W głębi duszy czuł się przygnębiony tą sceną, jak gdyby wraz z różowym winem wypił jakiś otepiający narkotyk i wciąż był pod jego działaniem. Być może to odbierające mu siły uczucie bezcelowości wzięło się z sennej nudy pokoju, w którym czekała pani McGrath.

Samochód jechał teraz nieco szybciej ulicą Old Brompton w kierunku domu Ducane'a w Earls Court. W tym samym czasie, gdy te ponure i osłabiające myśli zajmowały jego umysł, Ducane niemal nieświadomie gawędził z Fiveyem o pogodzie i przewidywanej „fali upałów”. Ducane czuł, że nie zrobił żadnego postępu w poznawaniu swego służącego, lecz zdążył przyzwyczaić się do jego obecności w domu i już z łatwością potrafił pohamować swą irytację, wywołaną monotonnymi jakobińskimi piosenkami Fiveya. Fivey wyjawiał jeszcze jedną informację, dotyczącą matki, a mianowicie, że „nauczyła go kraść w sklepach”. Gdy jednak Ducane próbował poruszyć kwestię jego kariery przestępczej, jego szkocki służący tylko mruczał tajemniczo: „Świat jest okrutny, proszę pana”, a wypytywany o zdjęcie kobiety w nieokreślonym wieku, stojące w jego sypialni, odpowiadał ponuro - „To było dawno i nieprawda, proszę pana, dawno i nieprawda”. Jednakże, pomimo tej goryczy, Fivey niekiedy bywał niemal wesoły, a w jego oczach, gdy spotykał wzrok swego pana, pojawiał się przeblysł inteligencji i żartobliwości, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ze mnie jest niezła szelma, ale i tyś nie gorszy. Niczym się nie różnimy. Po prostu masz więcej szczęścia i tyle”. Ducane'owi podobała się ta milcząca bezczelność.

Samochód skręcił w Bina Gardens. Ducane obserwował wolne, majestatyczne ruchy ogromnych, piegowatych dłoni Fiveya, ujmujących kierownicę. Nagle uświadomił sobie, że jego własna ręka, do tej pory spoczywająca na oparciu fotela, w jakiś tajemniczy sposób zsunęła się na ramię służącego. Ducane przez chwilę wahał

się i wreszcie postanowił, że ręki nie cofnie, a nawet ją nieco przesunął, tak, że jego palce delikatnie zacisnęły się na obojczyku Fiveya. Ten fizyczny kontakt przyniósł mu natychmiastową i ogromną ulgę, w której rozpoznał to, czego szukał przez cały dzień. Fivey niewzruszenie patrzył wprost przed siebie.



## Rozdział siedemnasty

Trzy kobiety były w mieście. Paula chciała kupić jakieś książki, Kate przyjechała na cotygodniowe zakupy, a Mary dała się namówić na tę wyprawę, gdyż, jak jej wmówiono, „potrzebowała zmiany”. Mary zamierzała również zachęcić Pierce'a do wyjazdu z Dorset i w tym celu zręcznie zaproponowała lunch Pember-Smithom, którzy właśnie wybierali się do Norfolk Broads, gdzie czekał na nich nowy jacht. Pierce już został zaproszony do Norfolk i Mary miała nadzieję, że szkolny kolega Pierce'a, Geoffrey Pember-Smith, podczas lunchu skutecznie pochwali się łodzią, wpływając tym samym na decyzję jej syna. Bała się jednak, a raczej była tego pewna, że jej dziecko będzie po prostu liczyć godziny dzielące go od powrotu do udreki, wywołanej niemożnością porozumienia się z Barbarą. Mary bolała nad jego cierpieniem i coraz bardziej drażniła ją ostentacyjna obojętność dziewczyny, lecz przecież nic nie mogła na to poradzić. Chwilami wydawało się jej, że to bezsensowne cierpienie jej syna świadczy o tym, że pomysł zamieszkania u Kate był błędem. Z drugiej jednak strony, jeśli nie Barbara, to przecież znalazłaby się jakaś inna dziewczyna; cierpienia pierwszej miłości nie sposób uniknąć, więc nie powinna aż tak współczuć Pierce'owi. Mimo wszystko cała ta sytuacja ją przygnębiała. Mary obawiała się, że Barbara może przywieść Pierce'a do popełnienia jakiegoś skandalicznego występku.

Pierce oczywiście nie zwierzył się jej, ale rozmawiał z Willym, co sprawiło jej ogromną radość. Willy bardzo lubił Pierce'a i Mary miała wrażenie, że już zaczął traktować jej syna jak swojego własnego. Od

ostatniej rozmowy z Ducane'em w bukowym lesie, Mary czuła się pewniej w obecności Willy'ego, a i Willy był bardziej rozluźniony. Rozmawiali teraz ze swobodą i choć ich rozmowy wciąż były nie tak intymne, jak by tego pragnęła, już nie miała tego przytłaczającego uczucia bolesnej obcości, które dotąd tak ją paraliżowało. Dotykała go bardziej spontanicznie, żartobliwie i już bez desperacji. Myślała w jakimś nowym języku: „Jednak coś z niego zrobię, coś z niego zrobię”.

Cała czwórka przyjechała do miasta pociągiem. Rozstali się na Waterloo. Paula udała się na Charing Cross Road, Kate do Harrodsa, Pierce do Pember-Smithów, a Mary poszła samotnie do kawiarni na szybki lunch, gdyż na ten dzień zaplanowała coś, o czym nie powiedziała nikomu.

Mary wyrzuciła swój bilet na stacji Gunnersbury i wyszła na ulicę. Letnia melancholia londyńskich przedmieść wisiała nad okolicą jak stary, znajomy zapach i z każdym krokiem Mary aż drżała pod wpływem wspomnień. Minęło wiele lat odkąd była tu po raz ostatni.

Choć przedtem nie mogła przywołać w pamięci obrazu tej drogi, teraz rozpoznawała każdy dom. Było to tak, jak gdyby każdy szczegół wyłaniał się z jakiejś głębi, wzbogacony o przeszłość: rzeźbiony słupek u bramy, owal poplamionej szyby w drzwiach wejściowych, powojnik na przykrytej kratą ścianie, wilgotny ciemnozielony mech na wykładanej czerwonymi płytami ścieżce, lampa, stojąca samotnie na chodniku. Te domy, „starsze, większe domy”, jak je kiedyś nazywała, pozostały dziwnie niezmienione. Tego ospałego popołudnia droga miała w sobie złowrogość i nieuchwytność snu, w którym się myśli: „Już tu kiedyś byłem, ale co to za miejsce i co się teraz stanie?”. Kolory wyglądały jak barwy ze snu - żywe, a jednak jakoś zmatowiałe, nie odbijające światła niczym intensywne barwy widziane w ciemności. A i ulice były puste jak we śnie.

Mary skręciła za róg i przez chwilę w ogóle nie mogła rozpoznać okolicy. Domy zniknęły. Ich miejsce zajęły wysokie bloki i ogromne garaże. Na ulicy było niewiele samochodów, nie widać było żadnych pieszych. Mary odsunęła od siebie wspomnienie rzeczy, których tu nie znalazła i pomyślała z nagłym, zaskakującym bólem, że być może ich dom też po prostu zniknął. Gdy jednak dotarła do końca

uliczki, ujrzała po lewej stronie mały, wolno stojący domek, w którym mieszkała z Alistairem przez cztery lata ich małżeństwa.

Dom został wybudowany po wojnie; oni byli jego pierwszymi mieszkańcami. Rachityczne, młode drzewka rosnące wzdłuż ulicy, w których teraz rozpoznała śliwy, wyrosły na duże, dojrzałe drzewa. Alistair, odrobinę młodszy od Mary, był zbyt młody by pójść na wojnę, i gdy przywiózł do Gunnersbury swą świeżo poślubioną żonę, był jeszcze w trakcie zdawania egzaminów na dyplomowanego księgowego. Mary oparła się ręką o niski murek na rogu ulicy i poczuła, że jej dłoń - zupełnie jak jakiś odrębny organizm - przypomina sobie jego powierzchnię, lekko chropowate, kruszące się kamienie i miejski mech, który, jak ten porastający wyłożoną czerwonymi płytami ścieżkę, nawet w najgorętszym słońcu zachowywał swą wilgoć i lepkość.

Dotknięcie murku niespodziewanie przywołało w jej umyśle obraz pianina, ich starego pianina, sprzedanego już dawno temu, a jednak tak nierozzerwalnie kojarzącego się z omszałym murkiem. Alistair miał piękny baryton i często śpiewali razem. On grał na pianinie, ona stała z dłońmi opartymi na jego ramionach, głowę w zapamiętaniu odrzuciwszy do tyłu. Było to niezwykle piękne wspomnienie i nawet teraz potrafiła przywołać to uczucie, a jej twarz niemal rozpływała się z niewypowiedzianego szczęścia. Alistair umiał grać i śpiewać, był także całkiem niezłym malarzem, utalentowanym poetą i pisarzem, świetnym szachistą, wybornie się fechtował i nadzwyczaj dobrze grał w tenisa. Gdy teraz tak nagle wszystko jej się przypomniało, pomyślała sobie: „Miał tak wiele talentów”. I kiedy tak gładziła murek, przyszło jej do głowy, że choć na pewno była tego świadoma przed ślubem, to słowo „talenty” należy do teraźniejszości, a nie przeszłości, i że jest to słowo smutne i zbyt zawężające.

To, że Mary miała odwagę przyjechać do domku w Gunnersbury, w jakiś niejasny sposób miało związek z Willym. Nie powiedziała mu o swoim planie; właściwie nigdy z nim nie rozmawiała o Alistairze. Jednakże razem z coraz bardziej umacniającym się postanowieniem „zrobienia czegoś” z Willy’ego, przyszła świadomość, że do tej pory unikała przeszłości, że zbyt tchórzliwie usiłowała przed nią uciec. Powinna opowiedzieć Willy’emu o Alistairze, o tym, co się stało. Ale by to się udało, czuła, że musi wrócić, odnowić i odświeżyć te

wyblakłe, dawne wspomnienia i stłumione, stare cierpienia. Musi, w całkiem nowy sposób, stawić czoła swemu mężowi.

Nie przewidziała, że ta konfrontacja będzie tak prawdziwa i intensywna. Nie przewidziała powojnika, brukowanej ścieżki i murka. Willy w porównaniu z rozbuchaną realnością wszystkich tych rzeczy zdawał się być jedynie marnym cieniem. Senna, letnia atmosfera drogi, której duszny, lekko smolisty zapach pamiętała tak doskonale, przypominała klimat jej małżeństwa, narastające uczucie może nie tyle uwięzienia, co kurczenia się, jak gdyby wszystkie przedmioty dokoła robiły się coraz mniejsze i coraz bardziej ciemne. Czy działało się tak dlatego, że z rozczarowaniem odkryła, iż jej mąż nie jest aż tak niezwykły, jak jej się zdawało? „Może w ogóle nie powinnam była za niego wychodzić?” - pomyślała. - „Być może zbyt mało go kochałam.” Ale czy teraz miało to jakieś znaczenie? Co murek i mech mogły jej opowiedzieć o psychice i sercu dwudziestotrzyletniej dziewczyny? Przypomniała jej się potwornie długa powieść Alistaira, którą z takim poświęceniem przepisała na maszynie, i którą już mniej entuzjastycznie przepisała raz jeszcze, gdyż pierwsze dwa egzemplarze, które przewędrowały po dwudziestu wydawnictwach, nie nadawały się już do użytku. Powieść nadal istniała. Mary znalazła ją dopiero rok temu w jakimś starym kufrze i na jej widok poczuła się wręcz fizycznie chora.

Powoli ruszyła ulicą. Zauważyła, że usunięto żółty żywopłot z kocierpki, który razem zasadzili i impregnowany kreozotem płót, a na ich miejscu pojawił się niski, zakończony blankami, ceglany mur. Mały ogródek przed domem, w którym przedtem rosły róże, teraz był całkowicie wyłożony płytami. Niebieskawe pędy olbrzymich różanych krzewów, rosnących na jedynych dwu klombach, płożą się po kamiennych płytach. Mary zobaczyła światło w oknie w głębi domu; widocznie wyburzono ścianę między dwoma pokojami na dole. Często rozważała z Alistairem taką możliwość. Przystanąła. Dom wyglądał na opustoszały, na ulicy też nie było żywego ducha. Mary dotknęła gładkiej kory grubej, silnej gałęzi jednego z drzew. Wciąż brakowało jednego drzewa, które kiedyś powalił gwałtownie hamujący samochód.

Mary zrobiło się słabo. Kształt okien na parterze domu przypominał jej o tamtym ostatnim wieczorze, o leniwej atmosferze letniej nocy tak podobnej do tej, którą czuła teraz. Kłóciła się wtedy

z Alistairem. Z jakiego powodu? Pamiętała atmosferę tej kłótni, niezbyt poważnej sprzeczki w senny letni wieczór. Widziała w jego ręce list, który chciał zanieść na pocztę. Nie widziała jednak jego twarzy; być może w ogóle na nią nie spojrzała. Podeszła do okna i patrzyła jak Alistair idzie ścieżką i schodzi z chodnika. Widziała wszystko, wszystko słyszała: pisk opon gwałtownie hamującego samochodu, wahanie Alistaira, krok do przodu, który zawiódł go wprost pod koła, rękę wyrzucona w górę, straszny, straszny krzyk.

„Po co tu w ogóle przyjechałam?” - pomyślała. - „Nie wiedziałam, że tak będzie.” A potem zaczęły ją nękać te same, stare myśli: „Gdybym go wtedy zawołała albo zastukała w okno, albo powiedziała jedno zdanie więcej, albo poszła z nim... A mogłam to zrobić, gdybyśmy się wcześniej nie pokłócili. Cokolwiek, nawet najmniejszy gest mógł przerwać ten długi ciąg wypadków”. Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy. Oderwała się od drzewa i ruszyła przed siebie. Nagle zdała sobie sprawę, że wypowiada półgłosem słowa, które wtedy jak szalona powtarzała w kółko ludziom, którzy zgromadzili się wokół niej na chodniku. „Przecież tak mało samochodów jeździ tą ulicą. Tak mało samochodów jeździ tą ulicą.”

Paula schodziła wąskimi schodkami w Foyles. Przez parę godzin chodziła za swoimi książkami i w Pillars of Hercules zjadła kanapki. Kupiła też parę rzeczy, o które prosił ją Willy. Nie wspomniała o tym Mary, znając jej zazdrość o każdego, kto odważył się wyświadczyć Willy'emu jakąś przysługę. Ten rodzaj dyskrecji był u Pauli całkiem naturalny i bezwiedny.

Dźwigała ogromny kosz pełen książek, a pod pachą niosła jeszcze paczkę. „No, to wszystko już kupione” - pomyślała. - „Ale co ja teraz zrobię z tym wszystkim?” Do odjazdu pociągu, którym razem z Mary i Pierce'em mieli wrócić do Dorset, zostało jeszcze trochę czasu. „Pójdę do National Gallery, zostawię te paki w szatni i pooglądam obrazy.” Wyszła na duszną, zatłoczoną ulicę i zamachała na taksówkę. *Temperatura roślinie - głosiły nagłówki, gazet - Dalszy ciąg fali upałów.*

Paula całkiem nieźle znała się na malarstwie. Podziwianie obrazów dawało jej ogromną, całkowicie autentyczną i intensywną przyjemność, której nie potrafiła czerpać z żadnej innej dziedziny sztuki, choć właściwie wiedziała o wiele więcej choćby o literaturze. Jednak dzisiaj, gdy wspięła się po znajomych schodach, skrzyła na

lewo i znalazła się w sali z kolekcją włoskich prymitywistów, mogła myśleć tylko o Eryku, którego postać, nieco zapomniana w pogoni za książkami, teraz znowu jawiła jej się w najjaskrawszych barwach. Eryk powoli, powoli zbliżał się do niej jak wielka, czarna mucha, pełznąca po powierzchni kuli ziemskiej. Właśnie przyszła od niego pocztówka z Colombo.

Pamiętała jego ręce. Miał dziwne, kwadratowe dłonie o bardzo szerokich, spłaszczonych palcach, pokryte jedwabistymi, złotawymi włosami, które zarastały zewnętrzną ich stronę aż do połowy palców. Sygnet, który nosił, wręcz tonął w tej złocistej trawie. Może to właśnie jego ręce same zdecydowały o tym, że został garncarzem. Paula poczuła zapach mokrej gliny. Eryk zarabiał na życie garncarstwem. Paula lubiła jego zwyczajność, lubiła obserwować jak jego czarodziejskie ręce pieszczą obracającą się na kole glinę, lubiła samą glinę. Był tak inny niż Richard. „Może zakochałam się w dłoniach Eryka?” - pomyślała. - „Może zakochałam się w glinie?” Po inteligencji i wyrafinowanej wrażliwości Richarda, Eryk wydawał jej się taki solidny i naturalny. Jednak, a przyszło jej to do głowy po raz pierwszy, był też strasznie neurotyczny. Udawał naturalność, stylizował się na artystę, nosząc dziwaczny kitel i nie strzygąc włosów, które okalały jego twarz niczym złota lwia grzywa. Wielki Eryk, wielki człowiek. Tym bardziej przerażająca była jego klęska w starciu z Richardem. Jak mógł jej wybaczyć tę porażkę? „A może wraca, żeby mnie zabić?” - przemknęło jej przez myśl. - „Może dopiero wtedy znajdzie ukojenie? Kiedy zabije mnie. Albo Richarda.”

Richard. Paula stanęła jak wryta przed obrazem Bronzino *Wenus, Kupidyn, Szaleństwo i Czas*. Ulubiony obraz Richarda. „Oto prawdziwa pornografia” - słyszała jego wysoki głos. - „Oto jedyny prawdziwy pocałunek, jaki kiedykolwiek namalowano. Pocałunek i jednocześnie nie pocałunek. Paulo, Paulo, pocałuj mnie tak jak to namalował Bronzino.” Paula poszła na środek sali i usiadła. Richard „zawładnął” tym dziełem bardzo dawno temu, jeszcze przed ich ślubem. To dzięki Richardowi zrozumiała ten obraz, który stał się symbolem ich zalotów, symbolem, na który Paula zgadzała się tym bardziej, że wyczuwała w nim pewną obcość. Był transfiguracją zmysłowości, lubieżności Richarda i zaakceptowała go z zapierającym dech oszołomieniem, podobnie jak zaakceptowała Richarda. Czysta Paula, chłodna Paula, rozsądna Paula odkryła w diabelsko rozpustnej naturze męża ogród

niewyobrażalnych rozkoszy. Paula nie była zdolna do szczęścia poza małżeństwem. Dopiero ono dawało jej prawdziwą rozkosz.

Paula usiadła i spojrzała na obraz. Wiotka, smukła, naga Venus chyli się omdlewająco ku równie wiotkiemu, smukłemu, nagiemu Kupidynowi, który pochyla się nad nią, lewą dłonią o smukłych palcach podtrzymuje jej głowę, prawą dłonią obejmuje jej lewą pierś. Jego usta bardzo delikatnie spoczęły na jej wargach, a może tylko je muskają. To zastygła chwila sennej, powstrzymywanej namiętności tuż przed miłosnym zwarem. Na tle gładkich masek i zrozpaczonych twarzy zbliża się krętowłose Szaleństwo, by obsypać oszołomionych kochanków pączkami róż, a stary, rozpustny Czas unosi nad całą sceną długą, mocarną rękę, by ukrócić te słodkie igraszki. „Czy oglądałaś mój obraz, Paulo?” - Richard pytał za każdy razem, gdy wracała z National Gallery. Słowa te wypowiedział po raz ostatni pod koniec ich pierwszej i jedynej kłótni, której przyczyną był Eryk. Był to z jego strony gest pojednawczy. Nie odpowiedziała.

Paula poprosiła taksówkarza, żeby zatrzymał się na rogu Smith Street i King's Road. Przystanęła przy sklepie spożywczym; sprzedawca rozpoznał ją i ukłonił się. Uśmiechnęła się ze skrępowaniem i ruszyła przed siebie. Idiotyzmem było tak się torturować, tak samo jak idiotyzmem było, gdy w zeszłym roku pod wpływem impulsu zadzwoniła do Richarda do biura. Kiedy rozpoznała jego głos, milczała przez chwilę aż parę razy powtórzył ze zdziwieniem: „Halo? Halo?”, a wtedy odłożyła słuchawkę. Teraz zamierzała raz jeszcze spojrzeć na ich dom w Chelsea. Kiedyś usłyszała jak Oktawian powiedział, że Richard nadal tam mieszka.

Szła wolno cienistą stroną ulicy. Już widziała drzwi wejściowe, kiedyś niebieskie, teraz pomalowane na modny brązowopomarańczowy kolor. „Pomalował drzwi” - pomyślała. - „Chciało mu się. Przejrzał katalogi i wybrał kolor.” W miarę jak się zbliżała, dostrzegała coraz to nowe rzeczy. „Jakie czyste szyby w oknach. A tego pojemnika na kwiaty tu wcześniej nie było. Ale właściwie dlaczego się dziwię? Chyba nie myślałam, że zastanę tu pajęczyny i spustoszenie? Chyba nie myślałam, że beze mnie Richard kompletnie się zapuści, załamie? Ależ tak, tego właśnie oczekiwałam. Jak mógł beze mnie wybrać nowy kolor drzwi?” Przystanęła w cieniu naprzeciw domu. O tej porze Richarda na pewno tam nie było. Paula położyła dłoń na lewej

piersi i objęła ją palcami jak Kupidyn, obejmujący pierś swojej matki. Właśnie się zastanawiała, czy się odważy przejść na drugą stronę ulicy i zajrzeć przez okno, kiedy stało się coś po prostu strasznego. Jakaś niezwykle atrakcyjna, elegancka kobieta, zatrzymała się przed domem Richarda i otworzyła drzwi kluczem.

Paula odwróciła się gwałtownie i szybkim krokiem ruszyła w kierunku King's Road. W jej oczach pojawiły się łzy wściekłości. Teraz rozumiała, że spodziewała się nie tylko tego, że bez niej Richard zapuści się i nie będzie w stanie przemałować drzwi wejściowych. Spodziewała się, nie tylko umysłem, ale całym swoim ciałem i sercem, że bez niej Richard będzie sam.

Jessica Bird niezwykle rzadko odwiedzała Johna Ducane'a w domu. Nigdy nie uważała tego za jakoś szczególnie znaczące. John zawsze powtarzał, że jego dom jest taki smutny, i że przebywanie w jej mieszkaniu sprawia mu ogromną przyjemność. Więc zazwyczaj spotykali się u niej, a nie w domu na Earls Court.

Jessica nigdy nie czuła się lekceważona lub wykluczana. Jednak teraz, zwłaszcza odkąd Ducane powiedział o odejściu, jego dom stał się dla niej miejscem tajemniczym i pociągającym, jak gdyby był talizmanem, we wnętrzu którego kryła się tajemnica serca Johna. W koszmarnych snach dom ten jawił się jej jako ogromny labirynt pełen mrocznych zakamarków, w którym błądziła przestraszona, szukając Ducane'a. Jessica nie wierzyła, że John mógłby ją opuścić. Nie widziała w tym sensu, zwłaszcza, że prosiła o tak niewiele. Nie umiała mu powiedzieć: weź sobie inną kochankę, zniosę to. Zmuszając go jednak, by obiecał, że przyzna się, kiedy to nastąpi, w pewnym sensie dała mu swoją zgodę. Dlaczego tak przed nią uciekał? Nie widziała żadnej istotnej przyczyny, nie wierzyła więc, że jego popłoch jest prawdziwy. „Nastąpiło jakieś nieporozumienie” - myślała. - „To jakaś pomyłka.”

Kiedy jest tak bardzo zakochanym - a Jessica wciąż bardzo kochała Johna - trudno uwierzyć, że uczucie ukochanej osoby naprawdę może się zmniejszyć. Każde inne wytłumaczenie wydaje się lepsze od tego. Poza tym Jessica już przeżyła swoją śmierć i odrodzenie, kiedy John przestał być jej kochankiem. Już wcześniej była dla niego ukrzyżowana i zmartwychwstała i to przekonało ją o własnej nieśmiertelności.



Istnieją tajemnicze meandry ludzkiego umysłu, które niczym wędrujące gazy przemieszczają się po całym świecie, powodując ból i okaleczenie, a ich właściciele nawet nie zdają sobie sprawy z ich siły i celu. Być może święci są całkowicie pozbawieni takich eterycznych czułości, lecz każdy zwyczajny człowiek jest w sposób naturalny nimi obdarzony, tak samo jak obdarzony jest upiorną umiejętnością pojawiania się w snach innych ludzi. Tak więc możemy być dla siebie koszmarem, a niektórzy nawet muszą znieść poniżenie z powodu osób, w których świadomości prawie nie istnieją. Upiory zrodzone przez umysł zaczynają żyć własnym życiem, odnajdują swoją ofiarę i zadreńczają ją cierpieniem i strachem, za które nie można winić sprawcy, gdyż jest on całkowicie nieświadom swojej niszycielskiej działalności.

Jessica czuła się tak bezbronna i nieszkodliwa, że nie mogła pojąć, że gwałtownie staje się mu wstrętna jak boa dusiciel, oplatający jego szyję. Nie mogła pojąć, że z jej powodu John może mieć koszmarne sny. Ducane nie potrafił wybaczyć Jessice tego, że krzykiem złamała jego postanowienie, i że w tak niegodziwy sposób zmusiła go, by wziął ją w ramiona. Ta scena, której nie mógł zapomnieć, symbolizowała jego uwięzienie w pułapce zniechęconej fałszywości. A biedna Jessica, której jedynym zajęciem było rozmyślanie o nim, codziennie pisała do niego listy miłosne, które otwierał niechętnie, czytał pobieżnie i pozostawiał bez odpowiedzi.

Tego letniego popołudnia Jessica wybrała się na Earls Court głównie z powodu listu, w którym Ducane pisał, że w tym tygodniu jest zbyt zajęty pracą, by się z nią zobaczyć. Była bardzo zawiedziona i przygnębiona. Z listu jasno wynikało, że Ducane kłamie, lecz to w jakiś dziwny sposób tylko dodało jej otuchy. Nie wierzyła w te „wieczorne konferencje”. Była pewna, że nigdy przedtem jej nie okłamał. Wiara w jego absolutną prawdomówność zawsze była dla niej pewną pociechą. Jednak ton tego listu był czymś zupełnie nowym i Jessica niemalże się z tego ucieszyła, gdyż przyłapanie Ducane'a na kłamstwie, a nawet sama świadomość, że kłamie, dawały jej pewną przewagę. Niemożliwe, żeby John był aż tak zajęty, że przez cały tydzień nie mógł znaleźć czasu, aby się z nią zobaczyć. Ten list wyglądał na oczywisty wykręt.

Jessica nie miała żadnego określonego celu swej pielgrzymki. Nie zamierzała szpiegować Johna, chciała tylko pocieszyć się, robiąc

coś, co by go dotyczyło. Zastanawiała się, czy by nie poczekać na stacji Earls Court i spotkać go „przypadkiem”, gdy będzie wysiadał z pociągu i rzeczywiście przez jakiś czas stała przy wejściu na dworzec, choć było jeszcze nieco za wcześnie na jego powrót z pracy. Potem ruszyła powoli ulicą i skręciła w krótką alejkę, prowadzącą do cichego osiedla, gdzie mieszkał John.

Uliczka, na której mieszkał, przecinała inną pod kątem prostym, a dokładnie naprzeciwko tego skrzyżowania znajdował się pub, który właśnie otwierał swoje podwoje. Jessica weszła do środka, zamówiła piwo i usiadła przy oknie, skąd miała doskonały widok na dom Ducane'a. Dawno tu nie była. Właśnie się zastanawiała, czy kiedy zobaczy Johna, będzie się umiała powstrzymać przed wybiegnięciem na ulicę, gdy stało się coś zdumiewającego i wstrząsającego. Jakaś niezwykle atrakcyjna i elegancka kobieta zatrzymała się przed jego domem, zadzwoniła do drzwi i została natychmiast wpuszczona do środka.

Jessica odstawiła szklanekę. „On tam jest” - pomyślała. - „On jest w domu. Okłamał mnie, ma kochankę.” Jej ciałem boleśnie wstrząsnęło całkowicie nowe uczucie zazdrości, a jednocześnie siła, której dodał jej list od Ducane'a, jakimś cudem jeszcze się zwiędła i tak oto w tym cichym, sennym pubie przyszedł na świat nowy demon - demon jakim jest gotowa na wszystko, zazdrosna kobieta.

Kate Gray zatrzymała się przed domem Ducane'a, zadzwoniła do drzwi i natychmiast została wpuszczona do środka. Wiedziała, że nie będzie go w domu, gdyż prosto z biura miał iść do Oktawiana. Kate zamierzała przeprowadzić prywatne śledztwo w sprawie służącego Ducane'a.

- Chciałabym na chwilę wejść do środka, zostawić coś dla pana Ducane'a i napisać do niego kartkę - powiedziała, kierując się prosto do hallu. - Czy mogłabym dostać coś do pisania? Zostawię te rzeczy w kuchni. Dziękuję, znam drogę. Jestem Kate Gray. A ty jesteś Fivey, prawda?

Fivey poszedł za Kate do kuchni i nie odzywając się ani słowem patrzył jak wypakowuje z koszyka pudełko lukrowanych orzechów laskowych i butelkę śliwowicy.

- Widzę, że dbasz o porządek, Fivey - pochwaliła go. - Naprawdę bardzo tu czysto i schludnie. Ładna kuchnia. Posłuchaj, te tutaj rzeczy

są dla pana Ducane'a. Wróci do domu dopiero późnym wieczorem. Jest u mojego męża.

Kate przyjrzała się Fiveyowi. Rzeczywiście miał niezwykle wygląd. Opis Ducane'a był dość niejasny i Kate spodziewała się, że ujrzy jakiegoś nieokrzesanego prostaka. Fivey może i był nieokrzesany, ale przy tym miał w sobie coś romantycznego, jak Bestia z *Pięknej i Bestii*. Przypominał to ogromne, wzruszające zwierzę z bajki, które Kate zawsze wołała od nudnego, przystojnego księcia, w którego w końcu się przemieniało. Kate zwróciła uwagę na jego skórę o morelowym odcieniu, usianą wielkimi, brązowymi piegami, ogromną, jak gdyby rozdętą, kudłatą głowę, gęste włosy i wasy koloru świeżo wyłuskanego ze skorupki kasztana, podłużne, nieco skośne oczy o jasnobrązowych tęczęwkach, wąskie wargi. „Pewnie czesze te wasy” - pomyślała. - „Muszę namówić Oktawiana, żeby zapuścił wasy. Nawet nie wiedziałam, że dodają tyle uroku.”

Kate uświadomiła sobie, że od paru minut bez żenady gapi się na Fiveya, a on odwzajemnia jej spojrzenie.

- Czy mógłbyś mi przynieść jakąś kartkę? - powiedziała pośpiesznie. - Chciałabym napisać list.

Fivey zniknął bez słowa i po chwili wrócił z papierem listowym. Kate usiadła przy stole i napisała: *Najdroższy*. „Jego dłonie też są piegowate” - pomyślała, unosząc nieco wzrok. „Ciekawe, czy cały jest piegowaty...?” Postawiła wykrzyknik i zatrzymała się. Nie miała pojęcia, co napisać dalej. Dopisała: *Przyjechałam do Ciebie*, przekreśliła i ciągnęła dalej: *Byłam u Fortnuma i kupiłam ci parę drobiazków*.

- Chyba jednak nie będę zostawiała żadnego listu. - powiedziała w końcu do Fiveya. - Po prostu powiedz panu Ducane'owi, że to ja przyniosłam te rzeczy.

Fivey kiwnął głową. Kate zmięta kartkę. Coś tu było nie tak. Zrozumiała, że chodzi o Fiveya. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem. „Ducane nie wspominał, że Fivey jest niemową” - pomyślała.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z pracy u pana Ducane'a?
- Pan Ducane to bardzo miły gentleman.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Kate. - Pan Ducane nie mówił, że jesteś Irlandczykiem! - Nie mogła nie rozpoznać tego akcentu. - Ja też jestem Irlandką!

- Pozwoliłem sobie rozpoznać pani akcent, proszę pani - powiedział Fivey. Miał kamienną twarz, a jego skośne, piwne oczy bacznie przyglądały się Kate.

- To niesamowite! Ja pochodzę z County Clare, a ty?

- Ja też pochodzę z County Clare.

- Co za niezwykły zbieg okoliczności! - wykrzyknęła. - Gdzie dokładnie mieszkałeś?

- Na wybrzeżu.

- Koło Burren?

- Tak, proszę pani.

- Coś takiego! Ja mieszkałam w tej samej okolicy. Czy twoja rodzina nadal tam mieszka?

- Tylko moja stara matka, proszę pani. Ma mały domek i krowę.

- Często tam jeździsz?

- Wysyłam matce część swojej pensji.

„Muszę mu dać napiwek.” - pomyślała Kate. - „Ale jak to zrobić? Wygląda na dumnego człowieka”.

- Od dawna jesteś w Anglii, Fivey?

- Nie bardzo, proszę pani. Ja jestem chłopak ze wsi.

„Prawdziwe dziecko natury” - pomyślała. „Jaki on prosty i wzruszający, prawdziwy wieśniak. Ducane źle go opisał. Szkoda, że nie jest naszym służącym. Nie miałabym nic przeciwko temu.”

- Londyn pewnie wydaje ci się nieco onieśmielający. Ale na pewno wkrótce się przyzwyczaisz.

Kate nie miała ochoty wychodzić. Wstała i zaczęła się kręcić po kuchni, dotykając filiżanek, gładząc patelnie i zaglądając do garnków. Zaczęła się czuć całkiem swobodnie w obecności Fiveya, jak gdyby wysyłał jakieś kojące i jednocześnie stymulujące fludy.

- Poczęstuj się - powiedziała. Otworzyła pudełko i pchnęła je po stole w jego kierunku.

Ogromne, piegowate dłonie poruszyły się i Fivey, wciąż patrząc na Kate z niezmaconym skupieniem, uniósł orzeszka do ust.

„Ale się gapi” - pomyślała Kate. - „Ale nawet mi się to podoba. Niech to diabli, otworzyłam pudełko i nie mogę go teraz dać Johnowi. Będę je musiała zabrać. Albo dać Fiveyowi!”

Znowu zaczęła się przechadzać po kuchni.

- Co to? - wskazała na blaszany zlew w kształcie miski, zakończony na dole okrągłą, otwartą dyszą.

- Urządzenie do usuwania śmieci - odparł Fivey z pełnymi ustami.

- Naprawdę? Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Usuńmy jakieś śmieci.

Fivey podszedł, żeby zademonstrować działanie urządzenia. Z kosza na śmieci wyjął rozmokłą gazetę, wrzucił ją do otworu i przycisnął guzik. Rozległ się głośny chrzęst.

- Ale hałasuje, prawda? - powiedziała Kate. Pochyliła się nad urządzeniem i na chwilę położyła swe białe, nylonowe rękawiczki na brzegu zlewu. Wtem, jak uciekająca ryba, jedna z rękawiczek ześlizgnęła się po gładkiej, blaszanej powierzchni i wpadła w ciemną kibel. Za nią, niemal równie szybko, lecz zbyt wolno by uratować rękawiczkę, podążyła dłoń Fiveya. Ułamek sekundy później Kate chwyciła Fiveya za nadgarstek.

- Och, uważaj, uważaj!

Przez chwilę stali zupełnie nieruchomo, patrząc na siebie. Kate nieco się cofnęła i pociągnęła za sobą Fiveya, wciąż trzymając w mocnym uścisku jego dużą, włochatą rękę. Po chwili ją puściła, usiadła i odruchowo sięgnęła po butelkę śliwowicy.

- Ależ się zdenerwowałam! Powinieneś uważać z tą maszyną. Chyba muszę się napić. Czy mógłbyś dać dwa kieliszki?

Fivey postawił kieliszki na stole i usiadł - nie naprzeciw Kate, lecz koło niej. Lekko drżącą ręką Kate nalała śliwowicy. Już zdążyła zapomnieć jak niezwykle seksownie pachnie ten trunek. Wciąż czuła na skórze dotyk owłosionej ręki Fiveya. Odwróciła się do niego i wypili.

Kate odstawiła kieliszek. Lewa ręka Fiveya leżała na stole - ogromna i bezwładna jak odpoczywające zwierzę. „Jakie to wszystko dziwne” - pomyślała Kate. - „Zupełnie zapomniałam jak smakuje śliwowica. Jest cudowna, cudowna.” Bardzo powoli i ostrożnie położyła rękę na dłoni Fiveya, a potem pogładziła ją delikatnie, czując włosy, skórę, kości. Przez cały czas patrzyli sobie prosto w oczy.

Wreszcie, zupełnie jakby miał zamiar zaprosić ją do tańca, Fivey odstawił swój kieliszek, przysunął się razem z krzesłem i przesunął dłonią po ramieniu Kate. Jego wąsy orzechowego koloru coraz bardziej przybliżyły się do jej twarzy. Kate zamknęła oczy.

- Przestań się śmiać, Oktawian! Wiesz, jesteś okropny!

- Chcesz powiedzieć, że ten typek naprawdę się do ciebie przystawiał?

- Nie, kochanie. Już ci to tłumaczyłam. To ja się do niego przystawiałam!

- Po czym dałaś mu dychę, żeby mógł pojechać do swojej starej matki!

- Tylko tyle mogłam dla niego zrobić.

- Kate, najdroższa, jesteś szalona! Uwielbiam cię!

- Przyznaję, że sama byłam nieco zdziwiona. Pewnie to ten irlandzki akcent tak na mnie zadziałał. A może to sprawka mojej rękawiczki, która wpadła do tej maszyny?

- A może to sprawka śliwowicy?

- Boże, ta śliwowica! Wypiliśmy całą butelkę! Mam koszmarny ból głowy.

- Przynajmniej przekonałaś się, że ten Fivey nie jest homoseksualistą!

- No, nie wiem. Przecież może być biseksualny. On jest strasznie słodki, zupełnie jak jakieś cudowne zwierzę. I taki zwyczajny! Prosto z irlandzkiej wsi.

- Nie powiedziałbym, żeby jego zachowanie było zwyczajne. Londyn jest pełen mężczyzn, którzy zemdleliby z rozkoszy, gdyby udało im się pocałować cię po roku znajomości, a co dopiero po dwudziestu pięciu minutach!

- Och, Oktawian, te boskie wąsy!

- No to teraz masz na głowie Ducane'a i na dodatkę jego służącego!

- No, tak... Oktawian, jak myślisz - powinnam powiedzieć Ducane'owi? To niezbyt miłe, prawda?

- Fivey w każdym razie mu nie powie!

- To zależy, jakie są układy między nimi. Może właśnie w tej chwili leżą w łóżku, rozmawiają zupełnie tak jak my i pękają ze śmiechu!

- Przestań, przecież wcale tak nie myślisz.

- Oczywiście, że nie. Ale to taka kłopotliwa sprawa. Co by sobie reszta pomyślała, gdyby się dowiedzieli, co ja wyczyniałam, kiedy oni grzecznie robili zakupy!

- Pomyśl, co by się działo przy obiedzie. Podejrzliwe spojrzenia. Dotknięcia ręki przy podawaniu talerzy. Pyszna zabawa!

- O, Boże! Myślisz, że John czułby się zraniony?
- Tak, na pewno. Ale nigdy by nie uwierzył, że to ty zaczęłaś. Nie zna cię tak dobrze jak ja! I pewnie zwolniłby Fiveya.
- To znaczy, że nie zrozumiąłby?
- Tak.
- Cóż, w takim razie nie mogę mu powiedzieć, prawda? Nie chciałabym, żeby ten biedny Fivey miał przeze mnie kłopoty.
- Zostawiłaś list do Ducane'a?
- Nie. I zabrałam butelkę i resztę orzechów!
- I nie powiedziałaś Fiveyowi, czy ma zawiadomić Ducane'a o twoim przyjściu? Jesteś bardzo nieudolną intrygantką. Lepiej zadzwoń do niego jutro rano!
- Nie mogę. Och, Oktawian, jestem taka okropna. Nie, nie będę do tego wracała. Jeżeli John wspomni coś o mojej wizycie, jakoś się wykręcę.
- No, niewątpliwie zapewniłaś mi rozrywkę. Z tobą nie sposób się nudzić. Gotowa?
- Gotowa, kochanie. Och, Oktawian, jak to miło być twoją żoną!

## Rozdział osiemnasty

Pierce, wujek Theo i Mingo byli na plaży. Wujek Theo siedział na piasku, przed nim leżał Mingo, z głową i przednimi łapami opartymi na kolanach Theo. Pierce, zmęczony pływaniem, wyciągnął się na brzuchu, ręce bezwładnie wyrzuciwszy do przodu. Theo od jakiegoś czasu obserwował to szczupłe ciało, najpierw mokre, teraz - suche, równomiernie opalone na jasny brąz. W pobliżu nie kręcili się żadni tubylcy, więc Pierce pływał nago. Wujek Theo głęboko wciągnął powietrze, tłumiąc westchnienie, by nie zostać usłyszanym.

Prawa dłoń wujka Theo automatycznie gładziła wełniane futro Mingo. Wszyscy zgadzali się co do tego, że Mingo przypomina bardziej owcę, niż psa, a bliźniaki były wręcz przekonane, że jego praprababcią musiała być owca. Mingo miał zamknięte oczy, lecz lekkie drżenie jego ciepłego ciała, coś w rodzaju wewnętrznego machania ogonem, zdradzało, że nie śpi. Wujek Theo w zamyśleniu zawiesił wzrok na bezwładnych, przygarbionych ramionach, wystających łopatkach, smukłej talii, szczupłych, lecz jędrnych biodrach i długich, prostych nogach Pierce'a. Podeszwy stóp Pierce'a, które Theo mógł zobaczyć, pochyliwszy się nieco do przodu, były pomarszczone i oblepione piaskiem. Na pewno były przyjemne w dotyku - stwardniałe, a jednak miękkie. I pewnie smakowałyby słoną wodą.

Lewa dłoń wujka Theo, spoczywająca w niewielkiej odległości od chłopca, wyczuwała szaroniebieskie i białe kamyki. Kamyki owe, sprawiające taką radość bliźniakom, dla niego były koszmarem. Przerażała go ich różnorodność i przypadkowość. Ręka Boga nie



mogła sięgnąć w głąb istoty materii, a tam, dokąd nie dotarła, panował chaos i spustoszenie. Tak to widział Theo i to, co dla bliźniaków stanowiło skarbnicę najcudowniejszych okazów (martwiły się, że nie mogą obdarzyć swą uwagą każdego kamienia i przynieść wszystkich do domu), dla Theo było paskudztwem, nie znającym ducha. „Czy natura cierpi w takich skrajnościach?” - zastanawiał się. - „Czy też jest martwa? Chaos i spustoszenie.” Czyż wszystko nie jest bezsensowną przypadkowością, i czyż on sam nie jest tak pozbawiony znaczenia jak te kamienie, skoro jedyna właściwa prawda jest taka, że nie ma Boga?

Kamienie były białe albo szaroniebieskie, lecz przyglądając im się z bliska można było dostrzec niemal wszystkie kolory pośrednie; kamienie różniły się również wielkością i kształtem. Wszystkie miały okrągły kształt, lecz niektóre były nieco spłaszczone, inne podłużne, a jeszcze inne kuliste; niektóre były niemal przezroczyste, inne mniej lub bardziej obficie nakrapiane, były też prawie całkowicie czarne, brązowoczerwone, jasnoszare, fioletowe, niebieskie. Theo, tkwiąc pomiędzy nimi, wygrzebał małą dziurę, odsłaniając warstwę wilgotnego, lśniącego żwiru pod wyblakłą od słońca, suchą powierzchnią. Wziął do ręki jeden kamyk i przyjrzał mu się. Był spłaszczony, szary i pokryty delikatnymi rysami w kształcie wachlarza. Nie warto go było zatrzymywać dla bliźniaków, których ogromna kolekcja zawierała już wiele podobnych. Theo wytarł kamyk do sucha o spodnie. Potem, z wielką ostrożnością i delikatnością, położył go na kręgosłupie Pierce'a, tuż nad talia, na jednym z kręgów, których miękka, gięta linie przed chwilą śledził wzrokiem. Pierce cicho zamruczał. Theo wziął drugi kamyk i położył go na prawym ramieniu chłopca, a potem, dla równowagi, umieścił jeszcze jeden na lewym ramieniu. Pochłonięty tym zajęciem, przesunął Mingo nieco na bok i zaczął pokrywać plecy Pierce'a symetrycznym wzorem z płaskich kamieni. Najpierw osuszał każdy kamyk i ogrzewał go w swoich dłoniach (kamienie z zewnętrznej warstwy były na to zbyt gorące) i potem bardzo ostrożnie kładł go na plecach chłopca, opuszkami palców czując ciepłe, opiaszczone ciało. Punktem kulminacyjnym, którego Theo już nie mógł się doczekać, miała być chwila, gdy położy, och, tak delikatnie i niespiesznie, dwa kamyki na pośladkach Pierce'a.

Nagle rozległ się jakiś chrzęst i padły na nich dwa cienie. Pierce przekręcił się na bok, zrzucając kamienie i usiadł. „Do diabła!” - pomyślał Theo. - „Do diabła, do diabła!”

- Czy możemy zabrać Mingo? - spytał Edward. - Jest potrzebny do zabawy w pióra.

- Nie pójdzie - odparł Pierce. - Jest zakochany w wujku Theo. - Pierce nie krępował się przed Henrietta, która była przyzwyczajona do widoku męskiej nagości.

- Pójdzie, jeżeli go grzecznie poprosimy - powiedziała Henrietta. - To taki uprzejmy piesek.

- No, dalej, Mingo, przestań się lenić. - Wujek Theo zepchnął psa z kolan.

- Widzieliście ostatnio jakieś latające talerze? - spytał Pierce.

- Tak, wczoraj. Chyba nawet ten sam, co zwykle.

- Dziwne, że jakoś nikt oprócz was ich nie widział!

Edward, zajęty stawianiem na cztery łapy opornego i nieco sflaczałego Mingo, westchnął:

- Och, jak bym chciał, żeby spadł deszcz!

Henrietta wzięła swego brata na stronę i zaczęła mu coś szeptać do ucha. Edward puścił Mingo, który natychmiast z powrotem rozplaszczył się na kamieniach. Po dłuższej chwili Edward odchrząknął i zwrócił się do Pierce'a tonem, który dzieciaki określały mianem oficjalnego.

- Pierce, chcielibyśmy ci coś dać.

- Co? - spytał Pierce obojętnie. Z powrotem położył się na kamieniach - tym razem na plecach.

Bliźniaki podeszły do niego i Pierce niechętnie oparł się na łokciach.

- Proszę - powiedział Edward. - Chcielibyśmy, żebyś to wziął. To dla ciebie.

- Z najlepszymi życzeniami - dodała Henrietta.

Edward coś mu podał i Pierce wyciągnął brązową, opiaszczoną dłoń. Theo, zerkając przez ramię, zobaczył, że była to skamielina. Na obu stronach kamienia było wyraźne odbicie delikatnej, pięknie karbowanej spirali muszli; morze zaokrągliło jego brzegi i nieco zatarło wzór, tworząc okaz wyjątkowej urody. Theo wiedział, że taki podarunek to wielkie poświęcenie dla bliźniaków, które swe kamienie ceniły nie tylko z powodów estetycznych, lecz również naukowych.

- Dzięki - powiedział Pierce, niezgrabnie trzymając kamień.

Edward zrobił krok do tyłu, jak gdyby miał się uklonić, a potem szybko powrócił do swych prób ożywienia Mingo. Pierce leniwie wstał. Po wielu „No, chodź” i „Dobry piesek” bliźniaki wreszcie nakłoniły Mingo, by się do nich dołączył i właśnie ruszyły przez oślepiającą jasnoniebieskobiałą przestrzeń, gdy Pierce gwałtownie się szarpnął i zeszywniał, niczym rażony prądem. Potem skręcił się jak sprężyna, odrzucił do tyłu rękę, obrócił się na pięcie i silnym pchnięciem rzucił kamień daleko w morze.

Edward i Henrietta, którzy widzieli, co się stało, stanęli jak wryci. Theo poderwał się na równe nogi. Pierce odwrócił się tyłem do morza. Bliźniaki znowu ruszyły przed siebie sztywnym krokiem.

- To było po prostu świnstwo - powiedział Theo. - Co ci strzeliło do głowy?

Pierce spojrzął na niego poprzez ramię. Jego twarz zmieniała się nie do poznania, była wykrzywiona jak japońska maska. „Jest rozwścieczony” - pomyślał Theo. - „Ach, nie, on się zaraz rozpłacz!”

- Uspokój się, Pierce.

- Jestem tak cholernie nieszczeniwy.

- Rozumiem. Ale nie powinieneś się odgrywać na bliźniakach.

- Możliwe. A zresztą - co mnie to obchodzi? Nienawidzę wszystkich. Wszystko jest czarne.

Wyobrażając sobie, jak bierze tego nagiego *kourosa* w ramiona, Theo usiadł na kamieniach. Pierce stał pomiędzy nim a wodą, na tle świetlanego morza i nieba, skręcając i gnąc swe brązowe ciało jak więzień w okowach.

- Zatrzymaj więc tę ciemność w sobie - powiedział Theo. - Nie okrywaj nią innych.

- Gdybym tłamsił wszystko w sobie, chyba bym umarł. Byłeś kiedyś beznadziejnie zakochany, wujku Theo?

- Tak. - „Beznadziejnie to najlepsze słowo” - pomyślał Theo, przyciskając dłonie do kamieni.

Pierce leniwie przychylił się, podniósł swoje rzeczy i powoli ruszył plażą.

Theo w pierwszej chwili chciał go zawołać, ale potem pomyślał: „Och, niech sobie idzie. Nie ma lekarstwa na nieodwzajemnioną miłość, po prostu trzeba to jakoś znieść. Ja to jakoś znoszę, to i on da sobie radę”.

Wstał, ale nie poszedł za Pierce'em. Ruszył w kierunku miejsca, gdzie siedziały bliźniaki i Mingo. Jeszcze nie zaczęli swojej zabawy w pióra. Gdy podszedł do nich, okazało się, że Henrietta płacze.

Mingo powitał Theo, jak gdyby nie widzieli się od roku. Theo usiadł obok Henrietty.

- No, no, moja maleńka, nie rozpaczaj tak. Wiesz, że Pierce jest bardzo nieszczęśliwy. A kiedy ludzie są nieszczęśliwi, zupełnie automatycznie zadają ból innym.

- Dlaczego on to zrobił?! - wykrzyknął Edward z oburzeniem. - Jeżeli nie chciał tego kamienia, to mógł nam go oddać. Był taki piękny.

- Był najpiękniejszy ze wszystkich - zaszlochała Henrietta. - Edward nie chciał mu go dać, ale go przekonałam. Chciałam rozweselić Pierce'a. Och, po co to zrobiłam?

- Nigdy nie żałuj dobrego uczynku - powiedział Theo. - Dobre uczynki są o wiele potężniejsze, niż ci się wydaje. Pierce was przeprosi i musicie mi obiecać, że mu wybaczycie.

Po krótkiej rozmowie bliźniaki obiecały, że wybaczą Pierce'owi. Henrietta jeszcze przez jakiś czas wylewała łzy nad smutnym losem wyrzuconego kamienia, lecz Theo razem z Edwardem w końcu ją pocieszyli, opowiadając, jak kamyk ów będzie szczęśliwy, mogąc rozmawiać z krabami i rybami, i że na pewno woli leżeć na morskim dnie, niż pozwoli pokrywać się kurzem w sypialni Pierce'a.

„Dlaczego to zrobiłem?” - zadał sobie pytanie Pierce, zakładając spodnie. „Przepraszę ich, ale to i tak niczego nie naprawi. A zresztą, co mnie to obchodzi? Nie cierpię wszystkich. Pewnie, jak twierdzi Barbara, robię się zły. No i dobrze, jestem zły i będę zły.”

Barbary nie było w domu; pojechała do miasta odwiedzić koleżankę. Pierce miał nadzieję, że jej nieobecność przyniesie mu jakąś ulgę, choćby w postaci oświecenia, lecz nie wziął pod uwagę bólu wywołanego samą pustką. Jego ponury nastrój, który pod wpływem nieobliczalnego zachowania Barbary pozostawał dość niesprecyzowany, teraz stał się jeszcze gorszy i o wiele bardziej określony, jak gdyby Pierce szykował się do jakiegoś ostatecznego aktu zniszczenia. A jego fizyczne pożądanie nieobecnej Barbary wydawało się jeszcze bardziej dokuczliwe i bolesne niż pożądanie jakiegokolwiek innej dziewczyny z krwi i kości.

Nie mógł się powstrzymać przed łażeniem za nią i prowokowaniem jej, aż w końcu powiedziała mu prosto w twarz, że jedzie do miasta, żeby od niego odpocząć. Nastąpiła ostra wymiana zdań, a gdy Pierce później wrócił do swojego pokoju, znalazł na łóżku wszystkie przedmioty, które kiedyś dał Barbarze w prezencie. Zrewanżował się, zanosząc do jej pokoju wszystkie rzeczy, które mu kiedykolwiek ofiarowała, włączając w to wspaniałe nóż, który mu przywiozła ze Szwajcarii, i który był jego oczkiem w głowie.

Pierce, już całkowicie ubrany, lecz nadal bosy, stanął na brzegu lśniącego morza. Spojrzał w dół na kamienie, widoczne pod wodą zieloną i spokojną, lecz pełną bąbelków jak szkło ze skazą. Pomyślał: „Jakoś ją ukarzę, będę musiał to zrobić. A potem wpłynę do jaskini Gunnara, zostanę tam i utopię się”.

## Rozdział dziewiętnasty

Mary przeszła przez niski murek, otaczający cmentarz. Jej białe - niebieska, bawełniana sukienka omiotła połyskliwą powierzchnię ciepłego kamienia i na sandał Mary posypała się chmura pyłu.

Willy był parę kroków przed nią; szedł wolno po spletanym pędach sprężystego bluszczu. Poruszał się rytmicznie jak tancerz, jego utykanie było prawie niedostrzegalne. Tajemnicza giętkość bluszczowego dywanu udzielała się jego ciału.

Mary oparła się o ogrodzenie. Nie śpieszyła się, żeby dogonić Willy'ego. Upalne popołudnie było ciche gęstą, miłą, pachnącą ciszą, którą Mary wchłaniała ekstatycznie. Bardzo, bardzo odległe kukanie kukułki wdarło się w ciszę przerywając ją na moment. „Jestem leniwa” - pomyślała Mary. - „Nie śpieszy mi się.” Uśmiechnęła się na tę myśl.

Z tej części cmentarza nie było widać nic oprócz białawoszarych pomników, których wierzchołki roztopiały się w jaskrawym świetle, i ośmiokątnego kościoła, którego ściany zaczynał porastać bluszcz. Być może za jakiś czas kościół, tak jak wiele nagrobków, stanie się jedną wielką kępą bluszczu. Ponad rozedrganymi w gorącym powietrzu sylwetkami grobowców rozciągało się puste niebo - blade, bezbarwne, świetliste próżnia.

Mary ruszyła przed siebie. Nie szła za Willym, lecz obok niego. Jej obute w sandały stopy stąpały po spletej powierzchni sprężystego bluszczu, który uginał się pod ciężarem kobiety, lecz był tak gruby, że nie wyczuwała pod nim gruntu. „Pewnie tak bym się czuła, chodząc

po wodzie" - pomyślała. - „Woda byłaby gruba, sprężystą powierzchnią, uginającą się pod moimi stopami." Przystanęła i dotknęła żelaznej poręczy, otaczającej jeden z pomników. Idąc, czuła bliskość Willy'ego. To letnie popołudnie połączyło ich ciała. „Dzisiaj jesteśmy jak bliźnięta syjamskie" - pomyślała. - „Łączy nas jakaś rozkoszna, elastyczna, ciepła ektoplazma."

Willy rzucił się na bluszcz, padając na plecy jak dziecko. Mary podeszła do niego i widząc, że ma zamknięte oczy, usiadła cicho nieopodal i oparła się o jeden z nagrobków - ten, z którego Pierce tak pieczołowicie zdrapał bluszcz, odsłaniając piękną płaskorzeźbę, przedstawiającą płynący statek.

Willy, wyczuwając po drzeniu roślin zbliżającą się Mary, powiedział:

- Cześć.

- Cześć.

Mary zamilkła, spoglądając na biel włosów Willy'ego, rozłożonych na bluszczu jak wachlarz. Jego twarz była tak mała i brązowa, nos - tak cienki, dłonie - tak drobne i kościste. Nagle pomyślała o uczuciu lekkiego strachu, jaki wywołują ptasie szpony, zaciskające się na ludzkim palcu.

- O czym myślisz, Mary?

- O tym cmentarzu. - Nie mogła mu przecież powiedzieć o ptasich szponach.

- To znaczy?

- Och, nie wiem. Czuję, że ci ludzie na pewno żyli spokojnie i szczęśliwie.

- O nikim tak nie można powiedzieć.

- Czuję ich obecność. Nie jest wroga ani niepokojąca.

- Tak, ja też to czuję. Martwi gospodarze są inni niż za życia.

Mary umilkła. Nie czuła niepokojącej ani wrogiej nieobecności, a jednak cmentarz napawał ją lękiem - nie całkiem niemiłym, zwłaszcza w takie popołudnia, które przypominały północ. „W co się przemienili?" - zastanawiała się. Nie mogła sobie wyobrazić, że w tych grobach leżą czaszki i gnijące kości. Widziała natomiast śpiących spowitych w biel, śpiących z otwartymi oczami.

- Mary, ty drżysz.

- Nic mi nie jest. Po prostu chyba zbyt długo siedziałam na słońcu.

- Pozwól, że cię wyleczę przy pomocy mojego magicznego kamienia. Łap!

Mary chwyciła w powietrzu coś zielonego. Przez sekundę myślała, że to coś spadnie w ciemną otchłań bluszczowej podściółki, lecz jej dłoń zręcznie to podbiła i zielony przedmiot upadł Mary na kolana. Było to na wpół przezroczyste, zielone szkiełko, ukształtowane przez morze w niemal idealną kulę.

- Och, jaki piękny! - Przyłożyła kamyk do czoła. - I taki zimny.

- Tak ładnie go złapałaś w spódnice. Czy znasz tę legendę o księżniczce, która odnalazła księcia, skrywającego się pomiędzy jej damami dworu? Rzuciła im piłkę, a każda z nich rozsuwała nogi, żeby ją złapać. Książę zaś złączył nogi.

Mary roześmiała się. Czuła kontakt między ich ciałami, jak gdyby łączył je silny, niemalże widzialny wir. Willy usiadł i oparł się o nagrobek. „Och, tak bym chciała, żeby oparł głowę na moich kolanach” - pomyślała Mary.

- Nie pokazuj tego kamyka bliźniakom - powiedziała. - Tak strasznie by im się spodobał, że musiałybyś się z nim pożegnać!

- Ależ ja go dałem tobie.

- Och, dziękuję! - Przymknęła oczy i przesunęła zimne szkło po czole, nosie i policzku. - Och, Willy, Willy, Willy.

- C o ?

- Nic. Dziwnie się czuję. Chciałabym, żebyś więcej ze mną rozmawiał. Powiedz mi coś o sobie, byle co, jakiś drobiazg. Jakie miałeś zabawki, jaki był twój pierwszy dzień w szkole, kim byli twoi przyjaciele, cokolwiek.

- Dobrze, opowiem ci... opowiem ci o najstraszniejszej rzeczy, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła.

- Och! - „Teraz wszystko się wyjaśni” - pomyślała. - „Wszystko. O Boże, zniosę to.”

- Miałem sześć lat.

- Tak...?

- Pojechaliśmy na wakacje - ciągnął Willy - do pewnej miejscowości nad Morzem Czarnym. Co rano chodziłem z moją opiekunką do parku. Ona siadała na ławce i robiła na drutach, a ja udawałem, że się bawię. Tak naprawdę tego nie robiłem, bo nie umiałem się bawić przy ludziach, a poza tym bałem się innych dzieci.



Wiedziałem, że powinienem biegać w kółko, więc biegałem, udając, że jestem koniem. Ale przez cały czas martwiłem się, że ktoś na mnie spojrzy i domyśli się, że tylko udaję, i że wcale nie jestem szczęśliwym, rozbrykanym dzieckiem, lecz małym, przestraszonym stworzonkiem, biegającym tam i z powrotem. Wolałbym cichutko posiedzieć koło mojej opiekunki, ale ona by mi na to nie pozwoliła i kazałaby mi biegać i bawić się. W parku widziałem inne dzieci, lecz były one starsze ode mnie i bawiły się w grupkach. W końcu któregoś dnia przyszła do parku jakaś jasnowłosa dziewczynka z małym, czarno-białym pieskiem. Byłem zbyt nieśmiały, żeby ją zagadnąć, czy choćby porządnie się jej przyjrzeć. Miała na sobie niebieski, aksamitny płaszczyk i niebieskie buciki. Do dziś pamiętam te niebieskie pantofelki. W ciągu tych pierwszych dni ośmieliłem się zaledwie spojrzeć na jej buty. Była tylko jakaś niewyraźną postacią, bawiącą się nieopodal z pieskiem. Ja też chciałem się z nim bawić, to byłaby prawdziwa zabawa, ale o wiele bardziej pragnąłem pobawić się z tą małą dziewczynką. Ona jednak odeszła i usiadła koło swojej niani, choć parę razy słyszałem, kiedy opiekunka mówiła jej, że może się ze mną pobawić.

Wkrótce zaczęła do mnie podchodzić, gdy głaskałem jej piaska, a raz, gdy siedziałem na trawie, a pies leżał koło mnie, podeszła i usiadła obok i wtedy spytałem, jak się wabi jej pies. Jeszcze teraz czuję dotyk ciepłej, gładkiej sierści na jego grzbiecie i widzę, jak ręka dziewczynki, tuż koło mojej, tarmosi jego uszy i pamiętam jej twarz tak jak ją zobaczyłem po raz pierwszy - okrągłą, różową i nieco błyszczącą. Miała krótkie, bardzo jasne włosy, śmieszne, małe usteczka i strasznie mi się podobała. Chwilę porozmawialiśmy a potem poprosiła mnie, żebym się z nią pobawił. Byłem jednakiem i nie umiałem bawić się z innymi dziećmi. Nie znałem zabaw, do których potrzeba więcej dzieci. Zgodziłem się, ale potem nie wiedziałem, co mam robić. Próbowiła mnie nauczyć jakiejś gry, ale byłem zbyt głupi i zbyt zakochany, żeby cokolwiek zrozumieć, a zresztą ta gra wymagała chyba więcej uczestników. W końcu po prostu zaczęliśmy się bawić z psem: ścigaliśmy się z nim, tarmosiliśmy go za uszy i usiłowaliśmy nauczyć go robić sztuczek. Teraz już chciałem codziennie chodzić do parku, żeby zobaczyć się z tą dziewczynką i byłem bardzo, bardzo szczęśliwy. Myślę, że już nigdy potem nie czułem się tak szczęśliwy jak wtedy.

Któregoś dnia pomyślałem sobie, że chciałbym przynieść dziewczynce i jej pieskowi jakiś prezent. Namówiłem rodziców, żeby mi kupili małą, żółtą piłeczkę. Byłem strasznie niecierpliwy i nie mogłem się doczekać, kiedy pokażę piłeczkę mojej małej przyjaciółce. Następnego ranka poszedłem do parku. Zobaczyłem dziewczynkę w niebieskim płaszczyku i niebieskich bucikach i skaczącego wokół niej czarno-białego pieska. Pokazałem jej mój prezent, a potem rzuciłem piłeczkę pieskowi. On pobiegł za nią i złapał ją w pyszczek. Utknęła mu w gardle i zadławił się na śmierć.

- O Boże! - szepnęła Mary. Uklękła na bluszczu. Zakończenie opowieści nadeszło tak niespodzianie, że nie wiedziała, co powiedzieć. - Och, jak... Och, Willy... I co się potem stało...?

- Nie widziałem wszystkiego, bo moja opiekunka zabrała mnie stamtąd. Przez cały dzień byłem w szoku, a nazajutrz dostałem gorączki. A potem musieliśmy wracać do domu. Już nigdy nie zobaczyłem tej dziewczynki.

- Och, Willy - westchnęła. - Tak mi przykro, tak mi przykro...

Zapadła cisza. Odległe kukanie głucho dudniło w powietrzu. Scena z opowieści Willy'ego jak wyblakła, brązowa pocztówka stanęła Mary przed oczami, przesłaniając cmentarz. Zobaczyła park, plotkujące nianie, stateczne, staromodnie ubrane dzieci, rozbrykanego pieska. Chcąc przerwać to milczenie, spytała:

- Jak się wabił ten piesek?

Willy nie odzywał się. „Nie pamięta” - pomyślała. Podniosła wzrok.

Willy siedział całkowicie nieruchomo, rękoma obejmując ramiona. Po jego twarzy strumieniami płynęły łzy. Jego usta wykrzywiły się, rozchylił wargi i po dwóch próbach powiedział:

- Rover. To był angielski terier. Wtedy było w modzie nadawać psom angielskie imiona.

- Och, mój kochany... - powiedziała Mary. Poruszyła się niezgrabnie, usiłując przesunąć się nieco po sprężystej powierzchni bluszczu. Przytuliła się do Willy'ego, obejmując go ręką i składając głowę na jego ramieniu. Willy otarł twarz czystą, złożoną chusteczką. Mary objęła go drugą ręką i spłótła dłonie na jego drugim ramieniu, przyciskając policzek do marynarki. Czuła jak jego ciało sztywnieje w jej uścisku i pomyślała z rozpaczą: „To mu nie przynosi ulgi, to mu

wcale nie przynosi ulgi". Uściśnęła go mocniej, a potem odsunęła się. Jaskrawe światło zdziwiło ją, jak gdyby wyszła z jakiegoś ciemnego miejsca.

- Posłuchaj, Willy - powiedziała. - Posłuchaj i nie doprowadzaj mnie do szaleństwa. Czy chciałbyś się ze mną ożenić?

- C o ?

- Spytałam, czy chciałbyś się ze mną ożenić?

Kłęczała naprzeciw niego. Willy nadal ocierał twarz. Nieco się uniósł i usiadł na podkulonej nodze. Jego wzrok powoli przesunął się po cmentarzu i zanim spoczął na twarzy Mary, jego twarz zmieniła się nie do poznania: była to promienna, ożywiona, figlarna twarz, którą Mary widziała tylko raz, gdy Willy tańczył w swoim pokoju przy dźwiękach muzyki Mozarta.

- Cudownie, cudownie, cudownie! - wykrzyknął. - Jeszcze nikt nigdy mi się nie oświadczył! - A gdy Mary usiłowała coś powiedzieć, dodał niskim głosem: - Wiesz, ja jestem impotentem...

- Willy, Willy! - Rozległ się przenikliwy krzyk. Odwrócili się i zobaczyli Barbarę, pośpiesznie przechodzącą przez murek. Biegła do nich, podskakując. Jej niebieskie sandały prawie nie dotykały ciemnozielonego dywanu.

- Och, Willy, Mary, widzieliście gdzieś Montrose'a?

Oboje zaprzeczyli.

- Nie mogę go nigdzie znaleźć, nigdzie. Nigdy nie oddalał się na tak długo, nie przyszedł napić się mleka, a Pierce mówi, że pewnie utonął i...

- Bzdury - powiedziała Mary. - Koty się nie topią, są na to zbyt mądre. Na pewno wróci.

- Ale gdzie on jest ? On nie jest taki jak inne koty, nigdy nie oddala się od domu...

- No, dobrze - powiedział Willy, wstając ze swej bluszczowej kanapy. - Wrócimy razem do domu i spróbujemy go poszukać. Pewnie jest gdzieś blisko i śpi pod jakimś krzakiem. Pomogę ci go znaleźć.

- Ale ja szukałam wszędzie, bo już dawno minęła pora jego podwieczorku, a on przecież zawsze przychodzi na czas...

Willy poszedł z Barbarą, mówiąc do niej miękkim, uspokajającym głosem.

Mary została na miejscu. Po chwili powoli wstała. Z nagłym dreszczem trwogi przypomniała sobie o zielonym szkiełku, które Willy rzucił jej na kolana, jak księżę szukający księżniczki, choć w bajce było oczywiście na odwrót. Gdy Mary przesunęła się, żeby go objąć, szkiełko musiało upaść gdzieś w bluszcz. Zaczęła go szukać, po łokcie zanurzając ręce w ciemnym, suchym gąszczu, lecz choć szukała przez długi czas, nie udało jej się go odnaleźć.

## Rozdział dwudziesty

Przeogromna literatura dotycząca prawa rzymskiego powstała na podstawie stosunkowo niewielkiej ilości przekazów, z których znaczna część jest podejrzana z powodu wstawek. Ducane często się zastanawiał, czy jego zainteresowanie tym tematem nie jest jakąś perwersją. Istnieją pewne obszary wiedzy, jak choćby wczesna historia Grecji, czy właśnie prawo rzymskie, gdzie ubóstwo przekazów stanowi wyjątkowe wyzwanie dla zdyscyplinowanego umysłu. To gra, w której talent jej uczestnika przejawia się w komplikowaniu zasad. Nagi, nic nie mówiący fakt musi zostać ubrany w materię hipotezy, wystarczająco misternej, by nadała mu jakieś znaczenie i to właśnie tkanie tej materii tak fascynowało Ducane'a. W jego wyborze pewną rolę odgrywało z pewnością zamiłowanie do estetyki, związane być może z jego purytańską naturą, szczególne upodobanie do schludności, zwartości, jasności i skończoności. Wszystko, co nazbyt empiryczne, Ducane'owi wydawało się nieuporządkowane. Jedynym źródłem uporczywego niezadowolenia z tego suchego i skończonego przedmiotu studiów był dla niego fakt, że często się okazywało, iż tematy, które interesują go najbardziej, zostały już parę lat wcześniej dogłębnie zbadane przez jakiegoś Niemca.

W tej chwili Ducane, wróciwszy właśnie ze spotkania z Oktawianem, podczas którego wbrew swym intencjom, rozmawiali o sprawach zawodowych, siedział na łóżku i przeglądając pracę, napisaną jeszcze podczas pobytu w Ali Souls, zastanawiał się, czy włączyć ją do zbioru esejów, które wkrótce miały się ukazać pod

tytułem *Zagadka i paradoks w prawie rzymskim*. Dobrze wiedział, że powinien być teraz zajęty czym innym. Powinien napisać list do Jessiki z propozycją spotkania. Powinien szkicować tymczasowy raport ze swego dochodzenia w sprawie Radeechy'ego. Zrezygnował z listu, gdyż mógłby się zdobyć jedynie na kłamstwo. Zrezygnował z raportu, gdyż jeszcze nie zdecydował, co począć z Richardem Biranne'em.

Wszelkie wysiłki pomocników Ducane'a - Georga Droysena i innych - podjęte w celu odnalezienia „Heleny Trojańskiej”, jak dotąd nie przyniosły żadnych rezultatów, a rewizja *sub rosa* domu i konta bankowego Radeechy'ego nie ujawniła niczego interesującego. Ducane odkrył tylko jedną dziwną rzecz. W księgozbiore Radeechy'ego znajdowała się pokaźna liczba książek na temat magii, ale nie było ani śladu rekwizytów, o których mówił McGrath. Ducane z pewną wstydliwą ciekawością spodziewał się, że obejrzy sobie narzędzia dziwaczного fachu Radeechy'ego, ale nie było co oglądać. Doszedł do wniosku, że Radeechy pewnie zniszczył wszystko przed popełnieniem samobójstwa, co oznaczałoby, że zostało ono zaplanowane. Niczego to jednak nie tłumaczyło.

Ducane zwlekał z zażądaniem wyjaśnień od Biranne'a, gdyż zaczął mieć wrażenie, że to jego ostatnia karta atutowa. W raporcie, dotyczącym Biranne'a, który dostał z Urzędu Ochrony Państwa, jak przewidywał, nie było niczego interesującego, a jego własne dyskretne śledztwo i domysły pozostały bezowocne. Nie mógł wpaść na żaden trop, który pomógłby mu wyjaśnić ten dziwny związek, a nie chciał demaskować Biranne'a, mając w ręku tylko to, co odkrył do tej pory. Biranne to niezwykle inteligentny człowiek i trudno by mu było wmówić, że „już wszystko wyszło na jaw”. Do tego dużo jeszcze brakowało i Biranne z pewnością by się tego domyślił. Ducane nie wątpił, że w związku Radeechy'ego z Biranne'em kryje się klucz do rozwiązania zagadki samobójstwa. Biranne nie wyjawiał prawdy o swojej znajomości z Radeechym; przecież to on jako pierwszy dowiedział się o jego śmierci i przesunął ciało. Ale jeżeli Biranne powie, że kłamał ze zdenerwowania, a ciało przesunął z niepohamowanej ciekawości? I że jego błyskawiczne pojawienie się na miejscu tragedii nie kryło w sobie niczego złego?

Ducane ponownie dopuścił do siebie myśl, że to rzeczywiście Biranne zamordował Radeechy'ego, i że rozbieżność pomiędzy odci-

skami palców samobójcy i miejscem ułożenia pistoletu była wynikiem albo przypadku, albo przebiegłości. Ale takie rozwiązanie go nie zadowalało: przypadek był raczej nieprawdopodobny, a przebiegłość - zbyt pokretna i niejasna. Jeżeli Biranne widział, jak Radeechy robi „jakieś rzeczy” podczas wypełniania swoich magicznych rytuałów, to czyż nie spostrzegłby, że Radeechy jest leworęczny? Ducane wiedział jednak z doświadczenia, że leworęczność często umyka uwadze, a poza tym nie sposób było udowodnić, że wizyty Biranne'a w jakiś sposób łączyły się z magią. Ogólnie rzecz biorąc Ducane wcale nie był przekonany, że w grę wchodzi morderstwo. Był całkiem pewien, że Radeechy wystrzelił do siebie z pistoletu, i że Biranne nierozmyślnie przesunął rewolwer w trakcie przeszukiwania ciała, a potem instynktownie położył go przy prawej ręce trupa. Zresztą i tak wkrótce, być może bardzo niedługo, będzie musiał zagrać z Biranne'em w otwarte karty. Wolał nie myśleć o tym przesłuchaniu, lecz będzie to zadanie szalenie istotne i nie może go spartaczyć. Chciał nie tylko zdziwić Biranne'a, ale również zdobyć wystarczająco dużo informacji - tak, by mógł go złapać w pułapkę. Jednak w tej chwili wyglądało na to, że nie da się już odkryć niczego więcej.

- Ktoś chce się z panem zobaczyć, proszę pana. Mówi, że nazywa się McGrath.

Ducane aż podskoczył. Fivey, który nigdy nie wchodził do pokoju, jeżeli wystarczało wetknięcie głowy przez drzwi, pochylił się do przodu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, przytrzymując się klamki. Nawet jego wąsy potwierdzały prawo grawitacji.

- Gdzie jest? Już schodzę na dół.

- Czeka w hallu, proszę pana.

Mijając Fiveya, Ducane poczuł jakiś dziwny, nieznan zapach, ostrą, słodko-kwaśną woń, która zdawała się dochodzić od służącego. Pośpiesznie przeszedł koło niego i wydostał się z zasięgu tego zapachu. Fivey podążył za nim, monotonnie bucząc *Bony Chairlie's noo awa*.

Ducane'owi na chwilę mignęły pomarańczowe włosy i niebieskie oczy McGratha, a potem przesłoniła je ogromna sylwetka Fiveya, który tanecznym krokiem przesunął się przed Ducane'em, z rozmachem otworzył drzwi do małego salonu i zapalił światło. McGrath, nie patrząc już na Ducane'a, gapił się na służącego, który teraz oparł

się o framugę drzwi, przybierając pozę raczej widza niż kamerdynera, wprowadzającego gości do pokoju.

- Proszę do środka - powiedział Ducane.

McGrath minął Fiveya, nie spuszczać z niego wzroku. Wchodząc do pokoju na chwilę odwrócił oczy, po czym znowu na niego spojrzął. Fivey odwzajemnił spojrzenie. Ducane wszedł za McGrathem i znowu poczuł dziwny, lekko oleisty zapach. Fivey raczej odpadł niż odszedł od drzwi i mrucząc *Weel ye noo come back again* odpłynął w stronę kuchni.

Ducane z trzaskiem zamknął drzwi.

- Dostyc późna pora na składanie wizyt, McGrath.

- Kto to był? - spytał McGrath.

- Mój służyący.

- Jakiś taki dziwny. Co mu jest?

- Nie rozumiem. O co chodzi?

- No, te plamy na twarzy.

- To piegi. Proszę usiąść, McGrath. A teraz słucham - po co pan przyszedł? Mam nadzieję, że ma pan dla mnie jakieś nowe informacje.

Ducane zaciągnął zasłony. Usiadł na długim taborecie przed kominkiem i wskazał McGrathowi obity perkalem fotel. McGrath usiadł.

- Słucham - powtórzył Ducane. - Zapewniam, że nie pożałuje pan wyjawienia prawdy.

McGrath siedział pochylony do przodu, uważnie obserwując twarz Ducane'a.

- Czy to znaczy, proszę pana, że to mi się... opłaci?

- Jeżeli myśli pan, że mu zapłacę za dalsze informacje, to obawiam się, że jest pan w błędzie. Chciałem powiedzieć, że jeżeli kiedyś okaże się, że coś pan zataił, to może pan mieć poważne kłopoty.

Myśl o zaproponowaniu McGrathowi jakiegoś pieniężnego wabika oczywiście wcześniej przysłała do głowy Duncane'owi, lecz z miejsca ją odrzucił. Ten człowiek był kompletnie niedyskretny, a zresztą silniej na niego działały pogrożki niż pochlebstwa. Ducane aż się wzdrygnął na myśl o jakimkolwiek poufnym czy quasi-serdecznym układzie z tym facetem, a poza tym czuł, że za swoje pieniądze kupiłby same kłamstwa.



- Myli się pan, proszę pana - powiedział McGrath. - Powiedziałem już wszystko, co wiem o panu Radeechym. Nie przyszedłem w jego sprawie.

- Dlaczego więc pytał pan, czy „to się opłaci”, jeżeli nie ma pan nic więcej do powiedzenia? Ostrzegam pana, McGrath, prowadzi pan niebezpieczną grę. Jeżeli teraz będzie pan ze mną szczerzy, to być może później będę mógł panu pomóc. Ale w innym wypadku...

- Widzi pan, naprawdę mi o to nie chodzi. Zastanawiałem się, czy nie zainteresowałby pana pewien projekt...

- Wątpię, czy zainteresuje mnie jakikolwiek pański projekt, McGrath, poza tym, o którym wspomniałem.

- Ale on, to znaczy ten projekt, naprawdę dotyczy pana i myślę, że jednak będzie pan zainteresowany...

- O czym pan mówi?

- Trochę trudno to wytłumaczyć, proszę pana. Zastanawiałem się, czy byłby pan skłonny regularnie wypłacać mi te drobne kwoty, które dostawałem od pana Radeechy'ego za swoje usługi, to znaczy...

Ducane wlepił wzrok w McGratha. Różowawobiała twarz gościa miała miękkie, dziecinny wygląd, jego bładoniebieskie oczy były przyjazne i okrągłe, cukierkowo-różowe wargi ułożyły się w przymilny uśmiech. Ducane poczuł obrzydzenie.

- Obawiam się, że nie potrzebuję żadnych usług.

- Właściwie niezupełnie o to mi chodziło, proszę pana, chociaż oczywiście z przyjemnością byłbym na pańskie usługi. Ale widzi pan, potrzebuję pieniędzy i wydaje mi się, że powinno mi się jakoś wynagrodzić utratę pracy. Mojej pracy, proszę pana, i mojej emerytury.

- Nie zamierzam panu dawać żadnych pieniędzy - odparł Ducane - i dziwię się, że w ogóle pan o to prosi. Musi pan sobie znaleźć inną pracę. Niestety pański dobrobyt to nie moja sprawa. Jestem pewien, McGrath, że ma pan jeszcze coś do powiedzenia na temat pana Radeechy'ego. Kiedy pan był w jego domu...

- Nie, nie, proszę pana. Powiedziałem już wszystko, co wiem o panu Radeechym. Potrzebuję pańskiej pomocy, proszę pana, tylko trochę pieniędzy, choćby funta czy dwa tygodniowo...

- Marnuje pan czas, McGrath - powiedział Ducane, wstając. - A teraz, jeżeli...

- Lepiej jak nie będę owijał w bawełnę, proszę pana, choć słowo daję, że wolałbym nie sprawiać przykrości takiemu miłemu, życzliwemu gentlemanowi jak pan. Czy zechciałby pan na to rzucić okiem?

McGrath podał Ducane'owi dwa wielkie, lśniące arkusze papieru, wyglądające na zdjęcia. Ducane odruchowo wyciągnął rękę i wziął je. Rzeczywiście były to zdjęcia. Z dreszczem zdziwienia i trwogi zobaczył, że były to fotografie listów napisanych znajomym charakterem pisma.

- Co, do diabła...

- Widzi pan, pozwoliłem sobie wziąć te dwa listy z pańskiego biurka.

Ducane przyjrzał się listom i jego twarz oblał rumieniec wściekłości i wstydu. Odetchnął głęboko, a potem powiedział tak spokojnie jak tylko mógł:

- Tym razem posunąłeś się za daleko, McGrath. Tą sprawą zajmie się policja. Co zamierzałeś zrobić z tymi listami?

McGrath również wstał. Jego różowe wargi lekko drżały i wyglądał na nieco zdenerwowanego, lecz nie stracił tupetu.

- No, cóż, proszę pana, miałem nadzieję, że nic nie będę musiał z nimi robić. To znaczy - jeżeli byłby pan skłonny wypłacać mi te drobne kwoty, które dostawałem od pana Radeechy'ego. Ja i pan Radeechy świetnie się pod tym względem dogadywaliśmy, nie było żadnych nieporozumień. A co to jest dwa czy trzy funty tygodniowo dla takiego bogatego gentlemana jak pan?

- Rozumiem - powiedział Ducane. - A jeżeli powiem, żebyś poszedł do diabła?

. /- No, cóż, proszę pana, wtedy będę zmuszony wysłać te listy do obu dam. To znaczy list jednej damy wyślę do drugiej i odwrotnie.

Listy były od Kate i Jessiki.

- Dobrze się składa, proszę pana, że oba listy są napisane odręcznie - prześliczny charakter pisma, jeśli wolno zauważyć - i że na obu jest data. No i oczywiście mam koperty ze znaczkami i pańskim nazwiskiem.

Listy zostały napisane w dwudniowym odstępie.

Ducane błkawicznie ogarnął myślą całą sytuację. Oczywiście nie było mowy o ustąpieniu temu odrażającemu draniowi. Ale z drugiej strony po prostu nie mógł znieść myśli, że Kate i Jessica mogłyby...

- Obawiam się, że się przeliczyłeś, McGrath. Każda z tych młodych dam, jak je nazywasz, jest doskonale poinformowana o moim uczuciu do drugiej. Nie masz mi czym grozić, gdyż jestem całkowicie obojętny na twoje insynuacje.

- Proszę o wybaczenie - powiedział McGrath. - Nie chciałbym pana nazywać kłamcą, ale przecież nie przychodziłbym tu tak zupełnie nieprzygotowany, prawda? Przeprowadziłem małe śledztwo. Chce pan wiedzieć, co odkryłem? Jak pan widzi, każda z dam napisała na eleganckim papierze swój adres i numer telefonu. Na szczęście napisały swoje imiona czytelnie i wyraźnie, więc nietrudno było odnaleźć ich nazwiska. Zadzwońnięm do każdej i spytałem, czy mogę mówić z tą drugą i obie, absolutnie zdziwione, powiedziały, że nie znają nikogo takiego.

- Jesteś niezwykle pomysłowy, McGrath - powiedział Ducane. Zaczął czytać listy.

List Kate brzmiał następująco:

*John, mój ukochany, tak strasznie za tobą tęsknię, a do naszego cudownego weekendu jeszcze wieki całe. Strasznie się martwię, że jesteś taki samotny w Londynie, ale już niedługo się połączymy. Wiesz, że jesteś mój, a ja mam silne poczucie własności'. Będę domagać się swoich prawi Nie zwlekaj zbyt długo, mój najmilszy, przyspiesz dzień i godzinę. Och, John, jak to cudownie wyznawać Ci miłość i wiedzieć, że czujesz to samo, co ja! Kocham, kocham, kocham.*

*Twoja Kate.*

*PS. Willy Kost przesyła pozdrowienia, również chciałby się z Tobą zobaczyć.*

List Jessiki wyglądał następująco:

*Mój najdroższy, mój najdroższy, przesyłam Ci moje codzienne pismo, żeby powiedzieć Ci to, o czym już wiesz: kocham Cię aż do szaleństwa. John, wczoraj byłeś dla mnie taki słodki, a ja zachowałam się tak okropnie. Wiesz, jak niewymownie jestem wdzięczna, że zostałeś. Potem leżałam na łóżku przez godzinę i płakałam - z wdzięczności. Czyż miłość nas nie zniewoliła? Co dzień będę Cię zapewniać o moim uczuciu do Ciebie. Widzę przed nami przyszłość. Jestem Twoja, Twoja, Twoja*

*Jessica.*

„Och, mój Boże” - pomyślał Ducane. Tak bardzo nie chciał, żeby Kate i Jessica zobaczyły te listy. Nic by nie dało tłumaczenie się przed Jessiką z temperamentu Kate, czy wyjaśnianie Kate, że Jessica żyje w świecie fantazji. Jessica byłaby przekonana, że ją okłamywał, a tego by nie zniósł. Potrafiłby się z nią rozstać, ale nie mógłby znieść świadomości, że Jessica tak źle o nim myśli. A list od niej był jeszcze o wiele bardziej wymowny. Może zdobyłby się na wyznanie wszystkiego Kate, ale wówczas prysnąłby cały czar, a Kate po prostu czułaby się oszukana. A zresztą - czy w ogóle by mu uwierzyła? Już nigdy nie byłoby tak jak dawniej. Ducane z przerażającą jasnością widział, że nic nie może zrobić. Nie mógł wdawać się w konszachty z McGrathem, to byłoby nie do przyjęcia. Pozostawało jedynie go nastraszyć.

- Przyjmij do wiadomości, McGrath, że nie zamierzam skorzystać z twojej propozycji. Nie dostaniesz ode mnie ani grosza. A jeżeli wyślesz te listy, z miejsca pójde na policję i oskarżę cię o szantaż. Myślę, że nie uśmiecha ci się długi pobyt w więzieniu.

- Och, proszę pana, spokojnie, spokojnie - powiedział McGrath uśmiechając się głupawo. - Chyba nie zrobiłby pan tego. A jeżeli, to po prostu sprzedam te informacje gazetom. Ale się nasze młode damy zmartwią!

- Jesteś skończonym draniem - powiedział Ducane.

- Och, niech się pan tak nie przejmuje. W końcu rozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną, jest jeden na jednego. Dlaczego miałyby pan mieć przewagę?

„Teraz mogę tylko grać na zwłokę” - pomyślał Ducane. „McGrath nie wyśle listów, dopóki myśli, że być może zapłacę. Muszę tylko wyjaśnić całą sprawę Kate i Jess, muszę je przygotować. Ale jak?”

- Nie przeczę, że masz w ręku silne atuty, McGrath. Gratuluję ci przebiegłości. Jeszcze raz przemyśl swoją propozycję. Być może uda nam się jakoś dogadać, pod warunkiem, że twoje wymagania nie będą zbyt wygórowane. I ostrzegam cię, jeżeli przesadzisz, pójde prosto na policję. Ale potrzebuję czasu, żeby przemyśleć tę sprawę. Przyjdź za dwa albo trzy dni.

- Dziękuję panu, dziękuję - powiedział McGrath. - Wiedziałem, że będzie pan rozsądny. Czy mogę liczyć na małą zaliczkę - bez żadnych zobowiązań, tylko żeby pokazać, iż jesteśmy przyjaciółmi?

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli przyjaciółmi - odparł Ducane, - ale proszę, oto dwa funty.

- Och, dziękuję, dziękuję. I proszę pamiętać, proszę pana, pozwolę sobie przypomnieć, że jest jeszcze Judy, wie pan - moja żona. Świetnie się rozumiemy, Judy i ja, Judy zawsze była bardzo chętną dziewczyną, no i wpadł jej pan w oko, więc jeżeli kiedykolwiek będzie pan miał ochotę...

- Jak śmiesz tak mówić do mnie o swojej żonie?! - krzyknął Ducane. - Wynoś się stąd! Wynoś się! - Podbiegł do drzwi i otworzył je.

Fivey pośpiesznie uskoczył do tyłu i zaczął udawać, że czyści stół w hallu.

- Podśłuchiwałeś, co?! - ryknął Ducane. - Wynoś się stąd McGrath!

- Tak jest, proszę pana, ale wrócę tak jak się umówiliśmy - wymamrotał McGrath czmychając do hallu. Przystanął przed Fiveyem i przez chwilę przyglądali się sobie jak dwa psy. Potem wybiegł przez drzwi wyjściowe.

Ducane odwrócił się do Fiveya.

- Jesteś pijany! - krzyknął. - Czuję to po twoim oddechu. Idź spać. A jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na podsłuchiwanie, uduszę gołymi rękami!

Fivey zawahał się, obrzucił Ducane'a przestraszonym, pełnym wyrzutu spojrzeniem, obrócił się na pięcie i ostrożnie zaczął się wspinać po schodach. Ducane wrócił do salonu i zatrzaskał za sobą drzwi.

Podarł oba zdjęcia na drobne kawałeczki, po czym usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Prawda była taka, że na potęgę oszukiwał Kate i Jess. Nie było żadnego „usprawiedliwienia” dla jego postępowania. Zasłużył sobie na to. A ten kundel jeszcze miał czelność proponować mu swoją żonę! Nie mógł uwierzyć, że Judy McGrath... I w tej chwili Duncane'owi przysłała do głowy myśl, która powinna była pojawić się o wiele wcześniej.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

- Co jest, Paulo?
- Wenus, Kupidyn, Szaleństwo i Czas.
- C o ?
- N i c .
- Kiedy zaczniemy czytanie *Eneidy*l
- Później. Po... Później.
- Po czym?
- Później.
- Co jest, moja kochana?
- Nic, Willy. O, idzie Barbara. Muszę lecieć. Dzięki za lekcję!

Statek Eryka płynie na północ po Oceanie Indyjskim, a Eryk stoi na dziobie. Eryk jest galeonem o lakierowanej, dużej twarzy i sztywnych, złotych włosach, które rozwiewa wiatr. Pochyliła się nad lśniącem morzem, mknąc na północ, ku decydującemu spotkaniu. Jego niezaspokojona gwałtowność kieruje się ku ich spotkaniu. Jak można się jej oprzeć? Czy zostało Pauli jeszcze trochę uzdrawiającej miłości, czy już tylko potrzeba odwagi w obliczu siły? Czy opłaca się teraz uciekać, skoro i tak zostanie odnaleziona, a ucieczka będzie jedynie pełnym strachu czekaniem w jakimś obcym pokoju na odgłos kroków po schodach? Musi czekać na niego tutaj - z zaciśniętymi ustami, w milczeniu, bez słowa skargi, nie prosząc o pomoc. Jest już za późno, nie wyrzeknie się teraz swej dumy. Po takim bezmiarze mądrości, po takim bezmiarze subtelności, po takim bezmiarze zuchwałości umysłu wreszcie nadchodzi to, czemu

trzeba w milczeniu stawić czoła. Eryka, który teraz wydostał się spod kontroli, trzeba - bez względu na skutki - jakoś przetrwać. Potrzebuje odwagi, aby wytrwać, zachować tajemnicę, nie poddać się, choćby nie wiem co, oko za oko, ząb za ząb. I musi tak być nie tylko z powodu nieubłaganie zbliżającego się statku, lecz z powodu nie odkupionej przeszłości, spalonej żywcem w swej demonicznej ciszy. Niech bożek odwagi stanie twarzą w twarz z tym zmartwychwstałym, pokrwawionym cieniem.

Ale ta ludzka słabość, ta potrzeba otuchy, ten bolesciwy żal, że to wszystko się wydarzyło i pragnienie, żeby wszystko było tak jak dawniej...! Gorzkie wspomnienie świeżo pomalowanych drzwi i tej pięknej kobiety, wchodzącej do domu. Gorycz tej goryczy. Och, Richard, Richard, Richard.

- Co się stało, Henrietto, dlaczego siedzisz tutaj sama? Gdzie Edward?

- Poluje na Montrose'a.

- Henrietto, ty płaczesz. Co się stało, koteczku? Usiądź tutaj i wszystko mi opowiedz.

- Wszystko jest takie okropne.

- Co jest okropne? Powiedz mi, co jest okropne.

- Nigdzie nie możemy znaleźć Montrose'a.

- Na pewno wróci. Koty zawsze wracają, więc tak nie rozpaczaj.

- I znaleźliśmy martwą rybę w naszym specjalnym basenie.

- Kiedyś musiała umrzeć, Henrietto.

- I widzieliśmy jak jakaś wstrętna sroka porwała biedną żabkę.

- Sroki też muszą jeść! Zresztą nie wydaje mi się, żeby ta żabka w ogóle wiedziała, co się dzieje.

- Strasznie bym chciała, żeby zwierzęta nie musiały się nawzajem ranić.

- My, istoty ludzkie, też zadajemy sobie ból!

- I znaleźliśmy taką biedną mewę ze złamanym skrzydłem i wujek Theo ją utopił.

- Tylko to można było dla niej zrobić, Henrietto.

- A zeszłej nocy śniło mi się, że znowu jesteśmy z tatusiem, że wszystko jest w porządku i kiedy się obudziłam byłam taka nieszczęśliwa. Dlaczego, mamusiu? Dlaczego tak jest? Mamusiu, ty też płaczesz...

- Nauczyłam się kwartetu na flet w D major.
- Wiem.
- Och, słuchałeś! A to miała być niespodzianka!
- Słyszałem cię wczoraj, kiedy spacerowałem koło domu.
- Czy mogę przyjść do ciebie i zagrać go?
- Nie.
- Dlaczego? Kiedyś mi pozwalałeś grać u siebie.
- Teraz już nie.
- Dlaczego, Willy?
- Ta muzyka jest zbyt bolesna, najdroższa Barbaro.
- Myślisz, że nie zagram tego dobrze! A ja naprawdę zrobiłam postępy!
- Tak, grałaś prześlicznie.
- Willy, dlaczego nie chcesz mnie uczyć niemieckiego? Uczysz Pierce'a łaciny, więc mnie mógłbyś uczyć niemieckiego.
- Po prostu nie i już.
- Nie rozumiem cię. Robisz się okropny. Wszyscy są okropni. Pierce jest okropny.
- Pierce jest zakochany.
- Phi! Jak to jest być zakochanym, Willy?
- Już nie pamiętam.
- No, cóż, jesteś dosyć stary. Jeżeli ja się kiedykolwiek zakocham, to na pewno nie będę okropna.
- To bardzo dobre postanowienie, Barbaro. Przypomnij je sobie w odpowiednim czasie.
- Pamiętasz, jak kiedyś mówiłeś, że jestem Tytanią, a ty osłem?
- Naprawdę tak mówiłem? No, cóż, nadal nim jestem. Jutro jadę do Londynu, Barbie.
- Wiem. Jedziesz na dwa dni do Johna. Powiedział mi.
- Jadę do biblioteki.
- Przyjdę do ciebie jak tylko wrócisz. Mama i tata wyjeżdżają, będę się czuła samotna.
- Wtedy będę pracować. Przyjdź podczas weekendu.
- Dlaczego nie zaraz po twoim powrocie?
- *Nam excludit sors mea „saqie veni”*.
- Ciągłe mówisz coś po łacinie, a wiesz przecież, że nic nie rozumiem. Zrozumiałabym, gdybyś to napisał, ale nie potrafię mówić po łacinie, a ty masz taką śmieszna wymowę.



- Nieważne.  
- Chciałabym, żebyś nie był taki okropny, Willy, i to właśnie teraz, kiedy tak się martwię o Montrose'a.  
- Nie martw się, Barbie, on niedługo się znajdzie. Po prostu poszedł na wycieczkę.  
- Ale nigdy przedtem tego nie robił. To nie jest jakiś zwyczajny kocur. Nie chciałby odchodzić.  
- Jestem pewien, że wkrótce wróci, gołąbeczko. No, już, nie płacz. Tak mi smutno, kiedy płaczesz.  
- Wcale ci nie jest smutno. Jesteś okropny.  
Barbara siedziała na podłodze, obejmując rękoma nogi Willy'ego. Willy wstał gwałtownie, uwalniając się z tego uścisku i podszedł do okna.

- Przestań płakać, Barbaro.  
Zaskoczona przestała szlochać i teraz tylko cicho pociągała nosem, ocierając oczy. Jej białe stopy, wystające spod biało-zielonej sukienki wyglądały jak dwa brązowe ptaszki w gnieździe.

Willy wsparł się o parapet, usunął na bok kamienie, przyniesione ostatnio przez bliźniaki, kieliszek ze zwiędłymi już i sypiącymi się pokrzywami i niezwykle intensywnie zaczął coś obserwować przez swą szwajcarską lornetkę. „Będę musiał opuścić to miejsce” - pomyślał. Za każdym razem z coraz większym bólem powstrzymywał się przed gwałtownym pragnieniem porwania Barbary w ramiona.

- Na co patrzysz, Willy?  
- Na nic, dziecko.  
- Nie możesz na nic nie patrzeć. Jesteś dziś taki nudny. Chyba sobie pójdę.  
- Nie idź, Barbie. A zresztą, tak, lepiej jak sobie pójdziesz. Muszę trochę popracować.  
- Dobrze, pójdę i pojeżdżę na kucyku. I nigdy nie zagram ci tego Mozarta.

- Zrobisz coś dla mnie, Barb?  
- Może. O co chodzi?  
- Poszukaj Pierce'a i bądź dla niego miła.  
- Zobaczę. Jak mi się będzie chciało. Baw się dobrze w Londynie.  
Gdy wyszła, Willy zamknął drzwi na klucz, poszedł do sypialni i położył się na łóżku, kryjąc twarz w poduszkę. Fizyczne napięcie

ostatnich minut sprawiło, że teraz czuł się bezwładny i roztrzęsiony. Nie wiedział, czy większe cierpienie sprawiał mu jej dotyk, czy nieobecność. Dotyk Barbary koił jego bolesne pragnienie, jednak w takich chwilach tęsknota za jej ciałem szarpała każdym jego nerwem. Siedzieć obojętnie, podczas gdy ona muskała jego włosy, albo gładziła kolano, wymagało ogromnego fizycznego wysiłku, który sprawiał mu ból. I przez cały czas wyobrażał sobie, jak ją obejmuje, całuje namiętnie, bierze na kolana.

„Myślałem, że będzie lepiej,” - myślał, - „ale wygląda na to, że jest coraz gorzej. Będę musiał coś zrobić. Będę musiał odejść. Oszaleję, jeżeli to się nie zmieni.” Zaczął myśleć o Mary i wreszcie słodka, kojąca słabość zaczęła go spowijać jak przezroczysta mgła. Nie był w niej zakochany, lecz miał dla Mary niezwykle dużo czułości, a jej oświadczyzny poruszyły go i zachwyciły bardziej niż potrafił to wyrazić podczas tych dwóch ostatnich spotkań po rozmowie na cmentarzu. Może powinien ożenić się z Mary i natychmiast stąd wyjechać? Może to jedyne rozwiązanie? Dlaczego nie miałyby nawet teraz zadbać o swoje szczęście? Czy było za późno? Czy przeszłość rzeczywiście go złamała?

Willy leżał nieruchomo na łóżku. Słońce opuszczało się nad morzem, wieczór nasycił barwy jaskrawością, potem zamgłił je, aż stały się świetliście ciemnoniebieskie. Willy leżał z szeroko otwartymi oczami, nasłuchując jak Theo puka do drzwi, a potem wolno odchodzi.

## Rozdział dwudziesty drugi

*O, wy góry i doliny,  
Gdzieście były?  
Poległ w chwale Księżę Murray  
złożon do mogiły.*

- Fivey, zamknij się! - Ducane krzyknął przez drzwi do salonu. Trzasnęły drzwi do kuchni. Trzasnęły drzwi do salonu.
- Przepraszam cię, Willy - powiedziała Ducane. - Mam zszargane nerwy.
- Co jest?
- Nic takiego. Dobija mnie ten upał. To takie nienaturalne.
- Ciekawe, czy te dziwne plamy znikną zimą.
- O czym ty mówisz, Willy?
- O piegach tego twojego kamerdynera, czy kim on tam jest.
- Dobry Boże! Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Mam nadzieję, że nie. Nawet mi się podobają! - Roześmiał się. - Dobrze na mnie wpływasz, Willy. Napijesz się czegoś?
- Może małą whisky. Dzięki.
- Jesteś bardzo opalony. Wygrzewałeś się na słońcu?
- Leniuchowałem.
- Jesteś w dobrym nastroju Willy. Oktawian i Kate wyjechali bez problemów?
- Tak. I jak zwykle narobili przy tym wrzawy.

- Mam nadzieję, że spodoba im się w Tangierze. Mi on przypomina Tottenham Court Road.

- Im się wszędzie podoba.

- Tak. To szczęśliwi ludzie.

Willy i Ducane razem westchnęli.

- Szczęście - powiedział Willy - pojawia się wówczas, gdy świadomość jest zaprzątnięta najzwyklejszymi, codziennymi sprawami i nie martwi się o samą siebie. Przekleństwem jest, gdy świadomość nieustannie, w bólu zajmuje się sobą.

- Tak - przytaknął Ducane. - Kate i Oktawian to hedoniści, lecz nie przejmują się zbyt bardzo sobą, więc mogą uszczęśliwiać również innych ludzi.

„Gdybym się bardzo postarał, to mógłbym go teraz nakłonić do zwierzeń” - pomyślał Ducane. - „Chyba chce mówić o sobie. Ale nie mogę tego zrobić. Jestem za bardzo obciążony własnymi problemami.”

- Wszystko wam się tam dobrze układa? - spytał.

- I tak, i nie. Rzadko się z nimi widuję. Paula czymś się martwi, męczą ją jakieś koszmary.

„Nie tylko ją” - pomyślał Ducane ponuro.

- Przykro mi to słyszeć. Powinienem częściej ją odwiedzać. - „Dlaczego zawsze zakładam, że każdy oczekuje ode mnie pomocy?” - pomyślał z goryczą.

- Rzeczywiście powinieneś, John. A biedna Barbara wciąż się strasznie martwi o Montrose'a.

- Jeszcze się nie znalazł?

- Nie.

- Na pewno niedługo wróci. Barbie to kochany dzieciak, ale oczywiście jest strasznie zepsuta.

- Mhm...

Ducane czuł się niemalże zdemoralizowany i było to uczucie tyle niecodzienne, co zatrważające. Był człowiekiem, który musiał mieć o sobie dobre mniemanie. Duża część jego energii brała się z czystego sumienia i żywego altruizmu. Jak już zdążył zauważyć, zwykł myśleć o sobie jako o silnym, samowystarczalnym, uczciwym i dosyć surowym człowieku, dla którego pomaganie innym było czymś naturalnym. Jeżeli Paula miała kłopoty, to było oczywiste,

że tym, czego potrzebuje jest wsparcie, rada i współczucie Johna Ducane'a. Ducane wiedział, że doskonały obraz samego siebie często bywa mylący, lecz w jego wypadku burzenie własnego idealnego wizerunku nie spowodowało odkrycia nędznej prawdy, lecz tylko dezorientację i utratę siły. „Nikomiu nie mogę pomóc” - pomyślał. - „Nie dlatego, że jestem tego niegodzien; po prostu nie mam już siły, nie mam siły wyciągnąć ręki do Willy'ego, jestem osłabiony przez cały ten bałagan i poczucie winy.”

Część poprzedniego wieczoru spędził z Jessiką i tępo zgodził się, że „nadal będzie się z nią spotykał”. Z goryczą i wrogością spierali się o to, jak często powinien się z nią umawiać. Ducane nalegał, żeby to było raz na dwa tygodnie. Jessica nie krzyczała, nie płakała. Kłóciła się przebiegle, zimno. Znowu zaczęła go wypytywać, czy ma kochankę, czemu raz jeszcze zaprzeczył. Patrzyli na siebie podejrzliwie i z gniewem; pożegnali się szorstko. Ducane wyszedł, myśląc, że kiedy dwoje ludzi żywi do siebie taką urazę, powinni mieć na tyle rozsądku i siły, żeby się rozstać. Był jednak zbyt ostrożny, by jej to powiedzieć. Potem, rozmyślając o tym wieczorze, tak bardzo zawstydził się swojego nieuprzejmego zachowania, że znowu poczuł niepewność i słabość.

Spotkał się też z McGrathem i dał mu trochę pieniędzy. Żałował, że za pierwszym razem tak się na niego rozgniewał, gdyż warto było przynajmniej odkryć, czy McGrath jest skłonny sprzedać jeszcze jakieś informacje o Radeechym. Ducane zauważył z goryczą, że skrupuły, jakie przedtem odczuwał na myśl o przekupieniu McGratha i poniżeniu siebie, zniknęły i teraz łączyło ich coś w rodzaju stosunków handlowych. Jednakże McGrath, który wciąż nie był pewien, czy Ducane rzeczywiście będzie mu regularnie płacił za niewysyłanie listów do „dwóch młodych dam”, robił aluzje do rzeczy, które mógłby ujawnić, gdyby został odpowiednio wynagrodzony, i wyznaczył Ducane'owi następne spotkanie. Ducane wątpił, czy McGrath ma jeszcze coś do powiedzenia. Jeśli zaś chodzi o listy, to powiedział sobie, że będzie grać na zwłokę i w istocie było to jedyne rozwiązanie. Musi przy jakiejś sprzyjającej okazji powiedzieć Kate i Jessice o istnieniu tej drugiej i przygotować je na nieprzyjemności. Obie są rozsądnymi kobietami, więc powinno obyć się bez kłopotów. Ucierpi na tym jedynie jego własna duma, ale będzie to cierpienie uzdrawiające.

Przynajmniej tak myślał przez jakiś czas. Chwilami jednak cała ta sprawa wydawała mu się jakimś koszmarem. Wzdrygał się na myśl o tym, że w obliczu demaskacji wezmą go za kłamcę i zdrajcę. Jego postawa wobec Jessiki, przecież już tak niekonsekwentna i nieuprzejma, teraz okazałaby się godna podłego naciągacza. Jessica z pewnością uwierzyłaby, że Kate jest jego kochanką. Ducane mógł przystać na opinię brutala, ale nie mógł pogodzić się z opinią nieczułego oszusta. „A jednak” - rozmyślał - „jestem nieczułym oszustem. Nie mogę tylko znieść, że tak o mnie myślą!”. Jeżeli chodzi o Kate, naprawdę nie wiedział, jak to przyjmie, a w szczególności koszmarnych wizjach wyobrażał sobie, że zostanie na zawsze wygnany z Trescombe. W takich chwilach przez sekundę myślał, że może jednak będzie lepiej jak zapłaci McGrathowi. Wiedział jednak, że była to prosta droga do piekła.

Myślał też o Birannie. Myślał o nim coraz częściej i coraz bardziej intensywnie, zamiast jasności widząc pogłębiający się mrok. Szczególny religijny temperament Ducane'a, który wymagał na co dzień energii pochodzącej z cnoty, przedstawiał sobie dobro jako pojedyncze światełko w oddali. Podobny, i być może mniej trafny instynkt, kazał mu widzieć zło również jako jednostkę, formę stworzoną z systematycznie ze sobą powiązanych elementów. Była to pewnie pozostałość po gorącej wierze jego przodków w diabła. Teraz więc czuł, że całe to zamieszanie z obiema kobietami, szantaż McGratha, śmierć Radeechy'ego, za którą w jakiś dziwny sposób zaczął się czuć odpowiedzialny, oraz tajemnicze i najwyraźniej podejrzane zachowanie Biranne'a, że wszystko to jest ze sobą ściśle powiązane. Kluczem do tego był sam Biranne.

Biranne zaczął nawiedzać go w snach i sny te były dziwne. Ducane zawsze był w nich tym, który ściga. Z niepokojem szukał Biranne'a w ogromnych, pustych ogrodach i na zbombardowanych ulicach Londynu. Znajome obrazy przemieniały się w koszmar dzięki jakiejś potrzebie, czyjejś nieobecności, dzięki potrzebie Biranne'a, nieobecności Biranne'a. Ducane, który nigdy nie brał snów na poważnie, nie usiłował ich interpretować. Już i tak na jawie był wystarczająco opętany tym człowiekiem i widział, jak siła tej obsesji zniszczyła jego dawne urazy i żale. Dochodzenie było niezwykle ważne, a Ducane nienawidził porażek. Myśliwy kocha swoją ofiarę.

Czy jednak Biranne był jego ofiarą? Czyż nie uosabiał również jakiejś straszliwej, demonicznej siły.

Te dziwaczne rozważania nawiedzały skołatany umysł Ducane'a nie jako sprecyzowane myśli, lecz raczej jako nastroje. Odkrycie kłamstwa Biranne'a rozpoczęło proces rozwoju, który miał swoją własną chemię. Ducane po prostu czuł lekką niechęć do tego człowieka, którą potępiał, i której nie potrafił zmniejszyć. Gdy odkrył, że może mieć nad Biranne'em władzę, i że dysponuje kompromitującymi faktami na jego temat, jego zainteresowanie nie tylko się zwiększyło, ale nabrało innego charakteru. Szyderczy śmiech sprzed tylu lat już nie mógł go zranić. Biranne jako grzesznik w pułapce przestał być dla Ducane'a zagrożeniem. Nie zmieniało to jednak faktu, że coraz bardziej martwił się o Biranne'a i przez Biranne'a. Czy Biranne zamordował Radeechy'ego? Nie było to wykluczone i Ducane czuł rosnący niepokój. Wciąż zwlekał z bezpośrednią konfrontacją w nadziei, że zdobędzie więcej informacji, lecz źródło ich nawyrażniej już wyschło. Po długim namyśle zdecydował: „Muszę się z nim spotkać. Trzeba będzie blefować. To ryzykowne, ale muszę się z nim spotkać”. Ten wniosek przepełnił go trwogą i jakąś dziwną, grzeszną radością. „Spotkam się z nim jutro” - myślał, słuchając Willy'ego.

- Czy Theo już przestał się dąsać?
  - Tak. Znowu mnie odwiedza.
  - Ciekawe, co się stało w Indiach. Zresztą - można się chyba domyślić!
  - Nie mam pojęcia. Myślałem, że ty coś wiesz, John. Przecież jesteś naszym spowiednikiem.
  - Przestań, Willy!
  - Jesteś uosobieniem prawego człowieka.
  - No, śmiało - drwij ze mnie.
  - Mówię poważnie...
  - Zamknij się, Willy. Jak się mają bliźniaki?
  - *Herrlich*. To maleństwa o wielkich sercach. I tylko one nie są w nic zamieszane.
  - Czyżby reszta była w coś zamieszana? Czy ty jesteś w coś zamieszany? Jestem pewien, że Mary nie jest. Wszyscy, tylko nie ona.
- Willy zawahał się, obiema rękami przyciągnął do siebie bezwładną nogę, wyprostował się i pochylił do przodu. Spojrzał na dywan i powiedział:

- Powiedziałeś, że jestem w dobrym nastroju. Nic dziwnego. Dostałem propozycję małżeństwa.

- Dobry Boże! Od kogo?

- Od Mary.

Ducane już miał powiedzieć: „Świetnie, to ja jej poradziłem, żeby tak zrobiła”, ale zdążył się zreflektować. Jeżeli miał czelność bawić się w Boga, to teraz musi zachować dyskrecję i ukryć ten fakt. „Tak się cieszę” - pomyślał.

- To wspaniale!

- Nie pochwalasz tego...

- Co ty opowiadasz! Oczywiście powiedziałeś „tak”?

- Chciałem powiedzieć, że nie pochwalasz jej za taką decyzję.

- Bzdury. Wręcz przeciwnie... Ale powiedziałeś „tak”, prawda?

Czy mogę ci życzyć szczęścia?

- Nie powiedziałem ani tak, ani nie. Byłem oniemiały z wdzięczności. I nadal jestem.

- Willy... idź ku szczęściu...

- Szczęście. Nie wiem, czy to może być mój cel, John.

- Mary jest... no, Mary to anioł, wiesz o tym. Co więcej, ona cię potrzebuje.

- Mary to anioł, jak to pięknie ująłeś. Wiem o tym. I chyba ją kocham. Ale jestem jak stary, obtłuczony nocnik. Nie potrafię dać szczęścia żadnej kobiecie.

- Bzdury. Pozwól, żeby cię zmieniła. Znajdź w sobie pokorę.

- Może masz rację. Będę się o to modlił. Bogowie obiecali mi odpowiedź.

- Och, Willy, ty szczęśliwy głupcze...

„Zazdroszczę mu” - pomyślał Ducane. - „Kocha niewinnie i podobnie jest kochany. To dla niego proste, dla niego i dla jego bogów. A ja zaplątałem się w tą pułapkę zdrady i obłudy. Ale cieszę się, że zachęciłem Mary; jestem pewien, że nie odważyłaby się zacząć mówić, gdybym nie dodał jej odwagi. Zapewniłem szczęście dwojgu dobrym ludziom”. Było mu jednak niezwykle ciężko na sercu. „Jutro, jutro, jutro zobaczę się z Biranne'em” - pomyślał z rozpaczą.



## Rozdział dwudziesty trzeci

Jessica Bird zadzwoniła do drzwi domu Johna Ducane'a. Otworzył je niski mężczyzna o drobnej, brązowej twarzy i szopie siwych włosów. Jessica, wiedząc, że Ducane jest w biurze, wzięła owego człowieka za służącego.

- Jestem z agencji dekoracji wnętrz Payne i Stevens - powiedziała sztywnym, oficjalnym tonem. - Przyszłam zrobić pomiary okien w sypialni pana Ducane'a.

Niski mężczyzna coś wymamrotał i nieco szerzej otworzył drzwi. Jessica weszła do środka. Zdecydowała, że nie może już dłużej żyć w niepewności, nie wiedząc, czy Ducane ma nową kochankę. A raczej nie miała żadnych wątpliwości, gdyż była przekonana, iż w jego życiu istnieje jakaś inna kobieta. Chciała dopełnić swej udręki, zdobywając niepodważalne dowody.

- Czy mógłby mnie pan zaprowadzić do sypialni pana Ducane'a? Niestety nie znam rozkładu domu. - Wyjęła z kieszeni metalową taśmę mierniczą i pokazała mu ją.

- Tak, oczywiście....

Niski mężczyzna zaprowadził ją po schodach do pokoju nad salonem. Jessica, która nigdy przedtem nie była w sypialni swego kochanka, domyśliła się, że to właśnie musi być ten pokój, lecz chciała się jeszcze upewnić.

- Czy będzie pani coś potrzebne? Drabinka, albo coś takiego?

- Nie, nie, dziękuję, dam sobie radę. Może mnie pan zostawić. Zajmie mi to około dziesięciu minut. Muszę zrobić pomiary również w łazience. Nie będę pana zatrzymywać.

Mężczyzna znowu coś wymruczał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jessica zawnoczuła przygotowała dokładny plan akcji, teraz więc czuła się tak rozemocjonowana, że musiała na chwilę usiąść. Nie wiedziała, że sypialnia Ducane'a tak na nią zadziała. Cisza, schludnie złożone spodnie leżące na łóżku, szczotki i spinki do mankietów na toaletce, surowa, męska prostota tego pokoju przepełniły ją dławiającą tęsknotą. Sypialnia, w przeciwieństwie do salonu na dole, niczym się nie wyróżniała, a jednak Jessica czuła tu obecność Ducane'a, która, przesiąknięta męskością w swej najczystszej postaci, zewsząd atakowała jej słabnące zmysły.

Wzrok Jessiki spoczął na pościeli i zazdrość zaszumiała jej w głowie jak potężny łyk brandy. Było to jedno z tych dosyć szerokich pojedynczych łóżek, w których znajdzie się dosyć miejsca dla dwóch osób. Poderwała się i rozpoczęła poszukiwania.

Jessica była zdania, że jest rzeczą niemożliwą, by kobieta, mieszkając gdzieś nawet przez krótki czas, nie pozostawiła po sobie żadnych śladów. Jeżeli znalazła się w łóżku Ducane'a, to z pewnością znajdzie się tam jakiś znak, jakiś dowód jego niepojętego życia miłosnego, jakiś połyskliwy fragment tego świata bez Jessiki, nad którym teraz tak intensywnie pracowała jej wyobraźnia. Jeszcze nie wiedziała, co zrobi z tym talizmanem, czy będzie nim zadrećcać siebie, czy jego. Chciała tylko mieć w posiadaniu ten drobiazg.

Niezwykle ostrożnie odwinęła nakrycie łóżka i ściągnęła pościel. Zbliżyła twarz do poduszki i zaczęła ją obwąchiwać. Tego dnia nie upefrumowała się, żeby nie przeoczyć jakiegoś obcego zapachu. Jej jasne włosy pasmami opadły na poduszkę. Co za pech, że akurat teraz miała katar sienny! Przetestowała swój zmysł powonienia. Wyczuła delikatny zapach kosmetyków, lecz mógł to być krem do golenia, albo nawet środek dezynfekujący. Ta kwestia pozostała nierozstrzygnięta.

Zostawiła łóżko i zajęła się koszem na śmieci. Znalazła tam zużyte chusteczki papierowe, puste pudełko po papierosach, złamany grzebień i sporą garść włosów. Wyjęła je, rozprostowała i zaczęła obwąchiwać. Były ciemnobrażowe i wyglądały na włosy Ducane'a. Po chwili wahania wepchnęła je do kieszeni. Otworzyła szafę.

W ciemności ujrzała schludnie wiszące garnitury w ponurych kolorach, jak skurczone męskie istoty. Szafa pachniała drzewem i męczyzną. Przypominała jej zaczarowany dom albo świętą arkę jakiejś tajemniczej wiary. Jessica stała przed nią przepełniona czcią. Potem z rozpaczliwą odwagą zaczęła gorączkowo przeglądać kieszenie marynarek. Pełno w nich było rozmaitych papierków, biletów parkingowych, numerków z szatni, trochę włosów, monet, parę grzebieni i okrągłych kamyków z plaży. Znalazła też dwa listy, ale jeden był to rachunek za telefon, a drugi od hydraulika.

Jessica porzuciła szafę i skierowała swą uwagę na komodę. Tutaj, choć wzdychała na widok wielu pamiętających szczęśliwe dni krawatów i spinek, które mu ofiarowała, nie natknęła się na nic, co mogłoby być dowodem zdrady. Nie było żadnych środków antykoncepcyjnych, ani niczego, co by należało do kobiety. Jessica, teraz już w popłochu, wślizgnęła się do łazienki. Unosił się tam nieokreślony zapach płynu do kąpieli. W kieszeniach wiszącego na drzwiach czarnego, jedwabnego szlafroka w czerwone gwiazdki, pachnącego tytoniem znalazła męskie chusteczki do nosa. Na półce nie stały perfumy ani kremy do twarzy. W koszu na śmieci leżał jakiś kryminał.

Jessica z powrotem pognała do sypialni. „Coś tu musi być” - myślała - „i muszę to znaleźć.” Pewność była o wiele lepsza od niepewności; wraz z nią pojawiała się władza, zdolność zadawania bólu i szokowania, umiejętność tworzenia, może nieco perwersyjnych, ponownych więzi uczuciowych. Zaczęła przeszukiwać kąty i podłogę. Gdzieś na dywanie może się poniewierać coś maleńkiego, jakiś koralik, guzik, szpilka do włosów. Uniosła brzegi kapy i wczołgała się pod łóżko. Nagle, gdy tak leżała rozciągnięta na podłodze, gorączkowo przeczesując dywan palcami, uświadomiła sobie, że w pokoju się ściemniło. Wtedy zobaczyła dwie męskie stopy i dwie nogi w spodniach, które zbliżyły się do łóżka. Jessica wygramoliła się spod niego.

- Obawiam się, że to, co mi pani przed chwilą powiedziała, niezupełnie jest prawdą. - Słowa te, raczej przeproszającym tonem, wypowiedział niski, siwowłosy mężczyzna, który ją wpuścił do środka.

Jessica, widząc, że to nie Ducane, poczuła taką ulgę, że usiadła na łóżku i przez chwilę nie mogła z siebie wydusić ani słowa.

- Sprawdziałam tylko punkty ciężkości - wykrztusiła wreszcie.

- Po pierwsze - ciągnął mężczyzna - zająłem do książki telefonicznej i okazuje się, że nie ma takiej firmy jak Payne i Stevens. Po drugie pan Ducane dopiero co zmieniał zasłony w tym pokoju. A po trzecie, dlaczego rozebrała pani łożko na kawałki? - Mężczyzna wziął krzesło, postawił je naprzeciwko zamkniętych drzwi i usiadł w wyczekującej pozycji.

Jessica spojrzała na łożko Ducane'a, na ściągniętą pościel i porozrzucane poduszki. Spojrzała na komodę, pootwierane szuflady i zwisające z nich ubrania. Co mogła powiedzieć? Nie bała się policji, bała się uwięzienia w tym pokoju aż do przyścia kochanka. „Jeszcze chwila i się rozpłaczę” - pomyślała.

- Rozumie pani - ciągnął mężczyzna łagodnym głosem o lekko obcym akcencie, - że przecież nie mogę tego tak zostawić, prawda? Przecież mogłaby pani być włamywaczem, nieprawdaż? A ja muszę strzec własności mojego przyjaciela.

Jessica wreszcie odzyskała głos.

- To znaczy, że pan nie jest... służącym, szoferem?

- Nie. Służący ma dziś wolne. Jestem kim innym. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Nadal oczekuję od pani wyjaśnień, moja droga.

- Nie jestem złodziejką - powiedziała Jessica słabym głosem.

- Domyślam się. Zastanawiałem się nad panią na dole i powiedziałem sobie, ta młoda dama nie może być włamywaczem. A jednak kimś pani musi być, prawda? Czekam, aż mi pani powie.

Jessica siedziała zgarbiona na łożku. Czuła się przestraszona, winna i zła. A jeżeli ten człowiek będzie ją tu trzymał aż do powrotu Ducane'a, jeżeli ją tu zamknie? Dlaczego miłość doprowadziła ją do takiego nieszczęścia i przerażenia? Jej oczy wypełniły się łzami. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła garść włosów Ducane'a, które upadły na podłogę.

- No, już, już... - Mężczyzna podszedł do niej, usiadł na łożku i podał jej dużą, czystą chusteczkę, w której natychmiast ukryła twarz.

- Przecież nie jestem jakimś potworem. Nie chciałem pani nastraszyć. Nic pani nie zrobię. Ale proszę się postawić w mojej sytuacji. Muszę pani zadać parę pytań. Poza tym oczywiście jestem strasznie ciekawy. Po prostu nie mam pojęcia, o co mogło pani chodzić? Trochę to dziwne, prawda? No, już, już, proszę nie płakać. Porozmawiajmy, dobrze?

Jessica przestała płakać i wytarła twarz. Była przepełniona żalem.

- Pytał pan, kim jestem - powiedziała twardo. - Jestem zazdrosną kobietą.

Jej rozmówca zagwizdał cicho i przeciągle.

- A to dopiero!

- Pan Ducane i ja byliśmy razem, ale potem on mnie rzucił. Twierdzi, że nie ma nikogo innego, ale ja jestem pewna, że to nieprawda. Któregoś dnia widziałam, jak do tego domu wchodziła jakaś kobieta. Po prostu musiałam się upewnić. Więc przyszedłam tu i przeszukałam pokój, żeby się przekonać, czy są tu jej ślady.

- I znalazła coś pani? - mężczyzna spytał z zainteresowaniem.

- Nie. Ale jestem pewna, że...

- Wydaje mi się, że John nie kłamie, nawet na ten temat.

Jessica spojrzała mu prosto w twarz. Przyglądał się jej z pewnym rozbawieniem.

- Proszę mi powiedzieć - spytała, - czy on ma kochankę? A właściwie dlaczego miałby mi pan cokolwiek mówić. To absurdalne.

- Ależ ja uwielbiam wszystko, co absurdalne! Nie, jestem przekonany, że John nie ma kochanki. Wystarczy? Czy teraz odejdzie pani szczęśliwa?

- Nie - odparła. - Nic nie wystarczy. Nic.

- Demon zazdrości. Tak, ja też go znam. Powiedz, jak masz na imię, moje dziecko. Już całkiem nieźle się znamy.

- Jessica.

- Świetnie. Ja mam na imię Willy. Posłuchaj, Jessiko, czy mógłbym ci zadać parę pytań, licząc na szczerą odpowiedź?

- Tak.

- Jak długo byłaś kochanką Johna?

- Mniej więcej przez rok.

- Kiedy cię porzucił?

- Dwa lata temu.

- Czy często spotykaliście się w ciągu tych dwóch lat?

- Tak. Byliśmy przyjaciółmi.

- Wciąż go kochasz, a on ciebie nie?

- Tak. I teraz mówi, że już nie chce się ze mną spotykać. Bo chce, żebym miała więcej wolności. Ale ja nie chcę być wolna.

- Rozumiem. Ale zazdrość to straszna rzecz, Jessiko. Ze wszystkich złych namiętności ona przychodzi nam z największą

łatwością, wnika głęboko i zatrzuwa duszę. Trzeba jej się sprzeciwić uczciwą przebiegłością i rozmyślaniami o cnocie, choć mogą się one wydawać zbyt abstrakcyjne i puste w porównaniu z tą nikczemną siłą. Myśl o cnocie, której potrzebujesz i nazwij ją szczodrością, wielkodusznością, miłosierdziem. Jesteś młoda, Jessiko, jesteś taka czarująca - czy mogę cię wziąć za rękę? - a świat dla ciebie jeszcze nie jest zepsuty. Jessiko, nie ma cnoty w oddaniu, które jest dla ciebie trucizną, a dla niego więzieniem. Nie masz nic do zyskania oprócz utraty. Pragniesz wyrazić swoją miłość, nadać jej kształt, ale uczynić możesz tylko jedną rzecz, która będzie prawdziwym aktem miłości - pozwól mu odejść i zrób to łagodnie, bez gniewu. Włóż w to całą swoją energię, a poczujesz ukojenie, o którym teraz nawet ci się nie śni. Bo łaska istnieje, Jessiko, istnieją królestwa i siły, istnieje nieznanne dobro, które ciągnie do dobra. A gdybyś znalazła to, czego szukałaś, moje drogie dziecko? Czy z zazdrości nie posunęłabyś się do podstępu, a potem do okrucieństwa? Ludzka słabość tworzy system, Jessiko, a grzechy przeszłości splatają się w ogromną sieć rezultatów. Nie jesteśmy dobrymi ludźmi, Jessiko, i zawsze będziemy tkąć tę sieć, ty i ja. Możemy tylko nieustannie polować na nasze złe uczynki, musimy ciągle się kontrolować, wracać w przeszłość, tłumić naszą słabość, pielęgnować naszą siłę, przywoływać cnoty, o których wiemy być może tylko tyle, jak się nazywają. Nie jesteśmy dobrymi ludźmi i możemy jedynie być dla siebie delikatni, możemy sobie przebaczać i nie pamiętać o przeszłości, możemy przyjąć czyjeś przebaczenie i powrócić do tego cudownego, nieobliczalnego, dziwnego świata. Czyż nie tak, Jessiko?

Po długim milczeniu Jessica spytała:

- Kim jesteś?
- Moja droga - wymruczał. - Szybko się uczysz. Wybacz mi.
- Dobry Boże.

Willy pocałował ją.

Siedzieli, zwrócenii do siebie twarzami, splatając swoje nogi. Willy trzymał ją mocno za nadgarstek, a drugą ręką gładził jej szyję i bawił się włosami. Jessica ścisnęła kłapę jego marynarki. Patrzyli na siebie intensywnie.

- Jesteś bardzo piękna, Jessiko i przypominasz mi..., przypominasz mi dziewczynę, którą tułem w swoich snach. Wybacz, że cię

dotknąłem. Jakie to ważne naprawdę chcieć kogoś dotknąć i objąć, prawda? Tak się porozumiewamy my - marne istoty - patrząc, dotykając. Powinniśmy dotykać tylko najdroższe nam osoby.

- Proszę, powiedz mi, kim jesteś - powtórzyła. - Jesteś taki dziwny. Jak się nazywasz?

- Nie, nie, niech zostanie Willy i Jessica. Już nigdy się nie spotkamy.

- Nie możesz tak mówić po tym, jak mnie pocałowałaś. Nie możesz po prostu mnie pocałować i zniknąć. Spytałem Johna...

- Jeżeli spytasz o mnie Johna, powiem mu, że przeszukiwałaś jego pokój.

- A dopiero co mówiłaś, że powinniśmy być delikatni!

- Jestem delikatny, moje dziecko. Jestem szemrzącym głosem ptaszka na gałęzi, być może jestem głosem twojego sumienia. A jeżeli istnieje coś jeszcze, to chyba tylko mały, bezimienny chochlik, chochlik, który może nazywa się Willy, który żyje tylko przez chwilę, i którego tak naprawdę w ogóle nie ma. Jeżeli troszkę cię skrzywdzę, to dzięki temu tylko podniesiesz głowę do góry i wrócisz do tego pięknego, nieobliczalnego, dziwnego świata.

- Ale ja muszę się jeszcze z tobą zobaczyć... musisz mi pomóc... mógłbyś mi pomóc.

- Każdy może ci pomóc, Jessiko, jeżeli tylko będziesz tego chciała. Teraz jesteśmy tylko my dwoje na wyspie, na wyspie ze snu, którą zapamiętasz jako sen, jako atmosferę i nastrój i nic poza tym. Jaka ty jesteś piękna. Czy mogę cię znowu pocałować?

Jessica mocno go objęła i zamknęła oczy. Otrząsnęła się, słysząc jakieś szuranie. To Willy zdejmował buty. I ona szybko zsunęła swoje. Ze złączonymi ustami powoli osunęli się na łóżko.

Po jakimś czasie, gdy leżeli przytuleni do siebie, Jessica spytała cicho, spokojnie, lecz ze zdziwieniem:

- Co my robimy, Willy? Co to jest?

- To świętokradztwo, Jessiko. Niezwykle ważne zajęcie człowieka.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Jak wszyscy prawdziwi mieszkańcy Earls Court, Ducane nie znosił Chelsea. „W takim miejscu mogą mieszkać tylko łajdacy” - pomyślał sobie, skręcając w Smith Street i idąc wzdłuż rzędu schludnie pomalowanych drzwi wejściowych.

Jednakże nie było mu do śmiechu. Myślał o Birannie jako o człowieku w pułapce. Ale czy pułapka zadziała? Biranne to silny i niegłupi mężczyzna. Wszelkie próby Ducane'a, mające na celu zaskoczenie go, nie mogły go złamać, ani zmusić do zdemaskowania się. Ducane wiedział, że Biranne z łatwością może wszystko jakoś wytłumaczyć. A wtedy Ducane będzie musiał go przeprosić i odejść z pracy i co, do diabła, dalej? Kiedy uświadamiał sobie, jak niewiele wie, był zdumiony, że z taką siłą wierzy w winę Biranne'a. A może całkowicie się mylił? „Dziś wieczorem zaryzykuję” - pomyślał. Nadeszła pora na hazard, gdyż bardziej przyzwoite metody przynosiły jedynie całą gamę domysłów: od podejrzenia morderstwa do domniemania absolutnej niewinności.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Gęste, zakurzone powietrze, aż ciężkie od skwaru, wisiało nad Londynem jak na wpół sflaczały balon, duszne i obwisłe. Na samym końcu ulicy widać było zamazaną zielenią drzew. Ducane, zbyt niespokojny, by czekać we własnym domu, przyszedł z Earls Court pieszo. Zjadł wczesną kolację z Willym, który znajdował się w stanie dziwnej euforii. Po kolacji Willy włączył radio tranzystorowe i Ducane zostawił go, tańczącego w salonie przy dźwiękach piano concerto C minor Mozarta. Ducane, planując



zaskoczenie Biranne'a, wykręcił jego numer telefonu na Earls Court i cicho odłożył słuchawkę, gdy tylko usłyszał znajomy, wysoki głos.

Gdy zbliżał się do domu Biranne'a, był bliski uduszenia się z niepokoju i podniecenia; parę razy musiał przystanąć, żeby odetchnąć gęstym powietrzem, które teraz wydawało się niemal zupełnie pozbawione tlenu. W końcu zatrzymał się parę kroków dalej, otrząsnął się, a może zadrżał, wyprostował plecy i podszedł żwawo do drzwi. Były otwarte.

Ducane zamarł na stopniu z dłonią wyciągniętą do dzwonka. Opuścił rękę. Dla jego starganych nerwów każda nieco dziwna rzecz, nawet zupełnie prosta, kryła w sobie jakieś złowieszcze znaczenie. Czyżby Biranne jednak się go spodziewał? Czyżby zrozumiał znaczenie tamtego telefonu? Czy widział, jak Ducane tu idzie? Ducane stał i zastanawiał się. W końcu zdecydował, że otwarte drzwi są dziełem przypadku. Potem postanowił, że nie zadzwoni. Po prostu od razu wejdzie do środka.

Kiedy jednak ostrożnie stanął na puszystym, żółtym dywanie w hallu, poczuł się jak ścigany, a nie ścigający. Rozejrzał się szybko, z poczuciem winy, zrobił pół obrotu w kierunku wyjścia, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Zewsząd otaczała go groźna cisza obcego domu. Usłyszał pogrzebane w niej tykanie budzika, a potem bicie własnego serca. Stał nieruchomo, przesuając wzrokiem po wnętrzu domu. W złotawym półcieniu ujrzał stolik o mozaikowym blacie, owalne lustro, na schodach połyskujące pręty z lakierowanego mosiądzu, które przytrzymywały chodnik. Poprzez otwarte drzwi widać było jakieś jaśniejsze wnętrze, wyglądające na pokój bilardowy. Usiłując normalnie oddychać i nie stąpać na palcach, Ducane otworzył drzwi po prawej stronie. Pokój frontowy, najwyraźniej salon. Pusty. Na kredensie mnóstwo butelek. Ducane cofnął się, wstrzymał oddech i otworzył drzwi po lewej stronie. Pokój zaciemniały niemal całkowicie zsunięte żaluzje, przez które do środka ukośnie wpadały promienie słońca, załamując się wzdłuż ich szczelin. Ducane zamrugał oczami w półmroku. Nagle zobaczył, stojącą w drugim końcu pokoju, jakąś postać. Niezwykłą postać, postać Judy McGrath.

- Witam panie Misiu. A nie mówiłam, że się jeszcze spotkamy?

Tym, co teraz było niezwykłego w Judy McGrath było to, że nic na sobie nie miała.

Ducane powoli wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Próbując się opanować, rozejrzał się po pokoju. Oprócz nich nie było nikogo.

- Dobry wieczór, pani McGrath.

- Musisz mi wybaczyć mój negliż. Wieczór taki gorący, prawda?

- Wyjątkowo gorący i duszny - powiedział Ducane. Usiadł w fotelu i spojrzał na Judy. - „Helena Trojańska” - powiedział cicho.

- Wiedziałam, że mnie odnajdziesz, panie Misiu. Jesteś taki mądry. Może papierosa? Albo cygaro Richarda?

- Nie, dziękuję. - „To chwila spoza mojego normalnego życia” - pomyślał. - „Chwila ofiarowana mi przez boga, przez wspańałowomyślnego, choć niedobrego boga.” Nigdy przedtem nie było mu dane w ten sposób podziwiać nagą kobietę.

Judy stała przed nim w nieco niezgrabnej pozycji. Ludzkie ciało, nawet ciało pięknej kobiety, nie zawsze potrafi całkowicie się rozluźnić. Stała do niego bokiem, nieco przygarbiona, z jedną nogą ugiętą i uniesioną głową, jak gdyby chcąc go dojrzeć, musiała się ponad czymś wychylić. Jej ciało nie było świadome własnego piękna, a raczej było pełne wstydu. Pani McGrath niewątpliwie często rozbierała się przy ludziach, lecz jej ciało nie przywykło jeszcze tak całkiem do tego. Na wpół świadomie Ducane zdał sobie z tego sprawę i to go wzruszyło. Promienie słońca migotały na żaluzjach i wypełniały pokój gęstym, miłym, przyćmionym światłem, ciepłym, brązowoczerwonym powietrzem, w którym ciało Judy McGrath wyglądało jak posąg z miodu, otulony ulotnym, żółtawym blaskiem. Ciepłe światło pieściło ją, osłaniało, stapiało się z nią. Jej czarne włosy miały brązowy połysk, a cień pomiędzy dużymi, krągłymi piersiami był ciemnordzawy. Oczy Judy były przymknięte. Lekko kołysała ciałem, uwydatniając linię pośladków.

Ducane wziął głęboki oddech i połknął powietrze, zanim mogło się stać westchnieniem.

- Przyszedłem tu, żeby zobaczyć się z Biranne'em, ale i ty mi wystarczysz - powiedział.

- Jeżeli mogę się do czegoś przydać, panie Misiu, jestem na twoje usługi.

- Dlaczego Radeechy się zastrzelił?

- Nie wiem, panie Misiu. Radeechy był dziwnym człowiekiem o dziwnych zwyczajach i dziwnych pomysłach.

- Czy szantażowanie go było pomysłem twoim, czy też twojego męża?

- Nie mam pojęcia, panie Misiu. Jestem kobietą. Spójrz.

Ducane patrzył na nią, lecz teraz był już całkowicie opanowany. Złapał się na tym, że duże, brązowe kręgi pośrodku jej piersi w jakiś dziwny sposób przypominają mu o Fiveyu.

- Opowiedz mi o Radeechym. - poprosił.

- Mogłabym cię pokochać, panie Misiu. I ty mógłbyś mnie pokochać.

- Wątpię w to, Judy. Opowiedz mi o Radeechym.

- To znaczy o tym, co robił nocami w podziemiach?

- W podziemiach... - powtórzył Ducane.

- W podziemiach biura.

- Rozumiem - powiedział powoli, usiłując zebrać myśli. - Oczywiście. Spotykałaś się z Radeechym w podziemiach, w starym schronie przeciwlotniczym pod biurem...

- Zgadza się, panie Misiu. Myślałam, że wiesz. Myślałam, że wiesz wszystko.

- Wiem właściwie wszystko - powiedział. - Chciałem tylko, żebyś mi powiedziała resztę. Kiedy chodziliście do podziemi?

- W domu było nieco niezręcznie, no, wiesz - pani Radeechy, sąsiedzi... Zawsze robiliśmy przy tym straszny hałas.

- Hmm... Czy pani Radeechy wiedziała o tym?

- O, tak, nigdy niczego nie ukrywaliśmy.

- Czy miała coś przeciwko temu?

- Nie wiem - odparła Judy. Zaczęła się obracać wokół własnej osi, na swych dosyć dużych stopach, które wczepiały się w dywan długimi, szponiastymi palcami. - Nie pokazywała nic po sobie, ale chyba jej się to nie podobało.

- Czy Radeechy martwił się tym, że unieszczęśliwia swoją żonę?

- Nigdy się nie martwił w mojej obecności, panie Misiu. Żaden mężczyzna się przy mnie nie martwi.

- Co Radeechy chciał od ciebie? - spytał Ducane. - To znaczy poza oczywistymi rzeczami.

- Z Radeechym nigdy nic nie było oczywiste, panie Misiu.

- No, domyślam się, że sypialiście ze sobą.

- O nie, nie, nie z tych rzeczy. To wszystko było strasznie uduchowione, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Poza tym bywał tam również McGrath.

- Rozumiem. Brałście udział w rytuałach, uprawialiście czarną magię?

- Nigdy tego nie mogłam zrozumieć. Robiłam tylko to, co mi kazali, przez większość czasu w ogóle nie wiedziałam, co się dzieje. Niektórzy panowie mają bardzo dziwne pomysły. On nie był pierwszy.

- Co to znaczy „uduchowione”?

- Wszystko się działo w jego głowie. Są tacy faceci jak on. Nigdy nawet mnie nie dotknął, to znaczy nie rękami.

Określenie „nie rękami” zrobiło na Duncanie wrażenie, które przez chwilę wziął za fizyczne podniecenie. Gwałtownie odepchnął krzesło i wstał. Judy McGrath natychmiast, jak rażona prądem, zmieniła pozycję, zrobiła krok w jego kierunku i odrzuciła do tyłu głowę. Jednocześnie wzięła coś ze stołu. Wzrok Ducane'a penetrował teraz miejsce, które do tej pory omijał, miejsce najgłębszego cienia.

- Nie idź - powiedziała miękko. - Albo weź mnie ze sobą. Co lubisz robić, panie Misiu? Zrobię wszystko. Mogę cię też wiele nauczyć.

- Ubierz się - powiedział.

Coś poruszyło się w siarzanym świetle pomiędzy nimi i spoczęło na jego nadgarstku, pieszczotliwie przeczesując włosy na jego ręce. Był to cienki jak ołówek koniec rączki bicia, którego drugi koniec znajdował się w ręce Judy.

Ducane szarpnął rękę do tyłu i szybko wycofał się z pokoju. Po omacku przeszedł przez korytarz, pchnięciem ręki otworzył drzwi i zamrugał w nagłej jasności światła na ulicy. Gdy szybkim krokiem ruszył przed siebie, niemal się zderzył z Biranne'em. Spojrzeli na siebie, zaskoczeni. Zanim Ducane go wyminął i pognął dalej, zdążył dostrzec jak twarz Biranne'a zmienia się pod wpływem strachu.

## Rozdział dwudziesty piąty

- Dlaczego zwierzęta nie muszą wycierać nosów? - spytał Edward.

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, nikt też nie zamierzał wdawać się w dyskusję z Edwardem. Mary gotowała rabarbar, Paula pogrążona we własnych zmartwieniach przeglądała *Eneidę*, a Ducane zajęty był układaniem i cenzorowaniem pewnych niezwykle osobistych zdjęć Judy McGrath.

- Wujek Theo szuka Mingo - powiedziała Henrietta, która właśnie weszła do kuchni. - John, przysłał do ciebie jakaś pocztówka.

Bliźniaki zgarnęły śpiącego Mingo z wygodnego koszyka Montrose'a i wyszły, niosąc go między sobą.

Ducane przyglądał się zdjęciu, przedstawiającemu parę zawołowanych kobiet. Po drugiej stronie Kate napisała:

*Kochanie, zawołowane kobiety są tak tajemnicze! Tutaj jest wspaniale. Dziś rano widziałam, jak parę psów robiło coś niezwykłego. Nie mogę ci tego wyjaśnić na pocztówce. Nie wiedziałam, że psy mają wady. Całuję.*

Ducane znowu odwrócił pocztówkę i spojrzął ponuro na fotografię. On też pamiętał, że podniecały go zawołowane kobiety w Tangierze i wspomnienie to w jakiś dziwny i dosyć przerażający sposób przywiodło mu na myśl Judy. To niezwykle, że jego spotkanie z niczym nie osłoniętą Judy skojarzyło mu się z tymi szczelnie zakrytymi kobietami z Afryki. Był w nim jakiś mechanizm, który reagował tak samo na obie te wizje. „Upodabnam się do Radeechy'ego” - pomyślał. - „Wszystko dzieje się w mojej głowie”.

Jeszcze raz odwrócił pocztówkę i spróbował skoncentrować swoją uwagę na Kate: słodka Kate z aureolą kręconych, złotych włosów, jej czuła i kochająca natura. Kate jednak umykała jego uwadze, a miejsce w jego świadomości, gdzie powinna się znajdować, było puste albo niedostępne. Odczuwał znowu mechaniczność swych reakcji. „Potrzebuję jej obecności.” - pomyślał - „Nie umiem sobie radzić z nieobecnością, przynajmniej z jej nieobecnością.”

Dreńczyła go nie tylko Judy, ale również to, co od niej usłyszał. Na pierwszy rzut oka odkrycie, że „poczynania” Radeechy'ego miały miejsce w starym schronie przeciwlotniczym pod biurem, kazało przypuszczać, że ci, którzy obawiali się „naruszenia tajemnicy państwowej”, mieli pełne prawo do tego rodzaju podejrzeń. Pod płaszczykiem czarnej magii mogły się skrywać całkiem inne praktyki. Jednakże po namyśle Ducane doszedł do wniosku, że jest to raczej mało prawdopodobne. Jeżeli Radeechy chciałby zostać całą noc w biurze, to doprawdy nie byłoby ku temu żadnych przeszkód, a folgowanie swoim zachciankom związanym z dziewczynami było nieumotywowane i zbyt ryzykowne, jeżeli na celu miał zupełnie co innego. Nie, zdecydował Ducane, pod tym nic się nie kryło. Ale o co więc w tym wszystkim mogło chodzić? Znowu zaczął w nim działać znajomy mechanizm. A może w centrum tej tajemnicy były smętne, seksualne eksperymenty niezrównoważonego mężczyzny?

Ducane postanowił jeszcze raz spotkać się z McGrathem i zmusić go, by mu wskazał miejsce w podziemiach, gdzie Radeechy uprawiał te swoje praktyki. Nie chciał już widzieć pani McGrath, więc napisał do jej męża, wzywając go do biura na poniedziałek. Potem, ulegając niemal panicznemu instynktowi ucieczki, kazał Fiveyowi, żeby zawiózł go do Dorset. Był bardzo przygnębiony całą tą sprawą i gorąco pragnął zastać na miejscu Oktawiana i Kate. Z biura premiera przyszedł list z prośbą o tymczasowy raport. Po otrzymaniu tej wiadomości Ducane uświadomił sobie, jak bardzo niewiele jego śledztwo ma teraz wspólnego z oficjalnym dochodzeniem. Był w nie głęboko zaplątany i dla własnego dobra będzie musiał rozwikłać tę zagadkę. Miał również wrażenie, że ciągnie go do przodu jakaś nierozzerwalna nić. Gdy trop się urywał, niespodziewanie pojawiało się coś, co wskazywało mu dalszą drogę.

Ducane nieco wcześniej domyślał się, że to Judy jest „Heleną Trojańską”, i że McGrath prawdopodobnie nie po raz pierwszy

wykorzystał swoją żonę jako przynętę do szantażu. Nie spodziewał się jednak powiązania między Judy i Biranne'em; gdy jednak już je odkrył, wydało mu się ono tak wiele mówiące, że aż oczywiste. Początkowo żałował, że dał Biranne'owi tak wyraźne ostrzeżenie i zepsuł możliwość zaskoczenia go, choć przecież Biranne i tak pewnie był informowany przez Judy i jej męża o przebiegu dochodzenia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa McGrath szantażował również Biranne'a. W każdym razie Biranne na pewno wiedział, że jest podejrzany i po dłuższym namyśle Ducane doszedł do wniosku, że to się nawet nieźle składa. Uderzyło go przerażenie na twarzy Biranne'a, gdy wpadli na siebie na Smith Street. „Biranne przyjdzie do mnie” - pomyślał i nie była to myśl nieprzyjemna.

- Gdzie jest Barbara? - spytał Mary. - Jeździ na kucyku?

- Nie, kucyk nadwyreżył sobie pęcinę. Barbara jest chyba w swoim pokoju.

- Jeszcze się martwi o Montrose'a?

- Tak, strasznie. Wczoraj znowu płakała. Nie mam pojęcia, co się mogło stać z tym paskudnym zwierzakiem. Koty nie znikają tak po prostu.

- Słyszałem, jak Pierce powiedział, że Montrose utonął. Nie powinien jej mówić takich rzeczy.

- Wiem - ucięła Mary, mieszając rabarbar.

- Chyba do niej pójde. Nie powinna siedzieć w czterech ścianach w taki dzień jak dziś. Moglibyśmy się przejść do Willy'ego. Pójdiesz z nami, Paulo?

- Nie, dziękuję.

Paula rzuciła na niego niespokojne, nieprzytomne spojrzenie. Jej twarz była szara, nieprzenikniona. Była to twarz szermierza, spoglądającego poprzez gęstą siatkę maski. „Powiniennem się nią zająć” - pomyślał Ducane z poczuciem winy. - „Powiniennem z nią porozmawiać i skłonić, żeby mi powiedziała, co się dzieje. Kto ma pierwszeństwo: Barbara czy Paula?” Wyrzuty sumienia wywołały w jego umyśle obraz Jessiki. „Powiniennem się z nią wkrótce zobaczyć” - przypomniało mu się i ta myśl tak go przygnębiła, że gotowość okazania współczucia Pauli od razu się zmniejszyła. Barbara mogła go pocieszyć. Pójdzie do niej. Wstał.

- Postaraj się przyprowadzić Willy'ego na herbatę - poprosiła Mary.

- Spróbuję, ale wątpię, żeby się zgodził.

Wyszedł z kuchni. Promienie słoneczne, prześwitujące przez szklane kasetony w drzwiach wejściowych, oświetlały gładkie, lekko różowawe zagłębienia w zdartych płytach posadzki w hallu. Ducane podniósł z podłogi należącą do Edwarda *Historię naturalną Selborne* i położył ją na stoliku. Na trawniku przed domem siedziała Casie z bliźniakami, łuskając groch. Kiedy ręka Ducane'a dotknęła stołu i gdy przystanął w znajomym, słonecznym hallu, poczuł lekkie ukłucie w sercu, tym razem inne - wzruszające, przyjemne, przejmujące ukłucie na nagłą myśl o niewinnym świecie, świecie, który kochał, którego potrzebował, i z którego nigdy nie mógłby zrezygnować. Pomyślał: niewinne sprawy. Pozostają one w życiu, jak coś szybkiego, żywego i całkowicie bezpiecznego przed schematyzmem i zmęczeniem. „Biedny Biranne” - pomyślał, a potem znowu nawiedziła go ta dziwna myśl: „Biranne przyjdzie do mnie”. Zaczął wchodzić po schodach.

Kiedy znalazł się na piętrze, w drugim końcu korytarza zobaczył Pierce'a, który właśnie wszedł po schodach od strony kuchni. Pierce, który nie widział Ducane'a, szedł ostrożnie, niosąc w jednym ręku jakieś białe naczynie. Balansując nim, otworzył drzwi do swojej sypialni i wszedł do środka. Ducane na wpół świadomie przyjął do wiadomości to, co zobaczył i również na wpół świadomie zaczął nad tym rozmyślać. Potem, z gwałtownością, która przywróciła go do rzeczywistości, zrozumiał. Przystanął, przez chwilę bił się z myślami i wreszcie szybko wyminął pokój Barbary. Z rozmachem otworzył drzwi do sypialni Pierce'a. Na łóżku leżał zwinięty w kłębek Montrose.

- Pierce, ty wstrętny, mały draniu! - krzyknął.

Pierce, który właśnie stawiał na podłodze miseczkę z mlekiem, wyprostował się i zdjął okulary. Wysunął do przodu pełną, dolną wargę i powoli przeciągnął ręką po czole i długim nosie, jak gdyby chciał nadać swej twarzy spokojny wygląd. Czekał.

Ducane wzięł na ręce Montrose'a i wielkimi krokami wyszedł z pokoju. Zapukał do drzwi Barbary i natychmiast wszedł. Pokój był pusty. Za Ducane'em wszedł Pierce. Stał twarzą w twarz.



- Boże, co za podłość! - krzyknął Ducane. Aż się trząsał z oburzenia. Wszystkie jego zmartwienia, niepokój, poczucie winy, zlały się teraz w ten prosty gniew.

- Nic mu nie zrobiłem - powiedział Pierce powoli.

- Ale skrzywdziłeś Barbarę. Jak mogłeś to zrobić? - Ducane postawił Montrose'a na stole. W tym samym czasie obok swojej dłoni zauważył małą szpicrutę ze srebrną rączką. W jego umyśle pojawił się obraz bicia i po sekundzie zniknął.

- Wiesz - zaczął Pierce tym samym wyjaśniającym tonem, - gdyby tylko przyszła do mnie, do mojego pokoju, tak jak kiedyś, gdyby nie traktowała mnie jak trędowatego, dowiedziałaby się, gdzie jest Montrose. Przeprowadziłem mały test. - Jedną ręką wsparł się o stół i z przejściem pochylił się do przodu.

- Rozmyślnie sprawiłeś jej ból i jeszcze go podtrzymywałeś - powiedział Ducane. - Myślę, że... - jego dłoń zacisnęła się na rączce szpicruty. Szybkim, lecz przemyślanym gestem poderwał ją do góry i mocno smagnął rękę Pierce'a. Chłopiec wzdrygnął się, ale nie cofnął ręki i nadal niewzruszenie patrzył na Ducane'a.

- Co tu, do diabła, się dzieje? - W drzwiach stała Mary Clothier.

Pierce powoli odwrócił się i nie patrząc na matkę wyminął ją, po czym odszedł korytarzem do swojej sypialni.

Mary zawahała się i po chwili weszła do pokoju. Musiała w sobie znaleźć wiele siły, żeby dać sobie radę z szokiem na widok Ducane'a uderzającego jej syna. Nie wiedziała, co czuje. Aż oniemiała z dezorientacji.

- Przepraszam - powiedział Ducane, najwyraźniej również zmieszany. - Przepraszam.

- Dlaczego Montrose...

- Zamknij drzwi, Mary.

- Co się stało?

- Widzisz... Zamknij drzwi. Widzisz, Pierce przez cały czas więził tu Montrose'a.

- Och... jakie to straszne... ja...

- Tak. Niestety straciłem panowanie nad sobą. Nie powinienem był tak się zachować.

- Nie winię ciebie. Pierce postąpił bardzo źle. Pójdę poszukać Barbary.

- Zaczekaj chwilę, Mary. Wypuść tylko Montrose'a, dobrze? Usiądź. Przepraszam. Nie będę cię długo trzymał.

Mary usiadła na łóżku i spojrzała na Ducane'a, który ze zmarszczonym czołem stał przy oknie, trzymając w ręku szpicrutę. Nagle zadrżał i rzucił bat na stół, a potem przyłożył obie dłonie do czoła, ukrywając twarz.

- Jesteś zdenerwowany - powiedziała Mary. - Och, nie martw się! Przecież ja się na ciebie nie gniewam.

- Nie, nie. Martwię się czym innym, nawet nie bardzo wiem, czym. Pierce pewnie mnie za to znenawidzi.

- Równie dobrze może cię za to pokochać. Młodzi ludzie mają dziwną psychikę.

- Wszyscy ludzie mają dziwną psychikę - powiedział Ducane. Usiadł przy stole i zaczął przyglądać się Mary. Jego okrągłe oczy, teraz tak bardzo niebieskie w kościstej, opalanej twarzy, spoglądały na nią jak gdyby ze zdziwieniem. Potrząśnięciem głowy odrzucił do tyłu jakiś niesforny kosmyk ciemnobrązowych włosów. Mary bacznie mu się przyglądała. O co mu chodziło?

- Przepraszam - powiedział po chwili. - Po prostu jestem niezadowolony z siebie i potrzebuję pocieszenia. Zawsze prosi się o współczucie wtedy, gdy się najmniej na nie zasługuje.

„Tęskni za Kate.” - pomyślała Mary.

- Jestem pewna, że akurat ty masz niewiele powodów do niezadowolenia z siebie, John. Ale mogę cię pocieszyć. Powiedz mi, o co chodzi.

Niebieskie oczy Ducane'a zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe, jak gdyby ze strachu. Zaczął coś mówić, przerwał i po chwili odezwał się znowu.

- Ile Pierce ma lat?

- Piętnaście.

- Powinienem znać go lepiej.

- Mam nadzieję, że go poznasz. Ale, John, przecież ty nie możesz się opiekować wszystkimi.

- Uważasz, że zawsze wszystkimi się opiekuję?

- No, tak...

- Boże!

- Przepraszam, nie chciałam...

- Nic nie szkodzi. Do Pierce'a trudno dotrzeć.
- Od wielu lat nie ma ojca, zbyt długo jest tylko ze mną.
- Ile miał lat, kiedy umarł jego ojciec?
- Dwa.
- Pewnie prawie go nie pamięta.
- Tak.
- Jak miał na imię twój mąż, Mary?

„O Boże” - pomyślała Mary. - „Nie mogę z nim rozmawiać o Alistairze.” W zachowaniu Ducane'a dostrzegła to szczególne przejęcie; miał zwyczaj zadawania pytań z wielkim skupieniem, aby jak najwięcej wyciągnąć ze swojego rozmówcy, który zazwyczaj i tak okazywał się aż nadto chętny do zwierzeń. Widziała, jak w ten sposób rozmawiał z innymi ludźmi, nawet na przyjęciach. Nigdy się tak nie zachowywał wobec niej. „Nic mu nie powiem” - postanowiła. - „Z nikim o tym nie rozmawiałam, to i jemu nic nie powiem”.

- Czym się zajmował? Chyba nawet nie wiem, kim był z zawodu.
- Był dyplomowanym księgowym.
- Czy Pierce jest do niego podobny?
- Z wyglądu tak, chociaż Alistair był wyższy. Ale ma inny temperament.

- Jaki on był?

„Nie mogę tego dłużej ciągnąć” - pomyślała Mary. Przecież nie mogła powiedzieć: „Był zabawny, ciągle się wygłupiał. Był wesoły. Przepięknie śpiewał. Był wszechstronnym artystą. Niczego nie osiągnął”.

- Napisał powieść - odparła.
- Została wydana?

- Nie. Była do niczego. - Część poprzedniego dnia Mary spędziła czytając książkę Alistaira. Wyciągnęła ogromny maszynopis z zamiarem zniszczenia go, ale nie potrafiła tego zrobić. Powieść, choć kiepska i dziecinna, przypominała jej Alistaira.

- Młodo umarł. - powiedział Ducane'a cicho. - Mogło mu się ułożyć lepiej, o wiele lepiej.

Mary wiedziała, że Ducane ma rację. Może krzywdziła Alistaira mówiąc, że niczego nie osiągnął, jednak było to dla niej jakoś oczywiste.

- Jak umarł? - spytał Ducane miękki, łagodnym głosem.

Mary milczała. Wyrosła przed nią ściana ciemności. Mary zbliżała się do niej coraz bardziej, wpatrując się w mrok. Weszła w głąb.

- Któregoś wieczora tuż przed naszym domem przejechał go samochód - powiedziała sennym głosem. - Wszystko widziałam.

- Och... tak mi przykro... Czy... umarł na miejscu?

- Nie. - Przypomniała sobie jego krzyk, długie oczekiwanie na karetkę, tłum, długie oczekiwanie w szpitalu.

- Mary, tak mi przykro. Jestem...

- To się stało tak przypadkowo - ciągnęła dalej. - Czasami, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że oszaleję. Dlaczego to się musiało wydarzyć tak przypadkowo? Gdybym powiedziała do niego jeszcze choć jedno zdanie, zanim wyszedł z pokoju, gdyby przystanął, żeby zawiązać sznurowadło, cokolwiek, o Boże, kłóciliśmy się i ja bez słowa pozwoliłam mu wyjść, gdybym tylko go zawołała, ale on poszedł prosto przed siebie cały zdenerwowany i przejechał go samochód. Gdyby na coś chorował, albo został zastrzelony na wojnie gdzieś daleko, ale nie, on zginął przypadkowo na moich oczach, nie mogłam tego znieść, nigdy nikomu nie powiedziałam, jak umarł, powiedziałam Kate i Pauli, że miał zapalenie płuc i Pierce'owi też tak powiedziałam. Pierce w tym czasie spał w swoim pokoju na górze. Kochałam go, oczywiście, że go kochałam, ale nigdy tak, jak powinnam i od tamtej pory nie potrafiłam spokojnie o nim pomyśleć, to przez ten straszny wypadek, wszystko tak nagle się urwało, życie dla nas obojga stało się bezsensowne i nawet nie potrafiłam spokojnie o nim pomyśleć, zupełnie jak gdyby przemienił się w jakiegoś straszego ducha, z którym nie mogłam się pogodzić. Pamiętam, że kiedy później przeglądałam jego ubrania, miałam straszne uczucie, jakby mnie obserwował, taki smutny i niespełniony. I tak jest do dziś; czasami wieczorem nachodzi mnie to uczucie i myślę wtedy, że on ciągle pragnie mojej miłości, a ja nie mogę mu jej dać. Widzę jego wady i jego słabość; cała moja miłość do niego całkowicie wyblakła. To straszne, że nie można kochać wiecznie. Powinnam nadal go kochać, to jedyna rzecz, jaką mogłabym dla niego zrobić, próbowałam, ale nie można kochać w próżni, nie można kochać nicości, której nie można dać niczego innego poza miłością, została mi po nim tylko ta powieść i wiem, że to strasznie głupie, ale w pewien sposób ta powieść to on. Gdyby to się nie stało w ten sposób, tak nagle i przypadkowo;

wyszedł z domu prosto pod koła. Wiesz, tak mało samochodów jeździ tą ulicą...

- Nie płacz już, Mary - powiedział Ducane. Przynął się i objął ją. - Przypadek o wiele trudniej znieść niż przeznaczenie, ale wszystko jest przypadkiem, kochanie, nawet to, co się wydaje najbardziej nieuchronne. Wiem, że to trudne, ale trzeba się z tym pogodzić, tak samo, jak trzeba się pogodzić z porażkami i przeszłością. Nie próbuj go zrozumieć. Po prostu go kochaj. Może i tak nigdy go nie znałaś. Teraz jego tajemnica jest dla ciebie niedostępna. Uszanuj ją i nie próbuj dojrzeć niczego więcej. Niekiedy po prostu trzeba spojrzeć w ciemność. Patrz w nią i nie bój się. Nie ma tam żadnych demonów.

- To tylko słowa, John - powiedziała Mary. - Słowa, słowa, słowa.  
- Pozwoliła jednak, by ją pocieszały i poczuła, że teraz naprawdę opłakuje Alistaira.

## Rozdział dwudziesty szósty

- Uwaga na stopnie. Są dosyć śliskie. Lepiej podam panu rękę.

W wolno przesuwającym się kręgu światła latarki ukazały się schody pokryte zatechłą warstwą wilgotnego kurzu. Pośrodku widniał wzór ze śladów stóp, a z jednej strony zwisały dyndające czarne nitki. Za nimi właściwa balustrada schodziła w mrok.

Ducane oparł się o zimną ścianę kostkami dłoni, zaciśniętej w pięść. Nie chciał dotykać McGratha, który szedł tuż przed nim.

- Mówisz, że pan Radeechy kazał ci przeciąć kabel elektryczny na szczycie przejścia?

- Tak jest, proszę pana. Pan Radeechy chciał, żeby wszystko odbywało się przy świetle świec. Pewnie też uważał, że tak będzie bezpieczniej. Wie pan - gdyby ktoś tu wszedł.

- Czy drzwi, przez które weszliśmy, zawsze były zamknięte na klucz?

- Tak, proszę pana. Pan Radeechy miał klucz i dał mi również jeden.

- Czy kiedykolwiek przychodziłeś tu bez niego?

- Prawie nigdy tu z nim nie przychodziłem, proszę pana. Ja tylko wszystko przygotowywałem i od razu się zmywałem. Nie chciałem, żebym przy tym był.

- No, ruszaj się, prowadź. Nie blokuj przejścia.

- Wszystko w porządku, proszę pana?

- Oczywiście, że tak. Idź dalej.

Drżące światło latarki popłynęło do przodu, ukazując perspektywę wąskiego, długiego, prostokątnego korytarza z czerwonej cegły, którego koniec tonał w mroku. Parę czarnych rur, ściśniętych w wiązkę w rogu sufitu i pokrytych ciężką peleryną pajęczyn, prowadziło w ciemność. Wejście to przypominało jakiś starożytny grobowiec; trudno było uwierzyć, że kilkanaście metrów wyżej biegły korytarze departamentów rządowych.

- Zamknąłeś drzwi na górze? - spytał Ducane. Złapał się na tym, że mówi szeptem. Schody również były nieco lepkie i z każdym krokiem rozlegało się ciche, miękkie mlaskanie. Z czarnych rur wydobywało się głucho, niemal niesłyszalne buczenie.

- Tak, proszę pana. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem? Chyba nie chcemy, żeby nam tu przeszkadzano?

- Nie zgub klucza.

- Nieźle byśmy się wtedy urządzili, proszę pana! Nikt się nie zbliża do tych drzwi. Zostalibyśmy tu na zawsze.

- No, idź, idź. Daleko jeszcze?

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie tędy, proszę pana. Prosto. Po prawej stronie korytarza pojawiło się wąskie, czarne wejście.

- Co tam jest?

- Jezu, nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłem. To niezbyt miłe miejsce, zwłaszcza, jeżeli jest się tu samemu. Zawsze tylko schodziłem do pokoju na dole i czym prędzej wracałem. Nie denerwuje się pan, prawda?

- Skąd. Nie machaj tak tą latarką. Trzymaj ją w dole.

Kształt korytarza i jego ostry kąt nachylenia przypominały Ducane'owi groby królów, które zwiedzał w Grecji i Egipcie. „Powiniennem był przynieść własną latarkę” - pomyślał. - „I powiniennem był komuś powiedziedzieć, że tu idę. Nie musiałem tego ukrywać. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak tu będzie. A jeżeli zgubimy klucz? A jeżeli się rozdzielimy, jeżeli zabłądzimy? Te korytarze nie mogą prowadzić do następnych schronów, za sobą zostawiliśmy już kilka, jesteśmy już zbyt nisko pod ziemią. Bardziej prawdopodobne, że to jakaś nieużywana część metra albo kanały.

- Tu znowu robi się stromo, proszę pana. Uwaga na stopnie. Nie prosto, tędy, niech pan idzie za mną. Teraz korytarzem na lewo. Proszę się trzymać blisko mnie.

- Są tu szczury? - Ducane potwornie bał się szczurów. Teraz już niemal deptał McGrathowi po piętach, nadal jednak go nie dotykając.

- Kiedyś widziałem tu takiego tłustego bydlaka, proszę pana. Pan Radeechy też widział parę. Powiedział, żebym przyniósł kilka puszek po herbatnikach i trzymał w nich wszystkie rzeczy. Rozumie pan, bał się, że szczury mogą coś zjeść. Teraz na lewo, proszę pana.

- Jesteś pewien, że znasz drogę?

- Oczywiście, proszę pana. Trochę strasznie, co? Zupełnie jak w katakumbach. No, jesteśmy na miejscu. Czy może pan potrzymać latarkę? Muszę wyjąć drugi klucz.

Zatrzymali się przy zamkniętych drzwiach. Ducane kurczowo ścisnął latarkę. Czyżby bateria się wyczerpywała? Poruszył nią, oświetlając czarne, świeżo pomalowane drzwi i rudowłosą głowę McGratha, pochyloną nad zamkiem. Jego włosy lśniły jak wypolerowany kawałek metalu. Zamek w drzwiach cicho ustąpił.

- Dobra. Proszę mi dać latarkę.

- Ja ją będę trzymał - powiedział Ducane.

McGrath wszedł do środka; Ducane podążył za nim, ostrożnie stawiając kroki. W powietrzu unosił się jakiś bardzo nieprzyjemny zapach.

- No, to jesteśmy w miejscu przenajświętszym. - Drzwi zatrasnęły się za nimi.

Ducane zaczął przesuwac latarką po pomieszczeniu, ale pierwszą rzeczą, jaka ukazała się w jej świetle był McGrath. Ducane'a znowu uderzył intensywny kolor jego włosów. Spoglądały na niego jasnoniebieskie oczy. Przez chwilę stali w bezruchu. Wreszcie Ducane zaczął badać pomieszczenie. Przyszła mu do głowy dziwna myśl: „Mógłby mnie tu zamordować i nikt by się nawet o tym nie dowiedział.” Przez cały czas starał się stać twarzą do McGratha.

Pomieszczenie było zwyczajnym sześcianem o betonowej podłodze, długim na piętnaście stóp. Jedna ściana była wyłożona kremowym papierem, pozostałe łącznie z sufitem były ceglastoczerwone. W rogu sufitu kłębiły się trzy rury, które znikwały w murze. Ducane rozpoznał zarysy ław i krzeseł i naszło go wspomnienie z czasów wojny, obraz jakichś schronów w ziemi i wartowni. Od razu wyczuł, że ten dziwny pokój ma coś wspólnego z wojną, że kryje się w nim coś tajemniczego, zapomnianego i straconego.



- Czy mam zapalić świece, proszę pana? Będzie więcej widać. I moglibyśmy zaoszczędzić latarkę. Obawiam się, że nie wystarczy na długo.

McGrath stanął w kącie i z brzękiem otworzył metalowe pudełko. Rozległ się trzask zapałki. Płomień oświetlił włosy, biały jak ściana policzek McGratha i rzeźbiony, srebrny świecznik, na którym tkwiła świeca. Ducane aż krzyknął z zachwytu.

- Piękny, prawda? Pan Radeechy trzymał tu naprawdę ładne rzeczy. Pokażę panu. Może pan już odłożyć latarkę.

Cztery świece w identycznych srebrnych uchwytach płonęły teraz na ławie w rogu pokoju. Ducane podszedł, żeby przyjrzeć się lichtarzom. Każdy stał na czterech srebrnych kulach trzymany przez cztery szpony smoka, a gruby trzon był pokryty płaskorzeźbami wijących się potworów.

- Ładne, prawda? - powiedział McGrath. - Chińskie, tak twierdził pan Radeechy. Niech pan spojrzy na to.

W wyciągniętej ręce trzymał posrebrzany puchar wysadzany ogromnymi kamieniami. Ducane przyjrzał mu się z bliska. Było zbyt ciemno, wiedział zresztą za mało o kamieniach szlachetnych, by rozpoznać, czy były prawdziwe, ale wrażenie zrobił na nim przepych i nieco barbarzyńskie piękno kielicha.

- Niech się pan napije - powiedział McGrath.

Gdy Ducane wziął kielich z rąk McGratha, ten szybkim ruchem nalał do niego trochę wina. Ducane pośpiesznie odstawił go na ławę.

- Niech pan się nie boi, on nie gryzie. Moglibyśmy tu sobie zrobić niezłą ucztę. Nie musimy głodować. Widzi pan, jest i chleb i orzechy włoskie. Pan Radeechy miał słabość do orzechów włoskich.

McGrath zaczął wyjmować jedzenie z puszek i rozkładać je na ławie. Ducane zobaczył kromki wilgotnego czarnego chleba i orzechy w pożyczkowych zielonkawych od pleśni łupinkach. Czarny chleb na czarną mszę; Ducane przypomniał sobie, że orzechom włoskim przypisywano czarodziejską moc, ponieważ ich podwójne jądro przypominało półkule mózgu.

McGrath zaczął je rozłupywać srebrnym dziadkiem do orzechów.

- Niech pan weźmie połówkę. W środku są całkiem niezłe.

Ducane poczuł w swoim ręku suchy, pomarszczony orzeszek. Cofnął się. Nie powinien dzielić się nim z McGrathem. To też coś oznaczało, tylko nie mógł sobie przypomnieć, co.

- Pokaż mi, co masz do pokazania i wracajmy.

- Nie bardzo jest co oglądać, proszę pana - Powiedział McGrath, chrupiąc orzech. - Wyjmę resztę rzeczy.

McGrath ułożył świece w rzędzie na drugiej ławie, która stała pod białą ścianą. Leżał na niej wąski, czarny materac.

- Tutaj kładła się dziewczyna - powiedział cichym, pełnym czci głosem.

Wrócił do drugiej ławy i zaczął układać na materacu rekwizyty. Najpierw postawił kilka szczelnie zakorkowanych szklanych słoiczków - takich, jakie można znaleźć w każdej kuchni. Ducane spojrział na etykiety: mak, hizop, ciemiernik czarny, konopie, słonecznik, wilcza jagoda, lulek czarny, belladonna. Obok położył czarny chleb i stertę orzechów. Potem - ogromne opakowanie soli, mały posrebrzany dzwonek, Biblię, obtłuczony rzymski mszał, parę kadzidełek, podłużny kawałek srebra na podstawie z poprzeczną sztabką na dole i czarny bicz. Dzwonek cichutko zabrzęczał. Zamknęła się na nim błada, pokryta rudymi włosami dłoń McGratha.

McGrath ustawił wysoką sztabkę srebra na środku ławy za materacem. „*Krzyż tau*” - pomyślał Ducane. - „Odwrócony krzyż.”

- Wie pan, to dla pięciu zmysłów. Pan Radeechy kiedyś mi to wytłumaczył. Sól dla smaku, płomień dla wzroku, dzwonek dla słuchu, kadzidełko dla powonienia i to dla dotyku.

McGrath położył bicz przed krzyżem.

Ducane zadrżał.

- I jeszcze to - ciągnął McGrath.

Świece zamigotały w podmuchu powietrza i Ducane oderwał wzrok od bicia.

McGrath, dwa razy większy niż normalnie, wyglądał teraz, jakby się z czymś szamotał albo tańczył z rękami uniesionymi do góry, rzucając na ścianę ogromny cień. W końcu z ciężkim kłapnięciem ubranie trafiło na swoje miejsce i McGrath zaprezentował je, szczerząc zęby w uśmiechu. Miał na sobie piękną szeroką kapę z żółtego jedwabiu, haftowaną w czarne szyszki. Kokieterjnie okręcił się dokoła. Spod kapy wystawały rękawy i nogawki garnituru. Strój był na niego o wiele za duży. Radeechy był potężnym mężczyzną.

- A to do kompletu. - McGrath wyjął wysokie, sztywne, haftowane nakrycie głowy przypominające infułę i przymierzał się, aby je założyć.

Ducane szybko wyjął mu je z ręki.

- Zdejmij to.
- Ale bajer, co?
- Zdejmij to.

Dosyć niechętnie McGrath wypłatał się z kapy. Gdy zdejmował ją przez głowę, spytał:

- Jak pan myśli - mógłbym sobie coś z tego wziąć?
- Wziąć...?
- No, na pamiątkę... Może ten puchar?

- Oczywiście, że nie! - zaprotestował Ducane - Te przedmioty są własnością spadkobierców pana Radeechy'ego. Policja się nimi zajmie. Przesuń się, chcę im się przyjrzeć. - Wziął do ręki jedną ze świec. - Co za okropny zaduch.

- To chyba przez te ptaki.
- Ptaki?

- Tak. Biedne gołąbki. Niech pan spojrzy.

Wskazał na ciemny kąt pod ławą w drugim końcu pokoju.

Ducane zobaczył, że pod stołem stoi coś przypominającego ogromną klatkę. Rzeczywiście była to klatka byle jak sklecona z drewnianej skrzyni i paru metrów drutu. Pochyliwszy się, Ducane dojrzał w środku rozpostarte szare skrzydło, a potem kłębowisko gładkich, okrągłych, szaroniebieskich kształtów, skulonych w rogu. Pióra były jeszcze lśniące.

- Oczywiście wszystkie już nie żyją - powiedział McGrath z pewną satysfakcją. - Pan Radeechy chciał je mieć żywe. - Ręka McGratha dotknęła klatki niemal pieścizotliwym gestem. Jego nadgarstek był owinięty złotymi łańcuszkami.

- To znaczy...?  
- Zabijał je podczas ceremonii. Krew chlapała na wszystkie strony, że coś okropnego. Potem kupę czasu zajmowało mi wycieranie jej. Zawsze bardzo dbał o czystość.

- Skąd je brałeś?  
- Łapałem na Trafalgar Square. Nic prostszego, jeżeli tylko pójdzie się tam wcześniej rano. Zimą było trochę trudniej, ale w mglisty dzień łapałem zwykle jednego albo dwa i przynosiłem tu pod płaszczem.

- I trzymałeś je tutaj?

- Niektóre w domu, inne tutaj, dopóki były potrzebne. Oczywiście karmiłem je, ale przez większość czasu chyba spały. Pewnie dlatego, że tu ciemno. Tych parę przyniosłem tuż przed tym, jak to się stało, to znaczy mam na myśli pana Radeechy'ego.

Ducane odwrócił głowę od małego, miękkiego kłębowiska w klatce.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby zejść na dół i je wypuścić?

McGrath wyglądał na zdziwionego.

- Jezu, nie. Nawet o tym nie pomyślałem. Nie chciałem tu przychodzić bez potrzeby. No, a skoro biedny pan Radeechy nie żył, co miałem sobie zawracać głowę paroma gołębiami?

Ducane aż się wzdrygnął. Lichtarz zaczął mu ciążyć w rękę. Trochę się przechylił i gorący wosk spłynął mu na nadgarstek i rękaw płaszcza. Ducane'owi nagle zrobiło się słabo; uprzytomnił sobie, że odkąd wszedł do tego pomieszczenia, czuje się apatyczny i senny. Miał nieprzepartą chęć zrzucić wszystko z materaca i samemu się na nim położyć. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, w jaki sposób wietrzy się ten pokój. Nie było czym oddychać. Głęboko wciągnął powietrze, lecz od panującego zaduchu zrobiło mu się niedobrze i zaczął spazmatycznie kasłać.

- Obrzydliwy smród, co? - powiedział McGrath, który wciąż klęczał na jednym kolanie koło klatki, obserwując Ducane'a. - Ale wie pan, to nie tylko te ptaki. To on.

- O n ?

- Pan Radeechy strasznie śmierdział. Nie zauważył pan?

Ducane przypomniał sobie, że Radeechy rzeczywiście zawsze jakoś nieprzyjemnie pachniał. Raz w biurze podsłuchiwał, jak urzędnicy się z tego wyśmiewali.

- Jeżeli to już wszystko, to możemy iść - powiedział.

Odwrócił się z powrotem do ołtarza. Złota kapa w czarne szyszki leżała niechlujnie rzucona na jednym końcu materaca. W blasku świecy Ducane zauważył, że jest ona postrzępiona i brudna; z jednej strony, tuż przy brzegu widniała nieregularna, brązowa plama.

- Chciałeś mi pokazać coś jeszcze?

- Wiele już pan zobaczył. Niech pan spojrzy, już nic tutaj nie ma. Trochę puszek, zapalek i papierosy pana Radeechy'ego, dzięki mu za to. Pod ławami pusto, tylko te zdechłe gołębie. Ale niech się pan sam rozejrzy, proszę pana, niech się pan sam rozejrzy.

Ducane przeszedł wzdłuż ścian pokoju, a potem odwrócił się i spozjrzał na McGratha, który stał tyłem do krzyża, intesywnie wpatrując się w Ducane'a. Ducane zauważył, że McGrath trzyma bicz i palcem lewej ręki bawi się jego cienkim, spiczastym końcem. Jego oczy były niczym puste, jasnoniebieskie plamy.

„To ta ponura atmosfera tak mnie ogłupia” - pomyślał Ducane. - „Zło jest ponure, to coś małego i ukrytego, to kurz sypiący się z pajęczyn, plama krwi na kapie, kłębowisko martwych gołębi w drewnianej skrzyni.” To, o co Radeechy tak wytrwale zabiegał i co go w końcu owionęło swym odrażającym oddechem, nie było ani wspaniałe ani monumentalne. To maleńkie siły, pozbawione wdzięku i zszargane. A jednak, czyż zło nie potrafiło skazać człowieka na potępienie, czyż nie było tu wystarczająco dużo ciemności, by zabić ludzką duszę? „Ono jest we mnie” - pomyślał Ducane, wpatrując się w puste, jasnoniebieskie nieruchome oczy McGratha. - „Zło jest we mnie. Na zewnątrz nas istnieją demony i siły, Radeechy igrał z nimi, ale to karzełki w porównaniu z ogromnym złem, prawdziwym złem, które jest we mnie. To ja jestem Lucyferem.” Wraz z tą myślą przepłynął przez niego strumień ciemności, który był jak świeże powietrze. Czy Radeechy czuł ten napływ czarnej łaski, gdy stał przed odwróconym krzyżem, stawiając mszał na brzuchu nagiej dziewczyny?

- Co się dzieje, proszę pana?

- Nic. - Ducane postawił świecę na najbliższej ławie. - Czuję się nieco dziwnie. Brakuje mi powietrza.

- Niech pan na chwilę usiądzie. Tu jest krzesło.

- Nie, nie. Co to za dziwne znaki na ścianie za tobą?

- Och, to pewnie pamiątki po żołnierzach.

Ducane przechylił się przez materac i przyjrzał się z bliska białej ścianie. Była pobielona wapnem, a dzięki gęstemu wzorowi z graffiti, sięgającemu od sufitu do podłogi, wyglądała jak oklejona tapetą. Jakieś zwykłe notatki i uwagi były oznaczone datami z czasów wojny. Było też parę rysunków męskich organów w różnych sytuacjach. Tak udekorowana ściana za krzyżem stanowiła jego tło - zaskakująco przyjazne i ludzkie, niemalże dobre.

Wzrok Ducane'a przykuły znaki, wyglądające na nowsze, wykonane niebieskim atramentem. Przykrywały ołówkowe bazgroły

żołnierzy. Ducane rozpoznał parę starannie narysowanych pentagramów i heksagramów. Obok nich Radeechy drobnym, pedantycznym charakterem napisał *Asmodeus, Astaroth*, a pod spodem *Czyń, co ci nakazuje prawo*. Tuż nad krzyżem widniał ogromny, niebieski kwadrat, który, jak się okazało, składał się z drukowanych liter. Wyglądał następująco:

O Y P A T E A  
H R O T A S R  
C O P E R A D  
E T E N E T O  
E A R E P O M  
D S A T O R I  
O A R S U N A

- Co to znaczy?

- Jezu, nie mam pojęcia. To jakiś dziwny język. Pan Radeechy napisał to któregoś dnia. Kazał mi uważać, żebym tego nie zmasał, kiedy będę ścierać kurze.

Ducane wyjął notes i przerysował kwadrat.

- Wracajmy - powiedział do McGratha.

- Jeszcze chwilę, proszę pana.

Obaj stali oparci o stół. Zwielokrotniony w blasku stojących za nim świec cień odwróconego krzyża migotał na ich dłoniach, spoczywających na brzegu ławy. McGrath w prawym ręku wciąż trzymał bicz, opuściwszy go teraz wzdłuż nogi. Lekko się pochylając, Ducane delikatnie wyjął go z dłoni McGratha i rzucił za siebie, na materac. Gdy dotknął palców McGratha, ujrzał bardzo wyraźnie jego głowę i ramiona, jak gdyby były obramowane aureolą światła: rudozłote włosy, wąska, blada twarz, czyste niebieskie oczy. Było coś nowego w tym obrazie. „Po raz pierwszy widzę, że jest młody” - pomyślał Ducane. - „Nie, nie, po raz pierwszy widzę, że jest piękny.” Zacisnął rękę na brzegu stołu, ryjąc paznokciami w drewnianym blacie.

- Nie kłóćmy się, dobrze, proszę pana?

- Nie wiedziałem, że... że się kłócimy - powiedział Ducane po chwili. Zrobił krok do tyłu.

- Pamięta pan o naszych interesach? Był pan tak uprzejmy, że zgodził się mnie wspomóc drobną kwotą. A ja miałem panu służyć listami tych młodych dam. Byłbym niezmiernie wdzięczny, proszę

pana, gdybyśmy teraz mogli się poważnie zająć tą drobną kwestią tak, żeby móc już o tym zapomnieć. Lubię pana, wcale tego nie taję, naprawdę pana lubię i chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Pan Radeechy i ja byliśmy przyjaciółmi, więc i my moglibyśmy się zaprzyjaźnić, panie Ducane, to jest - proszę pana. Naprawdę bardzo bym tego chciał. Mógłbym wiele dla pana zrobić, gdyby pan tylko zechciał, jestem niezwykle użytecznym człowiekiem, proszę pana, złota rączka, że tak powiem, a pan Radeechy bardzo mnie sobie chwalił. Chciałbym panu służyć, proszę pana, i to z głębi serca. Ale wydaje mi się, że byłoby wygodniej dla nas obu, gdybyśmy najpierw załatwili tę drobnostkę. Powiedzmy cztery funty tygodniowo, to niewiele dla pana, to znaczy nie chciałbym pana wykorzystywać. Tych parę groszy, regularnie..., więc może gdyby zechciałby pan wypisać czek, zawsze to wygodniej, niż...

- Czek? - przerwał mu Ducane, patrząc jak zjawa McGratha wymachuje przed nim kawałkiem papieru. Potem aż zaczął się trząść ze śmiechu. Jedna ze świec zgasła. - Czek? Nie, nie, McGrath. Obawiam się, że wszystko ci się pokręciło. Ty cholerny draniu, nie jestem kompletnym głupcem. Dałem ci trochę pieniędzy, bo byłeś mi potrzebny do śledztwa. Teraz, kiedy już wszystko z ciebie wyciągnąłem, nie dostaniesz ode mnie ani grosza.

- W takim wypadku, proszę pana, niestety będę zmuszony skontaktować się z tamtymi dwiema damami. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Rób, co ci się żywnie podoba - powiedział Ducane. - Już cię nie potrzebuję, McGrath. Skontaktuje się z tobą policja w sprawie tych przedmiotów i będziesz musiał złożyć zeznania. Bogu dzięki mam cię z głowy. I nie chcę cię już nigdy więcej widzieć. A teraz wracajmy.

- Ależ proszę pana, proszę pana...

- Skończyłem, McGrath. Podaj mi latarkę i prowadź przed siebie. Szybko.

Zdmuchnęli pozostałe świece. McGrath otworzył czarne drzwi i z przypominającego grobowiec przejścia do środka wpadło nieco świeższe powietrze. McGrath zniknął w mroku korytarza. Ducane ruszył za nim, oświetlając latarką jego stopy. Gdy wszedł na schody, poczuł na języku jakiś dziwny smak. Uświadomił sobie, że pewnie w którymś momencie odruchowo włożył do ust połówkę orzecha i go zjadł.

## Rozdział dwudziesty siódmy

*Najdroższy, przepraszam, że piszę do Ciebie, ale po prostu muszę. Muszę robić coś, co dotyczy Ciebie i to nie tylko w myślach, a list to jedyne, na co mnie stać. Strasznie Ci dziękuję za tę przemiłą kartkę. Jestem taka szczęśliwa, kiedy pomyślę, że za dwa tygodnie Cię zobaczę. Ale to jeszcze tyle czasu! Może się ucieszysz wiedząc, że przez cały myślę o Tobie. Czy to źle? Jestem taka szczęśliwa, kiedy pomyślę, że jednak mnie zaakceptowałeś. Zaakceptowałeś mnie, prawda? To znaczy, wolno mi Cię kochać, prawda? To wszystko, czego mi potrzeba. A przynajmniej to wszystko, o co mogę Cię prosić i, mój najdroższy, to wystarczy. Potrafię być szczęśliwa, tylko myśląc o Tobie i widując Cię od czasu do czasu, kiedy nie jesteś zbyt zajęty. Miłość to takie doskonałe zajęcie i zaczynam wierzyć, że jestem w tym dobra! Trzymaj się, najdroższy, nie pracuj zbyt ciężko, a jeżeli może ci sprawić przyjemność świadomość, że Twoja Jessica wciąż o Tobie myśli, to pamiętaj o tym, bo to najszczęśliwsza prawda. Twoja, Twoja, Twoja*

*Jessica*

*P.S. Ciekawe, czy zrozumiesz to, że mam nieczyste sumienie? Poczułam taką ulgę, kiedy dostałam od Ciebie tę kartkę. Jesteś taki wyrozumiały i również za to tak Cię uwielbiam. (Nic nie szkodzi, jeżeli to dla Ciebie jakies brednie! Kiedyś Ci to wytłumaczę!)*

*John, mój najdroższy!*

*Czuję się podle, więc piszę do Ciebie, chociaż wiem, że nie lubisz, kiedy Ci wyznaję miłość, że to Cię drażni. Jednak musiałam napisać i Ci to powiedzieć,*



*bo to fakt. Doskonale wiem, że nikt nie lubi myśleć o nieprzyjemnych rzeczach i nie wątpię, iż starasz się jak najmniej myśleć o problemie Co Począć Z Jessiką, ale ten problem jednak istnieje i od czasu do czasu muszę Ci o nim przypominać, bo jesteś jedyną osobą, która mi może pomóc. Mogłabym również powiedzieć, że jesteś jedyną osobą, która powinna mi pomóc, gdyż spoczywa na Tobie pewna odpowiedzialność za rozbudzenie we mnie tak ogromnej miłości. Oczywiście nigdy nie wyzdrowieję, ale musisz choć odrobinę bardziej pomóc mi z tym żyć.*

*Pewnie wiesz, jeżeli w ogóle istnieję w Twojej wyobraźni (a może nie?), że codziennie czekam na list od Ciebie. To idiotyczne, ale nic na to nie poradzę, jak tylko usłyszę, że idzie listonosz, pędzę do drzwi. A kiedy, jak zwykle, okazuje się, że nic nie ma, czuję ból jak po amputacji. Spróbuj o tym pomyśleć, John, choć przez dwie sekundy. Prawie od tygodnia nie mam od Ciebie żadnych wiadomości. W końcu przysyłasz mi pocztówkę z propozycją spotkania za dziesięć dni. To nie wystarczy, mój miły. Czy naprawdę jesteś tak zajęty, że nie możesz mi poświęcić pół godziny w przyszłym tygodniu? Ostatnio jestem bardzo grzeczna - Ty mnie tego nauczyłeś! Nie mógłbyś któregoś wieczora wyrwać się na drinka? Jeżeli chodzi o mnie, to możemy się umówić gdziekolwiek i o każdej porze. Może byś zadzwonił? Teraz prawie cały czas siedzę w domu.*

*Sprawiło by mi ogromną ulgę, gdybyśmy mogli się spotkać już teraz, bo..., no właśnie, ciekawe, czy wiesz dlaczego? Ciągłe zastanawiam się, czy się na mnie gniewasz. Jeżeli uważasz, że postąpiłam źle, będziesz musiał mi przebaczyć. Inaczej umrę. John, proszę Cię, spotkajmy się w przyszłym tygodniu.*

*Jessica*

*John, jak już pewnie wiesz, w zeszłym tygodniu poszłam z kimś do łóżka. Domyślam się, że już się o tym dowiedziałeś i albo jesteś wściekły albo całkowicie mną pogardzasz. Po prostu nie mogłam zrozumieć Twojej pocztówki. Miała taki dziwny ton. Co Ty o mnie myślisz? Nie proszę, żebyś mi wybaczył, bo nie czuję skruchy. Tak jasno dałeś mi do zrozumienia, że mnie nie chcesz, albo raczej, że chcesz mnie na swoich własnych warunkach. Mam Cię kochać, ale nie sprawiać Ci kłopotu. No, cóż, nie jestem taka uległa. Mnie też przydarzają się różne rzeczy. Mimo wszystko chyba powinnam być Ci wdzięczna, że przynajmniej byłeś ze mną całkowicie szczery, więc teraz i ja jestem całkowicie szczerą. Na nieszczęście dla nas obojga kocham Ciebie*

*i tylko Ciebie - bezwzględnie, niezmiennie, aż do szaleństwa. Musisz tylko to znieść. Proszę Cię, spotkajmy się jutro. Zadzwoń do Ciebie do biura.*

**J.**

Jessica Bird od jakiegoś czasu chodziła tam i z powrotem po swoim pokoju. Na stole leżały trzy listy, które pisała przez większą część minionej nocy. Który powinna wysłać? Który jest najbardziej szczerzy? Który będzie najbardziej skuteczny? W głębi duszy wiedziała, że żaden. Każdy z nich tylko zirytuje Johna i jeszcze bardziej zniechęci go do niej. Nie będzie chciał się z nią jutro spotkać. Być może umówią się na pół godziny w przyszłym tygodniu, a potem John przesunie spotkanie, które zapowiedział na pocztówce. Niewykluczone, że był na nią zły; stała się dla niego przeszkodą i wszystko, co robiła, każdy wysiłek przyciągnięcia jego uwagi był dla niego tylko powodem do irytacji. Najsmutniejszym i najmniej zrozumiałym doświadczeniem w umierającej miłości jest dowiedzieć się, że dla osoby, która cię kiedyś kochała, teraz jesteś nudny, irytujący i nieważny. Już lepsza byłaby czysta nienawiść. Oczywiście Jessica była bardzo niesprawiedliwa dla Johna. John to niezwykle uczciwy człowiek, który niewątpliwie troszczy się o jej dobro, a tak odległy termin spotkania zaproponował pewnie z poczucia obowiązku i ze względów zasadniczych. Próbował ją wyleczyć. Ale to nic nie dało. Nie ma lekarstwa.

Jawna i ukierunkowana zazdrość przyniosła Jessice pewną ulgę. Piękna kobieta, wchodząca do domu Johna, była czymś namacalnym, konkretnym, pretekstem do snucia zupełnie nowych domysłów, a tym samym do odświeżenia uczucia. Szczęścia płynącego z miłości nie zabije nawet najgorsze cierpienie - podobnie w zazdrości Jessiki było coś ożywiającego, a nawet radosnego. Jednakże ta zazdrosna miłość, choć jeszcze się nie skończyła, przeszła ogromną zmianę. Jessica była zaskoczona, że w sypialni Johna nie udało jej się znaleźć żadnego nasuwającego pewne skojarzenia drobiazgu: szpilki, zapachu, kosmetyków, środków antykoncepcyjnych, dosłownie nic. John, z pewnością nie podejrzewając, że Jessica może mieć wystarczająco dużo sprytu i wyobraźni na to, by dostać się do jego domu, nie zachowałby tak nieskazitelnego porządku w sypialni, gdyby rzeczywiście coś się tam działo. Jessica była

zdumiona zwłaszcza brakiem najłżejszego choćby zapachu. Kobieta, którą widziała, z pewnością używa perfum. To cudownie, że w jego pokoju nic nie pachniało. A jednak ta kobieta istniała, nie dało się temu zaprzeczyć, i Jessica nadal oddawałaby się rozmyśleniom na jej temat, gdyby nie to, że potwornie niepokoiło ją niezwykle zakończenie jej wizyty w domu Ducane'a.

Tamten niski mężczyzna, Willy, zapewnił ją, że o niczym nie powie Johnowi, ale czy mogła mu wierzyć? Czy mężczyźni mówili sobie o takich rzeczach? Oczywiście, że tak. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Willy obiecał jej, że nie piśnie ani słówka i nawet mówił to poważnie, a potem wszystko opowiedziałby Johnowi. Jak John by to przyjął, jak to przyjął? Co oznaczała ta pocztówka? Co Jessica powinna teraz zrobić? Przyznać się do wszystkiego, ryzykując, że John o niczym nie wie, czy też nie przyznawać się, licząc się z tym, że może wiedzieć? Czy będzie zły, czy będzie, och, co za cudowna myśl, zazdrosny, czy też zupełnie ją skreśli? Ten błąd może dopełnić jego urazy i doprowadzić do tego, że John postanowi w ogóle przestać się z nią spotykać. Co oznaczała ta pocztówka? Czy będzie pielęgnował swój gniew, upokorzy ją, przesuwając spotkanie, a potem obwieści, że widzą się po raz ostatni? Czy też o wszystkim wie, lecz nic go to nie obchodzi? A może nie wie i zaczyna doceniać jej miłość, jest gotów ją przyjąć, pokrzepiony jej wieczną obecnością?

Jessica przystanęła naprzeciw okna, ale nie wyjrzała przez nie. Równie dobrze szyba mogłaby być nieprzezroczysta, albo Jessika mogłaby mieć na głowie czarną woalkę. Myśli i obrazy kotłowały jej się w głowie, dosłownie przesłaniając cały świat. Jedyłą ulgę w tych nieustannych domysłach, znajdowała w marzeniach, a na te pozwalała sobie niezmiernie rzadko. John naprawdę nie znał własnego serca. Był nieuleczalnym purytaninem, który nie mógł mieć romansu, nie mając przy tym również poczucia winy. Zerwał z nią, bo czuł się zbyt winny, by być szczęśliwym, ale stopniowo zaczął odkrywać, że bez Jessiki jego życie jest puste. Pilnie usiłował ograniczyć ich miłość do przyjaźni, lecz nie mógł przestać myśleć o Jessice. Pewnego dnia uświadomił sobie, że nie jest w stanie skończyć z tą miłością, a wówczas zrozumie, że jedynym sposobem na pozbycie się poczucia winy wobec dziewczyny jest ślub. Swym pedantycznym, oficjalnym stylem napisze do niej długi list pełen drobiazgowych

wyjaśnień dotyczących stanu jego umysłu i spyta ją, czy po całym tym cierpieniu jakie jej zadał, ona nadal kocha go wystarczająco mocno, by zostać jego żoną.

Jessica dość dużo czasu spędzała również na rozmyślaniach o Willym. Gdy jest się nieszczęśliwie zakochanym, każde wydarzenie jest mile widziane, a Willy z pewnością był wydarzeniem. Przez krótką chwilę, zanim przeraziły ją własne domysły i pocztówka od Johna, czuła pewne ożywienie na myśl o Willym. W samej niewierności znajdowała jakąś dziwną, świętokradczą rozkosz, ale również dostrzegła Willy'ego i choć ledwo zdawała sobie z tego sprawę, po prostu zmuszona była uznać, iż nie tylko John Ducane może sprawić jej radość. Willy ją intrygował i kusił, i zanim jej biedne, znękanе serce na nowo uległo tyranii starej miłości, czuła bardzo określone pragnienie zobaczenia go znowu. Nie znała jego nazwiska, nie wiedziała też, kim jest. Jednak teraz jej fascynację Willym całkowicie przytumiło poczucie winy i niepewność wobec Johna.

Jessica przejrzała się w wysokim lustrze, wiszącym w jednym z rogów pokoju. Już nie wiedziała, czy jest piękna. Jej twarz była bez wyrazu, jeżeli jej John nie widział, ciało nie miało znaczenia, jeżeli go John nie dotykał. Ale co on widział, czego dotykał? Przeraziła ją myśl, że być może widział ją tak wyraźnie, jak teraz ona swoje odbicie w lustrze. Może patrzył na nią z ukrywanym wstrętem, dostrzegając meszek na jej górnej wardze i rozszerzone pory na nosie. Zgodnie z obowiązującą modą skróciła spódnicę i teraz jej długie nogi obciągnięte cielistymi pończochami, odsłonięte były wysoko nad kolanem. Ale czy te długie nogi jeszcze mu się podobały, czy też irytowało go, że Jessica ubiera się w tak młodzieżowy sposób i, czy dzięki tej krótkiej spódnicy dostrzegł to, czego do tej pory nigdy nie zauważył - zbyt wystające kolana? Jessica jedną ręką odgarnęła do tyłu długie, jasne włosy i przysunęła twarz do lustra. Nie było żadnych wątpliwości. Zaczynała wyglądać staro.

Znowu zaczęła przemierzać pokój i zastanawiać się nad trzema listami. Pokój był pusty, biały, rozbrzmiewał echem. Zniszczyła wszystkie swoje dzieła, a nie miała odwagi tworzyć nowych. W jej szkole właśnie skończył się semestr, więc teraz mogła całymi dniami

chodzić po pokoju i rozmyślać o Johnie. Nie wychodziła z domu, bojąc się, że w tym czasie może być od niego telefon.

Na dole rozległ się jakiś cichy szelest i Jessica rzuciła się do drzwi. Poczta. Zbiegła ze schodów przeskakując po trzy stopnie na raz i poderwała z podłogi trzy koperty. Tęskniła za grubym listem od Johna, ale również się go obawiała. Mógł zawierać długie, drobiazgowo wyjaśnienia, dlaczego John postanowił już się z nią nie spotykać.

Nie było długo oczekiwanego listu. Jej ciało przeniknął szczególnie ból, ból podobny do amputacji. Nie, nie przypominał amputacji. Był szarpący, jakby ją łamano na kłosa. Czuła go od stóp do głów. Położyła koperty na stole. Wśród nich był jeden list w brązowej kopercie, zaadresowany nieznanym, niewyrobnym charakterem pisma. Zaczęła ciężko wchodzić po schodach; po jej policzku - bardzo powoli, jak gdyby niewymownie zmęczone i zniechęcone - spłynęły dwie łzy. Wolałaby, żeby listonosz nie przychodził trzy razy dziennie.

Położyła brązową kopertę na stole. Czy powinna wysłać do Johna któryś z tych listów? Po prostu musiała się z nim szybko zobaczyć. Cierpienie, które sprawiała jej niepewność stawało się fizycznie nie do wytrzymania. Coś się stanie, pęknie jej serce, jeżeli się z nim wkrótce nie spotka. Czy się odważy zatelefonować do jego biura? Zawsze mówił, żeby tego nie robiła. Jednak kiedy ostatnio zadzwoniła do jego domu, powiedziano jej, że Ducane'a nie ma, a ona drugi raz nie zniosłaby tych szczególnych, bolesnych podejrzeń, że John kazał służącemu powiedzieć, iż nie ma go dla młodej dziewczyny, która może zadzwonić.

Jessica z roztargnieniem wzięła do ręki brązową kopertę i zaczęła ją otwierać. Zawartość listu wyglądała na" dosyć pokazną. Jessica wyjęła kartkę liniowanego papieru i kopertę, która wyslizgnęła jej się z ręki i upadła wierzchem do góry na jeden z jej listów. Spojrzała na nią ze zdumieniem i zabobonnym lękiem. Koperta była zaadresowana do Johna Ducane'a Esquire. Dlaczego przysłano ją właśnie do niej? Czy miała ją przekazać Johnowi? Zobaczyła jednak, że koperta jest otwarta, a na stemplu pocztowym widnieje wcześniejsza data. Sparaliżowana strachem rozłożyła dołączony list. Był krótki, a jego treść brzmiała następująco:

*Szanowna Pani!*

*Świadom Pani uczuć wobec pana Johna Ducane'a jestem pewien, że zainteresuje Panią zawartość załączonej koperty.*

*Z poważaniem*

*Życzliwy*

Jessica drżącymi rękami zaczęła się szamotać z drugą kopertą aż wreszcie wyłuskała z niej list.

*Trescombe House*

*Trescombe*

*Dorset*

*John, mój ukochany, tak strasznie za Tobą tęsknię, a do naszego cudownego weekendu jeszcze wieki całe. Strasznie się martwię, że jesteś taki samotny w Londynie, ale już niedługo się połączymy! Wiesz, że jesteś mój, a ja mam silne poczucie własności! Będę domagać się swoich praw! Nie zwlekaj zbyt długo, mój najmiłszy, przyśpiesz dzień i godzinę. Och, John, jak to cudownie wyznawać Ci miłość i wiedzieć, że czujesz to samo, co ja. Kocham, kocham, kocham.*

*Twoja Kate.*

*P.S. Willy Kost przesyła pozdrowienia, również chciałby się z Tobą zobaczyć.*

Jessica usiadła na podłodze i całą swoją uwagę skupiła na tym, żeby nie umrzeć. Nie chciało jej się płakać ani krzyczeć, miała tylko wrażenie, że jej ciało jest rozrywane na części. Szok okazał się silniejszy od bólu, albo może to właśnie ból był tak potworny, że doprowadził ją niemal do utraty zmysłów. Przez mniej więcej pięć minut siedziała zupełnie nieruchomo z zamkniętymi oczami i mięśniami tak zesztyniałymi, jak gdyby tylko to mogło utrzymać jej ciało w całości. Wreszcie otworzyła oczy, ponownie przeczytała list i dokładnie obejrzała kopertę.

Oczywiście nie miała żadnych wątpliwości, że był to list do Johna od kochanki. Już nawet pomijając jego ogólny ton, aluzja do weekendu brzmiała dość jednoznacznie. Wyglądało na to, że są razem

bardzo szczęśliwi. Tak nie pisze kobieta, niepewna uczuć swojego kochanka. Poza tym list został napisany przed niespełna trzema tygodniami. Na stemplu pocztowym wyraźnie widać było datę, a i na samym liście był dokładnie podany dzień, miesiąc i rok. A więc ten romans trwał już od jakiegoś czasu, był w pewnym rozkwicie. To oznaczało, że John ją okłamywał.

Jessica wstała z podłogi. Podeszła do szuflady, w której przechowywała wszystkie listy od Johna i wyjęła leżącą na wierzchu pocztówkę.

*Wybacz mi ten pośpiech, jestem strasznie zajęty różnymi, dosyć absorbującymi sprawami. Przepraszam, że nie pisałem. Czy możemy się spotkać w poniedziałek, nie w tym tygodniu, tylko w następnym? Jeżeli pasuje Tobie ten dzień, to przyjdę do Ciebie o siódmej. Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie.*

*J.*

„Różnymi, dosyć absorbującymi sprawami” - pomyślała Jessica. - „Przyjdę do Ciebie”. Jakże inaczej to teraz brzmiało. Oczywiście to nie ona miała go odwiedzić, nigdy nie mogła go odwiedzać. „W poniedziałek, nie w tym tygodniu, tylko w następnym”. Jakże się starał, by ta nędzna propozycja brzmiała mniej uwłaczająco. Pewnie przyjechałby prosto z jednego z tych swoich „cudownych weekendów” i patrząc jej prosto w oczy, tak jak ostatnio, powiedział tym poważnym, szczerym tonem, że nie ma kochanki.

Jessica znowu zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju, ale tym razem o wiele wolniej. Zastanawiała się, również bez pośpiechu, czy by natychmiast nie zadzwonić do biura Johna. Rozważała tę myśl tak leniwie, gdyż wiedziała, że i tak tego nie zrobi i ponieważ czuła, że wewnątrz niej dzieje się coś nowego, coś bardzo ważnego. Musi poczekać, aż to coś się rozwinie i zdobędzie nad nią władzę. A więc John, ten sumienny, purytański John, prawy, sprawiedliwy John, John-Bóg, z zimną krwią ją okłamał. W ogóle się nią nie przejmował, manipulował nią, zwodził, zbijał z tropu. Być może - myśląc o tym na chwilę przerwała swą wędrówkę - stanowiła zagrożenie dla niego i dla jego nowo odkrytego szczęścia, może była nieprzyjemną pamiątką z przeszłości, fałszywą nutą. „Strasznie się

martwię, że jesteś taki samotny w Londynie." Oczywiście John nigdy by nie powiedział tej pięknej damie o swoich zobowiązaniach wobec biednej Jessiki. To by wszystko zepsuło. John okłamywał również tę piękną panią.

„Z Johnem wszystko skończone” - powiedziała na głos. - „To już koniec”. Znowu przystanąła, by się sobie przyjrzeć. Nie krzyczała, nie płakała, nie robiło jej się słabo. Czuła w sobie coś twardego, podobnego do sztywnego, cienkiego jak drut lecz mocnego stalowego pręta. Nie zamierza umierać dla Johna Ducane'a. Teraz ma nad nim przewagę. O wszystkim wiedziała, a on nie wiedział, że ona wie. Usiadła na łóżku. Czuła ogromne zmęczenie, jak gdyby wróciła z długiego spaceru. I rzeczywiście - przemierzyła wiele kilometrów, całymi dniami chodząc tam i z powrotem po pokoju, myśląc o Johnie, czekając na list od niego, na telefon. A przez cały ten czas... Jessica podłożyła sobie pod plecy dwie poduszki i wyprostowała się. Teraz z kolei pograżyła się w kompletnym bezruchu, siedziała jak jakiś bożek, jak sfinks. Prawie nie mrugała powiekami, jej oddech był płytki, jak gdyby życie z niej uciekło, pozostawiając jedynie foremkę z wosku. Minęła godzina.

Poruszyła się. Był już wieczór. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Po szynach powoli kroczył kot syjamski. Indiański chłopiec roznosił wieczorną prasę. Student mył swój bardzo stary samochód. Dwa psy, które właśnie się spotkały, machały ogonami. Odwróciła się od okna, podeszła do lustra i kilka razy miękko powiedziała do swojego odbicia:

- Jessica, Jessica...

Potem wróciła do stołu i znowu wzięła do ręki list, ale tym razem tylko po to, by przeczytać P.S.: *Willy Kost*.



## Rozdział dwudziesty ósmy

- Zastanawiałem się, kiedy przyjdiesz - wymamrotał Ducane.

Richard Biranne stał w salonie; nie usiadł na krześle, które mu wskazał Ducane. Ducane siedział przy wygasłym kominku. Lamy były zapalone, kurtyny przesłaniały granatowy wieczór. Pokój pachniał letnim kurzem i różami.

Biranne bębnił palcami po obudowie kominka, niespokojnie kołyszając się i garbiąc. Jego podłużna głowa była odchyłona do tyłu i odwrócona. Spojrzał na Ducane'a, ogarnął wzrokiem pokój i niemal kokieteryjnie znowu zerknął na gospodarza. Stojąca za nim lampa rozświetlała jego kręcone, jasne włosy. Twarz Biranne'a tonęła w cieniu. Przyszedł niezapowiedziany przed dwiema minutami.

- No i cóż? - spytał Ducane. Pod maską zimnego, niemal letargicznego spokoju skrywał niewypowiedzianą satysfakcję, prawdziwą radość z przyjścia Biranne'a.

Inspekcja „kaplicy” Radeechy'ego ostatecznie przekonała Ducane'a, że Radeechy był nieszkodliwy, przynajmniej jeśli chodzi o „tajemnicę państwową”. Ducane był przekonany, że magiczne praktyki Radeechy'ego nie miały nic wspólnego z działalnością antypaństwową. W jego żałosnych rekwizytach była jakaś szczerłość; zresztą, gdyby Radeechy miał inne zamiary, nie ryzykowałby, zwracając na siebie uwagę nocnymi wizytami dziewczyn. Samobójstwo nadal pozostawało kwestią nierozwiązaną, ale rzut oka na „kaplicę” wystarczył, by uwierzyć, że taki człowiek mógł mieć skłonności samobójcze. Podczas tego krótkiego pobytu w podziemiach, Ducane

zetknął się z siłami, z którymi igrał Radeechy. Oczywiście Ducane nie wierzył w „duchy”, ale to, co się działo w tamtym pokoju, na tamtym ołtarzu, kiedy krew gołębi spływała na czarny materac, z pewnością nie było dziecięcą zabawą. Miała tam miejsce jawna i brzemenna w skutki manipulacja ludzkim umysłem. Ducane nie mógł zapomnieć tamtego zapachu i wiedział, że McGrath miał rację mówiąc, iż to nie tylko odór rozkładających się gołębi. Radeechy odkrył, a potem wytworzył wokół siebie ponurą aurę zła, zła może nie wszechogarniającego, lecz wystarczająco silnego, by go pchnęło do samobójstwa.

Wszystko to było całkiem logiczne i pozostałoby zadowolającym, rozsądnym rozwiązaniem, gdyby nie udział Biranne'a. Biranne przesunął ciało, nie przyznał się do swoich wizyt w domu Radeechy'ego i znał Judy McGrath. Mimo to Ducane nadal wcale nie był przekonany, że Biranne zna klucz do zagadki samobójstwa Radeechy'ego, albo, że wie na ten temat więcej niż Ducane zdołał do tej pory odkryć. Ducane zaczął mieć wrażenie, że jego śledztwo dobiegło końca, i że może z czystym sumieniem napisać raport, w którym nazwisko Biranne'a w ogóle się nie pojawi. Wszystko, co łączyło go z Radeechym, choć tak dziwaczne i niejednoznaczne, mogło mieć całkiem niewinne wytłumaczenie. Być może Biranne dotknął ciała z ciekawości albo współczucia, a potem ostrożność nakazała mu to ukryć; jego znajomość z Radeechym mogła być całkiem przypadkowa; niewykluczone, że przychodził do niego tylko ze względu na Judy. Do tej pory wszystkie te elementy pasowały do siebie w stopniu, który oczyszczał Biranne'a z wszelkich podejrzeń.

Wszystko to było logiczne i całkiem racjonalne, i Ducane powinien się cieszyć, że może zamknąć sprawę. Nie był jednak zadowolony - częściowo dlatego, że miał niejasne wrażenie, iż jeszcze nie został odkryty jakiś aspekt dramatu, a częściowo z powodu swojego nastawienia wobec Biranne'a, które w tej chwili przybrało postać niemalże emocjonalnego zaangażowania. Jeszcze do niedawna uważał Biranne'a za swoją ofiarę. Zrodziła się w nim głęboka fascynacja tym człowiekiem, mająca w sobie coś z miłości. Bardzo chciał zagrać w otwarte karty z Biranne'em i myśl o tym niezwykle go podniecała. Jednakże przez ostatnie dwa dni, które minęły od jego wyprawy w podziemia, wahał się wciąż, czy może wykonać

decydujący krok. Był zachwycony, kiedy ujrzał Biranne'a stojącego w drzwiach.

Biranne był w dziwnym, trudnym do określenia nastroju, którego nie potrafił, ani nawet nie usiłował ukryć. Przeszedł przez cały pokój, wrócił na to samo miejsce, stanął i spojrzał w dół na Ducane'a.

- Usiądź i nalej sobie whisky - powiedział Ducane. Na niskim stoliku koło kominka postawił karafkę i dwie szklaneczki. Wskazał na stojące przed nim krzesło.

- Nie, dziękuję, postoję - powiedział Biranne. - Dziękuję też za whisky.

Ducane, który od momentu, kiedy w niebieskawym zmroku ujrzał spiętą twarz Biranne'a, był pogrążony w intensywnych rozmyślaniach powiedział tonem na wpół nagłym, na wpół rozkazującym:

- Przyszedłeś, żeby mi coś powiedzieć. O co chodzi?

- Zdaje się, że nie bardzo rozumiem...

- Posłuchaj - powiedział Ducane. - Będę z tobą całkowicie szczerzy i chciałbym, żebyś i ty był szczerzy. Przyszedłeś, żeby mi coś powiedzieć o Radeechym. Sporo o nim wiem i sporo wiem o tobie, ale zastanawia mnie jeszcze parę rzeczy. Być może to niewinne drobiazgi i gdybyś mi podał zadowalające wyjaśnienie, będę pierwszym, który odetchnie z ulgą.

Biranne, wciąż się w niego wpatrując, odgarnął włosy do tyłu.

- Jak na człowieka, który proponuje otwartą rozmowę, użyłeś sporo słów, nie mówiąc nic - odparł. - Chcę wiedzieć, po co przyszedłeś do mojego domu.

- Chciałem ci zadać parę pytań.

- Na jaki temat? - wysoki głos Biranne'a aż zaskrzypiał ze zdenerwowania.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie okłamałeś - powiedział Ducane wyraźnie. Złapał się na tym, że pochylił się do przodu, więc z powrotem usiadł głębiej na krześle.

- Nie rozumiem...?

- Udawałeś, że nic nie wiesz o Radeechym, choć doskonale go znałeś.

- Co jeszcze?

- Dlaczego ruszałeś jego ciało?

- Nie ruszałem go, w ogóle go nie dotykałem.  
- To skąd się wzięły odciski twoich palców na jego kołnierzyku?  
Biranne nadal intensywnie wpatrywał się w Ducane'a. W zamyśleniu gryzł palce. Potem przeszedł tam i z powrotem po pokoju.

- Chyba jednak napiję się whisky. Czy mogę usiąść?  
- Proszę. Więc...?

Biranne usiadł i nie śpiesząc się, nalał sobie alkoholu. Zajrzał do szklaneczki i ostrożnie trochę wypił.

- Może to głupio z mojej strony, że cię wprowadziłem w błąd - powiedział wreszcie, - ale po prostu nie chciałem być w to zamieszany. Rozumiesz. Może powinienem był powiedzieć policji, że dotykałem ciała, ale zdawało mi się, że to nieważne i jakieś takie absurdalne. Działałem pod wpływem impulsu. Leżał twarzą do dołu, więc go nieco uniosłem, pewnie, żeby zobaczyć, czy żyje i jednocześnie przesunąłem na bok rewolwer. Potem wszystko z powrotem położyłem na swoje miejsce. Dlaczego szukałeś moich odcisków palców na jego kołnierzyku?

- Nie odłożyłeś wszystkiego na swoje miejsce - powiedział Ducane. - Najwyraźniej nie wiedziałeś, że Radeechy był leworęczny. Położyłeś pistolet po złej stronie.

Biranne słabo się uśmiechnął. Whisky nieco mu pomogła.

- Marnujesz się. Powinieneś pracować w Scotland Yardzie.  
- Dlaczego zamknąłeś drzwi na klucz?  
- Jesteś dobrze poinformowany. To również był impuls. W pierwszej chwili chciałem zadzwonić do Oktawiana i nie otwierać drzwi aż do jego przyjścia. Potem zmieniłem zdanie.

- Za chwilę ci powiem, co myślę o tych wyjaśnieniach - powiedział Ducane. - Teraz mi wytłumacz dlaczego udawałeś, że nie znasz Radeechy'ego.

- Zwyczajna dyskrecja - odparł Biranne, dolewając sobie whisky.  
- Mam prawo bronić się przed impertynencką ciekawością. Nie mam pojęcia, dlaczego się zabił. Może miało to związek z tamtymi dziewczynami, może było to co innego. Nie życzę sobie, żeby mnie o niego wypytywano i nie chcę być świadkiem w tej sprawie. Zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

- Nie zrobiłbym tak, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie znalazłbym się na twoim miejscu - powiedział Ducane z gwałtownością, która z powrotem pchnęła go do przodu.

Biranne przenikliwie, niemal surowo spojrzął na swojego rozmówcę, po czym ostentacyjnie skoncentrował się na whisky, którą kołysał w szklaneczce. Milczał.

Trzaśnięcie drzwiami i urywek z *The Bonny Earl of Murray* obwieściły powrót Fiveya. Ducane zmarszczył brwi, znowu odchylił się na krzesło i pomyślał: „O Boże, on się od tego wymiga”.

- A „Helena Trojańska”? - spytał.

Biranne uśmiechnął się przebiegle i uniośł brwi, robiąc niewinną minę.

- Mała Judy. Rozumiem, że i ty się z nią zetknąłeś. Zdaje się, że Judy zaistniała w życiu każdego z nas.

- Ona nie zaistniała w moim życiu! - krzyknął Ducane. Uświadomił sobie, że zaczyna wpadać w gniew. To przesłuchanie nie tak powinno wyglądać. Biranne był najwyraźniej coraz mniej niespokojny i to nie on, lecz Ducane musiał odierać ataki. Ducane wyprostował się i nalał sobie whisky. Patrzyli na siebie.

- Daj spokój, Biranne... - Zabrzmiało to niemal przymilnie.

- Co to znaczy „daj spokój”? Nie przeczę, że znałem Judy McGrath, i że Radeechy również ją znał. Jest niezwykle popularną damą o ogromnym gronie przyjaciół.

- Czy poznałeś ją przez Radeechy'ego?

Biranne spojrzął podejrzliwie.

- Nie. Poznałem ją przez jej męża. McGrath dobrze wie, jak wykorzystać tak smakowity kąsek. Radeechy poznał ją w ten sam sposób.

- Czy McGrath szantażuje również ciebie?

- Co to znaczy „również”? Czyżby cię szantażował?

- Nie! Szantażował Radeechy'ego.

- Naprawdę? Ach, tak, przypominam sobie. Interesujące. Być może to właśnie była przyczyna samobójstwa.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie wydaje mi się, byś miał prawo mnie przesłuchiwać, mój drogi Duncanie.

- Po co więc przyszedłeś?

- Bo zacząłeś mi działać na nerwy. Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to właśnie ja chciałem tobie zadać parę pytań.

- Na przykład?

- Jak dobrze znasz Judy McGrath?

- No, wiesz! - zachnął się Ducane. Poderwał się, odpychając do tyłu krzesło i niemal przewracając lampę. Szybkim krokiem poszedł na drugi koniec pokoju i wrócił na poprzednie miejsce. Spojrzał z góry na Biranne'a i w tym momencie uświadomił sobie, że zamienili się miejscami. Biranne rozwalił się w fotelu, Ducane stał przed nim. „Biranne to bystry człowiek, na pewno uda mu się wymigać” - pomyślał Ducane. Ale dlaczego był coraz bardziej pewien, że w ogóle jest się od czego wymigiwać?

- No i jak? - ponaglił go Biranne. Wyglądał teraz na zupełnie odprężonego. W rękę trzymał szklaneczkę, nogi wyciągnął przed siebie, podłóżną, wąską głowę wsparł o poduszki.

„Przyszedł tu, żeby się przekonać, ile wiem, a ja go właśnie poinformowałem, że nie wiem nic! Cholera, cholera, cholera.” Jednocześnie Ducane poczuł dojmującą pewność, że Biranne jest winny, być może winny jakiegoś poważnego występku. „Muszę go jakoś nastraszyć” - pomyślał.

- Jak doskonale wiesz, prawie nie znam pani McGrath - odparł.

- Pocałowałaś ją - powiedział Biranne. - Ale oczywiście czarne konie, takie jak ty, często wygrywają. - Zaśmiał się krótko i dolał sobie whisky.

- To ona mnie pocałowała - zaprzeczył Ducane. - Przyznaję, że zaskoczyła mnie jej profesjonalna swoboda. Doskonale wiesz, że nie jestem w ten sposób zainteresowany panią McGrath.

- Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

- Ja nie kłamię.

- Czyżby? - powiedział Biranne. - To dlaczego właśnie przed chwilą mnie okłamałeś?

- Nie rozumiem...?

- Powiedziałeś, że McGrath cię nie szantażował.

Ducane spojrział na przystojną, beczelną twarz Biranne'a. Potem odwrócił się i roześmiał. Znowu zaczął chodzić po pokoju.

- No, dobrze. McGrath usiłował mnie szantażować i z pewnych powodów pozwoliłem mu na to. Skąd o tym wiesz?

- On mi powiedział. Ten facet jest ujmująco szczery. Mnie też próbował szantażować. Jak pewnie wiesz, on i Judy działają razem. Ona uwodzi ludzi na wysokich stanowiskach i o, powiedzmy,

dziwnych upodobaniach seksualnych, a McGrath czai się z tyłu ze swoim małym aparacikiem fotograficznym. Naprawdę ma talent.

- Rozumiem. Wypróbował go na tobie. Ale ty się nie dałeś wciągnąć w tę zabawę?

- Powiedziałem, że jeżeli będzie ze mną igrał, to go zabiję i mi uwierzył.

Ducane odwrócił się i spojrzął na długą, rozwaloną w fotelu postać Biranne'a. „On ma odpowiedź dla każdego i na każde pytanie” - pomyślał. - „Mnie nikt by nie uwierzył, że mogę zabić.”

- Jak już powiedziałem - podjął - miałem powody, żeby ułatwić McGrathowi szantaż. - W jego głowie zaczęła dojrzewać myśl, myśl, którą podsunał mu sam Biranne.

- Ośmielę się zauważyć, że były to powody nie do odparcia. Dwie czarujące dziewczyny... Tak, ty naprawdę jesteś czarnym koniem.

- Widzę, że ujmująca szczerłość McGratha nie zna granic - odparł Ducane. „Wie o mnie więcej, niż ja o nim” - pomyślał. - „A ja go miałem za swoją ofiarę, za więźnia!”

- No, coś mi tam wspomniał o dwóch listach. Był dosyć dumny z siebie. Muszę przyznać, że to wyjątkowo pomysłowy człowiek.

- Wygląda na to, że się zaprzyjaźniliście - powiedział Ducane. - Może być ciekawie, kiedy powie nam wszystko, co wie.

- Nigdy tego nie zrobi - rzucił Biranne beztrąsko - Nikt nie ma haka na McGratha. Nikomu się nie uda do niego dobrać.

- Ja coś na niego mam - powiedział Ducane.

Biranne pochylił się do przodu.

- Co ?

- Właśnie szantaż. Jak ci się wydaje, po co mu ułatwiłem całą sprawę? Te listy są absolutnie nieszkodliwe. Obie te panie, jak to młode kobiety, używają dosyć czułych określeń, ale żadna z nich nie jest moją kochanką i nie istnieje powód, dla którego nie miałyby się dowiedzieć o swoim istnieniu. Prawdę mówiąc już o tym wiedzą, bo im powiedziałem. Zrobiłem to zaraz po tym, jak McGrath wykonał pierwszy krok. McGrath nie ma nade mną władzy, bo nie ma czego ujawniać. Słowo daję, Biranne, że ci się dziwię. Z tego, co o mnie wiesz, czy naprawdę uważasz, że uległbym szantażowi? Nie zrobiłem niczego takiego, co trzeba by było ukrywać i z pewnością nie zapłaciłbym takiemu typowi jak McGrath po to, by zaoszczędzić sobie i dwóm dziewczynom niewielkiego wstydu.

- To znaczy, że...

- Tak. McGrath nie ma nade mną żadnej władzy. Ale ja mam nad nim władzę i zamierzam ją wykorzystać. Naturalnie nie interesuje mnie zaskarżanie McGratha, ale chcę go zmusić do mówienia, a ręczę, że będzie mówił.

- Ale masz... dowody? - Biranne znowu zrobił się czujny i znowu zaczął gryźć palce.

- Popełnił błąd, pisząc do mnie list. Mam też nagranie na taśmie magnetofonowej. I ja wykazałem się inwencją. - „Jak na prawdomównego człowieka, zachowuję się dosyć dziwnie” - pomyślał. Podszedł do Biranne'a i zaczął mu się przyglądać z bliska. Biranne był wyraźnie niespokojny.

- Więc zamierzasz go przycisnąć do muru?

- Tak. Już mi powiedział połowę całej historii, a w przyszłym tygodniu wyciągnę od niego resztę. Niewykluczone, że z pomocą policji. Czuję, że to będzie interesujące. I mam też przeczucie, że będzie to dotyczyło ciebie.

- Nic ci nie powie. - Biranne wbił wzrok w dywan.

- A więc nie zaprzeczasz, że ma coś do powiedzenia?

- Och, mnóstwo rzeczy. Ale nie o Radeechym. Oczywiście możesz go zastraszyć, ale to nic nie da. Nic więcej o tym nie wie.

- Skąd ta pewność?

- Bo najpierw powiedziałyby mi, albo przynajmniej robiłyby jakieś aluzje. Cała ta sprawa Radeechy'ego została za bardzo rozdmuchana. Nie rozumiem, dlaczego tak cię to podnieca. Nie ma w tym niczego, czego by nie można dostrzec gołym okiem. Radeechy był na wpół nienormalnym dziwakiem, który miał bzika na punkcie okultyzmu i dziwne upodobania seksualne. To po prostu jeden z tych facetów, którzy w końcu popełniają samobójstwo. Dlaczego nie mógł się tak po prostu zastrzelić?

Ducane usiadł. Nieco przestawił stół z whisky i przysunął się razem z krzesłem.

- Posłuchaj, Richard - powiedział cicho, - wiem, że mnie dzisiaj okłamałeś i wiem, że masz z tym więcej wspólnego, niż udajesz, że siedzisz w tym aż po same uszy. Wiesz, dlaczego Radeechy popełnił samobójstwo i powiesz mi to, zanim stąd wyjdiesz. Wyjąłeś coś z kieszeni Radeechy'ego i ja wiem, co to było. Może i nie



dowiedziałem się o tobie zbyt wiele, ale odkryłem wystarczająco dużo, żeby ci utrudnić życie.

Biranne siedział teraz wyprostowany, obiema rękami ściskając poręczę fotela.

- Przykro mi, Ducane, ale nie mam nic do powiedzenia poza „dobranoc”. - Jednak nie wstał.

Ducane uświadomił sobie, że zwrócił się do Biranne'a po imieniu. Jednocześnie poczuł, że przyparł go do muru. „Mam go w garści” - pomyślał.

- Nie udawaj głupca - powiedział nagłaco. - Dlaczego powiedziałeś, że działam ci na nerwy? Nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby się przekonać, ile wiem; przyszedłeś, żeby mi coś powiedzieć. Ja nie blefuję, Biranne. To cholerne dochodzenie zbliża się do końca, a ty występujesz w ostatnim akcie, czy ci się to podoba, czy nie. Rozważ to. Do tej pory policja się w to nie mieszała. Śledztwo było w pełni tajne, a ja byłem na tyle dykretny, że zatrzymywałem dla siebie wszystko, co mi się wydawało nieistotne. Jeżeli powiesz mi całą prawdę, postaram się nie ujawniać niczego, co dotyczy ciebie. Oczywiście nie mogę tego obiecać, ale pomyśl o tym. Skoro nie chcesz mówić, będę musiał całą sprawę przekazać policji. Jeżeli wolisz, żeby to oni cię przesłuchiwali, a nie ja - to wybór należy do ciebie. I nie spodziewaj się lojalności po takim typie jak McGrath.

Biranne głęboko wciągnął powietrze. Pochylił głowę do przodu i Ducane ujrzał podłużne, niebieskie oko. Szttywne włosy Biranne'a połykskiwały złociście w świetle lampy.

- Niech pomyślę - powiedział półszepem, - niech pomyślę. - Potem, nadal nie podnosząc głowy, dodał: - Jeżeli to, co ci powiem nie będzie ściśle związane z odpowiedzią na pytanie „Czy Radeechy był szpiegiem?”, zachowasz to dla siebie?

- T a k .

- Jeżeli dokładnie ci wytłumaczę, dlaczego Radeechy umarł, opiszesz to w raporcie w sposób bardzo ogólny i bez podawania nazwisk?

- Nie wiem. Twoje pytanie jest zbyt ogólne. Nie mogę ci obiecać milczenia. Na przykład, jeżeli mi powiesz, że to ty zabiłeś Radeechy'ego.

- Nie zabiłem Radeechy'ego. Poczekaj chwilę, dobrze? Poczekaj chwilę.

Biranne wstał. Odwrócił się od Ducane'a i patrzył w ciemny koniec pokoju. Ducane przyłożył rękę do czoła i odkrył, że jego włosy są wilgotne od potu. Całą uwagę skupił na Birannie, wzrok utkwivszy w jego karku, tam, gdzie kręcone włosy ustępowały miejsca gestemu, jasnemu meszkowi. Ducane milczał. Wiedział, że Biranne chce mówić, i że w końcu się odezwie. Możliwe, że od samego początku chciał mówić, tylko potrzebował jakiegoś przymusu.

Biranne odwrócił się. Jego twarz była teraz o wiele spokojniejsza a wąskie wargi wygięły się w lekkim, nieco sardonicznym uśmiechu.

- No, dobrze - powiedział wreszcie. - Wierzę ci, skoro mówisz, że mogę ci zaufać i oddaję się w twoje ręce. Ten dokument, który chciałyby skomentować, gdy już go przeczytasz, wyjaśni ci wszystko, co chcesz wiedzieć. - Podał Ducane'owi złożoną kartkę papieru, po czym znowu się odwrócił.

Ducane rozłożył papier. Od razu zauważył, że list jest napisany znajomym charakterem pisma Radeechy'ego.

*Pragnę przyznać się przed policją, społeczeństwem i Bogiem, jeżeli istnieje, że we wrześniu ubiegłego roku zamordowałem swoją żonę, wypychając ją przez okno. Działałem w afekcie, nie planując wcześniej morderstwa. Uczyniłem to z zazdrości spowodowanej jej związkiem z Richardem Biranne. Biranne był świadkiem tego czynu i od tamtej pory usiłuje mnie szantażować. Umieram z własnej ręki. Przed śmiercią przeklinam Biranne'a.*

*J.R.*

*Kochałem moją żonę.*

Ducane był tak zdumiony i w jakiś dziwny sposób poruszony tym listem, że w pierwszym odruchu chciał go przycisnąć do czoła i zamknąć oczy. Aby się uspokoić wstał, podszedł do biurka, wyjął szkło powiększające i w świetle lampy dokładnie go obejrzał. Charakter pisma był zdecydowany i wyrobiony i z pewnością należał do Radeechy'ego.

Biranne nadal stał tyłem odwrócony do Ducane'a.

- Usiądź, Biranne.

Usiedli obaj. Biranne wyciągnął się w fotelu, ciężko oddychając, niczym bardzo zmęczony człowiek.

- Czy mógłbym ci zadać parę pytań? - powiedział Ducane.  
- Słucham.  
- Zakładam, że ten list rzeczywiście napisał Radeechy. Czy to wszystko jest prawdą?

Biranne znowu się wyprostował.

- To prawda, że zabił swoją żonę, i że to widziałem - powiedział.  
- Prawdą jest również to, że był zazdrosny o mnie i Claudię. Nieprawdą, że usiłowałem go szantażować, a przynajmniej jest to niezupełnie zgodne z rzeczywistością.

- Co to znaczy „niezupełnie”?

- Niestety nie najlepiej prezentuję się w całej tej sprawie.

- Nieważne, jak się prezentujesz. Powiedz prawdę.

- Widzisz, ja pragnąłem Judy McGrath.

- A skoro miałeś go w garści...

- Nigdy nie zamierzałem tego wykorzystywać, nigdy mu nawet o tym nie wspomniałem. Ten szatań był jego wymysłem. Chciałem mu odebrać Judy natychmiast, pewnie dość jasno dałem mu to do zrozumienia, bo zaczął sobie roić, że mu grozę.

- A ty nie wyprowadziłeś go z błędu?

- Chyba nie...

- Kiedy to było?

- Dwa, trzy miesiące temu. Nie zaraz po...

- Rozumiem. I twoim zdaniem to właśnie było przyczyną jego samobójstwa?

- Tak. A zresztą, cóż innego mogłoby być przyczyną? Nie istnieje żadna inna tajemnica, żaden inny klucz. Ale faktem jest, że Radeechy był dziwakiem, żyjącym w ciągłym strachu. Myślę, że naprawdę wierzył w to, że obcuje z duchami i bał się ich.

- Kochał swoją żonę?

- Tak mi się wydaje. Ale uwierz mi, że na początku nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Czy sypiałeś z panią Radeechy?

- Tak.

- Czy była bardzo nieszczęśliwą kobietą?

- Nie, w każdym razie do pewnego momentu. Tego też nie mogłem zrozumieć. Wyglądało na to, że jest bardzo zaniebawiana przez męża. Radeechy miał cały harem tych swoich czarownic,

przynajmniej dopóki nie pojawiła się Judy. Wydaje mi się, że on całkiem szczerze zakochał się w Judy - a to raniło Claudię. Tolerowała tamte dziewczyny, bo ich pokażna liczba oznaczała pewne bezpieczeństwo, ale tym razem Radeechy zaczęły poważnie wymykać jej się z rąk. Chyba dlatego zaczęła ze mną flirtować, aż w końcu wzięłam ją szturmem. Sam byłem zdziwiony. Nie zrobiłem tego z zimną krwią. Zdumiewało mnie, że Radeechy był zazdrosny aż do tego stopnia. Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak się tym przejmie.

- Jak poznałeś Claudię?

- Poprzez jedną z poprzedniczek Judy. Claudia przyszła do niej, chcąc się czegoś dowiedzieć o Judy. To znaczy, kiedy Judy zaczęła ją niepokoić. A tak się złożyło, że ja tam byłem.

- Rozumiem. A więc Radeechy był zazdrosny i kazał ci się wynosić?

- Tak. I może powinienem był tak zrobić. Ale czułem, że dla dobra Claudi nie mogę mu ustąpić. Naprawdę ją lubiłem, ona była kimś. Wszystko zaczęło się strasznie komplikować. Powiedziałem mu, że na nią nie zasługuje. Bo nie zasługiwał. Tamte dziewczyny..., wiem, nie pieprzył się z nimi, nawet z Judy, ani ich nie bił. Był zdrowo stuknięty.

- I... widziałeś... jak zabił swoją żonę?

- Tak. To było... - Biranne zapatrzył się w wygasły kominek. Wyciągnął rękę i dotknął jego obudowy, sunąc palcem po wzorze na marmurze. - Tej nocy byłem trochę pijany. Chyba wszyscy troje za dużo wypiliśmy. Claudia była w jakimś dziwnym nastroju. Chyba jej się podobało, że ma koło siebie nas obu. Myślę, że byłaby zadowolona, gdybyśmy zaczęli o nią walczyć. Wiesz, jej naprawdę zależało na mężu, choć jednocześnie była zakochana we mnie. Już kiedyś spotkaliśmy się w takim samym historycznym trójkącie. Nie uwierzysz, ale we trójkę przedyskutowaliśmy całą sprawę; ułatwiała to dziwaczność Radeechy'ego. Przez cały wieczór grał jakąś rolę, a Claudia chyba to właśnie chciała widzieć. Chciała, żebym mu zadał ból i chciała widzieć, jak cierpi. Chodził tam i z powrotem po pokoju, krzyczał, machał rękami, aż w końcu pograżył się w długim milczeniu, robiąc przy tym srogą minę jak rosyjski aktor. W takich chwilach nie mogłem go brać na poważnie, lecz wtedy niemal mnie przeraził, ale dzięki temu jeszcze bardziej zacząłem na niego najeżdżać. Czy ty w ogóle mnie rozumiesz?

- Tak, chyba tak - powiedział Ducane. - Mów dalej.

- No, cóż, niewiele mam już do powiedzenia. Za drugim razem, kiedy spotkaliśmy się we trójkę, było już dobrze po północy. Kłóciliśmy się, piliśmy i krzyczeliśmy przez parę godzin. Zupełnie, jak byśmy się rozumieli i doskonale bawili. Nagle Radeechy złapał Claudię za ramiona. Noc była parna i okna były szeroko otwarte. Radeechy ciągnął Claudię przez pokój, cały czas się na nią wydzierając. Zanim zdążyłem wstać, wypchnął ją przez okno.

Biranne zamikł. Ze skupieniem śledził wzór na marmurze.

- Nigdy nie zapomnę tej niesamowitej ciszy i nagłości zniknięcia Claudii. Nawet nie krzyknęła, po prostu zniknęła za oknem, jak gdyby wyfrunęła prosto w noc. Nie słyszeliśmy jak... jak spadła na ziemię. Staliśmy obaj jak sparaliżowani. Myślę, że Radeechy był tak samo zaskoczony jak ja. Wydaje mi się, że on naprawdę nie chciał tego zrobić.

- Zginęła na miejscu?

- Tak, dzięki Bogu, tak. Zbiegliśmy na dół. Leżała na kamiennym tarasie ze złamanym karkiem. Jak wiesz, dom Radeechy'ego stoi na uboczu, więc nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

- Co się stało potem?

- Radeechy dostał hysterii. Błagałem go, żeby wszedł do domu. Zaczęło padać. Próbowałem go wciągnąć do środka. Chciałem, żeby się zastanowił, co powie policji, ale on nie przestawał płakać. W końcu wykrztusił, żebym mu dał spokój. Doszedłem do wniosku, że rzeczywiście tak będzie najlepiej i poszedłem. Następnego dnia przeczytałem w gazetach o „wypadku”.

- Czy McGrath wiedział o rym?

- Nie, ale chyba czegoś się domyślał. Często się tam kręcił, a ma zmysł obserwacji. Poszedł do Radeechy'ego i powiedział mu, że dowiedział się ode mnie, iż to on zabił Claudię. Na swoje nieszczęście popełnił błąd, przychodząc również do mnie i twierdząc, że wie od Radeechy'ego, że zabiłem Claudię.

- I wtedy mu zagroziłeś, że go zabijesz?

- Tak. A byłem w wystarczająco morderczym nastroju, żeby spełnić tę groźbę. McGrath próbował obrócić wszystko w żart i przyznał się, że szantażuje również Radeechy'ego. Napisałem w liście do Radeechy'ego, żeby nie zwracał uwagi na McGratha, ale myślę, że i tak by się nim nie przejmował. Był za bardzo pogrążony w... smutku.

- Czy McGrath już wtedy szantażował Radeechy'ego?
  - Tak. Miał parę całkiem udanych zdjęć, na których Radeechy wznosi kielich nad piersiami nagich dziewczyn. Radeechy regularnie płacił McGrathowi za milczenie. Myślę, że nie miał nic przeciwko temu. Między nimi istniało nawet coś w rodzaju jakiejś dziwnej przyjaźni. McGrath naprawdę był przygnębiony jego śmiercią.
  - Czy potem jeszcze spotykałeś się z Radeechym?
  - Nie. Ale wysłałem do niego parę listów, głównie dotyczących Judy. Wolałem nie rozmawiać z nim w biurze, a bałem się jechać do niego do domu. Potrafił być przerażający i naprawdę zacząłem się go bać. Przez jakiś czas myślałem nawet, że może mnie zabić. Kiedy tamtego dnia wszedłem do jego gabinetu i zobaczyłem w jego rękę rewolwer, przyszło mi do głowy, że chce mnie zabić.
  - To znaczy, że wezwał cię, żebyś...
  - Tak, żebyśmy zobaczyli, jak umiera. Przysłał mi dziwny list z prośbą o przyjście o określonej godzinie, jak gdyby potrzebował mojej pomocy. Wiedziałem, że muszę iść, ale bałem się. A kiedy wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi, wyjął rewolwer i zastrzelił się na moich oczach.
  - O Boże. A potem zamknąłeś drzwi i natychmiast go przeszukałeś.
  - Tak. Pewnie pomyślisz, że jestem zimnym draniem. No, cóż, może i jestem. Czułem, że na pewno zostawił list pożegnalny, w którym o wszystko oskarża mnie. Myślałem, że schował go do kieszeni, więc podniosłem ciało, żeby je przeszukać, ale niczego nie znalazłem. List był zamknięty w szufladzie biurka. Złamałem zamek metalową linijką. Bałem się, że ktoś zauważy ślady, ale najwyraźniej nikt niczego nie dostrzegł.
- Zapadła cisza.
- Czy to wszystko? - spytał Ducane.
  - Tak, to wszystko. Resztę już znasz. McGrath wszystko popsuł, sprzedając prasie te brednie i robiąc zamieszanie w biurze. Inaczej sprawa by przycichła. A przy okazji - czy kiedykolwiek zetknąłeś się z tą historią?
  - Nie, ale dostałem szczegółowy raport od kogoś, kto ją czytał. Nie znalazłem w niej niczego nowego. I niczego na twój temat.

- Tego też się bałem. Czy mógłbym rozsunać zasłony? Strasznie tu duszno. - Biranne odchylił ciężkie kotary i szeroko otworzył okno. Pokój wypełniło mruczenie ruchu ulicznego na Earls Court Road.

- Dlaczego nie ujawniłeś listu Radeechy'ego? - spytał po chwili Ducane.

- Dlaczego? Może to zabrzmiało dziwnie, ale bałem się, że jeżeli wszystko wyjdzie na jaw, to zostanę oskarżony o morderstwo!

- Racja, racja. - Ducane zadrżał. - No więc teraz masz Judy.

Biranne wziął kilka głębokich oddechów, a potem znowu zaciągnął zasłony. Nadal wzdychając, wrócił na środek pokoju i stanął naprzeciwko Ducane'a.

- Mam Judy tak samo, jak ją mają inni.

Ducane milczał, patrząc na podłużną, lekko wykrzywioną twarz Biranne'a. Była nieruchoma, zmęczona, jasna i promieniejąca nieco zarozumiałą godnością. „Tak” - pomyślał Ducane. - „Jesteś zimnym draniem, jesteś skończonym draniem”.

- I co teraz ze mną zrobisz? - spytał Biranne.

- Postawiłeś mnie w trudnej sytuacji - powoli odparł Ducane. Zaczął się niespokojnie kręcić, nalał whisky do obu szklaneczek. Nie chciał, żeby Biranne zaczął grać jakąś rolę. Był też szczerze zaskoczony i przejęty opowieścią, którą przed chwilą usłyszał oraz sytuacją, w której teraz obaj się znaleźli.

- Mów dalej.

- Kiedy dziś przyszedłeś, - zaczął Ducane - czy zamierzałeś mi to wszystko opowiedzieć?

- Tak. Nie. Nie wiem. Mówiąc szczerze, myślałem, że wiesz o wiele więcej. Myślałem nawet, że może wiesz wszystko. Podejrzywałem, że wyciągnąłeś wszystko z McGratha. Mógł ci powiedzieć o swoich podejrzeniach, albo nawet podać je za prawdę. Judy też mogła ci o czymś wspomnieć. No i oczywiście nigdy nie byłem pewien, czy Radeechy nie zostawił gdzieś drugiego listu pożegnalnego. Wbiłem sobie do głowy, że wszystko wiesz i z jakichś powodów bawisz się ze mną. Utwierdziłem się w tym przekonaniu zwłaszcza po tym, jak przyszedłeś do mojego domu, wtedy, kiedy spotkałeś tam Judy. Zacząłem się tym strasznie denerwować. Wiem, że to zabrzmiało śmiesznie, ale zacząłeś mi się śnić. Ale po jakimś czasie spostrzegłem, że chcę ci o wszystkim powiedzieć. W każdym razie

chciałem się przed kimś wygadać. Miałem też sny o Radeechym. Wiem, że twoim zdaniem postąpiłem podle, ale słono za to zapłaciłem. Czy będziesz mógł zachować dla siebie wszystko, co ci powiedziałem, a przynajmniej to, co dotyczy mnie?

- Nie jestem tego taki pewien - odparł Ducane. - Byłeś świadkiem morderstwa.

Biranne przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Jutro pożałuję, że zrobiłem takie cholerne głupstwo - powiedział. - Nie byłeś aż tak dobrze poinformowany, jak mi się zdawało. Przyszedłem tu taki pewien, że wiesz bardzo dużo i zdecydowany do wszystkiego się przyznać. Nie starczyło mi czasu, żeby sobie ułożyć nowy plan. Powiniennem był wyjść po pół godziny. Ale czułem się jak... zahipnotyzowany. Gdybym ci wszystkiego nie powiedział, mógłbyś niczego nie odkryć. Czy rzeczywiście zamierzałeś podzielić się z policją swoimi niejasnymi podejrzeniami i niewyraźnymi śladami? Na nic by im się to zdało. Od wszystkiego bym się wykreślił. I czy na prawdę chciałeś użyć tego wybiegu wobec McGratha i zaryzykować, że nazwiska obu twoich dziewczyn pojawią się w gazetach?

- Nie wiem - odparł Ducane. - Naprawdę nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię. Ale na pewno przedtem porozmawiałbym z tobą. Gdybyś się u mnie nie pojawił, przyszedłbym do ciebie. - Na końcu języka miał: „To dobrze, że mi powiedziałeś”. Ale dlaczego miałby tak mówić? Nie był ani sędzią, ani nauczycielem, ani księdzem.

Biranne w tej chwili czuł głównie ulgę; ogromne napięcie ustąpiło, niepokój, wywołany niepewnością i podejrzeniem, że popełnił niewyobrażalny błąd, przestały go męczyć.

- Gdybyś mi nie powiedział - ciągnął Ducane, - wszystko i tak by się wydało. McGrath zaczęłby sypać. I nie mógłbym w raporcie ominąć twojego nazwiska.

- A teraz, kiedy się przyznałem, napiszesz tam o mnie?

Ducane poczuł się bardzo, bardzo zmęczony. Chciał, żeby to przesłuchanie już się zakończyło. Pragnął przemyśleć to, co usłyszał.

- Nie mogę zataić morderstwa - powiedział. - To kwestia obowiązku. Problem niemal techniczny.

- Do diabła z twoim poczuciem obowiązku. - Biranne wstał i jedną ręką odstawił krzesło na bok. - Czy zostanę oskarżony o współudział?



- Obawiam się, że tak.  
- To oznacza koniec mojej kariery.  
- Tak. Przykro mi, Biranne, ale po prostu nie widzę, jak mógłbym cię ochronić. Powiedziałem, że jestem gotów zachować dla siebie wszystko, co nie ma związku z celem dochodzenia, ale to, co mi powiedziałaś łączy się ze sprawą. Szczególnie istotny jest ten dokument, który zatrzymam, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Moim zadaniem było odkryć przyczynę samobójstwa Radeechy'ego, a ten list jest dokładną odpowiedzią na to pytanie.

- Czy nie wystarczy, że ty znasz tę odpowiedź? Przecież możesz z czystym sumieniem powiedzieć władzom, że tajemnica państwowa nie została naruszona. Oczywiście wtedy nie zdobędziesz takiego rozgłosu...

- To nie kwestia rozgłosu - powiedział Ducane. - To kwestia uczciwego spełnienia obowiązku. Przykro mi, Biranne, nie chciałbym cię dobijać, ale musisz zrozumieć...

- Tak, tak, rozumiem. Obowiązek. Chyba nie powinienem się tym aż tak przejmować. Albo może powinienem uznać, że zostałem odpowiednio ukarany, czy coś w tym rodzaju. Ale nie uważam, że zasługuję na karę. Jestem uczciwym urzędnikiem państwowym i nadal chciałbym nim pozostać. Nie chcę zaczynać od nowa całego życia. W końcu przecież nie postąpiłem aż tak podle. Po prostu miałem pecha. Na początku wszystko wyglądało całkiem niewinnie.

- Ja bym tego nie nazwał niewinnym - odparł Ducane. - Poza tym uważam, że powinieneś przestać się spotykać z Judy McGrath.

- Dlaczego? Czyżbyś chciał ją mieć dla siebie?

- Oczywiście, że nie. Po prostu ktoś na twoim stanowisku...

- Zgodnie z tym co mówisz i tak już wkrótce stracę tą posiadłość. A wówczas będę mógł wiązać się z kim mi się tylko żywnie podoba. Ale oczywiście to ty wydajesz rozkazy. Ty tu jesteś szefem. Możesz mi rozkazywać, możesz mi stawiać warunki - to znaczy, dopóki mnie nie zwolnisz.

- Dostyc, dostyc, dostyc - przerwał mu Ducane. Czuł zamęt w głowie. Nie powinien był wspominać Judy. - Lepiej, żebyś już sobie poszedł. Obaj jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby rozsądnie myśleć. Obiecuję ci, że przez dwa, trzy dni nie wykonam żadnego posunięcia, dopóki znowu się nie spotkamy. I oczywiście nikomu o niczym nie powiem. Przemyślę dokładnie całą sprawę. A teraz, proszę, idź już.

Ducane otworzył drzwi salonu i obaj wyszli na korytarz.

- Czy przyszedłeś w płaszczu?

- Nie, noc jest ciepła.

- Cóż... dziękuję, że przyszedłeś.

Biranne zaśmiał się krótko. Ducane otworzył drzwi wejściowe. Przez chwilę stali nieruchomo w przejściu.

Ducane poczuł potrzebę dotknięcia Biranne'a. Niemal nieśmiałym ruchem położył dłoń na jego ramieniu, lecz Biranne cofnął się, a potem - już odwracając się do wyjścia - wyciągnął do Ducane'a prawą dłoń. Pośpiesznie uściśnęli sobie ręce i Biranne zniknął w mroku ulicy.

Odwracając się od zamkniętych drzwi Ducane zauważył, że stoi na liście, leżącym na wycieracze. Pewnie został przyniesiony po powrocie Fiveya. Był od McGratha.

Ducane z posępną miną zaniósł go do salonu i drżącymi z gniewu palcami rozdarł kopertę.

*Szanowny Panie!*

*Jak niewątpliwie zdążył pan już stwierdzić, wysłałem pewien list do jednej z zainteresowanych osób. Nadal mam drugi i jeżeli będzie pan skłonny dotrzymać naszej umowy, nie wyślę go. Cena się nie zmienia, ale moglibyśmy wszystko jeszcze raz omówić. Pozwolę sobie zadzwonić do pana jutro rano.*

*Z poważaniem*

*P. McGrath*

„Który z nich wysłał?” - rozmyślał Ducane. - „Kate jeszcze nie wróciła. Jessica nie odpowiedziała na pocztówkę. A zresztą, nie ma różnicy. Za parę dni wyśle drugi.” Zawahał się, a potem podarł list od McGratha. Nie było sensu wnosić przeciwko niemu sprawy i obaj o tym wiedzieli. Ducane nie mógł narażać Jessiki i Kate na taki skandal. Jediną osobą, która może się zdemaskować, jest on sam.

Pożegnalny list Radeechy'ego wciąż leżał na stoliku. Ducane schował go do biurka i zamknął szufladę na klucz. Jego myśli bojaźliwie uciekały od wizerunku Radeechy'ego, jak pisze ten list, pełen morderczej, autodestruktywnej nienawiści. „Jestem chory,

chory" - powiedział do siebie. Zgasił światła w salonie i zaczął wchodzić po schodach.

W sypialni było ciemno, ale w łazience paliło się światło. Od razu tam się skierował, nie zapalając po drodze lamp. Szybko się rozebrał, starając nie patrzeć się w lustro. Odczuwał ogromną potrzebę snu i zapomnienia, a wraz z nią, w niemalże namacalny sposób, pojawiły się wspomnienia chwil z dzieciństwa, kiedy czuł się nieszczęśliwy. „Co za bagno” - pomyślał. - „Chryste, co za bagno”. Ale teraz spać, spać, spać. Zapiął guziki pidżamy i wszedł do sypialni, zapalając po drodze światła. Gdy podszedł do łóżka, zobaczył, że ktoś w nim leży.

- Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz! - powiedziała Judy McGrath.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

- To tylko ja, mała Judy.

Judy McGrath odrzuciła koc i wsparła się na przedramieniu. Była naga. Przesunęła się nieco i zapraszającym gestem poklepała białą powierzchnię łóżka.

- Nie przychodziłeś tak długo, że trochę się zdrzemnęłam.

Ducane widział jej ciało jak przez mgłę. Światło lamp było dziwnie przyćmione. A może po prostu był bardzo zmęczony? Wziął z krzesła swój czarny, jedwabny szlafrok i założył go.

- Przyszłaś z Biranne'em? - spytał.

- Co mówisz, panie Misiu?

- Przyszłaś z Biranne'em?

- Nie, przyszłam z sobą. Tylne drzwi były otwarte. Szybko odgadłam, który jest twój pokój. Nie złość się na mnie, panie Misiu.

„To jakiś podstęp” - pomyślał Ducane.

- A gdzie twój mąż ze swoim aparacikiem fotograficznym? - Gdy wypowiedział słowo „aparacik”, uświadomił sobie, że naśladuje nie tylko sposób wyrażania się Biranne'a, ale nawet jego głos.

- Nie mogłabym ci tego zrobić, panie Misiu. Masz mnie za darmo. Kocham cię.

- Nie wydaje mi się, żebyś wiedziała zbyt wiele o miłości, Judy.

- O nikim nie powinieneś tak mówić, panie Misiu.

„Ma rację” - pomyślał. Lekko się zachwiał i usiadł na krześle. Przypomniał sobie, że wypił sporo whisky. Uświadomił też sobie, że napiłby się jeszcze.

- Lepiej już idź, Judy. Ubierz się.
- Skąd ten pośpiech, panie Misiu?
- Stąd, że jestem śmiertelnie zmęczony i chcę się położyć, a nie mogę tego zrobić, dopóki ty jesteś w moim łóżku. Wstawaj, Judy.
- Mógłbyś się położyć koło mnie, panie Misiu. Przez całą noc nawet cię nie tknę.
- Nie wygłupiaj się, dziewczyno.
- Napijmy się, panie Misiu. Po jednym. Przyniosłam ze sobą butelkę. Za naszą przyjaźń.

Ducane spostrzegł, że Judy na nocnym stoliku postawiła karafkę i dwa kieliszki. Przekreśliła się na brzuch i nalała trochę whisky do obu szklaneczek, po czym z powrotem ułożyła się na boku i wyciągnęła do niego rękę z kieliszkiem.

Ten gest mocno zaniepokoił Ducane'a. Judy w przyćmionym świetle, które kładło na jej smukłym ciele srebrny cień, wyglądała jak wyjęta z obrazu. Przypominała mu jakiś obraz Goi, czy może Velazqueza. Ale w tym okrągłym ruchu, w jego niezręczności, w nagości pośladków, groteskowym ściśnięciu kolan na moment rozwartych szeroko, była żałosna brzydota prawdziwego ciała, a także jego ponętność.

Ducane wbrew sobie pochylił się do przodu i wziął od niej szklaneczkę z whisky.

- Świetnie, panie Misiu. Teraz możemy porozmawiać. Króciutko porozmawiamy i obiecuję, że potem sobie pójdę. Coraz lepiej się znamy, prawda? Czyż to nie urocze?

- Nie nazwałbym tego uroczym - odparł Ducane. - Cokolwiek to jest, na pewno nie nazwałbym tego uroczym.

- Na zdrowie, proszę pana.

- Na zdrowie, Judy.

- O czym porozmawiamy? Może o nas? - Przeciągnęła się zmysłowo, prężąc ramiona. Po jej napiętym brzuchu przesunął się cętkowany światłem cień. Po chwili znowu się rozluźniła.

- Jak to się stało, że związałaś się z takim typem, jak McGrath? - spytał. Patrzył w swój kieliszek, ale widział ciemną chmurę jej czarnych włosów o niebieskawym połysku, które zdawały się falować niczym łódź na złocistych wodach.

- Byłam bardzo młoda, panie Misiu. A to był ktoś. Wiedziałam, że mogę wyjść tylko za człowieka, który do czegoś dojdzie. Jest bardzo bystry.

- Tak, bystry. I doszedł do czegoś. Do całkiem prawidłowego oszustwa i zrobił w nie również ciebie.

- Uważasz, że powinnam go opuścić, panie Misiu?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł Ducane z irytacją. Zmuszał się, żeby na nią nie patrzeć. Usiłował się skoncentrować na tych bardzo czystych, niebieskich oczach. Zrozumiał, że jej twarz jest nie ciemna, lecz świetlista, niemal biała pod cerą miodowego koloru. Jej ciało rozciągnęło się w podłużną pożącaną plamę. „Goya, Velazquez, pomóżcie!” - pomodlił się w duchu.

- Wydaje mi się, że powinnaś go sprowadzić ze złej drogi, zanim wpakuje was oboje do więzienia. Nie podobałoby ci się w więzieniu, Judy. - „O Boże, chcę ją zranić” - pomyślał. - „Ona musi stąd odejść, musi stąd odejść.”

- Muszę od niego odejść, panie Misiu, nie ma innego wyjścia. Dobrze wiesz. Wiesz, że nie zmienię Petera. Muszę go opuścić, panie Misiu i ty musisz mi w tym pomóc. - Jej głos robił się coraz bardziej miękki, przymilny.

Ducane spojrzał w błagalne, niebieskie oczy. „Niech tonę” - pomyślał, - „dopóki nie widzę nic innego, nie czuję nic innego”.

- Niestety nie mogę ci pomóc, Judy - powiedział. - Dałem ci dobrą radę. A teraz...

- Możesz mi pomóc. Tylko ty to potrafisz. Tylko ty naprawdę możesz mnie uratować, panie Misiu.

- Może byś przestała mnie nazywać tak idiotycznie! - krzyknął. Szttywno jak automat odwrócił głowę i spojrzał na drzwi łazienki.

- J u ż dobrze... mój drogi... Johnnie.

Ducane wstał.

- A teraz wynoś się. - Odwrócił się do niej plecami.

- Jeszcze chwilkę, John, jeszcze chwilkę. Nie złość się na mnie. Wiem, że robiłam złe rzeczy, i że nie wszystko było winą Petera. Jeszcze zanim go spotkałam, miałam... no, wiesz... miałam innych mężczyzn. Było to dla mnie takie naturalne. Ale odkąd poznałam ciebie, wszystko się zmieniło. Jesteś pierwszym mężczyzną, który... jesteś taki inny i taki dobry. Mógłbyś mnie uratować, nikt inny nie

może tego zrobić. Chciałabym tylko czasami móc się z tobą spotykać i rozmawiać o tym i o owym. Nie proszę o nic więcej. Mógłbyś odmienić całe moje życie. Zrobię wszystko, czego zażadasz, będę się uczyła, zrobię wszystko. Mogę zostać... no nie wiem, pielęgniarką...

Ducane wydał z siebie dźwięk, który równie dobrze mógłby być śmiechem jak i pogardliwym parsknięciem.

- Uratuj mnie, John, kochany, pomóż mi. Dla ciebie to drobiazg, a mi na tym tak strasznie zależy. Sam powiedziałeś, że jeżeli zostanę z Peterem, skończę w więzieniu.

- Nie powiedziałem tego - zaprzeczył Ducane. - A zresztą, nieważne. Ubijam się.

- Jeszcze minutkę, mój najmilszy. John, nie masz pojęcia, czym jest rozpacz dla kobiety. Boję się Petera. Nie mam się do kogo zwrócić. Nie mam żadnych przyjaciół, a wszyscy mężczyźni, których znam, to źli ludzie. Ludzie tacy, jak ty, są bezpieczni. Jesteś wspaniałą, wszyscy cię szanują, masz prawdziwych przyjaciół. Będę musiała odejść od Petera. Po prostu muszę to zrobić, a co się wtedy ze mną stanie? Zostań moim przyjacielem, John, tylko o to cię proszę. Powiedz, że troszkę się mną opiekujesz, powiedz, że jeszcze się zobaczymy, tylko tyle, proszę cię.

Jej głos brzmiał płacząco. „Nie powinienem się nad nią roztkliwiać” - pomyślał Ducane. - „Wydaje jej się, że wygląda poważnie, ale myli się. Ona mnie skrzywdzi. Ja skrzywdzę ją. Czy rzeczywiście uważam, że jest zgubiona? A zresztą, jakie to ma znaczenie? Nic nie mogę dla niej zrobić”.

- Nic nie mogę dla ciebie zrobić - powiedział martwym głosem. Zapadło milczenie. Wreszcie Judy powiedziała:

- Jestem taka zmęczona. Zaraz sobie pójdę. - Cicho zamruczała i przekreśliła się na brzuch.

Ducane powoli się odwrócił i spojrzał na nią. Leżała wyprostowana z twarzą wtuloną w poduszkę. Z nagłą, pełną skupienia intensywnością zaczął przyglądać się jej ciału, jak gdyby to było jakieś dzieło sztuki, którego mógł już nigdy nie zobaczyć. Tyle, że w jego wzroku nie było biernej zadumy.

Ducane dopuścił do siebie świadomość, że ogarnęło go silne podniecenie. W wyobraźni bardzo delikatnie położył rękę na jej złocistym karku, tuż pod suchą, kędzierzawą burzą włosów, na tej

szczególnej wypukłości kręgosłupa. Potem bardzo powoli przesunął dłoń w dół, na ałtasowy łuk ramienia, które pod jego dotykiem lekko by zadrzało, wzdłuż lśniącego biodra i wreszcie, jeszcze wolniej, na jędrny, gładki pośladek i wewnętrzną stronę uda, które Ducane zobaczył, gdy bezszelestnie przysunął się do łóżka.

„A gdybym ją zerznął?” - pomyślał. Nigdy nie używał tego słowa, nawet w myślach i teraz jego niespodziewane pojawienie się podnieciło i zszokowało go. Słowo to skojarzyło mu się z Biranne'em. Był pewien, że Biranne użył go w którymś momencie podczas ich rozmowy. Ducane bardzo cicho odstawił kieliszek na nocny stolik. Dziewczyna leżała zupełnie nieruchomo, z twarzą ukrytą w poduszce. To, że oddychała, widać było jedynie po delikatnym, regularnym ucisku na białe prześcieradło po jej ocienionej stronie. Wyglądała tak, jakby spała. Ducane w wyobraźni pogładził jej ciało gestem twórczym i delikatnym jak muśnięcie piórka; dotykał jej lekko, tak lekko, lecz z namiętnością, która wyczarowuje, aż do ostatniego wypieszczonego szczegółu, obecność żywego ciała. Pochylił się nad nią.

Z ciała Judy unosił się delikatny zapach. Nie był nieprzyjemny; łączył w sobie woń potu i kosmetyków. Ducane spojrział na miejsce pomiędzy jej łopatkami. Ujrzał szare kłębowisko martwych gołębi. Otworzył usta i wciągnął zapach Judy. Znowu poczuł prąd diabelskiej siły i zobaczył na nagich, złocistych ramionach zdanie wypisane ręką Radeechy'ego: *Czyń wszystko zgodnie z prawem.*

W tej samej chwili Ducane całkowicie ochłonał. Jakiś zimny obserwator wewnątrz niego ujrzał tę scenę i powiedział mu, że nawet na chwilę nie położył dłoni na ałtasowych plecach Judy McGrath. „Ona wie, że jej nie dotknę” - pomyślał. - „Wie, że tego nie zrobię i może wydaje jej się, że nie mogę.” Opuścił rękę i pohamował w sobie to, co tak ogromnie pragnęło Judy.

„Jestem demonem.” - pomyślał. - „Zabawiałem się z dwiema kobietami i utraciłem jedną, a stałem się przekleństwem dla drugiej. To przeze mnie zło jest w takim człowieku jak McGrath. Nie mogę uzalać się nad nieszczęśliwymi, ani przynieść nadziei i ukojenia potępionym. Nie mogę współczuć tym, dla których jestem sędzią. Nie mogę nawet wziąć tej dziewczyny w ramiona. I to nie z poczucia obowiązku, ani dla jej dobra, ale tylko dlatego, że mój wizerunek jest



bez skazy, to wizerunek człowieka dobrego, towarzyszący mi zawsze, choćbym postępował podle."

- Wstań, Judy - powiedział łagodnie, odwracając się od łóżka. - Wstań, dziecko. Ubierz się. Czas wracać do domu. - Rozejrzał się po pokoju. Obok jednego z krzeseł piętrzyły się koronki białej bielizny. Z oparcia zwisała letnia sukienka Judy w zielono-niebieskie kwiatki. Ducane podniósł miękką, gładką, pachnącą perfumami bieliznę i rzucił ją na łóżko. Judy przewróciła się na plecy i zamruczała.

- Idę do łazienki - powiedział Ducane. - Ubierz się.

Wszedł do łazienki i zamknął drzwi na klucz. Skorzystał z toalety. Zaczesał do tyłu gęste, faliste włosy i przyjrzał się z bliska swojemu odbiciu w lustrze. Jego twarz była brązowa, błyszcząca, tłusta, oczy lekko wyłupiaste. Wyciągnął język, ogromny, podobny do łopaty. Słyszał dźwięki krzątania, dochodzące z sypialni. Rozległo się ciche pukanie do drzwi łazienki.

- Już jestem gotowa - powiedziała Judy. Była ubrana. Skąpa, niebiesko-zielona sukienka ciasno opinała jej ciało. „Te piersi” - pomyślał Ducane. - „Och, te piersi. Mogłem ich dotknąć choć przez chwilę. Jaka ona jest ładna w ubraniu.” Czuł się tak, jakby się z nią kochał. Ogarnęła go spokojniejsza i bardziej czuła namiętność, gdy widział swoją kochankę w ubraniu.

Szybko przeszedł koło niej i otworzył drzwi do sypialni.

Na korytarzu coś gwałtownie się poruszyło. Fivey czmychnął aż na szczyt schodów, zawahał się i wreszcie odwrócił się do Ducane'a. Ubrany w czarne spodnie i białą koszulę, wyglądał jak przywódca jakiejś bałkańskiej rewolucji. Stał w lekko wyzywającej pozie, ogromną głowę odrzuciwszy do tyłu, palcami przeczesując wąsy.

- Fivey, to doskonale, że jeszcze się nie położyłeś! - powiedział Ducane nieomal krzyżąc. - Wyprowadź samochód z garażu i odwieź tę młodą damę do domu.

- Ale... - zaczęła Judy, wycofując się z powrotem do pokoju.

- Chodź, chodź - ponaglił ją Ducane. Nie dotykając jej, wszedł do sypialni i wypędził Judy na korytarz. Zapalił światła na schodach.

- Dobranoc - powiedział. - Mój szofer odwiezie cię do domu. Fivey, idź wyprowadzić samochód. Pani McGrath będzie czekała przy drzwiach wejściowych.

- Tak jest, proszę pana. - Fivey z godnością zszedł ze schodów.  
- Idź na dół - powiedział Ducane do Judy. - Ja nie zejść z tobą.  
Zaczekaj przy drzwiach na Fiveya. Zaraz pojedzie. Dobranoc.  
- Ale nie jesteś na mnie zły? Jeszcze się zobaczymy, prawda?  
Proszę...  
- Dobranoc, moje dziecko, dobranoc - powtórzył, wskazując na schody.  
Judy powoli wyminęła go i zeszła na dół. Chwilę później usłyszał warkot silnika i trzask zamykanych drzwi.  
Wrócił do sypialni i zamknął drzwi na klucz. Przez moment stał bezmyślnie. Potem ostrożnie schylił się i położył się twarzą do dołu na podłodze.

## Rozdział trzydziesty

- Czy to nie zabawne, że kukułki w Afryce nie kukają? - powiedział Edward.

- Henrietto, czy wyjęłaś tę ropuchę z wanny? - spytała Mary.

- Chciałam ją oswoić - odparła Henrietta. - Ropuchy można oswajać.

- Wyjęłaś ją z wanny?

- Tak, teraz jest w ogrodzie.

- Kukułki nie potrafią kucać na ziemi - ciągnął Edward. - Mają dwa pazury wystające do przodu i dwa skierowane do tyłu. Dlatego po prostu siadają. Widziałem wczoraj jedną, zaraz po tym jak zobaczyliśmy latający talerz...

- Ruszaj się, Edward. Jeżeli tak cenisz *More Hunting Wasps*, to dlaczego usmarowałeś ją marmoladą?

- Posłuchaj, zmieniła melodię - zauważył Edward. - Kukułki zawsze w czerwcu zmieniają melodię. Posłuchaj.

Przez otwarte okno kuchni dochodziło odległe „kuku-kuku”.

- Chciałabym, żeby spadł deszcz - powiedziała Henrietta.

- Zmykajcie już, bliźniaki. I weźcie ze sobą Mingo. Ciagle mi się płacze pod nogami.

Bliźniaki wyszły gęsiego. Henrietta pchała swojego brata, a za nimi włókł się Mingo, leniwie machając swym włochatym ogonem - na wszelki wypadek, gdyby kogoś spotkał. Montrose, znowu zwinięty w kłębek w swoim koszyku, odprowadził ich wzrokiem, po czym ułożył się do snu. Nie był z niego ranny ptaszek.

- My chyba też płaczemy ci się pod nogami, kochanie - powiedziała Kate. - John, przejdziemy się do ogrodu? Co za cudowny ranek! Jak to dobrze znowu być w domu!

Kate wzięła swój hiszpański koszyk i przez zagracony korytarz wyszła na trawnik przed domem. Owionęło ich ciepłe, poranne powietrze, gęste i egzotyczne w porównaniu z chłodem w domu, pełne różnych zapachów i kształtów, które słońce, świecące już od tyłu godzin, choć na ludzkim zegarze był dopiero wczesny ranek, wydobyło z liściastych stoków i spokojnej powierzchni morza.

- Słyszałeś tę kukułkę dziś około czwartej? - spytała Kate. - Mam nadzieję, że cię nie obudziła.

- I tak nie spałem.

- To był długi dzień, prawda? Lato zdaje się nie mieć końca.

- Letnie szaleństwo.

- Słucham?

- Nie, nic takiego. To zwariowana pora roku.

- Cudownie zwariowana. Mam nadzieję, że cię nie obudziliśmy? Oktawian narobił straszego hałasu.

- Nie.

Ducane przyjechał do Trescombe poprzedniego dnia późną nocą, a jeszcze później Kate i Oktawian wrócili z Tangeru. Dziś był piątek, a Oktawian już wyjechał do Londynu na jakieś ważne zebranie.

- Biedny Oktawian, nawet nie zdążył odpocząć po podróży. Ledwo się z tobą przywitał.

- Mhm...

- John, czy wszystko w porządku? Wyglądasz na nieco przygnębionego. Barbie myślała, że jesteś chory, czy coś... Nie wydarzyło się nic przykrego, kiedy mnie nie było?

- Nie, nic się nie stało.

- W każdym razie teraz, kiedy już wróciłam, zamierzam się tobą zająć, utuczyć cię i rozweselić.

- Jak Oktawiana.

- John, ależ ty dziś marudzisz! Nawet mnie nie spytałeś, jak było w Tangerze. Ale i tak ci opowiem. Och, co za wspaniała pogoda! Uwielbiam upalne poranki w Anglii. Wiesz, czego mi brakowało w Afryce? Rosy. Ale chyba tam jednak musi być rosa... Muszę się o to spytać bliźniaków. Wszystko było takie zakurzone. Czujesz jak

rosa chłodzi kostki u nóg? No, tak, ty oczywiście tego nie czujesz - w tych swoich skarpetkach. Nie mam pojęcia, jak ty możesz prażyć się w tych grubych, wełnianych skarpetkach w taką pogodę. Dlaczego nie nosisz sandałów? W Tangerze Oktawian przez cały czas nosił sandały i wyglądał w nich tak młodzieńczo! Usiądźmy tutaj. - Usiadła, rozpościerając sukienkę w biało-czerwone paski. Ducane o mało co nie usiadł na jej brzegu i w ostatniej chwili niezdarnie przesunął ją na bok.

Trawnik przed domem opadał ku kępie liściastej tawuli, teraz obsypanej truskawkoworóżowym kwieciami. Przejście wycięte w krzewie prowadziło na małe, ogrodzone rżysko, stromo schodzące do lasu, ponad którym rozciągało się morze, wypełniając horyzont srebrzystoniebieskim blaskiem. Głośno bzyczały pszczoły. W głębokiej zieleni lasu niewyraźnie widać było ptaki, fruujące między gałęziami. Ducane kichnął.

- Na zdrowie! Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci to siano. Ten zapach nasuwa mi jakieś rozkoszne skojarzenia. Och, John, tak się cieszę, że wróciłam. Jestem trochę zmęczona, ale to nawet przyjemne. To słońce jest okropne, prawda? Zobacz, jak się opaliłam! A Oktawian jest brązowy jak czekolada. No, prawie cały! Kiedy w zeszłym tygodniu nosił fez, wyglądał zupełnie jak eunuch z *Entfuhrung*. Och, John, mam dla ciebie taki śmieszny prezent - marokańskie nakrycie głowy. Robią je wieśniacy.

- Jak to miło z twojej strony.

- Jeszcze nie zdążyłam się ze wszystkimi zobaczyć. Mam nadzieję, że wszystko w porządku? Nic się nie stało, prawda? Wydawało mi się, że wszyscy są jakby podenerwowani.

- Kto jest podenerwowany?

- No, na przykład ty.

- To nie my jesteśmy podenerwowani, tylko ty jesteś wypoczęta. Masz liście winorośli we włosach. Jesteś pełna wina, oliwek, śródziemnomorskiego słońca i...

- Tak, tak. Ale przecież i wy mieliście słoneczną pogodę.

- Nie w moim gabinecie w Białym Domu.

- John, zachowujesz się jak dziecko. Chyba przydałyby ci się wakacje. Muszę o tym porozmawiać z Oktawianem. Och, zobacz, czy to nie kukułka? A tam jeszcze jedna! Chyba się ścigają.

Z lasu wyfrunęły dwa podobne do jastrzębi ptaki. Zawróciły i zniknęły gdzieś między zielonymi dolinami, gdzie słońce usiłowało przebić się przez gęste listowie. „Kuku-kuku”.

- Co za zwiariowane ptaki - powiedziała Kate. - Tylko im seks w głowie. Przez cały dzień nic tylko się ganiają i nie mają żadnych obowiązków. Jak myślisz, noce też spędzają razem?

- Ptaki kopulują w ciągu dnia - odparł Ducane. - W nocy się uspokajają. W przeciwieństwie do ludzi.

- Uwielbiam, kiedy jesteś taki pedantyczny. Ciekawe, dlaczego zdradzonego męża nazywa się „rogaczem”?\* Powinnam się o to spytać bliźniaków!

- Pewnie chodzi o jajka podrzucane do cudzych gniazd.

- Tak, ale w takim razie to kochanek powinien być kukułką, a nie mąż.

- Może to imięśłów bierny - cuckoo-ed\*\*.

- Jaki ty jesteś mądry! Na wszystko masz gotową odpowiedź.

- Bez przesady.

- Tak, wy wszyscy jednak jesteście czymś zdenerwowani. Muszę się wami zająć, każdym z osobna. No i proszę, wystarczy, że mnie nie ma przez parę dni, a od razu wpadacie w przygnębienie. Nie mogę na to pozwolić! Nawet Mary była dziś taka ostra dla bliźniaków. To do niej zupełnie niepodobne! A Paula ma oczy podkrążone aż po brodę. Nie wyglądała na zadowoloną, kiedy jej dałam ten list z Adenu. Barbie jest w jednym z tych swoich antyspołecznych nastrojów i nie zadaje się z nikim, kto nie jest kucykiem, a Pierce jest po prostu niemożliwy. Mary opowiedziała mi jakąś niesamowitą historię o porwaniu Montrose'a.

- Postąpił bardzo źle - powiedział Ducane, - ale już jest po wszystkim. - Kopnął wiązkę skoszonego siana, leżącego u jego stóp i znowu kichnął.

- Mówisz zupełnie jak nauczyciel. Nie zamierzam go karcieć. Zresztą pewnie ty i Mary już to zrobiliście. Uważam, że Barbie zachowuje się wobec niego strasznie. No i do tego jeszcze Theo. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby był taki przygnębiony. Kiedy

\* Nieprzetłumaczalna gra słów: *cuckoo* - „kukułka”, *cuckold* - „rogacz”.

\*\* *Cuckoo-ed* - „Zrobiony w kukułkę”.

dziś rano powiedziała mu „cześć”, spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem. O, właśnie idzie. Zakładam się, że będzie udawał, że nas nie widzi.

Przejsie na drugim końcu kępy tawuli prowadziło do kuchennego ogrodu, a stamtąd wzdłuż postrzępionego głogu schodziła ścieżka, która wiodła wprost do lasu. Była to najkrótsza droga z domu nad morze. Theo bardzo powoli, niepewnym krokiem schodził tą właśnie ścieżką.

- Theo! - krzyknął Ducane zirytowanym i stanowczym głosem.

Theo przystanął, powoli się odwrócił i spojrzał w ich kierunku. Miał nieprzytomne oczy człowieka, który idąc na szafot, nagle słyszy swoje imię niewyraźnie rozlegające się gdzieś w tłumie.

- Theo! - krzyknęła Kate.

Theo uniosł nieco rękę, poruszając nią niezgrabnie, jak gdyby była sparaliżowana od łokcia w dół. Jego dłoń wykonała zwiotczały gest, który mógł uchodzić równie dobrze za powitalne machnięcie, co odesłanie do wszystkich diabłów. Potem znowu powlókł się w kierunku lasu.

- Biedny Theo - powiedziała Kate. - Chyba martwi się o Mary i Willy'ego, prawda?

- Chcesz powiedzieć, że czuje, iż traci Willy'ego? Być może. Podejrzewam, że Willy to jedyna osoba, z którą Theo naprawdę potrafi się porozumieć.

- Bóg raczy wiedzieć, o czym rozmawiają! Tak się cieszę z powodu Mary i Willy'ego, postępują tak właściwie. Może nie będzie to namiętny związek, ale w końcu i oni oboje nie są zbyt namiętni. Według mnie to naprawdę niezwykle mądry ludzie. A Mary jest taka kochana.

- Jest więcej, niż kochana - powiedział Ducane. - Willy miał szczęście.

- Miał niebywałe szczęście i zaraz do niego pójde, i mu to powiem. Miałam dobry pomysł, żeby ich ze sobą połączyć, prawda? W ten sposób zostaną tu oboje.

- Tak myślisz? Nie zdziwiłbym się, gdyby wyjechali.

- Och, nie, nie, nie. Co my byśmy poczęli bez Mary? Nikt stąd nie wyjedzie. Wszyscy jesteście moimi ukochanymi... dziećmi.

- Niewolnikami.

- Jesteś dziś okropny! Gdyby jeszcze tylko nam się udało znaleźć jakiegoś naprawdę miłego mężczyznę dla Pauli. Oczywiście powinien być przeintelektualizowany. Wtedy musielibyśmy chyba wybudować nowy dom. Mary i Willy mieszkaliby w jego domku. Oktawian i tak myślał o budowie drugiego bungalowu koło cementarza. Stąd nie byłoby go widać. Ale ja bym wolała mieć was wszystkich pod jednym dachem. Wiesz, kiedyś bałam się, że się zakochasz w Pauli. Naprawdę się tym martwiłam!

- Uwielbiam Paulę - powiedział Ducane. - Szanuję ją i podziwiam. Ale...

- Ale co?

- Ona nie jest tobą.

- Kochanie, jaki ty dziś jesteś elokwentny! Och, zobacz, dzieci idą nad morze. Bliźniaki! Hej! Poszukajcie wujka Theo i postarajcie się go rozweselić. Przed chwilą wszedł do lasu.

Bliźniaki pomachały do niej i wlokąc białe, kąpielowe ręczniki wzdłuż kłującego krzewu, poszły dalej. Za nimi w podskokach pognął Mingo, co jakiś czas wydając z siebie swe nie morskie, lecz zajęcze szczekanie.

- To jedyne naprawdę udane istoty w naszym domu - powiedział Ducane.

- Jaki jesteś dla nas surowy! Tak, to prawda, bliźniaki są wspańiałe. Super, jak by powiedziała Barbie. Jakie to smutne, że kiedyś dorosną i staną się takimi męczącymi stworzeniami jak Barb i Pierce.

- Chciałaś powiedzieć - seksualnymi stworzeniami. Tak, rzeczywiście są męczący.

- To ty jesteś męczący. Może wreszcie opowiedziałabym ci o Tangerze? Te wszystkie kobiety o zasłoniętych twarzach to było coś niesamowitego. A każda inaczej nosi swoją zasłonę. Nie wszystkim było w tym do twarzy, możesz mi wierzyć. I był tam taki niezwykły rynek...

- Znam Tanger - przerwał jej Ducane.

- Mogę nie opowiadać!

Kate, która zawsze z rozkoszą wyjeżdżała na wakacje, z równą radością wracała do domu. Kochała ludzi, którzy ją otaczali i kiedy wracała, czuła przyjemny dreszczyk podniecenia na myśl, że inni jej



potrzebują. Bardzo lubiła, gdy za nią tęskniono i niezwykle ceniła pierwszą chwilę, w której doświadczyła tego uczucia. Tym razem jednak, jak już powiedziała Johnowi, wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż zwykle. Jej bliscy sprawiali wrażenie zajętych sobą, niemal zbyt zajętych, by należycie cieszyć się z jej powrotu i radośnie skakać wokół niej. „Muszę porozmawiać z każdym z osobna” - postanowiła. - „Muszę się umówić z każdym *tete-d-tete*, z każdym, nawet z Theo. Poczuła się jak lekarz. Ta myśl znowu wprowadziła ją w dobry nastrój.

Nie znaczy to jednak, że przedtem w nim nie była. Czuła jednak, odkąd tuż po czwartej kukułka obudziła ją z krótkiego snu, jakiś niepokój, rozdrażnienie. Później źródło tego niezwykłego wrażenia odnalazła w obecności Ducane'a, w świadomości tego, że jest blisko niej. Jeżeli inni byli nie w humorze, z łatwością mogła ich wyleczyć. Ale przygnębienie Johna, jego tendencja do bycia „okropnym”, głęboko ją dotykały. Między nimi chwilowo, tylko chwilowo, układało się nie najlepiej. Kate pomyślała ze smutkiem, że doskonale wie, co spowodowało tę dzisiejszą dysharmonię. Miała tylko nadzieję, że i John o tym wiedział.

Kate spędziła w Tangerze niewątpliwie urocze dwa tygodnie. Nie zamierzała jednak przyznawać się, że większą część swojego tam pobytu spędziła w łóżku z Oktawianem. Gorący klimat tak właśnie go nastrajał, a i ona ulegała tym upałam. Każdego dnia po długim i obficie skropionym winem lunchu gnali prosto z powrotem do hotelu. Oktawian wręcz nie mógł się doczekać. Kate bawiła myśl, że gdyby Ducane o tym wiedział, prawdopodobnie byłby nie tylko zazdrosny, ale i zaszokowany. „Jesteśmy zepsuci jak te kukułki” - pomyślała. - „Tylko, że my oczywiście jesteśmy monogamiczni i dobrzy, a one poligamiczne i złe!” To prawda, że była pulchna, brązowa, tryskająca zdrowiem i energią, wypoczęta i, jak to ujął John, pełna wina, oliwek i śródziemnomorskiego słońca i... Czyżby on jednak wiedział? Na pewno strasznie za nią tęsknił. A teraz, po jej powrocie, w tej magnetycznej chwili wznowionego kontaktu, mógł ze szczególną intensywnością mieć jej za złe, że należała do innego. „Może czuje to po moim zapachu?” - przyszło jej do głowy. Czy to w ogóle jest możliwe? Musi o to spytać..., nie o takie rzeczy nie powinna pytać bliźniaków.

Głośno się roześmiała.

- O co chodzi? - spytał Ducane.

„Jaki on dziś nadęty!” - pomyślała.

- Nic, nic. Myślałam tylko o tamtych psach. Zresztą nieważne. Wydaje mi się, że opis ich figlów mógłby zranić twoje uszy.

Ducane nie miał nastroju na drażnienie kwestii psów. Zaczął wycierać nos w chusteczkę, patrząc wprost przed siebie w las. Oszalałe kukułki znowu przemknęły koło nich. „Kuku-kuku”.

„O tej porze roku zawsze jest w kiepskiej formie” - myślała Kate. - „Strasznie morduje swój nos, jest zupełnie czerwony. Ciągłe łzawią mu oczy. Nie wygląda jak księżę Wellington, bynajmniej. Ale za to ma ładną cerę. Jego skóra jest brązowa, gładka i napięta w miejscach, gdzie wystają kości. Chyba jeszcze bardziej zeszcupłał. Nawet mu z tym do twarzy. Jakie ma tłuste włosy. To chyba od tego upału, a może to pot. Biedaczek, ależ on się poci. Dlaczego w taki skwar założył tę koszmarną flanelową koszulę? Muszę mu kupić nylonową”.

„Trudno się nam dogadać” - pomyślała. - „Nie mogę sobie dać z nim rady. Ale to minie. Dziś pomaga tylko wspólne milczenie. Od początku wiedziałam, że będę musiała popracować nad tym związkiem. Mężczyźni są tacy tępi, nie rozumieją, że uczucia należy pielęgnować. Jeżeli wszystko nie jest w idealnej harmonii, od razu zrzędzą i wpadają w przygnębienie. Chyba jeszcze nie powinnam go całować. Nie pożąda mnie, w tej chwili mnie nie chce.” A potem pomyślała: „I ja jego nie pożądam. Ale chmury pomiędzy nami się rozwieją. Po prostu musimy na nowo się do siebie przyzwyczaić. Nie będę go poganiać. Zostawię go samego na trochę i zajmę się czymś innym.”

- John, nie obrazisz się, jeżeli przejrzę listy? Kiedy wracam z wakacji, zawsze na mnie czeka cała sarta. Mam je tu w koszyku i, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, rzuciłabym na nie okiem. Zostań tu, jeśli chcesz, albo może wolałbyś się przejść na plażę? Barbie powinna teraz wracać z przejażdżki konnej. Pewnie ją spotkasz.

Kate podniosła koszyk i wysypała na suche, jasnożółte podłoże z siana jakieś trzydzieści listów. Schyliła się i zaczęła je odwracać i układać w rządku.

Ducane, nagle zainteresowany, również się pochylił i zaczął przyglądać listom. Nagle, z cichym syknięciem, wyciągnął swą długą rękę i chwycił brązową kopertę, która leżała na końcu jednego z rządków. Odwrócił się i spojrzał na Kate, marszcząc się i mrużąc

swe niebieskie oczy w ostrym słońcu. Mars na czole sprawił, że twarz Ducane'a wydawała się jeszcze bardziej koścista i chuda, przypominała drewniany, namaszczonej olejkami totom.

Kate poczuła lekki przestach. Wyglądał tak surowo. Jej pierwszą myślą było: „Jest o kogoś zazdrosny”. Ale o kogo? Rozpoznał czyjeś pismo. Kate, która była w dość dużej zażyłości z paroma mężczyznami, z humanitarnych powodów wołała, aby jej przyjaciele nie wiedzieli o sobie nawzajem. Jednakże charakter pisma na kopercie, z tego, co zdążyła zauważyć, dosyć niewyroblony, wydawał jej się nieznajomy.

- Co jest? - spytała rozbawionym tonem. - Kradniesz moją pocztę! - Wyciągnęła rękę, lecz Ducane nie oddał jej listu.

- Co się dzieje, John?

- Czy możesz mi wyświadczyć ogromną przysługę?

- Ale o co chodzi?

- Nie czytaj tego listu.

Kate spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- Bo zawiera coś bardzo nieprzyjemnego, coś, o czym nie powinnaś wiedzieć.

- Ale co?

- To... to coś, co dotyczy mnie i jeszcze jednej osoby. Coś, co jest już tylko przeszłością. Ten list napisał pewien bardzo zły i wścibski człowiek. Absolutnie nie ma sensu, żebyś go czytała. Później o wszystkim ci opowiem, jeżeli będziesz chciała.

Kate odwróciła się do niego twarzą; siedzieli teraz kolano przy kolanie. Rąbek jej pasiastej sukienki omiatał podściółkę z siana. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Nadal była nieco wystraszona powagą Ducane'a, choć ulgę przyniosło jej odkrycie, że to jego, a nie jej sekret właśnie wychodzi na jaw. „A może kiedyś był homoseksualistą?” - przemknęło jej przez myśl. - „Nie rozumiem, że nie robiłabym mu żadnych wyrzutów.” Była strasznie ciekawa tego listu.

- Ale jeżeli to należy do przeszłości, a ty i tak mi o wszystkim opowiesz, to dlaczego nie mogę zobaczyć tego listu? Co to szkodzi?

- Lepiej nie rozdrapywać starych ran. Taki naprawdę zły list powinno się przeczytać tylko raz i od razu zniszczyć, a najlepiej nie

czytać go w ogóle. Lepiej nie mieć nic wspólnego z podejrzeniami i nienawiścią. Proszę, pozwól mi zniszczyć ten list, Kate. Proszę.

- Nie rozumiem - powiedziała Kate. - Ten list, cokolwiek zawiera, nie może ci zaszkodzić w moich oczach. Jak ty mało mi ufasz! Nic nie może zmniejszyć mojej miłości do ciebie. Przecież o tym wiesz.

- To coś, czego nie mogłabyś zapomnieć - odparł Ducane. - Takie rzeczy są jak trucizna. Wolałbym ci to wytłumaczyć sam. Na pewno mnie zrozumiesz.

- Nie, nie mogę tego zrozumieć - powiedziała Kate. Przynęła się do niego tak, że teraz ich kolana się dotykały. - Lepiej będzie, jak przeczytam ten list. Inaczej będę się w nieskończoność zastanawiać, co w nim było. Daj mi go.

- N i e .

Kate nieco się odsunęła i roześmiała.

- Czy ty przypadkiem nie wystawiasz na próbę mojej kobiecej ciekawości?

- Proszę cię, byś się wzniosła ponad swoją kobiecą ciekawość.

- Mój ty Boże, ależ my dzisiaj moralizujemy! John, miej odrobinę zdrowego rozsądku! Strasznie chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi! Nic ci się przecież nie stanie. Kocham cię, ty głupcze!

- Powiem ci, o co chodzi. Nie chcę tylko, żebyś to zobaczyła.

- Nie jestem znowu taka wrażliwa! - Kate wyrwała mu list z ręki, wstała i odeszła parę kroków na bok.

Ducane spojrział na nią posępnie; pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Znieruchomiał w tej pozie pełnej rezygnacji i rozpacz.

Kate czuła teraz ogromny niepokój. Wahała się. Przez chwilę obracała list w palcach, aż wreszcie ciekawość wzięła górę. Otworzyła kopertę.

Były w niej dwa listy. Pierwszy wyglądał następująco:

*Szanowna Pani!*

*Świadom pani uczuć wobec pana Johna Ducane'a, jestem pewien, że zainteresuje panią załączony list.*

*Z poważaniem*

*Życzliwy.*

Drugi list był w kopercie zaadresowanej do Ducane'a.

*Mój najdroższy, mój najdroższy, przesyłam Ci moje codzienne pismo, żeby powiedzieć Ci to, o czym już wiesz: kocham Cię aż do szaleństwa. John, wczoraj byłeś dla mnie taki słodki, a ja zachowałam się tak okropnie. Wiesz, jak niewymownie jestem wdzięczna, że zostałeś. Potem leżałam na łóżku przez godzinę i płakałam - z wdzięczności. Czyż miłość nas nie zniewoliła? Co dzień będę Cię zapewniać o moim uczuciu do Ciebie. Widzę przed nami wspólną przyszłość. Jestem Twoja, Twoja, Twoja*

*Jessica*

Kate spojrzała na datę. Zrobiło jej się słabo, jak gdyby w brzuch wbito jej kawał żelaza. Chwyliła się oparcia, odwróciła, jak gdyby miała usiąść, a potem nieco się odsunęła i opadła na trawę, kryjąc twarz w dłoniach.

- No i co? - spytał Ducane po chwili.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś mi dać tego listu - powiedziała drżącym głosem.

- Przepraszam. - Był dość spokojny, choć nieco zmęczony. - Niewiele mam do powiedzenia. Byłaś pewna, że to niczego między nami nie popsuje i teraz mogę tylko mieć nadzieję, że miałaś rację.

- Ale przecież mówiłeś, że to już tylko przeszłość...

- Bo tak jest. Nie mam romansu z tą dziewczyną, choć z listu wynika co innego. Od dwóch lat nie jestem jej kochankiem, lecz zabrakło mi odwagi, żeby z nią zerwać.

- Ależ oczywiście, że możesz się spotykać, z kim tylko chcesz i robić, co ci się żywnie podoba - powiedziała z wymuszoną swobodą.

- Wiesz, że nie chcę cię w żaden sposób krępować. Jakże bym mogła? Jestem tylko trochę zdziwiona, że... mnie zwodziłeś...

- Okłamywałem cię. Tak. - Ducane wstał. - Lepiej już pójdę. Będziesz to musiała przemyśleć, Kate. Postąpiłem źle i w pewien sposób zawiodłem cię. Dawałem ci do zrozumienia, że nie mam żadnych zobowiązań. Przepraszam.

- Nie wrócisz do Londynu?

- Nie, chyba nie.

- Och, John, co się z nami dzieje?

- N i c .

- Nawet... mi niczego nie... wytłumaczysz?

- Mam dosyć wyjaśnień, Kate. Mam dosyć samego siebie. -  
Szybkim krokiem oddalił się tunelem w kępie tawuli.

Kate na kolanach pozbierała listy i włożyła je do koszyka. Po jej nagrzanych od słońca policzkach pociekły łzy. Gdzieś w lesie, głucho i z wahaniem, zakrzyczała kukułka: „Ku-kuu... ku-kuu...”.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

- Niedługo coś się wydarzy - obwieścił wszystkim Pierce.

Było już po sobotnim lunchu. Ducane, Mary i Theo jeszcze siedzieli przy stole, paląc papierosy. Kate i Oktawian przenieśli się na kanapę i głośno rozmawiali. Paula wyszła na trawnik, gdzie bliźniaki zaczęły się bawić w „borsucze miasto”. Barbara siedziała na parapecie, czytając *Życie na wsi*. Pierce stał koło kuchni w pozie baletmistrza.

- Co się wydarzy, kochanie? - spytała Mary.

- Coś nagłego, coś strasznego.

Barbara nadal była pochłonięta czytaniem artykułu.

- Już zrobiłeś coś nagłego, coś strasznego - powiedział Ducane.

- Chyba powinieneś być zadowolony ze swojej przestępczej kariery.

- To będzie straszne dla ciebie, czy dla kogoś innego? - zainteresował się Theo.

- Poczekaj, a zobaczysz.

- Ale ty jesteś nudny - odezwała się wreszcie Barbara. Rzuciła gazetę na parapet i szybko wyszła na trawnik przed domem. Chwilę później rozległ się jej głośny śmiech.

Pierce usiadł na parapecie i wbił wzrok w egzemplarz *Życia na wsi*. Był zarumieniony i wyglądał, jak gdyby miał wybuchnąć płaczem. Trójka przy stole natychmiast zmieniła temat. Po jakiejś minucie Mary wstała i powiedziała coś cicho do Pierce'a, który pokręcił głową. Mary wyszła do kuchni. Ducane zgasił papierosa i poszedł za nią. Niewypowiedzianie dręczył go widok Kate i Oktawiana.

- Może ci w czymś pomóc, Mary? Nie będziesz chyba zmywać naczyń?

- Nie, Casie to zrobi. Wyszła na chwilę do ogrodu po karczochy na obiad. W tym roku pojawiły się tak wcześnie. Zaniosem trochę truskawek Willy'emu.

- Mogę pójść z tobą?

- Tak, oczywiście.

„Nie chce mojego towarzystwa” - pomyślał. - „Odprowadzę ją tylko do domku. I gdzie ja się teraz podzieję?”

Kuchnię wypełnił aksamitny zapach truskawek. Mary przykryła koszyk białą ściereczką. Wyszli przez tylne drzwi i ruszyli pod górę wysypaną żwirem ścieżką. Było bardzo gorąco. Wielkie, pomarańczowe, puchate pszczoły mozolnie gramoliły się do kwiatów lwich paszczy. Stado szczygłów, które pod ceglany ogrodzeniem szukały ziarenek, pierzchło pomiędzy szerokie, blade liście surmii.

- Spójrz na te osty! Nietrudno się domyślić, kiedy ogrodnik jest na urlopie. Muszę wypielić te chwasty. Casie ich nie cierpi.

- Ja to zrobię.

- Nie wygłupiaj się, John. Jesteś na wakacjach. Kate chyba by zemdłała, widząc cię pielącego chwasty. Nie jest ci gorąco w tej koszuli?

- Nie, nawet lubię tak się topić z gorąca.

- Chciałabym, żebyś porozmawiał z Pierce'em.

- To znaczy...?

- Powiedz mu, żeby postarał się zacisnąć zęby. Inaczej ciągle będzie irytował Barbarę i nas. Wiem, że to straszne, ale jakoś musi się z tym pogodzić. Ciągle próbuję go namówić, żeby pojechał do Pember-Smithów. Mają nawet jacht!

- Jeżeli tobie się nie udało go przekonać, to co ja tu mogę poradzić?

- Ja nie jestem dla niego autorytetem. W przeciwieństwie do ciebie. Mógłbyś z nim poważnie porozmawiać. Odkał go uderzyłeś, odnosi się do ciebie z takim szacunkiem. Mówiłam, że tak będzie.

- No, cóż, spróbuję.

- Dzięki. I bardzo bym chciała, żebyś poważnie porozmawiał również z Paulą. Strasznie się czymś martwi, ale nie chce mi powiedzieć, o co chodzi, choć pytałam wiele razy. Tobie powie.



Strasznie cię lubi i liczy się z twoim zdaniem, zresztą jak my wszyscy. Wyciągnij z niej, co się dzieje.

- I ją bardzo lubię - powiedział Ducane. - Zdaje się, że...

- Świetnie. I nie pozwól, żeby się wykręciła byle czym. Jesteś wspaniały, John. Całkowicie ci ufam. Nie mam pojęcia, co byśmy bez ciebie zrobili.

- Chryste Panie... - westchnął Ducane.

List od Jessiki w efekcie zbliżył Kate i Oktawiana w jakiś całkiem nowy sposób, nowy przynajmniej dla Ducane'a. Nigdy przedtem nie czuł seksualnej zazdrości o Oktawiana. Teraz tak. Nie wątpił, że Oktawian wie o jego niewierności, choć oczywiście nie dawał po sobie tego poznać. Chodził po domu uśmiechając się tajemniczo i przypominając teraz bardziej niż kiedykolwiek grubego, złotego Buddę. Kate unikała spotkań sam na sam z Ducane'em. Miał wrażenie, że sama nie może się rozeznać w swoich uczuciach. Być może Kate z radością powitałaby jego próbę wytłumaczenia się, usprawiedliwienia, ale Ducane, choć nie mógł zmusić się do powrotu do Londynu, nie był również w stanie porozmawiać z Kate. Czuł też, że nie powinien rozmawiać z Kate, choć nie pojmował dlaczego. Wiedział, że jego obecna niechęć do rozmowy i niemożność usprawiedliwienia się podczas tamtego spotkania sprawiały, że cała sprawa wyglądała na o wiele poważniejszą i trudniejszą niż była w rzeczywistości.

Czyż jednak nie była poważna i trudna? To on sam ją zbagatelizował, rozmyślnie tłumiąc swe uczucia, a jednocześnie pozwalając, by Jessica trwała w swym urojonym świecie marzeń. Teraz łatwo było dostrzec, że postąpił źle. Kate widziała wszystko w fałszywym świetle i jeżeli myślała, że Jessica nadal jest jego kochanką, to był to całkowicie mylny osąd.

Kiedy McGrath zadzwonił do biura Ducane'a, ten oczywiście wysłał go do wszystkich diabłów. Ich rozmowa trwała jakieś czterdzieści sekund. Tymczasem Ducane rozpaczliwie usiłował skontaktować się z Jessiką. Dzwonił do niej z dziesięć razy, wysłał do niej kilka listów i telegram z prośbą o telefon. Trzy razy poszedł do jej mieszkania, ale nie zastał jej w domu. Niepodobne to było do Jessiki, która, jak sobie przypomniał z bólem, całe dni przesiadywała w domu w nadziei, że Ducane do niej zadzwoni lub napisze. Uczucie, którego

doznał, odchodząc od jej drzwi, dziwnie przypominało odrodzoną miłość. Po trzecim telefonie nie miał już wątpliwości, że Jessica stała się pierwszą ofiarą podłości McGratha i nawet obawiał się, czy nie odebrała sobie życia. Obraz Jessiki, bladej i smukłej, leżącej na łóżku, z jedną, zwisającą ku ziemi, sztywniejącą ręką, towarzyszył mu nawet w snach. Jednak po namyśle doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Miłość Jessiki zawsze była nacechowana dużą drażliwością. Zbawczy egoizm teraz przemienił jej uczucie w nienawiść. Była to niezwykle smutna myśl.

Jego rozmyślenia o Jessice, choć tak gwałtowne, były jak gdyby monochromatyczne. Jego wyobrażenia z wielkim wysiłkiem odtwarzała obraz Jessiki. Miał wrażenie, że Jessica stała się bezcielesną dolegliwością, która atakowała całe jego istnienie. Jakże inne były jego myśli o Judy McGrath! Z niezwykłą wyrazistością pamiętał scenę w sypialni, a właściwie istniała ona w jego umyśle przez cały czas, jak gdyby nieustannie unosiła się na poziomie jego oczu, niczym jakiś oślepiający romb, który obwieszcza obecność Świętej Trójcy jakiemuś oszołomionemu świętemu. Gorąco żałował, że nie kochał się wtedy z Judy. Jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, że byłoby to uczciwym uczynkiem, lecz inny głos twierdził, że to nieprawda. Kiedy popada się w fałsz, rozum zostaje całkowicie zmacony. Istnieje logika zła, a Ducane czuł się w nią zaplątany. Jednakże to piękne, rozciągnięte na łóżku ciało Judy, jego morelowy kolor, połyskliwa skóra, jego ciężar przesładowały go z dręczącą wyrazistością i potwornie konkretnym bólem.

„I w takiej właśnie chwili” - pomyślał Ducane, - „kiedy tkwię w tym poniżającym bagnie, w tym obłąkanym stanie umysłu, w takiej właśnie chwili mam być sędzią innego człowieka.” Nieustannie myślał o Birannie, czy może raczej upiór Biranne'a wszędzie mu towarzyszył, nie odstępując go ani na krok. Duch ten go nie oskarżał, lecz unosił się przed nim - to po prawej, to po lewej stronie, będąc czymś w rodzaju *alter ego*. Ducane nie wiedział, jak mógłby darować Biranne'owi. Perspektywa zrujnowania mu kariery, ściągnięcia na niego niełaski i rozpacz była tak przerażająca, że Ducane niemalże fizycznym ruchem wciąż odsuwał ją od siebie. Nie istniało jednak inne wyjście i Ducane wiedział, że już niedługo, choć jeszcze nie teraz, będzie musiał stać się jednym z trybów tej nieczułej

machiny prawa, która była jedyną istotną i ważną rzeczą. Listu Radeechy'ego nie można było zataić. Stanowił on kompletne, jasne i zadowalające rozwiązanie tajemnicy, którą Ducane miał zbadać. W żadnym wypadku, pomijając już to dochodzenie, mordercy nie powinno się ukrywać. Ducane świadom był niebezpieczeństwa, jakie pociągało za sobą jakiegokolwiek przemilczenie. Nie zamierzał dzielić sekretu z Biranne'em - człowiekiem, którego nie lubił i któremu nie ufał. Pozostawała też kwestia McGratha, który mógł wiedzieć więcej, niż Biranne przypuszczał. Ducane wiedział, że jeżeli później wyszłoby na jaw zatajenie tak szalenie ważnego dokumentu, byłby skończony.

- John, co ci jest?

W milczeniu szli aleją. Powietrze było przesiąknięte mdłym zapachem wierzbówki kipyrcy. W brązowym mroku listowia zatrzepotał strzyżyk, towarzyszący im w wędrówce na wzgórze.

- Nic, nic, wszystko w porządku - odparł Ducane nieco poirytowanym głosem. - Tylko, że miewam koszmary.

- To znaczy prześladują cię złe sny, myśli?

- I to, i to.

Ostatniej nocy śniło mu się, że zabił jakąś nieznaną kobietę i usiłował ukryć ciało pod stertą martwych gołębi, gdy wtem został przyłapany przez jakiegoś przerażającego intruza. Tym intruzem okazał się Biranne.

- Opowiedz mi o nich - poprosiła Mary.

„Dlaczego zawsze muszę pomagać ludziom” - pomyślał Ducane, - „a sam nigdy nie otrzymuję pomocy? Chciałbym, żeby ktoś potrafił mi pomóc. Chciałbym, żeby Mary potrafiła mi pomóc.”

- Chodzi o czyjś sekret - powiedział.

- Usiądźmy tu na chwilę. - Dotarli do lasu. Mary usiadła na pniu powalonego drzewa, a Ducane dołączył do niej. Zaczął stopą ociosywać jakiś grzyb koloru pergaminu, rosnący falistymi warstwami pod pniem. Delikatny, brązowy spód grzyba, gęsto plisowany jak dziewczęca sukienka, posypał się suche brzoźowe liście. Koło nich dwa ciekawskie gile buszowały w miniaturowej dżungli trybuli leśnej i dzięgielu.

- Pokłóciłeś się z Kate? - spytała Mary. Nie patrzyła na niego. Postawiła koszyk na ziemi i wbiła weń wzrok, kołysząc go lekko opaloną stopą odzianą w sandały.

„Jest spostrzegawcza” - pomyślał. - „Cóż, to pewnie aż nadto widoczne”.

- Tak. Ale to... to nie wszystko.

- Kate wkrótce do ciebie wróci i wszystko naprawi. Bardzo cię kocha. A o co jeszcze chodzi?

- Muszę podjąć decyzję dotyczącą kogoś.

- Dziewczyna?

To pytanie z lekka go zaskoczyło.

- Nie, chodzi o mężczyznę. To dosyć poważna decyzja, która wpłynie na całe życie tej osoby i jest mi szczególnie głupio ją podejmować właśnie teraz, kiedy czuję się tak... zdeorientowany i niemoralny.

- Zdeorientowany i niemoralny. - Mary powtórzyła to dziwaczne określenie takim tonem, jak gdyby doskonale wiedziała, co ono oznacza. - Ale wiesz, jak podjąć tę decyzję, to znaczy - znasz jej mechanizm?

- Tak, wiem, jak to zrobić.

- W takim razie czy nie powinieneś pomyśleć raczej o tej decyzji, a nie o sobie? Pozwól, by mechanizm zaczął działać i nie dopuść do tego, by się zaciął.

- Masz absolutną rację - przytaknął. Obecność Mary uspokoiła go. W jakiś dziwny sposób był zadowolony, że nie starała się wybić mu z głowy jego samooskarżeń, a zamiast tego po prostu dała mu właściwą odpowiedź. Umocniła w nim przekonanie o istnieniu niezmiennego moralnego wzorca. Złapał się na tym, że ujął rąbek jej spódnicy i teraz przesuwał go pomiędzy palcami. Była to fiołkoworóżowa sukienka z jakiegoś gnieczonego, podobnego do krepy materiału, mająca rozkloszowaną spódnicę. Gdy poczuł w dłoni dotyk tej materii, nagle przypomniała mu się czerwona, pasiasta sukienka Kate i sukienka Judy w niebiesko-zielone kwiatki. Kobiety i ich sukienki.

- Mary - powiedział szybko, puszcżając rąbek, - chciałbym powiedzieć, że bardzo się cieszę z powodu ciebie i Willy'ego.

- Wiesz... jeszcze nic nie jest ustalone.

- Tak, wiem. Ale tak się cieszę. Pozdrów ode mnie Willy'ego. Nie będę cię już zatrzymywał i chyba sobie pójdę.

- Zgoda. Porozmawiasz z Paulą, prawda? I z Pierce'em?

- Tak. Zrobię to natychmiast, jeżeli tylko któregoś z nich spotkam.

Wstali. Mary zwróciła ku niemu swą pociągłą, bladą twarz, odrzucając do tyłu włosy. Jej oczy w cętkowanym półcieniu wydawały się nieco nieprzytomne. Przez chwilę stali zmieszani, po czym, unosząc do góry dłonie, rozstali się bez słowa.

## Rozdział trzydziesty drugi

- Co ty tam robisz, Mary?
- Zmywam naczynia, Willy.
- Daj spokój, zrobię to później. Chodź, porozmawiajmy.
- Truskawki włożyłam do miski i posypałam cukrem. Moglibyśmy je zjeść do herbaty.
- Dobry pomysł.

Posiłki z Willym wciąż należały do rzadkości i były odświętne jak piknik, jak eucharystia.

Mary wróciła do salonu wycierając ręce w ściereczkę. Panujący w pokoju upał wywołał coś w rodzaju aksamitnej ciszy, w której poruszali się jak w zwolnionym tempie.

Willy siedział wyciągnięty w fotelu koło kominka. Jego koszula była rozpięta aż do pasa, ukazując kręcone siwe włosy na torsie, wyglądające jak jakiś włochaty podkoszulek. Willy zatopił palce w tym futrze i drapał się w zamyśleniu. Mary postawiła krzesło pomiędzy nim a stołem, usiadła i położyła dłoń na jego ramieniu. Nie była to pieszczota; gest ten przypominał raczej mocne uchwycenie czegoś ukochanego, lecz nieożywionego, na przykład kierownicy samochodu.

- Czy Paula przyjdzie na *Eneidę*? Tak się cieszę, że ją na to namówiłeś.
- Nie, dzisiaj zrezygnowała z czytania.
- Dokąd doszliście?
- Do księgi szóstej.

- Co się wydarzyło?
- Eneasze zstąpił do podziemi.
- I co tam robi?
- Właśnie spotkał ciebie sternika Palinurusa. Palinurus usnął, puścił ster statku i utonął. Charon nie chce go przewieźć przez Styks. Palinurus dowiedział się jednak, że ludzie mieszkający w pobliżu miejsca jego śmierci zamierzają zbudować grobowiec ku jego czci, a okolica będzie nazwana jego imieniem. Ta wiadomość dodaje otuchy temu biedakowi bardziej niż cokolwiek innego!

Ta monotonna recytacja przygnębiła Mary.

- Czy uważasz, że każdy kiedyś powinien zstąpić do podziemi?
- To znaczy - w poszukiwaniu mądrości?
- Tak.
- Oczywiście, że nie! Tam jest bardzo ciemno i duszno, i raczej można się przestraszyć, niż czegoś nauczyć. Szkoła życia powinna być jasnym, przewietrzonym i dobrze oświetlonym miejscem!

Mary przypomniała sobie pisk hamulców i tamten straszliwy krzyk. Powinna opowiedzieć o tym Willy'emu. Skoro opowiedziała Johnowi, to tym bardziej powinna opowiedzieć Willy'emu. Tylko, że on by tego nie przyjął tak jak John. Wiedziała zresztą, że dzisiaj powinna być nieporadna i pozbawiona wdzięku.

- Myślisz, że czegoś się nauczyłeś w tamtym miejscu?
- W Dachau? Oczywiście. Nauczyłem się, jak się rozgrzać, ocierając się o ścianę, jak stać się niemal niewidzialnym, kiedy nadchodzili strażnicy, jak mieć bardzo, bardzo długie sny erotyczne...
- Przepraszam. Jestem taka głupia...
- Nie, nie jesteś, moja droga. Ale wątpię, czy zstąpienie do piekła może nauczyć czegoś nowego. Może to jedynie przyspieszyć proces, który już trwa, a najczęściej oznacza to upodlenie. Widzisz, w piekle nie sposób znaleźć siły na zmianę na lepsze. To właśnie oznacza piekło.

- W każdym razie można się przekonać, jakim się jest naprawdę.
- Czasami nawet to się nie udaje. A zresztą, czym jest człowiek? Jesteśmy cieniami, Mary, jesteśmy cieniami.
- Jestem przekonana, że ty się nie upodliłeś.
- Daj spokój, taka ponura rozmowa nie pasuje do pięknej dziewczyny w piękny dzień.

- Willy, będziesz mnie znowu uczył niemieckiego...?  
- Jeżeli tego chcesz, moje dziecko. Ale po co uczyć się niemieckiego? To takie mało ważne. Niemal wszystko jest ważniejsze od nauki niemieckiego.

- Nie mogę niczego z tobą dzielić - poskarżyła się. - Nie mamy wspólnego języka, muzyki, pracy, nic. Jestem tylko... jestem tylko... kobieta.

- Kobieta. Czy to nie wystarczy?

- Nie, to nie wystarczy.

Wstała i podeszła do otwartego okna. Parapet był zakurzony, a na szybie z nici pajęczyny nieruchomo zwisała martwa mucha. „Muszę tu posprzątać” - pomyślała Mary. Na parapecie leżała szwajcarska lornetka również pokryta warstewką kurzu i Mary z roztargnieniem wzięła ją do ręki. W jej czarodziejskim kręgu ujrzała brzeg morza i białą falę ocierającą się o suche kamienie. A potem pojawiły się dwie duże, ciemne, przygarbione postacie. Byli to siedzący tuż nad wodą i pogrążeni w rozmowie Ducane i Paula. Mary z irytacją odłożyła lornetkę.

- Mary.

- Tak, Willy?

- Chodź tutaj.

Wróciła do Willy'ego nieco skrepowana, i stanawszy nad nim zatopiła palce w jego siwych, jedwabistych włosach.

- Mary, nie mogę się z tobą ożenić. Z nikim nie mógłbym się ożenić.

Palce Mary zeszywniały. Wreszcie wyplątała je z bujnych włosów mężczyzny i przesunęła na jego czoło, rozmazując kropelki potu.

- W porządku, Willy.

- Wybacz mi, moja kochana.

- W porządku. Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot.

- Nie sprawiłaś mi kłopotu. Zrobiłaś dla mnie tyle dobrego. Dzięki tobie czuję się o wiele bardziej żywy niż przedtem.

- Cieszę się...

- Mam teraz straszny apetyt. Niedługo będę taki gruby jak Oktawian.

- Cieszę się. Żałuję tylko, że Kate wszystkim o nas rozpowiedziała.



- To przycichnie. Niedługo będzie tak jak przedtem.
- Theo się ucieszy. Bał się, że cię straci.
- Theo to głupiec.
- Będzie tak jak przedtem. - Gładziła jego czoło, patrząc ponad jego głową na półki z książkami. Nie chciała, żeby było tak jak przedtem. Pragnęła wielkich zmian w swoim życiu. Niezdarnie mocowała się z ogromnym, nieokreślonym bólem, który wyrósł przed nią jak niedźwiedź.

- Mary, kocham cię. Nie chcę cię ranić.
- Nic na to nie poradzę, że cierpię... - odparła.
- Głowa do góry. Nie mogę ci dać niczego oprócz miłości, maleńka. To jedyna rzecz, której mam pod dostatkiem.
- Przestań, Willy. Przykro mi, że wszystko zepsułam. Byłam głupia.

- Byłaś cudownie głupia i niczego nie zepsułaś.
- Wszystko przez to lato. Chciałabym, żeby już się skończyło.

Przepraszam, bzdury gadam.

- Powinnaś odpocząć.
- Tak, powinnam odpocząć.
- Ja sam chyba wyjadę, może do Londynu.
- Jedź.

„Co się stało?” - myślała. Odsunęła się od niego z taką grozą, jak gdyby zobaczyła, że Willy rozpada się na kawałki. Wiedziała, że ta radość, którą czerpała z jego obecności, radość pełna nieśmiałej nadziei, może już nigdy nie powrócić. Odebrano im jakąś ceną, choć nieokreśloną szansę.

- Co jest?
- Przepraszam, Willy. Tak strasznie mi przykro.

Łzy napłynęły jej do oczu, ogarniając ją jak nagła burza. Aby je ukryć, przysunęła się do okna i znowu wzięła do ręki lornetkę, mruganiem powstrzymując łzy. Niewidzącym wzrokiem patrzyła w jasny krąg światła. Po chwili mocniej ścisnęła lornetkę.

- Willy, tam się dzieje coś niesamowitego!

## Rozdział trzydziesty trzeci

- Paulo...
- O, cześć, John.
- Czy mogę się z tobą przejść?
- Pewnie.
- Gdzie bliźniaki?
- Poszły popływać z Barbie. Są tam.

Daleko, ponad spokojną taflą wody, którą popołudniowe słońce okryło cieniutką, złocistą mgiełką, wystawały trzy głowy. Plażą szli dwaj tubylcy w towarzystwie, niezdarnie gramolącego się po kamieniach spaniela. Montrose, nieruchoma futrzana kula spoczywająca na falochronie, z wrogością w wąskich oczach obserwował psa. W oddali, tuż nad brzegiem wody, stali Pierce i Mingo.

- Usiądziemy?

Usiedli na gorących kamieniach. Paula obciągnęła na kolana swą żółtą sukienkę. Ducane instynktownie grzebał ręką w żwirze, szukając pod spodem wilgotnej, chłodniejszej ziemi. Zdjął marynarkę.

- Jakie to dziwne, że żaden z tych kamieni nie jest idealnie okrągły - powiedziała Paula niezwykle wyraźnym głosem, do złudzenia przypominającym sposób wyrażania się bliźniaków. Obejrzała z bliska cętkowany, fiołkoworóżowy kamyk, po czym cisnęła go do wody.

„Jest teraz na Morzu Czerwonym” - myślała. - „Płynie na północ.” Nienormalnie wydłużony Eryk, jedna wielka twarz, sunął powoli po spokojnym, nie stawiającym oporu morzu. „Muszę być

absolutnie spokojna. Nie powinnam mieć ani woli ani celu. Po prostu muszę go przetrwać. Spotkamy się w Londynie. Ale czy będzie chciał spać ze mną w jednym łóżku? Może lepiej spotkać się z nim tutaj?" Nie mogła jednak znieść myśli, że przebywałyby z bliźniakami. „Muszę być rozsądna” - powtarzała sobie. - „Muszę być rozsądna.”

- Paulo...

- Przepraszam. Mówiłeś coś?

- Co się dzieje, Paulo? Tylko mi nie mów, że wszystko w porządku. Widzę przecież, że coś cię gnębi.

- Nic mi nie jest.

- Daj spokój, Paulo. Wszyscy widzą, że coś jest nie tak. Powiedz mi, o co chodzi. Może mógłbym ci jakoś pomóc.

A więc wszyscy to dostrzegli.

- Nie możesz mi pomóc, John. Jestem osamotniona jak szaleniec.

- Paulo, masz mi wszystko opowiedzieć.

„A może...?” - pomyślała z wahaniem. Znowu podniosła i obejrzała jakiś niedoskonale kulisty kamyk i rzuciła go w ślad za poprzednim.

- Paulo, moja kochana, proszę cię...

- Gdybym tylko potrafiła to opowiedzieć w absolutnie zimny, obiektywny sposób... - powiedziała głośno do siebie.

- Tak, tak, zrób to. Potrafisz. O co chodzi? Na początek opowiedz mi o tym bardzo ogólnie.

- Chodzi o faceta nazwiskiem Eryk Sears.

- Kto to?

- Mój były kochanek.

- Och...

- Pewnie ci się wydaje, tak jak innym, że to ja się rozwiodłam z Richardem. Otóż nie. To Richard poprosił o rozwód, gdyż miałam romans z Erykiem.

- Kochałaś Eryka?

- Najwidoczniej tak.

- Czy kochasz go nadal?

- Nie, chyba nie.

- Widujecie się?

- Niedługo się zobaczymy. Wraca z Australii, żeby się ze mną spotkać, żeby zażądać swoich praw.

- Nie musisz mu być posłuszna, jeżeli nie chcesz.

- To... o wiele bardziej skomplikowane...  
- Masz wobec niego jakieś zobowiązania?  
- Tak.  
- Dziecko?  
- Nie, nie. To coś straszego. Nie potrafiłabym ci tego powiedzieć.  
- Ale powiesz.  
- Chodzi o Richarda.  
- Zdaje się, że Richard miał setki romansów, zanim Eryk pojawił się na horyzoncie?

- Tak. Tak wszyscy mówią, prawda? Richard nie był mi wierny, co jednak nie usprawiedliwia mojej niewierności. To nawet jej nie tłumaczy. To było jakieś szaleństwo.

- Jaki on jest, ten Eryk? Czym się zajmuje?  
- Jest garncarzem. Jest wysokim blondynem z brodą. A przynajmniej wtedy miał brodę. Jest demonem.

- Jak to było z Richardem?

Paula wzięła głęboki oddech. Miała wrażenie, że jej twarz się kurczy, jak gdyby jakiś potwornie silny wiatr odginał jej ciało do tyłu.

- Pobili się - powiedziała.

Była świadoma niezwykłego spokoju tej sceny. Słońce świeciło wprost w czystą, spokojną wodę, ukazując blade dno morza. W oddali kamienie chrzęściły pod czyimiś stopami. Słychać było przytłumione buczenie silników lądującego gdzieś daleko samolotu. Na horyzoncie rysowały się sylwetki pływających dzieci; ich głosy ginęły w gorącym powietrzu, które delikatnie drżało nad wodą jak ciężki baldachim.

- Co się wtedy wydarzyło? - usłyszała bardzo, bardzo cichy głos Ducane'a.

- Wszystko stało się tak nagle - powiedziała. - Byliśmy w naszym domu, w pokoju bilardowym. Pewnie wiesz, a zresztą może i nie, że w naszym domu w Chelsea jest pokój do bilarda. Richard kiedyś tam grywał. Są w tym pokoju drzwi, prowadzące do ogrodu. Któregoś późnego wieczora Richard powiedział, że musi pojechać w interesach do Paryża. Myślę, że chciał mnie przytapać na gorącym uczynku. Oczywiście powiedziałam mu o Eryku. Powiedziałam mu na samym początku - w jakiś taki zimny, obojętny sposób, a Richard przyjął to równie zimno i obojętnie. Nawet nie wiedziałam, że jest zazdrosny. Myślałam, że może nawet poczuł ulgę. Tego wieczora

Eryk przyszedł do naszego domu. Głupotą było mu na to pozwolić, ale bardzo nalegał. Nigdy przedtem u nas nie był. Chyba po prostu chciał obejrzeć mieszkanie Richarda. Rozmawialiśmy w hallu i chyba właśnie zbieraliśmy się do wyjścia. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że Richard wszedł do domu przez ogród i ukrywa się w pokoju bilardowym, podsłuchując. Gdy tylko usłyszałam szelest, zrozumiałam, co się stało i zapaliłam światło. Eryk i Richard nigdy przedtem się nie widzieli. Staliśmy tak w pokoju bilardowym i nagle Eryk zaczął coś mówić. Nie był jakoś szczególnie zakłopotany; proponował, żebyśmy wyszli z tej sytuacji z honorem. Wtedy Richard po prostu się na niego rzucił. Eryk jest potężnym mężczyzną, ale Richard kiedyś był komandosem i w przeciwieństwie do Eryka umiał walczyć. Uderzył Eryka w szyję i na wpół go ogłuszył. A potem, Bóg raczy wiedzieć, jak to zrobił, wszystko stało się tak nagle, pchnął Eryka o ścianę i przywalił go stołem do bilarda.

- Mój Boże... - powiedział Ducane cicho.

- Wyobrażasz sobie, ile waży taki stół - powiedziała Paula. Mówiła z pewnym rodzajem pedanterii, utkwivszy wzrok w jakimś kamyku. - Krawędź stołu przygniotła mu stopy, a blat przycisnął do ściany. Eryk zaczął krzyczeć. Zaczęliśmy z Richardem podnosić stół. Wyglądało to niesamowicie. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, tylko razem ciągnęliśmy stół. Eryk wciąż krzyczał. W końcu stół nieco się przechylił, Eryk osunął się na podłogę, a Richard wyciągnął go na powietrze. Eryk był dosłownie nieprzytomny z bólu. Zadzwoiłam po pogotowie.

Zamilkła.

- I co dalej? - spytał Ducane tym samym cichym głosem, niemalże szeptem.

- Pojechałam z nim do szpitala. Richarda następnym razem zobaczyłam na sprawie rozwodowej.

- Czy Eryk był poważnie ranny?

- Nie miał żadnych poważnych obrażeń wewnętrznych - odparła wyraźnie, - ale stół zmiażdżył mu jedną stopę. Musieli mu ją amputować. - Po czym dodała. - Oczywiście udawaliśmy, że to był wypadek.

- Rozumiem - powiedział Ducane po chwili milczenia. - Co się stało potem?

- Cóż, potem stało się to, że odeszłam również od Eryka. Nie mogłabym wrócić do Richarda, nawet mi to nie przyszło do głowy, a zresztą następnego dnia on sam napisał do mnie z prośbą o rozwód. Myślę, że i on nie mógł znieść tej sytuacji. Ale ja nie mogłam zostać z Erykiem. Jego porażka po prostu nas rozdzieliła. Dosłownie nie mogłam na niego patrzeć, a myślę, że i on nie mógł znieść mojego widoku. Przez jakiś czas było po prostu strasznie; niemal odchodziłam od zmysłów. Porzuciłam Eryka, a on po prostu odsunął się ode mnie - jakby odruchowo. Nadal się widywaliśmy, ale nasze spotkania przypominały jakiś koszmar. W końcu powiedział, że wyjeżdża do Australii. Oboje odetchnęliśmy z ulgą.

- I co dalej...?

- Potem napisał do mnie, że spotkał na statku jakąś wspaniałą dziewczynę i zamierza się z nią ożenić. Naprawdę mi ulżyło. Przez jakiś czas nie miałam od niego żadnych wiadomości, aż w końcu cztery tygodnie temu przyszedł list. Eryk napisał, że jednak się nie ożenił i, że jedyną rzeczą, której pragnie, jest spotkać się ze mną. Jego statek ma przyplłynąć w przyszłym tygodniu.

- Ty się go boisz - stwierdził Ducane.

- Tak. Zawsze trochę się go bałam. Dziwne, ale nigdy nie bałam się Richarda, choć jego agresja była o wiele bardziej oczywista.

- Powiedziałaś, że Eryk to demon.

- Tak. Dziwne, bo to człowiek dosyć absurdalny. Początkowo chyba go za takiego uważałam, przypominał mi jakiegoś pompatycznego aktora teatralnego. Ma jednak w sobie coś zniewalającego, jakiś zwierzęcy magnetyzm - taki, jaki niekiedy miewają kompletni głupcy. Nie, żeby Eryk był głupi. Chciałam powiedzieć, że to nie miało nic wspólnego z umysłem, przynajmniej nie z umysłem racjonalnym. To coś niemalże fizycznego. Być może to właśnie mnie w nim pociągało. Richard jest takim intelektualistą, nawet jego zmysłowość jest intelektualna. Eryk był jak grudka ziemi, czy raczej jak morze. Zawsze mi się kojarzył z morzem.

- Czy w ogóle chcesz się z nim spotkać?

- Nie. Ale muszę. Muszę... znowu przez to przejść.

- Domyślam się - powiedział Ducane, starannie wymawiając każde słowo, - że czujesz się tak, jakbyś była mu coś winna. Zupełnie jakby łączyły was jakieś szczególne więzy...

- Dokładnie. Więzy krwi. Wydaje mi się, iż on wierzy, że ciąży na nim jakieś przekleństwo, które tylko ja mogę zdjąć. W jego życiu jest coś strasznego, co tylko ja mogę usunąć. Dlatego właśnie muszę stawić mu czoła, i to sam na sam.

- Naprawdę wierzysz, że możesz coś dla niego zrobić? Mimo tego, że go nie kochasz? A może czujesz, że mogłabyś znowu go pokochać?

- Nie! Nie wiem, czy będę mogła coś zrobić. Niekiedy wydaje mi się, że Eryk chce mnie w jakiś sposób ukarać. Są takie dni, kiedy podejrzewam, że wraca po to, żeby mnie zabić. Albo upokorzyć. Po prostu nie wiem, co się stanie. Wiem tylko, że cokolwiek by to miało być, musi się wydarzyć. W przyszłym tygodniu.

Ducane ze zmarszczonym czołem zapatrzył się w świetliste morze.

- Kto jeszcze zna tę historię?

- Nikt. Tylko Richard i Eryk.

- Dlaczego nikomu o tym nie opowiedziałas?

Zawahała się.

- Duma.

- Rozumiem. I to właśnie ona uczyniła taki koszmar z tego wydarzenia. Zostałaś zatruta przez demona żyjącego w Eryku.

- Tak. Wszystko to było druzgoczące. A najbardziej ucierpiało pojęcie, jakie miałam o samej sobie. Dziwne. Chyba właśnie dlatego nawet nie próbowałam powstrzymać Richarda przed rozwodem. Po tej scenie w pokoju bilardowym coś we mnie się załamało. Zupełnie, jak gdyby czyjaś wina przemieniła się w przedmiot, który wbito mi w brzuch.

- Musisz się od tego uwolnić, Paulo, i to nie tylko dla dobra Eryka, ale przede wszystkim dla siebie samej.

- Możliwe. Ale kiedy Eryk przyjedzie...

- Wtedy powinnaś zachować zdrowy rozsądek. Doskonale rozumiem, co czujesz. Oczywiście musisz spotkać się z Erykiem sam na sam, ale uważam, że powinno się to odbyć w zdrowej atmosferze. To znaczy powinni być wokół was ludzie. Powinien poznać twoich przyjaciół, musi zobaczyć, że masz wsparcie, że masz swoje życie. Posłuchaj, w przyszłym tygodniu będę w Londynie...

Rozległ się chrzęst kamyków i koło nich, jak jaszczurka, przesunął się jakiś cień. Był to wujek Theo.

W jaskrawym świetle wyglądał blado; zaokrąglona kopuła włosów niczym hełm otulała jego skurczoną, psią twarz. Spojrzał na nich z lekką odrazą.

- Paulo, listy do ciebie - powiedział. Na kamienie upadły trzy koperty. Theo przez chwilę ociągał się, jak gdyby oczekiwał na rozkazy, po czym, zanim Ducane zdążył cokolwiek powiedzieć, szybko odwrócił się i odszedł zgarbiony, hałaśliwie szurając nogami po żwirze.

Paula popatrzyła za Theo.

- Ostatnio wygląda na bardzo przygnębionego. Ciekawe, co, u diabła, dzieje się w jego głowie? Biedny Theo. John, naprawdę chciałabym, żebyś z nim poważnie porozmawiał. Wyciągnij z niego, o co chodzi. Tobie powie.

Ducane parsknął ironicznym śmiechem.

- Och! - Paula spojrzała na koperty. - List od Eryka. Jest w Suezie.

- Lepiej przeczytaj go od razu - powiedział Ducane. Odwrócił się i mrużąc oczy w słońcu zaczął szukać wzrokiem pływających dzieci. Zauważył, że jest odpływ, gdyż pasmo czerwonych wodorostów, widoczne tylko podczas odpływu, teraz odcinało się ciemniejszą plamą od przejrzystej, zielonkawej wody, która od chwili ich przyjscia cofnęła się już o kilka metrów. W oddali majaczyła sylwetka Theo.

Po chwili Ducane usłyszał obok siebie jakiś dziwny dźwięk. Odwrócił się i zobaczył, że Paula ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona drżały.

- Co się stało, Paulo?

Spod osłaniającej jej twarz dłoni wydobył się niski, ochrypły dźwięk. Paula wyciągnęła drugą rękę i rzuciła mu list od Eryka. Ducane rozwinął go i zaczął czytać.

*SS Morania*

*Suez*

*Moja droga Paulo!*

*Nie będę owijać w bawełnę: piszę po to, by Ci powiedzieć, że poznałem na statku pewną absolutnie wspaniałą dziewczynę i zamierzam się z nią ożenić. Jakże dziwne jest życie! Zawsze miałem wrażenie, że jestem marionetką w rękach bogów, lecz i oni niekiedy działają w tak zaskakujący sposób! Wiedziałem, że będę musiał wrócić do Anglii - dlatego, że Ty tego*



*potrzebowałaś. Ale teraz wydaje mi się to tak nieważne. Przepraszam, że tak to ujmuję, ale myślę, że winien Ci jestem szczerość. Zrozumiałem, że to, co kiedyś zdawało się być pragnieniem zobaczenia Ciebie, tak naprawdę było jedynie jakimś niepokojem ducha, a może raczej magnetyzmem mojego przeznaczenia. Tak dobrze mi się teraz wiedzie! Tutaj schodzimy ze statku i lecimy do Kairu. (Jak zapewne pamiętasz, zawsze chciałem zobaczyć piramidy.) Potem lecimy do Nowego Jorku i do Chicago, gdzie mam poznać rodzinę Angeliki. (A przy okazji: jej ojciec to jakaś ważna osobistość w świecie sztuki i Angelika jest strasznie bogata, chociaż oczywiście nie to jest ważne. Początkowo nawet o tym nie wiedziałem. To wspaniała dziewczyna.)*

*Przepraszam, droga Paulo, że tak się chwale, ale nie ma sensu zwlekać z dobrymi wiadomościami. Doskonale rozumiem, jak bardzo musiałaś na mnie czekać i jak wiele się spodziewałaś. Wierz mi, że brałem to pod uwagę, ale uważam, że teraz nie powinniśmy się spotykać. Angelice trudno byłoby to zrozumieć. Jest niezwykle promienną osobą, więc nie chcę jej niepokoić pewnymi smutnymi faktami z mojej przeszłości. (Mówię to na wypadek gdybyś ją kiedyś poznała, choć to raczej mało realne. Po ślubie wybieramy się w podróż dookoła świata, a potem zamieszkamy prawdopodobnie w San Francisco, gdzie będzie mi się doskonale pracowało.) Jestem przekonany, że wybaczysz mi tę zdradę. Jesteś taka rozsądna, nie ulegasz zawiści, zazdrości, ani nie poddajesz się przygnębieniu. Ufam i wierzę, że wkrótce sama będziesz się cieszyć moim szczęściem, nie czując żadnej urazy za to, że nie udzieliłem Ci pomocy, której oczekiwałaś tylko ode mnie. Może sprawi Ci to przyjemność, jeżeli powiem, że czuję się szczęśliwy i uwolniony od przeszłości. Moim najszczerzym pragnieniem jest, byś któregoś dnia mogła powiedzieć to samo o sobie.*

*Eryk*

*P.S. Proszę Cię, zniszcz ten list.*

Ducane odwrócił się i spojrzął na Paulę. Była zmieniona. Jej twarz jak gdyby się powiększyła, wygładziła, oczy i usta rozciągnęły się i Ducane zrozumiał, że Paula się śmieje. Jej twarz - przedtem ukryta pod ciasną maską - teraz była rozluźniona i promieniejąca. Gdy Paula zatrzęsa się i znowu wybuchnęła śmiechem, Ducane również zaczął się śmiać i śmiali się tak oboje, kołysząc się i powodując małe lawiny kamyków, które obsuwały się do wody.

Wreszcie Paula podniosła list, który upadł pomiędzy nich, i podarła go na strzępki a następnie rozrzuciła je wokół siebie.

- I już po strachu!

- Teraz rozumiem, co to znaczy „absurdalny”! - wykrzyknął Ducane.

- Eryk ma szczęście do statków!

- Dobra, stara Angelika! Niech ją Bóg ma w swojej opiece!

- On chyba naprawdę sobie wmówił, że go prosiłam o powrót!

- Paulo, znowu jesteś radosna - powiedział Ducane. Ujął rąbek jej żółtej sukienki.

- Tak, John. Nie wiem, jak ci dziękować...

- Nie żałujesz, że mi powiedziałaś, prawda?

- Nie, nie. Teraz wiem, że to było konieczne.

Ducane nieco ociężale się podniósł. Założył marynarkę, poprawił kołnierzyk i przeczesał palcami włosy. Zobaczył, że plażą biegną w ich kierunku Barbara i bliźniaki.

- Paulo, czy wciąż kochasz Richarda? - spytał nagle.

- Tak - odparła bez wahania. - Ale oczywiście nie ma...

- Co, dlaczego? Spójrz na dzieciaki. Barbie, co się stało, co się stało?

- Chodzi o Pierce'a. Wpłynął do jaskini Gunnara i mówi, że nie wypłynie, że zostanie tam aż do przypływu! On nie żartuje, wiem, że nie żartuje!

## Rozdział trzydziesty czwarty

W jaskini było nadspodziewanie cicho. Pierce płynął żabką, prześlizgując się przez wodę jak ryba. Miał na sobie spodnie, sweter, wełniane skarpetki i buty. Z kieszeni spodni wystawała mu elektryczna, wodoodporna latarka, którą Pierce dodatkowo przytroczył sobie do pasa sznurkiem. Miał też zegarek - również wodoodporny. Już teraz był w jaskini o wiele głębiej, niż kiedykolwiek przedtem; światło dzienne, wpadające przez niski łuk wejścia, robiło się coraz bardziej przyćmione. Przed sobą widział regularne ruchy swych jasnych, niemal fosforyzujących rąk, rozdzierających ciemną tafłę wody. Wokół panowały egipskie ciemności.

Pragnienie Pierce'a, by przesiedzieć w jaskini cały przypływ, od dłuższego czasu stało się tak przemożne i obsesyjne, że wykluczyło jakiegokolwiek rozważania na temat: co potem? Pomysł ten niewątpliwie był związany z Barbarą, ale być może bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że pojęcie jaskini pochłonęło pojęcie Barbary. Drogę ku tej magnetycznej ciemności wskazywała mu jakaś ogromna czarna strzała. Upokorzenie, odrzucenie i rozpacz zlały się w bolesne pragnienie, którego przedmiotem nie była już dziewczyna. Najistotniejsze było to, że cała ta wyprawa mogła się skończyć śmiercią. A jednak hipoteza tej rzeczywistej śmierci była niemalże czymś ubocznym. Pojęcie śmierci rozrastało się w umyśle Pierce'a, jak intrygująco lśniący, czarny przedmiot, który nie był fizycznym prawdopodobieństwem, ani nawet ukojeniem, lecz najwyższym obiektem miłości.

Krag światła u wejścia do jaskini zniknął i Pierce wślizgnął się w strefę kompletnej ciemności. Zwolnił nieco i spoglądając przez ramię dojrzał refleksy światła na wodzie. Pewnie wpłynął za zakręt. Sięgnął w dół po latarkę i unosząc się pionowo w wodzie, zapalił ją. Snop światła był długi i silny, lecz powietrze zdawało się mieć jakąś fizyczną właściwość, która go zawężyła i pochłaniała. Pierce rozpoznał, że sklepienie groty jest dosyć wysokie, a ściany, schodzące stromo w wodę, są przyzdobione brązowymi wodorostami, przpominając wystawę z błyszczącymi naszyjnikami. Jaskinia miała około dwudziestu jardów szerokości. Z latarką skierowaną w górę przepłynął parę metrów do tyłu i nagle po jego lewej stronie w mroku zmaterializowało się odległe pasmo światła dziennego jak długi plaster jakiejś białawej substancji rozłożonej tuż koło jego głowy. Miał wrażenie, że mógłby go dotknąć. W tej samej chwili plama światła z latarki zamigotała i znikła.

Pierce mocniej uchwycił latarkę i zaczął nią oświetlać wnętrze. Sklepienie było o wiele wyżej, niż mu się to na początku wydawało i Pierce uświadomił sobie, że znajduje się w tym miejscu, gdzie jaskinia dzieli się na dwie części. Były tu dwie groty, pozornie jednakowej wielkości, jedna - prowadząca na lewo, a druga, do której przed chwilą wpłynął - na prawo. To odkrycie nieco zdenerwowało chłopca. W wyobraźni miał wizerunek jaskini jako pojedynczego pomieszczenia wdzierającego się wysoko w klif, na szczycie którego znajdowała się sucha, przewiewna komora pełna skarbów. Nie chodziło mu jednak o skarby, suchość czy powietrze. Ta ostatnia komora mogła być po prostu niszą, czy zagłębieniem, do którego w końcu docierał przypływ i w którym wreszcie całował sklepienie, topiąc uwięzionego tam szczura. Pierce jednak nie przewidział, że będzie musiał dokonać wyboru. Ta perspektywa podsuwała myśli o życiu, przyszłości, co wywołało w nim pierwszą falę strachu.

Oświetlił latarką sklepienie lewej groty. Znajdowała się jakieś osiem metrów nad poziomem wody i była pokryta wodorostami. Skierował krag światła na prawą grotę. Była odrobinę wyższa i również wypełniona wodorostami. Która go zaprowadzi na sam szczyt? Postanowił zdać się na przypadek jako, że nie miał żadnego innego przewodnika. Skierował się na prawo. Zgasił latarkę i wpłynął do środka. Pasma światła dziennego zniknęło.

Płynął teraz powoli, próbując wyczuć swoje położenie i bliskość ścian. Jednakże ciemność go przytłaczała. Stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona i namacalna, otulała jego głowę jak pancierz z jakiegoś czarnego grzyba. Miał wrażenie, że gdyby nieco bardziej uniósł głowę, odłupałby kawałek tego pancierza. Jego oddech nagle stał się szybki i krótki i Pierce znowu musiał stanąć w wodzie, żeby się nieco uspokoić. Woda, która przedtem zdawała mu się cieplejsza niż w morzu, nadal była nienormalnie ciepła, nie czuł więc zmęczenia ani chłodu. Znowu skierował do góry latarkę i oświetlił drogę, którą tu przypłynął, a potem drogę, która była jeszcze przed nim.

Jaskinia rozwidlała się znowu. Kolejny wybór. „A jeżeli przeżyję przypływ, ale zabłądzę w tym okropnym labiryncie i już nigdy nie znajdę wyjścia?” - przemknęło mu przez myśl. Czy cofająca się woda wskaże mu drogę? Nie był tego pewien. Zaczął wolno płynąć, oświetlając wąskim snopem światła grotę przed sobą. Światło latarki było poszarpane, jak gdyby pożerał je mrok. Pierce widział jeszcze mniej niż wcześniej. Jego oczy coraz bardziej odzwyczajały się od gęstej, wilgotnej ciemności. Lewy kanał wyglądał na nieco szerszy, a jego mokre, oblepione wodorostami sklepienie z pewnością było położone wysoko nad powierzchnią wody. Pierce powoli wpłynął do środka. „Najpierw w prawo, a potem w lewo” - pomyślał. - „Muszę to zapamiętać. Najpierw w prawo, a potem w lewo.”

Oświetlił latarką strop i ściany, pionowo schodzące w wodę. Nie znalazł choćby jednej wystającej skałki, na której mógłby odpocząć. „To niemożliwe” - pomyślał. - „A zresztą - dlaczego nie?” Być może czekają go godziny takiego bezcelowego pływania w tych ciemnościach, zanim napływająca woda wreszcie nie przycisnie jego głowy do śliskiego stropu.

Przez jego ciało, niczym prąd elektryczny, przeszedł dreszcz paniki i Pierce w jednej chwili poczuł zimno. „A gdybym bardzo szybko popłynął z powrotem tą samą drogą? Czy zdążę zanim przypływ zamknie wyjście?” - zastanowił się. Wyjął rękę z wody i skierował latarkę na zegarek, który, ociekając wodą, wyglądał jakoś dziwnie i smutnie pod czarnym kloszem ciemności. Minęło dopiero piętnaście minut. Zdażyłby, gdyby zawrócił natychmiast. Zgasił światło i zaczął energicznie płynąć przed siebie, w głąb jaskini.

Zatrzymał się i poświecił latarką, chcąc się upewnić, czy nie minął zbyt wielu kanałów. Przed sobą ujrzał jeszcze jeden. Ostrożnie doń

wpłynął i znalazł się w większej grocie, od której odchodziły ni mniej ni więcej jak cztery odnogi przypominające zaciśnięte pięści ponad lekko kołyszącą się wodą. Po prawej stronie Pierce dostrzegł jakąś nierówność w ścianie, coś w rodzaju pochyłej półki. Podpłynął do niej i spróbował się na nią wdrapać. Okazało się to niełatwe, gdyż skała była oblepiona bardzo śliskimi zielonymi wodorostami. W końcu udało mu się na niej niewygodnie usadowić. Przed sobą widział cztery rozgałęzienia. We wszystkich strop był o wiele niżej niż strop grotty, od której odchodziły.

Wtem usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z wody. Nie on go powodował, gdyż leżał na półce całkowicie nieruchomo, przyklejony do pochyłej skałki jak foka, jedną ręką kurczowo trzymając się krawędzi występu. Zastygł, nasłuchując. Tuż za nim rozległo się głośnie pluskanie, jak gdyby w jego kierunku płynęło coś wielkiego i niezdarne. Pierce z wysiłkiem zmienił nieco pozycję i obejrzał się za siebie. Słabe, brązowawe światło latarki padło na taflę wody. Coś tam się szamotało, rozpryskując wodę po całej grocie. Był to Mingo.

- Mingo! - wykrzyknął chłopiec. Z zaskoczenia puścił jednocześnie latarkę i krawędź półki. Gdy zsuwał się do wody, sznurek, którym przywiązał sobie do pasa latarkę, zaczepił się o jakąś nierówność w skale i się rozerwał. Latarka zakołysała się na krawędzi półki, po czym cicho przechyliła się i zniknęła w wodzie.

Pierce znowu przywarł do śliskiej skałki, jedną ręką ściskając wodorosty. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Pluskanie zbliżyło się i wyciągnięta ręka Pierce'a dotknęła karku Mingo i suchej sierści na jego głowie. Mingo zaczął się wdrapywać na skałę, usiłując wydostać się z wody.

- Och Mingo, Mingo - westchnął Pierce. Podsadził nieco psa i położył głowę na jego mokrym, ciepłym boku, cały czas kurczowo trzymając się półki. Po jego policzkach niespodzianie zaczęły płynąć gorące łzy.

## Rozdział trzydziesty piąty

- I co my teraz zrobimy? - spytała Paula. Patrzyła na Ducane'a. Barbara uczepliła się rękawa jego płaszcza. Bliźniaki stały obok przytulone do siebie.

- Motorówka? - rzucił Ducane.

- W miasteczku jest jedna - odparła Paula, - ale zanim ją sprowadzimy...

- Została wynajęta na popołudnie - wtrącił Edward. - Widzieliśmy, jak odpływała.

- Chyba powinniśmy zawiadomić straż przybrzeżną - powiedział Ducane. - Nie, żeby... Kiedy tam wpłynął?

- Jakies piętnaście minut temu - odparła Barbara.

- Wcześniej - zaprzeczyła Henrietta.

- Zrozumcie - powiedziała Barbara wysokim, pełnym strachu głosem. - Na początku naprawdę mu nie wierzyłam. Czekałam, myślałam, że wróci. A potem nagle zrozumiałam, że nie żartuje. Wtedy musiał już być daleko.

- My też tam byliśmy - powiedział Edward. - Ja byłem pewien, że Pierce nie żartuje. Od razu tak powiedziałem.

- Na pewno lada chwila ten wariat wypłynie.

- Nie, nie, nie! - zatkała Barbara. - On jest w jaskini i zamierza tam zostać. Ja to wiem!

Ducane złapał się za głowę. Zaczął bardzo intensywnie myśleć, wzrok utkwivszy w Pauli, która najwyraźniej rozpaczliwie próbowała mu jakoś pomóc.

- Kiedy przyprływ zamknie wejście?

- Za pół godziny - odparł Edward.

Ducane spojrział na zegarek.

- Posłuchaj - zwrócił się do Pauli. - Musimy się przygotować na najgorsze. Zawiadom straż przybrzeżną i miasteczko. Jeżeli zobaczysz motorówkę, zatrzymaj ją. Dowiedz się, czy ktoś zna tę jaskinię. Zorientuj się, czy można gdzieś zdobyć sprzęt do nurkowania i znajdź kogoś, kto umie się nim posługiwać. Chociaż właściwie nie wiem, co u diabła... Popływam trochę wokół jaskini i się rozejrzę. Może po prostu zaczął się gdzieś u wejścia i chce nas tylko nastraszyć.

- Idziemy z tobą! - krzyknęły dzieci.

- Nie ma mowy - odparł Ducane. - Macie dreszcze. Za długo siedzieliście w wodzie. - Rzeczywiście cała trójka trzęsła się z zimna. - Poza tym to właśnie was Pierce chce nastraszyć, zwłaszcza ciebie, Barbaro. Jeżeli cię zobaczy, na pewno nie wypłynie z jaskini. Wy pójdziecie z Paulą.

- John, ty chyba nie chcesz tam wpłynąć?! - krzyknęła Paula.

- Nie, nie. Tylko trochę się rozejrzę. Pewnie znajdę Pierce'a przy wejściu. Idźcie już i przestańcie panikować.

Ducane zdjął marynarkę i krawat. Zrzucił buty, skarpetki i spodnie.

- Pośpieszcie się! - krzyknął za nimi.

Paula i dzieciaki zaczęły biec po kamieniach. Ducane założył buty i pobiegł plażą w kierunku miejsca, gdzie obniżał się czerwony klif. Tutaj znowu zdjął buty i wślizgnął się do wody.

Płynął energicznie stylem bocznym, usiłując trzymać się jak najbliższej podstawy klifu. Czuł jeden z tych prądów, które odstraszały od kąpieli w tej okolicy. Nigdy jeszcze pływanie nie przypominało mu tak bolesnego, pełnego napięcia tkwienia w miejscu. Już teraz ciężko dyszał z wysiłku. Rękawy, wypełnione wodą i przyklepione do ciała, utrudniały mu poruszanie się, więc nie zatrzymując się, zaczął ściągać koszulę. Zdjął ją przez głowę i zostawił w wodzie. Prąd nieco zelżał, gdy Ducane dotarł do miejsca, z którego wpływało się do następnej zatoki i skąd nie widać już było Trescombe.

Teraz w zasięgu wzroku nie miał już nic poza spokojnym morzem, niebem i łukiem klifu, który z obu stron zasłaniał ład. Ducane poczuł się nagle bardzo mały i samotny. Czerwony klif,



który z bliska okazał się być koloru pokrytej smugami ciemnoszarego błękitu, brązowej terakoty, schodził pionowo do wody i sprawiał wrażenie tak suchego i kruchego, jak gdyby miał się rozpaść pod byle dotykiem. Szeroki pas na jego niższej połowie wyznaczał poziom przypływu, a poniżej, wysuszone w słońcu, zwiślały brzydkie, ciemne wodorosty, przypominające sztuczne włosy. Wyżej widniały kępki białych stokrotek w jakiś niepojęty sposób przyklejonych do skały. Ducane czuł ich delikatny zapach, przemieszany z morską wonią na wpół wysuszonych wodorostów.

Dostrzegł wejście do jaskini - nieregularną, ciemnobrązową szczelinę nad wodą. Gdy doń dopłynął, spojrzął na zegarek, który najwyraźniej nadal chodził. Zgodnie ze słowami Henrietty zostało niecałe piętnaście minut do zamknięcia wejścia. Ducane zrobił jeszcze kilka ruchów i nieoczekiwanie znalazł się w pełnym słońcu. Gdy padł na niego cień klifu, zawołał:

- Pierce! Pierce!

Cisza.

Strop jaskini u wejścia znajdował się jakieś dwa i pół metra nad powierzchnią wody. Ducane wpłynął do środka, notując w pamięci, że sklepienie jest ukośnie opadające. Nieco dalej wznosiło się gdzieś w niewidzialność, a jaskinia rozszerzała się. Ducane wpłynął do groty i zawołał raz jeszcze.

Postanowił, że wpłynie do jaskini, gdyż tylko to przyszło mu do głowy. Zdawało mu się, że z łatwością odnajdzie Pierce'a i używając swego autorytetu zmusi go do wyjścia z jaskini. Teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Pustka zalanej słońcem zatoki, a teraz ta chłodna, mroczna grota, zrobiły swoje. Czuł się zupełnie odcięty od świata rzeczywistego. Zawołał znowu. Uświadomił sobie, że woda, dość szybko wpływając do jaskini, uniosła go już spory kawałek drogi od wejścia. Cofnął się nieco, chcąc się upewnić, czy nie będzie miał kłopotów z powrotem. Potem znowu dał się porwać w mrok prądu, co jakiś czas wołając chłopca.

Gdy wpłynął do tej rozległej groty, nagle przypomniała mu się scena z *Alicji w Krainie Czarów*, kiedy to Alicja i mysz pływają w Jeziorze Łez. Pamiętał, z jaką gracją pływała Alicja i jak elegancko jej sukienka rozkładała się na wodzie. Ten obraz w dzieciństwie musiał wywrzeć na nim silne wrażenie. Dziewczęta i ich sukienki. Zawołał znowu. Cisza.

Jego wzrok przyzwyczał się do brązowego, herbacianego światła w jaskini i Ducane po lewej stronie dostrzegł jakieś ciemne zagłębienie w ścianie, wyglądające na dziurę. Podpłynął bliżej, tym razem żabką, uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Nagle doznał uczucia, jak gdyby ktoś bardzo delikatnie dotknął jego głowy czarną poduszką i Ducane przepłynął przez dziurę w skale.

Nie bał się morza, ale bardzo się lękał zamkniętych przestrzeni. Zawołał. Odpowiedział mu bardzo słaby okrzyk. Ducane pozwolił, by woda przyparła go do ściany. Zaczął wsłuchiwać się w ciszę, zakłócaną jedynie cichym szumem płynącej wody. Odwrócił się od przyćmionego światła za sobą, spojrzął w atramentową czerń przed sobą i zawołał znowu. Nie zdawało mu się. Znowu odpowiedział mu jakiś głos - odległy, tajemniczy i zagubiony.

Jego wyobraźnia zaczęła działać i Ducane ujrzał Pierce'a gdzieś na końcu tunelu, uwięzionego, być może rannego, rozpaczliwie wołającego na pomoc. W tej samej chwili, zupełnie, jak gdyby ciemność stała się ekranem, na którym mógł wyświetlić zawartość swojego umysłu, z doskonałą wyrazistością ujrzał przed sobą bladą, pełną niepokoju twarz Mary Clothier.

- Już idę! - krzyknął i rzucił się w sam środek prądu.

Słabe światło za jego plecami przygasło i po chwili zniknęło całkowicie. Prąd niósł go tak szybko, że Ducane prawie nie musiał płynąć. W pewnym miejscu tunel gwałtownie skręcił. Ducane chwycił się czegoś, jakiejś mokrej, gładkiej, zaokrąglonej skałki i mocno zacisnął na niej palce, lecz prąd znowu go porwał i zakręcił nim, jak gdyby to jakaś potężna dłoń obracała go w palcach. Ducane połknął trochę wody.

Ogarnęła go panika. Wyciągnął rękę, na oślep szukając czegoś, czego mógłby się przytrzymać. Bał się, że w każdej chwili może uderzyć głową o jakąś wystającą skałę. Przerazał go ten gęsty mrok. Uderzył kolanem o skałę tuż pod wodą i oparł się o nią, przyciskając ręce do ściany tunelu, usiłując się zatrzymać. Zawołał tak głośno jak tylko mógł:

- Pierce! Pierce!

- Pierce! Pierce!

„To echo” - powiedział sobie w duchu. Wypowiedział te słowa obojętnie, artykułując je w głowie.

- Halo! - zawołał znowu.

- Halo!

„Muszę wracać” - pomyślał. Puścił skałkę i rzucił się z impetem do tyłu, lecz silny prąd pochwytił go i poniósł ze sobą.

Teraz już Ducane był śmiertelnie przerażony. Z wysiłkiem dobrnął do ściany, gdzie woda płynęła nieco wolniej. W tych nieprzeniknionych ciemnościach stracił orientację i czucie w ciele. Musiał sobie przypomnieć, jak się pływa. „Potrzebna mi siła” - pomyślał. - „Nadludzka siła”. Zaczął przesuwać się wzdłuż ściany w kierunku, z którego przypłynął. Płynął bardzo powoli, ale teraz przynajmniej w ogóle mógł się poruszać. Wydawało mu się, że wraca do miejsca, w którym tunel skręca, lecz nagle wyczuł zmianę kierunku i spostrzegł, że tunel jest bardziej przewiewny i szerszy, a prąd słabszy. Pewnie zbliżał się do głównej groty.

Ściana tunelu, której się trzymał, zniknęła. Teraz już mógł płynąć bez wysiłku. Pomyślał, że chyba już jest w głównej grocie. Wokół było kompletnie ciemno, lecz przed sobą dojrzał zielonkawą smugę światła. Nie widział jednak rozświetlonej słońcem szczeliny u wejścia do groty. Jaskinia była zamknięta.

Wyobrażenia podsuwała mu coraz to nowe obrazy. Kolorowe sceny pojawiały się w mroku z taką wyrazistością, że zdawać by się mogło, iż w ich świetle ujrzy ściany groty. Zobaczył Alicję stojącą przy kominku w chwili, gdy lustro zaczyna się przemieniać w srebrzystą mgiełkę. Zobaczył twarz Mary Clothier, już nie zaniepokojoną, lecz czułą i smutną. „Obaj zginęliśmy” - pomyślał, nie mogąc sobie przypomnieć, co oznacza to „obaj”. Oczywiście - on i Pierce. Co jakiś czas wołał Pierce'a, lecz nadaremnie. Jego głos odbijał się echem wokół niego, jak gdyby nie mógł dotrzeć dalej, co oznaczało, że kanał, którym płynął, jest dość długi.

Czuł przenikliwe zimno, a jego ręce i nogi aż osłabły ze zmęczenia, lecz samo płynięcie od jakiegoś czasu stało się czymś automatycznym. Tuż nad jego głową bezszelestnie przesuwało się coś przerażającego, jakby czarna wrona z ektoplazmy. To strach, paniczny strach. Ducane świadom był jego obecności. Usiłował oddychać powoli i równo. Wyobraził sobie, że jaskinia wznosi się, coraz wyżej i wyżej, ku suchej, bezpiecznej ścianie klifu. Próbował nie myśleć

0 niczym innym. Nie widać było końca jaskini, więc jedyne, co mu pozostało to płynąć dalej. Lecz do tej pory jego badające otoczenie wyciągnięte ręce, nie natrafiły na nic, oprócz gładkich kamiennych ścian, pomiędzy którymi płynęła woda. Ani jednej szczeliny, ani jednej mielizny, ani jednego skalnego występu, na którym mógłby odпочać. Zobaczył Alicję bardzo, bardzo wolno wpadającą do norki królika.

„W takich ciemnościach mogę być o włos od wybawienia i nawet tego nie zauważę” - pomyślał. - „Wszystko zależy od przypadku”. Prąd nie był tu zbyt silny i Ducane mógł swobodnie pływać w poprzek kanału, dotykając ścian, które były teraz o jakieś pięć metrów od siebie. Wyglądało na to, że kanał nieco się zwęża. Powietrze wciąż było świeże, ale już z domieszką lekko zgniłego zapachu morza, jak gdyby woda butwiała. I rzeczywiście wyglądała na gęstsza i bardziej oleista. Ducane czuł tą woń z zatrważającą intensywnością, jak gdyby tworzyła ona strukturę lepkiego powietrza i wody, w której coraz słabiej i coraz bardziej rozpaczliwie usiłował pływać i się modlić.

Uświadomił sobie, że nie wołał już od jakiegoś czasu, więc krzyknął chrapliwie, niezbyt głośno:

- Pierce!
- Tutaj...
- Pierce!
- Jestem tutaj!

Głos dochodził z bliska. Ducane zatrzymał się. Nagle wszystko się zmieniło. Znowu władał swoim ciałem, czuł jak jego kończyny poruszają się w wodzie. Widział jak wokół niego wszystko na nowo odzyskuje swoje prawdziwe rozmiary. Nie był już częścią ciemności, która teraz otulała go jak woal.

- Gdzie jesteś?
- Tutaj, tutaj.

Ducane doznał do śliskiej od szlamu krawędzi skały. Czuł, jak woda rozstępuje się wokół niego.

- Gdzie?
- Tędy.

Ducane wsparł się o skałę i pozwolił, by uniosła go woda. Nagle kolanami, a potem ręką dotknął dna. Już nie płynął, lecz czołgał się.

Poczuł, że coś dotknęło jego ramienia, a potem mocno je uchwyciło. Dotyk ten sprawił mu ból i Ducane uświadomił sobie, że chłód pozbawił go uczucia. Poczołgał się nieco dalej, a potem przylgnął do skały. Pod ręką czuł żwir.

- Tak strasznie mi przykro - usłyszał za sobą głos Pierce'a.

Poważny, przepaszający głos chłopca, należący do normalnego świata, zabrzmiał dziwnie w tych ciemnościach.

- Mógłbyś mnie rozmasować? - poprosił Ducane. - Nic nie czuję.

- W tej chwili ostry ból przeszył mu plecy. Ducane zaczął poruszać rękami i nogami. Był tak śmiertelnie zmęczony, że nie mógł wprost pojąć, jak jeszcze przed chwilą zdołał pływać.

- Co to?

- To Mingo. Przypłynął tu za mną. Tak mi przykro...

- Przestań. Jest tu jakieś wyjście?

- Nie wiem. Dopiero co tu przypłynąłem. Sprawdziłem jeden z kanałów, ale okazał się ślepy, a strop był dosyć nisko, więc pomyślałem, że lepiej tam nie zostawać. Niełatwo było płynąć pod prąd. Potem znalazłem tę skałkę i usłyszałem twoje wołanie.

- Nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku. Ciepłej ci?

- Tak. - „Jeżeli nie utonę, to umrę z zimna” - pomyślał. Usiadł i zaczął rozcierać ręce i nogi. Nadal miał wrażenie, że jego ciało jest jakieś obce, jakby zrobione z lodu.

- Lepiej płynimy dalej - powiedział Pierce. - To też może być ślepa uliczka. A może ja popłynę przodem, rozejrzę się, a potem wrócę po ciebie?

- Nie, nie, idę z tobą. - „Na miłość boską, nie zostawiaj mnie samego” - pomyślał. Dźwignął się na kolana, a potem wstał. Dotknął czegoś głową. Był to strop tunelu. - Co to za dźwięk?

- To chyba woda wpływa przez szczeliny w skale.

Wokół nich rozlegało się nieregularne mruczenie przerywane miękkiymi, głuchymi uderzeniami.

- Woda uderza o strop w sąsiedniej grocie - powiedział Pierce.

- Jest coraz bardziej wzburzona.

Woda, która przedtem tak spokojnie płynęła w mrok, teraz, w tej bardziej ograniczonej przestrzeni, stawała się coraz gwałtowniejsza. Ducane poczuł uderzenia fal o nogi.

- Zbieraj się, Pierce. To cholerne morze może nas tu dopaść.
- Masz buty?
- Pośpiesz się.

Zaczęli z wysiłkiem brodzić w wodzie. Dno chyba nieco się wznosiło, lecz w takich ciemnościach trudno było to ocenić; stopy Ducane'a, przemienione w dwie skurczone, bolące bryły, były prawie całkowicie pozbawione czucia i Ducane nie wiedział, czy w ogóle jeszcze się porusza. Cichy, przesywający dźwięk i odbijające się echem mlaskanie wody nie ustawało.

- Musisz się schylić - powiedział Pierce. Jego głos był nienormalnie wysoki i drżący. Szum za ich plecami, który nieco przybrał na sile, stał się trudny do zniesienia.

- Co za cholerne ciemności. Mów coś. Nie chcę cię zgubić.

- O Boże, chyba będziemy musieli się czołgać.

- To nie ma sensu - powiedział Ducane, zatrzymując się. Wyobraził sobie, jak się czołgają - coraz dalej i dalej, aż do samego końca tunelu, wciśniętego w mokrą skałę, czekającą na przyptyw. - Jeżeli ten korytarz jest taki niski, to lepiej jak popłyniemy innym, dopóki jeszcze jest czas. Przyptyw jest tuż za nami.

- To tutaj - powiedział Pierce łamiącym się głosem. - Nie ruszaj się, wyminę cię.

Ducane znieruchomiał; poczuł na sobie ręce Pierce'a. Korytarz był tak wąski, że z ledwością mieścili się obok siebie. Po chwili poczuł na nogach wilgotne ciepło - to Mingo podązał za Pierce'em.

Ducane usiłował wziąć się w garść. Uświadomił sobie, że kurczowo trzyma się Pierce'a, który go wyprzedził.

- Musimy iść dalej - Ducane również mówił wysokim i donośnym głosem, jak gdyby przemawiał w jakiejś ogromnej sali. Jego słowa odbiły się echem w niewidocznych przestrzeniach i mrocznych niszach.

Woda wydawała teraz jakiś inny dźwięk, ze zgrzytem i mlaskaniem przesuając się po żwirze to do przodu, to znów w tył. Pierce, wyminąwszy Ducane'a, nieco się oddalił.

Ducane przejechał kostkami palców po śliskim, pochyłym stropie i przygarbił się. Zgięty wpool zaczął przesuwać się do przodu, sięgając ręką w kierunku poły swetra Pierce'a. Koło niego, jak podłużny, srebrzysty prąd ciepła, znowu przepłynął Mingo. Strop nieco się

wznosił, potem znowu zaczął opadać. Trudno było powiedzieć, czy posuwali się w górę. Ich ruchy stały się powolnym i bolesnym ocieraniem się kości wewnątrz czarnej materii.

- Jesteśmy wyżej, prawda, Pierce?

- Chyba tak.

- Jesteśmy w wodzie?

- Nie. Uważaj, tutaj strop znowu opada.

Ducane gramolił się, jedną ręką podpierając się o kamieniste dno jaskini. Głową dotknął pleców kłęczącego Pierce'a.

- Co jest?

- Koniec tunelu.

- To niemożliwe - jęknął Ducane. Zaczął badać otaczającą ich ciemność, rękami obmacując gładkie, wilgotne ściany więziącej ich czarnej skały.

- To na nic - powiedział Pierce dziwnie spokojnym głosem. - Ślepa uliczka.

W jego spokoju słychać było rozpacz.

- Przesuńmy się trochę - powiedział Ducane. - Nie mogę znieść jak ta skała opiera się o moje plecy. „Wolałbym umrzeć na stojąco” - pomyślał. Gdy cofnął się i wyprostował, poczuł kamyki, przesuwające się pod jego stopami. Morze nieubłaganie podążało za nimi.

- Tutaj woda szybko się podniesie - powiedział Pierce. - To chyba już koniec. - Wydał z siebie przeciągły jęk.

Ducane, bardziej za sprawą tego straszego dźwięku, niż dzięki słowom Pierce'a, zrozumiał, co ich czeka. Zaczął głośno coś do siebie mówić. Lecz w tym momencie stało się coś nadzwyczajnego, coś przedarło się przez tę ścianę ciemności i czarną masę grzmiącej wody. Przypominało to światło, lecz nim nie było. Był to zapach białych stokrotek.

- Pierce, tutaj powietrze jest świeższe. Czuję podmuch od góry. Może jest tam jakieś zagłębienie, jakaś nisza, w której moglibyśmy się schronić...

Z rękoma nad głową zaczęli sprawdzać gładką skałę. Ducane miał wrażenie, że jego ręce stały się bryłami ciemności, bryłami bez palców. Niepohamowanie trząsł się z zimna i ze zdumieniem odkrył, że wydaje z siebie jakieś syczenie.

- Coś znalazłem - usłyszał za sobą głos Pierce'a.

Ręce Ducane'a natrafiły na dziurę. Wydobywał się z niej słaby powiew.

- Zmieścimy się tam?
- Chyba tak. Poczekaj tu chwilę.

Pierce zniknął. Rozległo się jakieś chlupanie i stękanie, po czym z góry doszedł triumfujący głos chłopca.

- Jestem na górze! Jest tu jakiś występ. Nie wiem, jak duży.
- Jak tam wszedłeś?
- Czekał, schodzę. Uważaj.

Rozległy się odgłosy ślizgania i Pierce ciężko opadł za plecami Ducane'a, chwytając się jego ramienia.

- Jak się tam wdrapałeś?
- To coś w rodzaju szybu. Można się do niego dostać, zapierając się plecami i nogami. Jest ustawiony pod kątem około sześćdziesięciu stopni, więc nie jest to trudne. Do dziury można wejść, podciągając się i siadając na jej krawędzi. Problem polega na tym, że strasznie tam ślisko. Najpierw wniosę Mingo.

„Nie dam rady” - pomyślał Ducane. Nawet w dzieciństwie nie potrafiłby tego zrobić. Tym bardziej teraz - bez kondycji, wyczerpany, zeszytywniały z zimna...

- Nie możesz jednocześnie się wspinać i dźwigać Mingo. Spadniesz i złamiesz sobie nogę. Będziemy musieli go tu zostawić.
- „Będziemy musieli zostawić Mingo i mnie” - pomyślał.

- Ja go tu nie zostawię - zaprotestował Pierce łamiącym się głosem. - Jakoś go tam wepchnę, tylko pomóż mi dostać się do dziury.

Dźwignęli do góry mokrego, ciepłego psa. Na szczęście Mingo był przyzwyczajony do tego, że niekiedy ludzie obchodzą się z nim jak z ciężką torbą.

- Popchnij go trochę, jakoś się tam wślizgnie. Teraz ja. Podeprzyj mnie, o tak, niezbyt mocno. I stój tam, na wypadek, gdybyśmy spadli.

Dyszająca, skłębiona masa zaczęła powoli posuwać się w górę; Ducane poczuł, jak ciało chłopca wygina się niczym łuk i chwilę później ręka, którą go podtrzymywał, zawisała w powietrzu. Czas płynął nieubłaganie. Wreszcie Ducane usłyszał głos Pierce'a:

- Jesteśmy na górze! Jezu, jaki on ciężki! Zostań tutaj, Mingo, nie ruszaj się. Zastanawiam się, czy... Jezu, trochę tu ciasno. Teraz kolej na ciebie.



Ducane usiadł na krawędzi ciemnej dziury, której czern była nie gęstsza niż otaczające ją powietrze, i z uczuciem, że odprawia jakiś bezsensowny rytuał, powoli zgiął kolana, aż stopami dotknął przeciwległej ściany. Już samo to wymagało nieprawdopodobnego wysiłku. Usiadł. Nie miał siły, żeby chociaż spróbować. Przesunął plecami po śliskiej skale. Jego ciało było całkowicie bezsilne.

Tuż pod nim pulsowały silne, regularne fale, przesuając kamyki to do przodu, to znów w tył. Głuchy, klaszczący dźwięk przemienił się w miękki, chaotyczny ryk. Ducane jednak prawie go nie słyszał; nie wiedział, czy te odgłosy pochodzą z zewnątrz, czy istnieją tylko w jego głowie. „A gdybym pozwolił, żeby woda uniosła mnie w górę szybu?” - pomyślał. Ale nie. Wdarłaby się w tę wąską szczelinę jak szatan, a potem znowu spłynęłaby na dół. A wszystko, co będzie się wtedy znajdować w tej zamkniętej przestrzeni, zostanie starte na proch.

- Co jest, John? - dobiegł go z góry ostry głos Pierce'a.

- Nie dam rady - powiedział Ducane.

- Musisz spróbować. Nogi trzymaj nieco niżej od głowy. Poszukaj jakiegoś dobrego oparcia dla stóp. Potem po prostu zacznij przesuwać się plecami, a nogami poruszaj tak, jakbyś szedł.

- Nie spróbuję, Pierce. Nie mam siły. Nie martw się. Kiedy nadejdzie czas, woda mnie podniesie.

- Chyba zwariowałeś. Uważaj, schodzę na dół.

Ducane nie zdążył w porę przesunąć swego zdrętwiałego ciała. Pierce spadł na niego, przewracając go w stale podnoszącą się wodę.

- Przepraszam. O Boże. Mógłbym spróbować ci pomóc, ale przecież ledwo dałem radę wnieść Mingo. Boże, co my teraz zrobimy? Gdybym tylko wziął ze sobą linę... nawet mi to do głowy nie przyszło...

Ducane'owi udało się wstać. „Lada chwila się załamie” - pomyślał. Nie wiedział, czy będzie to załamanie ducha, czy też ciała. Jego duch i ciało złąły się teraz w jeden zimny ból i mrok. „Muszę zrobić wszystko, żeby przeżyć” - nakazał sobie.

- Moglibyśmy... zrobić... linę... z naszych ubrań... - powiedział z wysiłkiem, opierając się o ścianę.

- Racja! Szybko, szybko. Możesz się rozebrać? Podrzyj wszystko na pasy.

- Już jestem rozebrany, ale to ty będziesz musiał zająć się darcie. Masz.

Ducane niezdarnie wydostał się z podkoszulka i spodenek. Sprawiał wrażenie człowieka, który stracił orientację we własnym ciele i musiał od nowa szukać umiejscowienia swoich kończyn. Zaczął niepohamowanie dygotać.

- Potrzyj swoje ubranie, najpierw podrę swoje. Jezu, jakie to mocne. Tracę siłę.

- Drzyj wzdłuż bocznych szwów - powiedział Ducane. - Na miłość boską, tylko niczego nie upuść, już nigdy byśmy tego nie znaleźli. Trzymaj jeden koniec, a teraz ciągnij, ciągnij. - Rozległ się cichy trzask. - Dobra, teraz to, ciągnij. Jak myślisz - wystarczy? Materiał oczywiście trochę się rozciągnie. Będziesz potrafił je związać? Zrób węzeł rafowy.

- Nie mam czucia w rękach - powiedział Pierce drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Spróbuj się skupić na węzłach. Pokaż - świetnie. Teraz Pierce, posłuchaj mnie uważnie. Wejdiesz na górę z jednym końcem liny. Drugim końcem obwiążę się w pasie. Nie widzę innego wyjścia. Potem ty będziesz powoli ciągnął, a ja zrobię, co mogę, żeby ci pomóc. Uważaj, żeby nie stracić równowagi, a jeżeli zacznę spadać, puść mnie. Jeżeli się nie podniosę, to trudno. Nie schodź po mnie; potem możesz nie mieć siły na powrót. Może mi się uda coś zrobić, kiedy woda się podniesie. No, ruszaj się.

Pierce opuścił go z cichym jękiem. W nasilającym się huku wzbierającej wody Ducane nie słyszał odgłosów wspinaczki. Usiadł na krawędzi dziury, popuszczając moką linę. Po jakimś czasie lina znieruchomiała.

- Masz ją jeszcze? - doszedł go z góry głos Pierce'a.

- Tak. Chyba wystarczy, żeby się obwiązać. - „Ale czy dam radę zrobić węzeł?” - pomyślał. Głupio zrobił, że nie poprosił o to Pierce'a. Bardzo powoli przepasał się liną i zrobił węzeł. - Ciągnij powolutku, a ja spróbuję się wspiąć.

„To niewykonalne” - pomyślał. - „Absolutnie niewykonalne”. Woda, z której dopiero co się wydostał, już sięgała mu do kolan. Huczenie w jego głowie miało teraz metaliczne, przytłaczające brzmienie, przywodzące mu na myśl nocne koszmary z dzieciństwa.

„Gdybym tylko potrafił się modlić” - pomyślał. - „Gdyby istniało jakieś źródło, z którego mógłbym czerpać dla siebie siłę”. Siedział skurczony w dziurze. Nie miał nawet tej odrobiny siły, która pozwoliłaby mu dźwignąć się choć parę centymetrów w górę. Jego nogi były sztywne, zmarznięte i bezwładne, a nagie plecy czyniły nadaremne wysiłki, ślizgając się to w górę, to w dół po lodowatej skale. Jego nagie ciało wisiało bezwładnie pomiędzy dwiema ścianami. „Gdybym tylko zajął czymś umysł, mogłoby to pomóc mojemu ciału. Cokolwiek, cokolwiek”. Tuż przed jego oczami w powietrzu unosiło się coś białego. Przepłynęła przed nim twarz kobiety; poruszała się, była jak płynący po niebie księżyc - niewyraźna, lecz uważnie w niego wpatrzona.

Uświadomił sobie, że już nie siedzi, lecz jest zawieszony pomiędzy dwiema ścianami. „Zostań, zostań, zostań” - powiedział do migoczącej twarzy, jednocześnie niemal ukradkiem koncentrując się na swych szukających oparcia stopach i plecach. Nad sobą słyszał głos Pierce'a - niewyraźny, głuchy, niezrozumiały. Lina nadal ciągnęła go w górę. Ducane bardzo, bardzo powoli się podciągnął. Teraz było mu nieco łatwiej. Błada twarz zaczęła mu kogoś przypominać.

Położył się na skalnej półce. „Te ciepłe gwiazdki pod moimi powiekami to pewnie łzy” - pomyślał nieprzytomnie. Pierce go rozcierał i usiłował włożyć rękę Ducane'a do rękawa swetra.

- Czekaj, Pierce, czekaj, czekaj.

Chwilę później Ducane usiadł. Wyciągnął przed siebie skostniałe ręce i doknął jakiejś ciemnej płaszczyzny, która mogła być Pierce'em, Mingo, skałą. Słodkawy, pudrowy, bosko suchy zapach był coraz intensywniejszy. Huk w dole przybierał na sile, zdawał się krząć, krząć, jak gdyby woda wściekle burzyła się wewnątrz jakiegoś ogromnego, okrągłego naczynia.

- Można się stąd jakoś wydostać? - spytał Pierce'a, prawie nie rozpoznając własnego głosu.

- Nie, już próbowałem. Są tu różne szczeliny, ale wyjścia nie ma.

- Rozumiem. - Ducane zaczął wsłuchiwać się w szum morza. Brzmiała w nim jakaś nowa nuta. Pewnie woda już podchodzi pod wejście do szybu.

- Pierce, jak długo tu jesteśmy? Przypływ już się zbliża?

- Nie mam pojęcia. Zupełnie straciłem poczucie czasu. A mój zegarek nie świeci w ciemności.

- Mój też. Jak myślisz - jesteśmy już nad górną granicą przypływu?

- Nie wiem.

- Czy tu jest mokro?

- Trudno powiedzieć. Nic nie czuję. A jak ty myślisz?

Ducane znowu zaczął poruszać rękami, usiłując rozpoznać kształty, których dotykał. Wyczuł coś długiego i gładkiego, jak gdyby jakąś zimną linię rozciągniętą w mroku. Przyłożył palce do ust. Były słone. Polizał je, wlewając w nie nieco bolesnego ciepła. Potem znowu dotknął tej zimnej, ciemnej linii i znowu polizał palce. Słone. A może się mylił? Może jego palce były zbyt przesiąknięte morską wodą, by stracić słony smak?

- Ja też nie wiem - odpowiedział Pierce'owi.

- Załóż sweter.

- Posłuchaj, Pierce. Nasze szanse na przeżycie, jeżeli tutaj nie utoniemy, zależą od dwóch rzeczy - od twojego swetra i Mingo. Mingo jest naszą ostatnią deską ratunku. Gdzie on się podział? Zobacz, jaki jest ciepły. Proponuję, żebyśmy obaj okryli się swetrem i wsadzili Mingo pomiędzy nas. Lina chyba niestety na niewiele się już przyda, ale możemy się nią owinać, o, tak. A teraz załóż mi sweter przez głowę i spróbuj wejść do środka. Uważaj, żebyś nie spadł. Ile jest tu miejsca?

- Jakieś półtora metra, ale strop jest pochyły. Podnieś rękę. Przełóż ją tędy. Teraz głowa.

Ducane poczuł jak wilgotna wełna przesuwająca się po jego drżącej ręce, a potem opada po twarzy. Leżał cicho, podczas gdy Pierce szamotał się nad jego ciałem, przeciągając swoją głowę przez sweter. Szwy przy wycięciu nieco popuściły i głowa Pierce'a przywarła do głowy Ducane'a, po czym chłopiec zaczął wpychać rękę w rękaw swetra.

- Rozciągnij go jak tylko możesz, John. Cholera, Mingo źle się usadowił. Jeszcze go udusimy. Mógłbyś go trochę podciągnąć? Po prostu wyciągnij go za ogon.

Cichy, ciepły Mingo nie protestując pozwolił ułożyć swój tułów pomiędzy nimi; jego głowa wystawała spod swetra. Po paru chwilach

Ducane poczuł jak kłujące iskierki ciepła zaczynają wnikać w jego ciało. Nieco później poczuł jeszcze coś innego - to Mingo lizał jego udo.

- Wygodnie?

- W porządku. Nie możesz przesunąć się trochę do tyłu?

- Nie.

U stóp szybu kipiała woda, wdzierając się weń i po chwili cofając się z syknięciem, jaki powoduje korek wyciągany z butelki. „Niedługo już będziemy wiedzieli” - pomyślał Ducane. Leżał na prawym boku, z głową wspartą o głowę Pierce'a, policzek przy policzku. Leżeli jak dwie zepsute lalki oparte o siebie główkami. Ducane poczuł lekkie drżenie, jego policzka dotknęło coś ciepłego i mokrego. Pierce płakał. Ducane objął chłopca ciężką, bezwładną ręką i przyciągnął go do siebie.

„Czy to już koniec?” - pomyślał. - „A jeżeli tak, co to oznacza?” Jakie to wszystko małe i żałosne. Czuł się jak jakiś szczur, ruchliwy, węszący szczurek, goniący za swoimi ziemskimi przyjemnościami i wygodami. Żyć przyjemnie, cieszyć się dobrą opinią. Poczuł, że jego ciało sztywnieje i przywarł mocniej do niewidzialnego ciepła Mingo. Poklepał Pierce'a po ramieniu, po czym zanurzył dłoń pod jego pachą. „Biedna, biedna Mary” - pomyślał. Pod jego zamkniętymi powiekami znowu zaczęły przesuwac się kolorowe obrazy. Ujrzał twarz Biranne'a, jak w niemym filmie poruszającą się i coś mówiącą, lecz niemą. „Jeżeli to przeżyję, już nigdy nie będę sędzią dla drugiego człowieka” - obiecał sobie. Nie warto robić nic poza zabiciem szczura, nie warto sądzić, nie warto być zwierzchnikiem, nie warto sprawować władzy, nie warto za niczym gonić, gonić, gonić. Kochać, godzić się i przebaczać - tylko to się liczy. Wszelka władza to grzech, a każde prawo jest ułomne. Miłość jest jedyną sprawiedliwością. Przebaczenie i zgoda, lecz nie prawo.

Poruszył się nieco i jego wolna ręka, przesuwając się za plecami Pierce'a, dotknęła czegoś w ciemności. Zmarznięte palce Ducane'a zaczęły to badać. Była to mała, prądkowata, stożkowata narośl na skale. Jego ręka natrafiła na jeszcze jedną taką narośl. „Pijawki” - pomyślał. Pijawki. Znowu znieruchomiał. Miał nadzieję, że Pierce ich nie widział.

## Rozdział trzydziesty szósty

- Ile jeszcze?
- Kilka minut.

Mówili przyciszonymi głosami.

Noc była ciepła, nad wodą sennie unosił się zapach białych stokrotek, kładąc się na nieruchomej atłasowej skórze morza. Ogromny księżyc w pełni zawieszony na nocnym niebie zmieniał swą barwę ze srebrnej na złotą.

Na wodzie w pobliżu klifu unosiły się dwie łodzie. Było ogromne zamieszanie, rozlegały się nawoływania, wszyscy mieli jakieś pomysły, plany. Mieszkańcy miasteczka, wstrząśnięci tragedią, snuli niezliczone domysły na temat jaskini, nie potrafiąc jednak podać żadnych faktów. Zawiadomiono policję, straż przybrzeżną, marynarkę. Obok jaskini stały w pełnej gotowości łodzie ratunkowe. Lada chwila mieli się zjawić nurkowie z butlami tlenowymi. Na całym wybrzeżu rozdzwoniły się telefony. Czas mijał. Nurkowie zostali wezwani do jakiegoś innego wypadku. Czas płynął aż do szczytu przypływu, potem nastąpiło coś w rodzaju zastoju.

- Teraz już można tylko czekać - powtarzali ludzie, unikając nawzajem swojego wzroku.

Mary siedziała na rufie łodzi. Nieco wcześniej była tu cała grupa motorówek pełnych turystów, kręcili się dziennikarze z aparatami fotograficznymi, aż wreszcie policja kazała im odjechać. Teraz panowała kompletna cisza. Pomimo tego, iż noc była wyjątkowo ciepła, Mary trzęsała się z zimna. Miała na sobie płaszcz, który Theo

kazał jej założyć. Kołnierz płaszcza był podniesiony, a wewnątrz luźnych rękawów jej ręce spotkały się i splotły. Mary siedziała tak opatulona, milcząca, odległa; jej broda była nieco wysunięta do przodu, ogromne, niewidzące oczy spoglądały na księżyc. Nie uroniła ani jednej łzy, lecz miała wrażenie, że jej twarz została rozpuszczona, zniszczona, unicestwiona przez żal i przerażenie. Teraz jej ostatnim wrogiem była nadzieja. Mary siedziała jak ktoś usilnie pragnący usnąć, odsuwający od siebie wszelkie myśli i nadzieje.

Nie opodał w łodzi, widziani przez nią, choć na nich nie patrzyła, siedzieli Willy i Theo. Widziała ich tak wyraźnie być może dlatego, że ich obraz tak często przewijał się przed jej oczami podczas tego popołudnia i wieczora pełnych strasznego zamieszania i bezradności. Theo siedział najbliżej niej; co jakiś czas, nie patrząc na Mary, wyciągał rękę i gładził rękaw płaszcza. Casie płakała. Kate płakała. Oktawian biegał tam i z powrotem, zajmując się organizacją i telefonami. Chyba rozmawiała ze wszystkimi, ale nie pamięta. Teraz panowała cisza.

Myśli Mary, odkąd wsiadła na łódź straży przybrzeżnej, to znaczy od ponad pół godziny, stały się dziwnie odległe i martwe. Podświadomie broniła się przed strasznym cierpieniem nadziei, myśląc o Alistairze i o tym, co o nim powiedział Ducane: *Tel qu'en lui-meme enfin l'etenite le change*. Sformułowała w swoim umyśle zdanie: Jak to jest być martwym, mój Alistairze? Gdy pomyślała: „Mój Alistairze”, poczuła w sercu jakieś drgnięcie, coś w rodzaju nieukierunkowanej, smutnej miłości. Skąd wiedziała, że to coś w jej sercu, w jej umyśle, gdzie nie istniało nic poza tymi niemal pozbawionymi sensu słowami, że to coś w ogóle było miłością? A jednak wiedziała. Czy można kochać tych, którzy znajdują się już w zastępach zmarłych? „Zmarli” - pomyślała. - „Zmarli” i w jej umyśle pojawił się abstrakcyjny, pusty, bezimienny obraz syna.

Jest czas śmierci i czas miłości, a całe życie to mieszanina przypadku i ślepego losu. Jeżeli kocha się to, co jest tak kruche i śmiertelne, jeżeli się tego kurczowo trzyma, jak pies ściskający swą zdobycz, to czyż miłość ta nie jest skazana na zmianę? Istnieje tylko jeden absolutny imperatyw - imperatyw miłości: jednakże jak można nadal kochać to, co musi umrzeć, to, co już umarło? O, *śmierci, ukołysz mnie do snu, przynieś mi ulgę. Pomóż strudzonemu duchowi wydostać się z mej stroskanej piersi*. Każdy jest częścią tej ziemi, każdy jest

ulotnym cieniem w tym chaosie przypadkowego świata. Skoro śmierć i przypadek są materią wszystkiego, a miłość ma być ukochaniem czegoś, to musi to być ukochanie śmierci i zmiany. Ta zmieniona miłość unosi się na oceanie przypadku, ponad postaciami zmarłych; to miłość tak bezosobowa i tak zimna, że ledwo zauważalna, miłość pozbawiona piękna, o której nie wiemy nic, gdyż tak słabym jest doświadczeniem. Taką właśnie miłość Mary teraz czuła do swojego nieżyjącego męża i do pozbawionego twarzy widma swojego syna, który prawdopodobnie utonął.

W tej chwili wróciła motorówka policji i klif został oświetlony bardzo jasnym snopem światła z reflektora. Wszyscy aż podskoczyli. Ciepłe, fioletowawe światło wokół nich nagle pociemniało. Oświetlony półokrąg klifu jaśniał czerwienią poznaczoną szarymi smugami połyskującymi lekko w miejscach, skąd właśnie cofnął się przypływ. Ponad pasmem ciemnobrązowych wodorostów widniały kępki pierzastych, białych stokrotek, nierealnych i dziwacznie pięknych w tym jaskrawym świetle.

- Patrzcie.

U wejścia do jaskini pojawiła się jakaś ciemna smuga. Mary zdrząła. Nadzieja boleśnie ścisnęła ją za serce. „Utonął, utonął, utonął” - powtarzała jej otepiała świadomość.

- Strop jest pochyły - powiedział jeden ze strażników.

- C o ?

- Strop jest pochyły. Minie jeszcze z pięć minut, zanim będą mogli wypłynąć.

„Wolałabym, żeby nie mówił takich rzeczy” - pomyślała. Za dwadzieścia minut, za pół godziny - jak wtedy będzie wyglądało jej życie? Czy zniesie widok śmierci, kiedy długie czekanie wreszcie skończy się jej nadejściem? Czy zacznie płakać i krzyczeć? Czy za pół godziny nadal będzie istnieć, przytomna, cała i żywa?

Kate i Oktawian siedzieli w drugiej łodzi. Mary widziała, jak Kate wpatruje się w ciemny cień na wodzie. Mijały minuty. Ludzie zaczęli szeptać między sobą. „Utonął” - kołatało jej w głowie. - „Utonął, utonął.” Woda ciągle jeszcze wypływała z jaskini. Wejście robiło się coraz większe. Nic. Utonął.

Nagle rozległ się głośny krzyk. Coś poruszyło się w ciemnym wejściu i wypłynęło na światło. Mary wstrzymała oddech, przemieniona w jeden wielki ból.



- To Mingo.

- Co ?

- To tylko pies.

Mary patrzyła w ciemne wejście. Po jej policzkach popłynęły łzy. Znowu coś się poruszyło, rozległo się pluskanie i w snopie światła pojawiła się czyjaś głowa.

- To Pierce! - Ktoś krzyknął wprost do jej ucha. Chyba Theo.

Teraz już wyraźnie widziała głowę swojego syna. Druga łódź była bliżej jaskini. Ktoś skoczył do wody, by pomóc Pierce'owi.

- Nic mi nie jest! - krzyknął chłopiec. - Nic mi nie jest!

Theo niezręcznie ją podtrzymywał, jak gdyby nie mogła ustać o własnych siłach. Nic mu nie jest. Teraz John, John.

- Jest! - Usłyszała głos Kate.

Łódź Mary zbliżyła się do jaskini, dziobem niemal dotykając klifu. W wodzie, u wejścia do jaskini było teraz kilka osób. Pośród nich Mary ujrzała Ducane'a. Chwilę później unosił się w wodzie tuż koło łodzi. Ktoś go podsadził, kto inny podciągnął i białe, nagie ciało Ducane'a wyłoniło się z wody. Z jękiem opadł na dno łodzi. Mary zdjęła płaszcz i okryła nim mężczyznę. Potem gwałtownie się pochylała i mocno go przytuliła.

## Rozdział trzydziesty siódmy

- Słyszałem, że podczas weekendu miałeś jakiś nieprzyjemny wypadek - powiedział Biranne. - Co się właściwie stało?

- Och, nic takiego. Dopadł mnie przypływ.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć. Postanowiłeś już, co zrobić z moim losem?

- Tak. Napij się czegoś.

Był wczesny wieczór. Ducane, który jeszcze pół godziny wcześniej leżał w łóżku, miał na sobie czarny, jedwabny szlafrok w czerwone gwiazdki. Na kominku płonął ogień, który Ducane musiał rozpalić sam, gdyż Fivey z jakichś niewytłumaczalnych powodów był nieobecny. Ducane wciąż czuł przenikliwe zimno, jak gdyby w jego ciele tkwiła lodowata śnieżna kula. Mingo prawdopodobnie uratował ich obu od zamarznięcia. Zrządzeniem losu woda zatrzymała się trzydzieści centymetrów pod nimi.

Ciągle odczuwał prostą przyjemność bycia żywym. Istnienie, oddychanie, chodzenie i odkrywanie wciąż na nowo, że żyje, przynosiły mu niezaprzeczną radość. „Jestem” - powtarzał sobie. - „Jestem. Och, jak to dobrze!”

- Dzięki - powiedział Biranne. - Wezmę sobie gin.

Ducane zbliżył się do okna. Uliczny zgiełk na Earls Court Road robił się coraz słabszy. W blasku wieczornego słońca ulica jarzyła się

kolorami. „Och, jakie piękne drzwi” - myślał Ducane. - „Jakie piękne lśniące motocykle. Niech was Bóg błogosławi.”

- No i cóż, Ducane?

Ducane podszedł sennie do biurka, z szuflady wyjął pożegnalny list Radeechy'ego i położył go na krześle razem ze zrobioną na ogromnej płachcie papieru kopią kryptogramu narysowanego przez Radeechy'ego na ścianie w czarnej kaplicy.

- Usiądź, Biranne.

Biranne usiadł naprzeciw niego. Nadal stojąc, Ducane podał mu kopię kryptogramu.

- Rozumiesz coś z tego?

Biranne spojrzał na rysunek.

- Nie. Co to jest?

- Radeechy narysował to na ścianie w tym miejscu, gdzie wykonywał swoje... swoje eksperymenty.

- Nic mi to nie mówi. - Biranne niecierpliwie rzucił papier na marmurowy stół.

- Mnie też nie, ale myślałem, że może tobie coś przyjdzie do głowy.

- Co to w ogóle jest, jakiś mistyczny rebus? *Satori* - to po japońsku, prawda? A zresztą jakie to ma znaczenie?

- Radeechy ma znaczenie - odparł Ducane. - Claudia ma znaczenie. Czy to cię nie obchodzi? - Spojrzał w dół na Biranne'a.

Biranne poruszył się niespokojnie, po czym wstał i zrobił krok do tyłu, stawiając przed sobą krzesło.

- Posłuchaj - powiedział. - Wiem, co zrobiłem. Nie musisz mi tego powtarzać. Wiem.

- To dobrze. Chciałem się tylko upewnić.

Przyglądali się sobie uważnie.

- No i co dalej?

- To na początek. - Ducane odwrócił się i z przeciągłym westchnieniem nalał sobie trochę ginu i dokładnie odmierzając dolał do szklaneczki nieco wytrawnego wermutu. Potem, z pełną powagą ciekawością, znowu zaczął się przyglądać Biranne'owi.

- Daj sobie spokój - powiedział Biranne. - Nabierasz mnie. Bawisz się w kotka i myszkę.

- Tak - przyświadczył Ducane. - I będziesz musiał się z tym pogodzić. Chcę ci zadać parę pytań.

- A więc jeszcze nie podjąłeś żadnej decyzji? A może chcesz, żebym padł przed tobą na kolana? *Oro supplex et acclinis*. Tak, tobie rzeczywiście się wydaje, że jesteś Bogiem!

- Tylko kilka pytań, mój drogi.

- Pytaj, pytaj.

- Gdzie jest Judy?

- Nie wiem - odparł Biranne ze zdziwieniem - Powiedziałeś, żebym ją rzucił - parsknął śmiechem.

- I zrobiłeś tak?

- Nie. To ona mnie rzuciła. Po prostu zniknęła. Myślałem, że jest z tobą. Muszę przyznać, że mi ulżyło.

- Nie jest ze mną - powiedział Ducane. - Ale mniejsza o Judy. Zapomnijmy o niej.

- O co tu chodzi, Ducane? Wolałbym, żebyś przeszedł do sedna sprawy.

- Posłuchaj...

- Do diabła, przecież słucham!

- Biranne, kochasz jeszcze swoją żonę?

Biranne gwałtownie odstawił kieliszek na stół i odwrócił się. Zrobił parę kroków po pokoju. - Jakie to ma znaczenie dla całej... sprawy?

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Nie wiem.

- No to się zastanów. Mamy mnóstwo czasu. - Ducane usiadł w fotelu i szklaneczką zaczął kreślić w powietrzu ósemki. Upił łyk ginu.

- To moja sprawa.

Ducane milczał. Wbił wzrok w szklaneczkę, oddychał powoli i głęboko. Wydawało mu się, że wciąż pachnie morzem. Kto wie, czy nie będzie przesiąknięty tym zapachem aż do końca swoich dni.

- No, dobrze - powiedział Biranne. - Tak. Nadal Kocham swoją żonę. Trudno przestać kochać taką kobietę jak Paula. A teraz, kiedy już zaspokoilem twoją dosyć osobliwą ciekawość, może przeszlibyśmy do sedna sprawy?

- Ależ to absolutnie nie odbiega od sedna sprawy - powiedziała Ducane. - Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad powrotem do Pauli?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Paula i bliźniaki...

- Nie mogę z powrotem być z Paulą i bliźniakami.

- Dlaczego „z powrotem”? Mówisz tak, jak gdyby od dnia twojego odejścia cała trójka tkwiła w tym samym miejscu.

- Paula już dawno temu spisała mnie na straty. Ma własne życie. Czy teraz mógłbym spytać o cel tego bezsensownego dochodzenia?

- Sensownego, sensownego. Nie poganiaj mnie. Jestem bardzo zmęczony. Weź sobie jeszcze jednego drinka.

Ducane przysunął swoje krzesło bliżej ognia i zaczął sączyć swój gin z odrobiną wermutu. Rzeczywiście czuł wielkie zmęczenie i jakąś dziwną senność.

Biranne, który tam i z powrotem chodził po pokoju, zatrzymał się przy krześle naprzeciwko Ducane'a i oparł się o nie, z zaintrygowaniem spoglądając na swego gospodarza.

- Byłeś komandosem - powiedział Ducane. Spojrzał na szczupłą postać Biranne'a, na jego spiętą, lekko asymetryczną, inteligentną twarz otoczoną burzą suchych, kędzierzawych włosów.

- Jesteś dziś wyjątkowo rozkojarzony - powiedział Biranne.

- Chodzi mi o tę sprawę z Erykiem Searsem. Czy to z jego powodu nie możesz wrócić do Pauli?

- Na miłość boską! Kto ci powiedział o Eryku Searsie?

- Paula.

- Och, doprawdy? Ciekawe. No cóż, nie przeczę, że jest to pewna przeszkoda. Kiedy się odrąbało stopę czyjemuś kochankowi...

- Wówczas staje się to obsesją, koszmarem...?

- Niezupełnie tak bym to określił. Ale niewątpliwie jest to jedna z tych rzeczy, które mają swój wpływ na psychikę.

- Wiem. Paula też to czuła.

- Paula mnie nienawidzi.

- Nieprawda. Nadal cię kocha.

- Czyżby i to ci powiedziała?

- Tak.

- Chryste. Dlaczego się w to wtrącasz, Ducane?

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie.

- Powiedziałeś, że to ja tu rozkazuję i stawiam warunki. I taka właśnie jest moja decyzja. Będę milczał, jeżeli przynajmniej rozważysz możliwość powrotu do Pauli.

Biranne odwrócił się i podszedł do okna.

Ducane znowu zaczął mówić - szybko, z przejęciem i nieco przeprasającym tonem.

- Pamiętam, jak powiedziałeś: „Do diabła z twoim poczuciem obowiązku”, i teraz widzę, że miałeś rację, albo może raczej mój obowiązek wygląda zupełnie inaczej. Nie chcę rujnować ci życia, dlaczego miałbym to robić? To nie pomoże tej biednej Claudii, ani Radeechy'emu. Jeśli zaś chodzi o prawo, to prawo stworzone przez człowieka jest jedynie marną namiastką sprawiedliwości, instrumentem zbyt nieudolnym, by poradzić sobie z sytuacją, w której się znalazłeś. Nie chcę bawić się w Boga; cała ta sprawa została mi narzucona i po prostu muszę coś z tym zrobić. Naprawdę chciałbym tak to załatwić, żeby nikomu nie wyrządzić krzywdy. Co się tyczy dochodzenia, to znam dokładną odpowiedź na pytanie i udzielię jej bez podawania szczegółów. Paula z pewnością cię kocha, dlatego więc nie miałbyś do niej wrócić? Nie każę ci wygrać, każę ci spróbować. - Ducane wstał i cisnął swój kieliszek do kominka.

- Nie mam zbyt wielkiego wyboru, prawda? - wymamrotał Biranne.

- I tak, i nie - odparł Ducane. - Równie dobrze mogę zapomnieć o całej sprawie, to znaczy niezależnie od tego, jak postąpisz. Ale ponieważ jesteś gentlemanem...

- Ty chyba zwariowałeś. Przecież to może być katastrofa. Nie rozumiem jak możesz to uważać za dobry pomysł.

- Rozmawiałem o tym z Paulą - oczywiście bardzo ogólnikowo, nie zagłębiając się w szczegóły. Wydaje mi się, że bardzo pragnie spróbować jeszcze raz. Najwyraźniej też o tobie nie zapomniała.

- Pewnie się jej dziwisz - powiedział Biranne. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w ogień. - Zgoda, Ducane, zgoda. Spróbuję, tylko spróbuję. Bóg jeden wie, co z tego wyjdzie.

- Świetnie. Myślałeś kiedykolwiek o powrocie?

- Tak, ale to były tylko fantazje. Kiedy rozchodzi się dwoje ludzi tak upartych jak my...

- Wiem. Dlatego właśnie czułem, że *deus ex machina* jest tu zupełnie na miejscu.

- Wierzę, że miałeś niezły ubaw. No, dobrze. A co, jeżeli się okaże, że Paula nie będzie mogła znieść mojego widoku? No i niech ci się nie zdaje, że w ciągu jednej nocy przemienię się w idealnego męża.

- Tak, tak. Nadal będziesz takim samym draniem jak teraz.

Biranne uśmiechnął się i znowu wziął do ręki swoją szklaneczkę.

- Dziwię się, że nie chcesz uchronić Pauli przed moimi szponami. To śmieszne, ale kiedyś podejrzewałem, że ty i Paula... Boże, chyba bym oszalał! Nie zniósłbym gdyby jakkolwiek mężczyzna się do niej zbliżył, a już ty byłbyś najgorszy...

- Cóż, jeżeli chcesz, żeby inni mężczyźni trzymali się od niej z daleka, to sam powinieneś się nią zająć. A przy okazji - dodam jeszcze jeden warunek. Musisz o wszystkim jej opowiedzieć.

- To znaczy o Radeechym, i tak dalej?

- Tak. Oczywiście niewykłuczone, że Paula postanowi, jak to ująłeś, spisać cię na straty. Nie podejrzewam jednak, żeby tak zrobiła. Masz, będzie ci to potrzebne. Ja już go nie chcę. - Ducane podał Biranne'owi list pożegnalny Radeechy'ego.

Biranne położył list na kominku.

- Wydaje mi się, że postąpilibyśmy mądrzej, gdybyś to ty wszystko powiedział Pauli. To znaczy, mógłbyś jej ogólnie przedstawić fakty. Może dojść do wniosku, że nie chce mnie widzieć na oczy.

- Nie sądzę. Zresztą - niech będzie. Powiem jej. Chcesz, żeby tu przyjechała, czy może wolałabyś pojechać do Dorset?

- Niech ona zadecyduje. Zresztą, nie, lepiej spotkajmy się w mieście. Nie bardzo jestem... gotowy na spotkanie z bliźniakami.

Ducane roześmiał się.

- Bliźniaki rzeczywiście są niesamowite. Myślę jednak, że ci wybaczą. Cóż, nie pozostaje mi nic innego jak tylko życzyć ci szczęścia.

Biranne przygryzł dolną wargę, co sprawiło, że jego twarz stała się jeszcze bardziej niż zwykle asymetryczna.

- To coś w rodzaju szantażu, prawda?

- Chyba tak.

- Może jednak to wezmę. - Biranne wepchnął do kieszeni pożegnalny list Radeechy'ego. Roześmieli się obaj.

Biranne ruszył w kierunku drzwi.

- Zostawię ci wiadomość po rozmowie z Paulą - powiedział Ducane.

- Dzięki. No i w ogóle - dzięki za wszystko.

Kiedy doszli do drzwi, Biranne dotknął ramienia Ducane'a. Ducane pośpiesznie wyciągnął dłoń i uściśnił sobie ręce, unikając swojego wzroku. Po chwili Biranne był już na ulicy.

Ducane z wysiłkiem przechylił się, by podnieść listy leżące na wycieracze. Powłókł się do salonu. Zauważył, że meble są pokryte warstwą kurzu. Gdzie, do diabła, podziewał się Fivey? Przyjemne uczucie bycia żywym osłabło, a śnieżna kula robiła się coraz większa. Pewnie nabawił się jakiejś choroby, która wkrótce da o sobie znać. Zadrżał i uświadomił sobie, że szczeka zębami.

Z jakąś dziwną niecierpliwością oczekiwał tego spotkania z Biranne'em, a tymczasem minęło ono niczym sen. To prawda, że już nie uważał Biranne'a za drania. Co więcej, niemal go polubił. Ustąpiło napięcie, które do tej pory ich łączyło. Ducane już nie potrzebował Biranne'a. Jeżeli Biranne wróci do Pauli, to w końcu będzie miał za złe Ducane'owi jego interwencję i uzna ją jedynie za kolejny przejaw władzy. A może rzeczywiście był to ze strony Ducane'a tylko i wyłącznie przejaw jego władzy? Biranne zacznie go unikać, a jeżeli on i Paula będą razem, to i Paula zacznie unikać Ducane'a. Westchnął. Bardzo pragnął porozmawiać z kimś życzliwym, na przykład z Mary Clothier, potrzebował słów otuchy. Chciał mieć na co czekać. Usiadł i zaczął przeglądać listy.

Jeden był od Kate, drugi od Jessiki, a trzeci został napisany nieznanym charakterem pisma i ten właśnie list Ducane otworzył najpierw. Wyglądał on następująco:

*Drogi Johnie!*

*Pewnie zastanawiasz się, co się stało z małą Judy, pomyślałam więc, że powinnam do ciebie napisać i wszystko wyjaśnić, bo byłeś dla mnie taki miły. John, może nadal nie postępuję według Dziesięciu Przykazań, ale naprawdę zmieniłeś moje życie. Niestety podchodzisz poważniej do kwestii*



*małżeństwa, niż ja, ale to chyba dlatego, że nigdy nie byłeś żonaty. I tak byłam zdecydowana odejść od Petera, kiedy ni z tego ni z owego w moim życiu pojawił się Ewan. Stało się to tej nocy, kiedy mnie odwoził z twojego domu i chociaż znamy się tak krótko, wiemy, że jesteście dla siebie stworzeni i zamierzamy razem wyjechać. Spróbuj zgadnąć, gdzie będziemy, kiedy dostaniesz ten list! Na statku płynącym do Australii! Tak się szczęśliwie złożyło, że wszystkie moje oszczędności akurat starczą na bilety! Ewan, tak jak ja, jest w połowie Walijczykiem, w połowie Australijczykiem, więc kierunek naszej podróży jest chyba właściwy. Ewan zabierze mnie do miejsca, w którym się urodził, jego ojciec ma warsztat samochodowy i pomoże nam na początek, więc życz nam szczęścia! No, to by było wszystko. Naprawdę cieszę się, że cię poznałam i szkoda, że nie zdążyliśmy, no - wiesz, co! Ale nie powinnam tak mówić, bo Ewan jest strasznie zazdrosny! Przyślę ci pocztówkę z Sydney Bridge.*

*Szczerze Ci oddana  
Judy*

Dopiero po jakimś czasie Ducane zrozumiał, że „Ewan” to jego wszechstronny Fivey. Teraz musi szukać innego służącego. Tym razem jednak będzie o wiele ostrożniejszy. Dopiero tydzień później Ducane odkrył, że razem z Fiveyem zniknęło kilka par najdroższych spinek do mankietów i sygnet, który dostał od ojca. Nie żałował spinek, ale szkoda mu było sygnetu.

Otworzył list od Jessiki.

*Mój drogi Johnie!*

*Strasznie Cię przepraszam, że nie odpisywałam na twoje listy, telegramy, itd. i nie odbierałam telefonów, ani nie chciałam cię wpuścić do domu. Jakie to dziwne, że nasze role się odwróciły, prawda? Jak pewnie wiesz, dowiedziałam się wszystkiego o Kate. Niewiele mam do powiedzenia. Jestem wstrząśnięta tym, że musiałeś mnie okłamywać. Nie powinieneś mnie w ten sposób oszczędzać, gdyż odkrycie wszystkiego sprawiło mi o wiele większy ból. Nienawidzę kłamstw i niedomówień, myślę, że ty też i z pewnością ulżyło ci, kiedy cała sprawa wyszła na jaw. Uważam, że nie ma sensu się spotykać. Wystarczająco często to powtarzałeś, a ja niestety byłam zbyt głupia, żeby to zrozumieć. Wiesz, wydawało mi się, że bardzo cię kocham, a teraz - aż*

*trudno w to uwierzyć - myślę, że po prostu się myliłam. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci przykrości. Pewnie tak cholernie się cieszysz, że się mnie pozbyłeś, że moje słowa nie mogą cię zranić. Oczywiście jest mi źle, ale nawet nie w połowie tak smutno, jak dwa lata temu. Więc nie martw się o mnie. Wylałam tyle łez, że już nie potrafię płakać. Lepiej nie pisz do mnie. Jeszcze nie jestem na tyle wyleczona, by widok twojego charakteru pisma nie sprawił mi przykrości. Bądź szczęśliwy z Kate. Naprawdę dobrze wam życzę. Proszę cię, nie pisz i nie dzwoń. Życzę szczęścia.*

*Jessica*

Ducane rzucił list do ognia. Zrozumiał, że oddanie Jessiki jest czymś pięknym i wzruszającym. Nie poczuł żadnej ulgi na myśl, że wkrótce będzie, a może nawet już jest, „wyleczona”. Zbrukał coś, co teraz wydało mu się niewypowiedzianie czyste. Gorzkie kłótnie, setki argumentów już należały do przeszłości, a wkrótce staną się obce nawet pamięci. Ciężył nad nim wyrok sądu wyższej instancji, skazujący go za kłamstwa, intrygi i brak godności równej tej, która istniała w prostej miłości Jessiki. Otworzył list od Kate.

*Najdroższy!*

*Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i że nie cierpisz na żadne dolegliwości spowodowane tamtymi strasznymi przejściami. Niełatwo mi do ciebie pisać, ale wydawało mi się, że będziesz oczekiwał ode mnie paru słów. Tak wiele wydarzyło się w ciągu tak krótkiego czasu.*

*Otworzyłam ten list, który chciałeś przede mną ukryć, potem oczywiście dużo myślałam o nas i doszłam do wniosku, że jestem z siebie bardzo niezadowolona. Zawsze chciałam mieć wszystko naraz. Byłam taka pewna, że damy sobie radę z tym czymś dziwnym, niejasnym, a jednak tak silnym, co było między nami, i że nikomu nie stanie się żadna krzywda. Jednak mechanizm miłości ma swoją własną, tajemniczą moc, a poza tym (wybacz mi te słowa) ufałam, że pod pewnym względem mnie nie zawiedziesz. Przypuszczam, że to odkrycie było dla mnie czymś trudnym do zniesienia. Tak jak powiedziałam wtedy, oczywiście nie mam do ciebie żadnych praw. Może po prostu myliliśmy się myśląc, że obędzie się bez pewnej dozy zazdrości. Gdybym wcześniej wiedziała, że masz kogoś, nie pozwoliłabym sobie aż tak się zaangażować. Szaleństwem z mojej strony było wierzyć, że zdołam uchronić*

*przed innymi kobietami mężczyznę tak atrakcyjnego jak ty, nie będąc ani twoją żoną ani kochanką. A tak właśnie mi się wydawało. Pewnie pomyślisz, że jestem głupia. W każdym razie uważam, że mała przerwa w naszej znajomości będzie teraz jak najbardziej na miejscu. Niewątpliwie czujesz ulgę, bo na pewno miałeś pewne obawy co do naszego „związku”, który, jak teraz rozumiałam, był głównie moim dziełem. Bądź szczęśliwy z Jessiką. Nie wypada powiedzieć „możesz uważać się za wolnego”, gdyż nigdy nie chciałam cię wiązać, choć istniały pomiędzy nami pewne więzy. Jednak to już minęło. Oczywiście możesz jak przedtem przyjeżdżać do Trescombe. Oktawian cię pozdrawia i zaprasza do nas.*

*Kate*

Ducane wrzucił wszystkie listy do ognia. Pismo Kate było tak duże, że litery zlewały się w wielkie kulfony. „Jak bardzo ten szczególny ton żalu nie pasuje do kobiety” - pomyślał. - „I jakże trudno, nawet inteligentnej kobiecie, ukryć ten żal”. A potem zastanowił się: „Dlaczego Kate oceniam surowiej niż Jessikę?” Odpowiedzi nie musiał szukać długo. Jessica bardziej go kochała. Ducane leniwym ruchem wziął do ręki kartkę papieru, która pozostała na stoliku. Był to kryptogram Radeechy'ego. Wpatrywał się w kartkę, czując pustkę w głowie. Wreszcie zaczął badać ją uważnie. Środek kryptogramu zaczął mu coś przypominać. W końcu Ducane zrozumiał, co to było. Środkowa część kwadratu składała się z łacińskich wyrazów starego chrześcijańskiego kryptogramu.

R O T A S  
O P E R A  
T E N E T  
A R E P O  
S A T O R

Ten zmyślny rebus można odczytywać do przodu, wspak lub ukośnie, a gdy dodać A i O (Alfa i Omega), okazuje się, że składa się on z liter pierwszych dwóch słów *Ojciec Nasz* ułożonych w znak krzyża.

A  
 P  
 A  
 T  
 E  
 R  
 A P A T E R N O S T E R O  
 O  
 S  
 T  
 E  
 R  
 O

Kto wpadł na pomysł, żeby na tamtej poczerniałej ścianie wyrysować to dziwaczne zaklęcie, które dzięki swej pomysłowej formie i tajemnej treści miało przywołać siły niewątpliwie groźniejsze i kto wie, czy nie bardziej rzeczywiste od chrześcijańskiego Boga? I w jaki sposób Radeechy wykorzystywał jego potęgę i magiczną moc? Ducane przyjrzał się literom po bokach kwadratu. Znowu dwa razy A i O, tym razem odwrócone. Z pozostałych liter składał się napis RADEECHY PATER DOMINUS.

Ducane rzucił papier. Czuł się rozczarowany, dotknięty, zagniewany. W egoistycznym przywłaszczeniu sobie przez Radeechy'ego łacińskiej formułki było coś szczeniackiego i żałosnego. Podobne napisy uczniowie wydrapują pod pulpitemi ławek. Być może cały egoizm, jeżeli całkowicie jawny, jest czymś dziecinnym. Ducane'owi zrobiło się bardzo żal Radeechy'ego. Rozszyfrowanie kryptogramu dało mu wrażenie nawiązania z nim rozmowy, lecz rozmowy bełkotliwej i chaotycznej. Po całej tej maszynie zła, odwróconym krzyżu, martwych gołębiach, samo centrum wydawało mu się tak puste i banalne. A jednak Radeechy nie żył, a czyż te złe moce nie były na tyle pomysłowe, by go zmusić do dwóch aktów przemocy? Ducane nie potrafił wejrzeć w głąb tego świata. Widział w nim jedynie groteskę i dziecinną zabawę, a jeżeli było w nim coś strasznego, to z pewnością nie posiadało zbyt wielkiej władzy. Może i istniały tam duchy, złe duchy, ale i te były czymś mało istotnym. Wielkie zło, przerażające zło odpowiedzialne za wojny, niewolnictwo i całą krzywdę, jaką człowiek wyrządza człowiekowi, kryje się w zimnym,

bezwzględnym egoizmie zupełnie zwyczajnych ludzi, takich jak Biranne i on sam.

Ducane wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wokół niego nieco się wyludniło. Fivey odszedł, Judy odeszła, Biranne odszedł, Jessica odeszła, Kate odeszła, Paula odeszła. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Jego twarz, którą zawsze uważał za „pociągłą”, była wymizerowana i chuda, włosy miały nieświeży wygląd, a na samym środku głowy Ducane dostrzegł wyblakły, siwy kosmyk. Jego oczy były wodniste i pożółkłe, a nos błyszczący i czerwony od słońca. Musiał się ogolić.

„Zakończył się pewien etap w moim życiu” - powiedział do siebie. Sięgnął po papier listowy i zaczął pisać.

*Drogi Oktawianie!*

*Z wielkim żalem pragnę cię zawiadomić, że muszę złożyć rezygnację...*

## Rozdział trzydziesty ósmy

„Ciekawe, czy zemdleję, kiedy go zobaczę” - zastanawiała się Paula.

Co za idiotyczny pomysł umawiać się w National Gallery! Richard zaproponował na pocztówce, żeby spotkali się pod obrazem Bronzino. Paulę to wzruszyło, ale był to jednocześnie taki głupi, typowy dla Richarda pomysł. Gdyby przysłał list, a nie kartkę, zaproponowałaby co innego, a tak mogła tylko posłać mu pocztówkę z odpowiedzią „tak”. Na szczęście o tej dość wczesnej porze w muzeum nie było nikogo oprócz strażnika, który siedział w sali obok.

Paula przyjechała za wcześnie. Richard z właściwą sobie bezmyślnością zaproponował spotkanie o tak wczesnej godzinie, musiała więc przenocować w hotelu. Nie chciała zatrzymywać się u Johna Ducane'a czy u Oktawiana i Kate. Potrzebowała samotności. Przez całą noc nawet nie zmrużyła oka. Rano przy śniadaniu nie mogła przełknąć ani kęsa. W końcu usiadła w hotelowym hallu i nerwowo zaciskając dłonie wbiła wzrok w zegar. W pewnej chwili zrobiło jej się niedobrze i musiała pobiec do łazienki. Wreszcie wypadła z hotelu i złapała taksówkę. Teraz musiała czekać jeszcze pół godziny.

„Możliwe, że zemdleję” - pomyślała. Ciągle jeszcze było jej niedobrze, a nad jej głową wisiał jakiś niewidzialny czarny baldachim, którego frędzla kołysała się tuż ponad poziomem jej wzroku. Gdyby ta czerń opadła na nią, jej ciało skręciłoby się i przechyliło, i Paula

spadłaby głową do przodu wprost w mroczną przepaść. Poczowała zawrót głowy i przestraszyła się, że za chwilę upadnie. „Lepiej usiądę” - pomyślała. Ostrożnie podeszła do kwadratowej, obitej skórą ławy pośrodku sali i usiadła.

Przemoc dzieliła ich jak przepaść, czy może raczej określała samego Richarda, jak gdyby został wyposażony w jakąś niebezpieczną, metalową kończynę. Jakie to dziwne. Przecież to Eryk miał metalową kończynę. Czy ta scena z pokoju do bilarda na zawsze usunęła Richarda z jej życia? Nigdy właściwie tak nie myślała, ale chyba odruchowo uznała to za oczywiste. Inaczej nie odeszłaby od niego, a tak nigdy nawet nie zastanawiała się nad możliwością zostania. Czy jednak nie było szaleństwem uznanie tego incydentu za tak ważny, ważny w niemalże fizyczny sposób?

Paula spojrzała na obraz Bronzino. Odkąd Richard „przywłaszczył” go sobie, Paula rozmyślnie powstrzymywała się przed teoretycznymi dociekaniem dotyczącymi tego dzieła, lecz niejasno pamiętała parę rzeczy, które gdzieś wcześniej o nim wyczytała. Postacie na górze to unoszące niebieski woal, Czas i Prawda, które ukazują ekstatyczny pocałunek Kupidyna i jego Matki. Lamentująca postać za Kupidynem to Zazdrość. Zza pulchnej sylwetki trzymającego pączki róż chłopca uosobijającego Rozkosz, wygląda złowieszcza postać dziewczyny o lakierowanej twarzy i z łuskowatym ogonem, symbolizująca Oszustwo. Paula po raz pierwszy zauważyła, jak dziwne są dłonie tej postaci i wreszcie zrozumiała, że zostały one zamienione: prawa dłoń w miejsce lewej, a lewa dłoń - prawej. Prawda obserwuje całą scenę, Czas jest w ruchu, ale delikatny jak muśnięcie skrzydłem motyla pocałunek trwa nadal, wargi ledwo się dotykają, smukłe, lśniące ciała lgną do siebie z niezdnarą czułością, nie obejmując się jednak. „Jakie to podobne do Richarda” - pomyślała. - „Takie intelektualne, takie zmysłowe”.

W drzwiach stanął jakiś mężczyzna. Wyglądało to tak, jak gdyby nagle się zmaterializował. Paula poczuła jak jakaś nieludzka siła przygwałdzi ją do oparcia ławy. Mężczyzna szybko podszedł i usiadł obok.

- Cześć, Paulo. Wcześniej przyszłaś.

- Cześć, Richard.

- Ja też się pośpieszyłem. Nie mogłem usiedzieć w miejscu, musiałem przyjść.

- Tak.

- No to cześć...

Paula nie próbowała podtrzymywać rozmowy. Starła się zapanować nad oddechem. Głęboki wdech, teraz wypuścić powietrze, wypuścić powietrze. Naprawdę było to całkiem łatwe. Przesunęła się nieco i spojrzała z ukosa na Richarda, który z jedną ręką opartą na kolanie bez uśmiechu przyglądał się Pauli. Koło nich przeszedł strażnik. Poza tym w sali było pusto.

- Posłuchaj, Paulo - powiedział Richard cicho, - bądźmy konkretni, a przynajmniej zacznijmy od konkretów. Czy Ducane opowiedział ci o tej paskudnej sprawie z Radeechym?

- Tak.

- O mnie i o Claudii? Wszystko?

- Tak.

- Oddzielmy od siebie te dwie kwestie, dobrze? a) Czy uważasz, że powinienem poddać się, przekazać całą tę sprawę policji, co oznacza, że zostałem wylany z pracy i oskarżony o współudział? i b) Co mamy teraz zrobić ze sobą? Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zacząć od pytania a).

„Boże, jakie to dla niego typowe” - pomyślała i przeszył ją jakiś bolesny dreszcz czułości i wspomnień. Czarny baldachim odpłynął i teraz mogła już swobodnie oddychać, lecz serce nadal waliło jej w piersiach jak oszalałe.

- Czyż te dwie kwestie nie są ze sobą powiązane? - powiedziała. Nie mogła spojrzeć Richardowi w oczy, wbiła więc wzrok w podłogę.

- Łączy je to, czy chciałybyś mnie odwiedzić w więzieniu.

„Och, Richardzie, Richardzie”.

- Czy to John... kazał ci tu przyjść?

- Nie, nikt mnie do tego nie zmusił. Chciałbym tylko wyjaśnić kwestię a). Nie możemy zacząć od b).

- J o h n chyba uważa, że najlepiej wszystko zatrzymać dla siebie i...

- Do diabła z Johnem. Jakie jest twoje zdanie?

Paula nie spodziewała się tego. Była do głębi poruszona historią Claudii i Radeechy'ego, ale nie pomyślała, że ktoś jeszcze będzie od niej wymagał komentarza. Od razu zgodziła się z Ducane'em,



że Richard nie musi się do niczego przyznawać. Teraz spróbowała zastanowić się nad tym. Richard żądał od niej obiektywizmu. Już samo to było czymś niezwykłym, równie niezwykłym jak to, że siedzieli teraz koło siebie. Spojrzała na przerażające postaci Prawdy i Czasu.

- Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne, Richardzie. John twierdzi, że twoje zeznanie nie jest potrzebne. Teraz już nie... nie pomożesz innym. Nie ma sensu tak się umartwiać.

Richard ciężko westchnął.

„O Boże, ulżyło mu” - pomyślała i znowu poczuła ból. Z powrotem skierowała wzrok na podłogę, przesunęła go aż na stopy Richarda. Metalowe kończyny.

- A co z b), Paulo?

- Zaraz, zaraz - wymruczała. - Bądźmy, jak mówisz, konkretni. - Odsunęła się nieco i zaczęła mu się przyglądać. Jego asymetryczna twarz przybrała wyraz podejrzliwości i niepokoju, przypominała wykrzywioną maskę, której co jakiś czas dotykał, jak gdyby usiłując ją wygładzić.

- Richardzie, czy chcesz do mnie wrócić?

- Tak - wyrzucił z siebie, a potem dodał: - A czy ty chcesz, żebym wrócił?

- Tak - odparła tak samo szybko. Ich „tak” zawisły niezdecydowanie w powietrzu, lakoniczne i niczego nie rozstrzygające.

- Richard, mieszkałeś z kimś, prawda?

- Skąd wiesz? Domyśliłaś się?

- Któregoś dnia poszłam... do domu... tylko popatrzeć... kiedy byłeś w biurze... I zobaczyłam jak jakaś piękna dziewczyna otwierała sobie drzwi kluczem.

- O Boże. Naprawdę to zrobiłaś, Paulo? O Boże. No tak, była pewna dziewczyna, ale to już skończone. To była dziwka.

- Myślisz, że to coś zmienia?

- No, dobrze. To niczego nie zmienia. W każdym razie ona odeszła. Jeżeli koniecznie musisz wiedzieć, to uciekła do Australii ze służącym Ducane'a!

- Napisała do ciebie?

- Nie, Ducane mi powiedział. Jezu, chyba nie jesteś zazdrosna o dziwkę, która jest teraz w drodze do Australii?!

- Nie miałaś nikogo więcej, to znaczy ostatnio?

- Nie. A ty? Miałaś kogoś?

- Nie.

- Nie jesteś zakochana w Ducanie, prawda?

- Oczywiście, że nie, Richardzie!

- Jesteś pewna?

- Tak!

- To dobrze. No cóż, kontynuuj swoje śledztwo. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego chcesz, żebym wrócił.

- Richardzie, musimy porozmawiać o Eryku.

- Jezu, ten sukinsyn znowu się pojawił?

- Nie, nie. Pisał, że chce do mnie wrócić, ale dzięki Bogu zmienił zdanie.

- Nie kochasz go, prawda?

- Nie, nie, nie.

- W takim razie czy nie możemy o nim po prostu zapomnieć?

- Chodzi to to, że nie możemy. A przynajmniej nie możemy zapomnieć... o tym, co się stało. Wiem, że to zabrmi dziwnie, ale tamta straszna scena żyje nadal jak jakiś czarny guz wydzielający truciznę.

- Wiem - powiedział cicho. - Wiem.

Do sali weszła grupa Amerykanów. Na chwilę zatrzymali się przy obrazie Bronzino, wymienili parę fachowych uwag, po czym zerknęli na nieruchomą parę na ławie i pośpiesznie opuścili salę.

- Paulo - powiedział Richard, - oboje jesteśmy rozsądnymi ludźmi. Pewnie nie dalibyśmy sobie z tym rady osobno, ale razem możemy coś z tym zrobić. Wydarzyło się coś okropnego, coś, za co oboje jesteśmy odpowiedzialni. Stało się. Wiesz, że nie wierzę w Boga, nieczyste sumienie, żal za grzechy, i tak dalej. Przeszłość minęła, już jej nie ma. Jednak to, co istnieje, jest konsekwencją przeszłości i dlatego tak trudno nam nad tym zapanować. Moim zdaniem nie możemy nic więcej zrobić dla Eryka, jak tylko o nim zapomnieć. Moglibyśmy spróbować rozwiązać tę chmurę, jeżeli zdecydujemy, że warto zacząć raz od nowa. Myślę, że wtedy ten guz nas nie zatruje. Wtedy po prostu powoli zacznie znikać.

Gdy Paula patrzyła na Richarda, słuchając jego wysokiego, wyraźnego głosu, w tak znajomy sposób coś tłumaczącego i

objaśniającego, poczuła przeszywający ją dreszcz, w którym sekundę później rozpoznała fizyczne pożądanie. Pragnęła zarzucić mu ręce na szyję i mocno się do niego przytulić. Zesztywniała i zamknęła oczy.

- Co ci jest, Paulo?

- Nic, nic. Chyba masz rację. Jedźmy dalej. - Otworzyła oczy i jej wzrok padł na niebieskożółtą plamę obrazu Bronzino. - Richardzie, gdybyś wrócił do mnie, czy... czy nadal miewałbyś romanse?

Po krótkim milczeniu Richard rzucił lakonicznie:

- Możliwe.

- Tak też myślałam...

- Paulo, proszę cię... Trudno powiedzieć. W tej chwili czuję... do diabła, uczucia są tylko uczuciami. Nie wiem, co bym zrobił. Zgodnie ze starym wzorcem pewnie czasami bym cię zdradzał. Poczekamy, zobaczymy. Wiesz przecież, że nie ma sensu mówić, że coś postanowiłem.

- Wiem. Myślę, że bym to zniosła. Tylko, Richardzie, nie będziesz mnie okłamywał, dobrze?

- Chcesz, żebym ci się przyznawał za każdym razem, kiedy pocałuję swoją sekretarkę?

- Nie. Ale będę chciała wiedzieć, czy poszedłeś do łóżka ze swoją sekretarką.

Richard znowu przez chwilę milczał; w tym czasie przez salę przemknęła grupka uczniów.

- Niełatwo z wyprzedzeniem dawać takie obietnice, Paulo - powiedział powoli. - Nie potrafię przewidzieć, jak się zachowam, kiedy kusić mnie będzie jakaś łatwa zdobycz.

Paula zapatrzyła się w postać Oszustwa o lakierowanej twarzy, zamienionych miejscami dłoniach i łuskowatym ogonie. Czy to tutaj wszystko się załamało i runęło w grzmiącą otchłań pełną strzaskanych masek, zgniecionych pączków róż i zakrwawionych piór? Teraz jednak, gdy chłodnym okiem patrzyła na ten obraz Bronzino, ponad wszelką wątpliwość czuła, że pragnie powrotu Richarda. Odwróciła się do niego.

- No, dobrze, ale kłamstwa wszystko niszczą i psują.

- Wiem. Będę się starał je ograniczać.

Dokładność Richarda i chęć, nawet w tej najważniejszej z chwil, by zostawić drzwi uchylone dla Wenus, Kupidyna i Szaleństwa, wywołały w niej uczucie miłości, nad którym ledwo mogła zapanować.

- Paulo, jeżeli chodzi o bliźniaki...
- Słucham.
- Nie są przeciwko mnie, prawda?

- Och, nie, kochanie. Zachowały dla ciebie swoją miłość; nic jej nie zniszczyło, wiem to dobrze.

Nagle rozczulenie, obraz dzieci, wypełniły jej oczy gorącymi łzami. Zamrugała, odwracając się i w tej samej chwili po raz pierwszy przemknęła jej przez głowę myśl: „Czy nadal mu się podobam?”

- Dzięki Bogu. Kiedy mógłbym...? To znaczy, czy już coś postanowiliśmy?

Paula odwróciła się do niego twarzą zalaną łzami.

- Richardzie, spytaj samego siebie, spytaj samego siebie, czy naprawdę tego chcesz.

- Paulo, jesteś taka... Och, Paulo, tak, tak, tak. Daj mi rękę.

Paula przysunęła się do niego. Ich ręce dotknęły się, kolana oparły się o siebie. Oboje drżeli.

- Och, Richardzie, nie tutaj... ktoś może...

- Tak, właśnie tutaj.

Amerykanie, którzy wrócili w nadziei, że uda im się jeszcze rzucić okiem na Bronzino, wycofali się w popłochu.

- Paulo, znowu się w tobie zakochałem, zakochałem się jak jeszcze nigdy przedtem.

- Ja nigdy nie przestałam cię kochać, nawet na sekundę.

- Paulo, czy moglibyśmy natychmiast pojechać do domu? Chciałbym cię pocałować, chciałbym...

Poderwali się na równe nogi. Richard zerknął na plecy odwróconego strażnika i podszedł do Bronzino. Przesunął zmysłowo palcami po farbie, pieszcząc muskające się wargi Wenus i Kupidyna. Potem chwycił Paulę za rękę i pociągnął ją za sobą. Biegiem opuścili salę. Strażnik odwrócił się i z niepokojem zaczął liczyć obrazy.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

- Napijesz się czegoś? - spytał Ducane.
- Tak, dzięki. Poproszę odrobinę sherry.
- Nie przeszkadza ci ten ogień? Nie za gorąco?
- Nie, jest bardzo przyjemnie. Na pewno dobrze się czujesz?
- O wiele lepiej. Jak się ma Pierce?
- Jest w doskonałej formie. Bardzo serdecznie cię pozdrawia.

Kazał, żebym powiedziała bardzo serdecznie.

- Pozdrów go ode mnie. Usiądź, proszę. Jak to miło, że przyszedł.

Mary Clothier puściła płaszcz na podłogę i usiadła niezgrabnie, trzymając sherry w sztywno wyciągniętej ręce, jak gdyby kieliszek był czymś, z czym nie umiała się obchodzić, na przykład rewolwerem. Jej dłoń lekko zdrząła, parę kropli sherry spadło na napięty materiał jej sukienki w biało-niebieską kratę i Mary poczuła wilgoć na udzie. Z ciekawością rozglądała się po pokoju. Był to dystyngowany, elegancki, ładny salon pełen, zdaniem Mary zbyt pełen, rzucających się w oczy bibelotów. Porozstawiane na lśniących powierzchniach mebli wyglądały bardziej jak zabawki niż ozdoby. Mary spojrzała poprzez zalane słońcem okno na kwietniki z lanego żelaza i jaskrawo pomalowane drzwi schludnych domków po drugiej stronie ulicy i serce się jej ścisnęło. „Jak mało go znam” - pomyślała.

- Jak to cudownie, że Richard i Paula znowu są razem, prawda?
- powiedziała.
- Tak, to wspaniale.

- Bardzo się cieszę. Są tacy szczęśliwi, zupełnie jak dwójka dzieciaków. - Westchnęła. - Nie jesteś zdziwiony? Ja nie miałam pojęcia, że to planowali. Paula jest taka skryta.

- Mhm... Szybko im to poszło. Tak to już jest. Życie bywa zaskakujące.

Mary spojrzała na Ducane'a, który jak zwierzę w klatce chodził tam i z powrotem na niewielkiej przestrzeni ogrodzonej wysokim fotelem w rogu pokoju, przystawał co chwila i przechylał się przez oparcie fotela, żeby lepiej usłyszeć jej słowa. Miał na sobie, za co wylewnie przeprosił, czarny jedwabny szlafrok w pączę czerwone gwiazdki, a pod spodem ciemnoczerwoną piżamę. W stroju tym wyglądał nieco egzotycznie, nieco po hiszpańsku, jak aktor, jak tancerz.

- John, jak było w tej jaskini? Pierce nie chce mi nic powiedzieć, a moja wyobraźnia działa. Ciągłe mi się śnią jakieś koszmary. Bałeś się, że umrzesz?

- Trudno powiedzieć, Mary - odparł, przechylając się przez krzesło. - Może. Pierce był bardzo silny i dzielny.

- Jestem pewna, że ty też. Opowiedz mi, jak tam było. Opowiedz mi wszystko od samego początku.

- Nie teraz, Mary, jeśli pozwolisz. - Po chwili dodał: - Tam, w tych ciemnościach widziałem twoją twarz. Opowiem ci o tym... później...

Jego rzeczowy ton uspokoił ją.

- Zgoda. Czy podjąłeś już tę decyzję, John?

- Jaką decyzję?

- Mówiłeś, że musisz podjąć decyzję dotyczącą jakiejś osoby.

- A, tak. Już to postanowiłem.

- I co - decyzja była słuszna?

- Tak. Zrobiłem porządek z całą tą sprawą. Zrobiłem porządek z wieloma rzeczami. Właściwie to wszystko jest już w porządku!

- Brawo!

- Nie wiesz, o czym mówisz! - powiedział podniesionym głosem.

- Przepraszam. Jestem jeszcze strasznie podenerwowany.

Mary uśmiechnęła się nieco niepewnie, a potem powiedziała z niezamierzoną goryczą:

- Nic o tobie nie wiem.

- Przecież znamy się od lat.

- Nie. Dostrzegaliśmy się jak znajome przedmioty na tle krajobrazu, jak domy, czy dworce, które się mija w podróży. Zawsze rozmawialiśmy tylko o banałach.

- Krzywdzisz nas. Zawsze się rozumieliśmy. Jesteśmy do siebie podobni.

- Ja nie jestem taka jak ty - zaprzeczyła. - Nie, ty należysz do jakiejś innej rasy. - Rozejrzała się po pokoju, po przypominających zabawki bibelotach. Za oknem ciężki, słoneczny wieczór chrapliwie rozbrzmiewał odległymi dźwiękami.

Ducane spojrział na nią zaskoczony i nieco zdeprymowany.

- Zdaje się, że to nie był komplement!

Mary spojrzała na jego szczupłą, brązową twarz, wąski nos, falę suchych, ciemnych włosów. Ich rozmowa wydawała się jej pusta jak przerywane, pozbawione rytmu dudnienie bębnow. Zadrzała.

- To nie ma żadnego znaczenia. Ty jesteś inny. Muszę już iść.

- Przecież dopiero co przyszłaś.

- Wpadłam tylko, żeby sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

- Może powinienem ci powiedzieć, że nie! Nie sprawiasz mi przyjemności, wychodząc tak szybko. Miałem nadzieję, że zjesz ze mną kolację.

- Niestety jestem umówiona.

- Nie idź, Mary. Napij się jeszcze sherry.

Napełnił jej szklaneczkę. Czarny jedwab otarł się o jej kolano.

„Dlaczego znalazłam się w tak absurdalnym i strasznym położeniu?” - pomyślała Mary Clothier. - „Dlaczego byłam tak beznadziejnie głupia? Dlaczego, po wszystkich tych latach, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszelkiemu prawdopodobieństwu tak szaleńczo zakochałam się w swoim starym przyjacielu, Johnie Ducanie?”

Mary nieoczekiwanie zrozumiała, że kocha Ducane'a następnego dnia po tej strasnej przygodzie z jaskinią, ale wówczas zdawało jej się, że jej uczucie trwa już od dawna. Zupełnie jak gdyby od pewnego czasu była pod wpływem jakiejś siły, której natury nie mogła pojąć, choć już w chwili, gdy okrywała swoim płaszczem nagiego, mokrego i skostniałego z zimna Ducane'a, coś ją tknęło. Następnego dnia, kiedy Oktawian zabrał go do Londynu, Mary poczuła ogarniający ją mrok przygnębienia, które wzięła za następstwo przerażających wydarzeń

poprzedniego dnia. Było upalne popołudnie. Mary właśnie pielęła w ogrodzie. Z dzikim, cierpiętniczym uporem pochylała się zgięta wpół nad grządką, czując jak cienkie strumyczki potu spływają po jej policzku. Intensywnie myślała o Johnie, nie formułując jednak żadnych konkretnych stwierdzeń. Wprostowała się i poszła usiąść w cieniu akacji. Jej rozgrzane ciało osłabło i z ulgą wyciągnęła się na trawie. Gdy tak odpoczywała ujrzała niezwykle wyraźnie, niemal namacalnie twarz Ducane'a, doznając przy tym fizycznego wstrząsu, jak gdyby poraził ją prąd. Potem jeszcze przez jakiś czas leżała zupełnie nieruchomo, usiłując się pozbierać.

Uświadomienie sobie, że kocha się kogoś, kto od dawna stanowił obiekt zainteresowania, jest dziwnym procesem. Na czym to polega? Każda istota ludzka pływa w morzu subtelnej, sugestywnej wyobraźni. To owa pajęczyna presji, prądów i domysłów, często jeszcze mniej konkretna niż obrazy, wiąże naszą ulotną terażniejszość z przeszłością i przyszłością, tworząc świadomość. Myślimy naszym ciałem, jego pragnieniami. Całe ciało Mary, bezwładnie Jeżące pod wysoką, powykręcaną akacją, stało się teraz w jakiś nowy sposób świadome Johna od stóp do głów. Mary odczuwała jego nieobecność jako jakąś wielką, rozdzierającą siłę, wydobywającą się ze wszystkich zakamarków jej ciała. Zadrzała z nieprzytomnej rozkoszy.

Czyż więc nie kochała Willy'ego? Nie, nie była w nim zakochana. Kochała Willy'ego swym ostrożnym, niespokojnym umysłem i płochliwymi opuszkami palców. Nie uwielbiała go jednak całym ciałem, całą istotą pragnienia. Nie zadowalało jej bycie dla niego jedynie samą sobą i kobietą. Teraz jednak przeżywała dawno zapomniany, oczywisty stan zakochania, którego już nigdy się nie spodziewała. Gdy tak leżała przygwożdżona do ziemi, patrząc jak cętkowane promienie słońca przesuwają się po pniu akacji, zrozumiała, że właściwie nigdy przedtem nie doświadczyła tego uczucia. Z jękiem przekreśliła się na brzuch.

Wielka miłość nierozzerwalnie wiąże się z radością, lecz Mary równie silnie czuła ból. Nie mogła zrobić absolutnie nic z tym ogromnym ładunkiem uczucia, które tak niespodzianie w sobie odkryła. Nie chodziło tylko o to, że Ducane należał do Kate. Po prostu był dla niej kompletnie nieosiągalny. Zawsze był dla niej bardzo miły, ale tylko dlatego, że był dobrym człowiekiem, który wszystkim okazywał swoją uprzejmość. Jego troska o nią była



niemal profesjonalna i niestety chwilowa. Mary była dla niego zbyt oczywista, by mógł ją dostrzec. Przyzwyczał się do niej, jak do wiernej służącej.

Oczywiście Ducane nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Ile czasu zajmie jej dojście do siebie? Na myśl, że zrozumiała swoje położenie zaledwie dwadzieścia minut temu i już myśli o odkochaniu się, Mary zalała się łzami, które trysnęły spod powiek, przemieszały się z potem na jej błyszczącej twarzy i strumyczkami zaczęły skapywać na ciepłą trawę. Nie, nie powinna myśleć o wyzdrowieniu. Czuła zresztą, że to nigdy nie nastąpi. Już zawsze będzie w takim stanie. On jednak nie może się o tym dowiedzieć. Nie powinna wykonać ani jednego posunięcia, nie może pisać nawet słówkiem, czy ruszyć choćby palcem.

Niemniej jednak czuła, że za dwa dni, które będą dla niej istną męką, będzie musiała go zobaczyć. Wpadnie do niego na krótko, powie parę banałów i pójdzie sobie, ale zobaczyć go musi, bo inaczej umrze. Musi udać się do niego w podróż. Chora z przejęcia pojechała do Londynu, zadzwoniła do Johna i spytała, czy może go odwiedzić przed kolacją.

W jego obecności czuła ekstazę, jaka towarzyszy niekiedy cierpieniu i modlitwie. Miała wrażenie, że jest nudna, głupia i nie potrafi powiedzieć niczego błyskotliwego, lecz od wewnątrz rozsadała ją intensywna radość płynąca z przebywania z nim. „Och, John!” - krzyczała w duchu, jak gdyby wzywając pomocy. „Och, mój kochany, pomóż mi to znieść!”

John Ducane odchylił się w fotelu i w zamyśleniu przesunął wzrokiem po małej, krągłej głowie Mary, jakby żywcem wyjętej z obrazów Ingresa, po bladoczerwonej twarzy i maleńkich uszach, za które założyła swe proste, ciemne włosy.

„Dlaczego znalazłem się w tak absurdalnym i strasznym położeniu?” - pomyślał. - „Dlaczego byłem tak beznadziejnie głupi? Dlaczego tak niefortunnie, nie w porę i szaleńczo zakochałem się w mojej starej przyjaciółce, Mary Clothier?”

Ducane'owi zdało się, że jego myśli już od długiego czasu instynktownie biegają ku Mary - jak zwierzęta, jak dzieci. Ważna dla niego była ta chwila, kiedy zrozumiał, iż chodzą tymi samymi ścieżkami. Wiedział, na długo przedtem zanim wyraźnie sformułował

tę myśl, że Mary jest do niego podobna, podobna pod względem moralnym. Jej sposób postępowania napawał go niemal metafizyczną wiarą w świat, w istnienie dobra. Żadna miłość nie jest pozbawiona wartości, nie są jej pozbawione nawet najbardziej powierzchowne zaloty. Miłość z natury swojej lgnie jednak do dobra, a najszlachetniejszy rodzaj miłości to ukochanie tego, co dobre. Ducane zawsze był bardzo świadom tego, że on i Mary porozumiewają się za pomocą tego, co w nich obojgu było dobre.

Niezachwiany szacunek dla Mary, zaufanie i podziw dla jej zalet stworzyły podłoże dla uczucia, które, ulegając złożonej sile jego potrzeb, przerodziło się w miłość. Niewykluczone, że idealizował ją, jako że zakochał się w chwili, gdy pomyślał: „Ona jest lepsza ode mnie”. Stopniowo tracąc niezachwiany szacunek dla samego siebie, zaczął coraz bardziej odczuwać potrzebę przeniesienia wizerunku prawego człowieka na kogoś innego. Związek z Jessiką, związek z Kate, może nawet zwłaszcza związek z Kate, wywołał zamęt w jego głowie. Był bowiem człowiekiem, który tracąc dobre zdanie o sobie, wpadał w dezorientację i tracił silną wolę. Zapragnął Mary w momencie, gdy potrzebował dobrego mniemania o samym sobie.

Uświadomił sobie, że była też boginią - matką. Była matką Trescombe. Teraz, w nowym świetle, w jej skromnej roli dostrzegł coś tajemniczego. Już przedtem zmieniła ją jego zazdrość o Willy'ego, zazdrość, którą Ducane ze zdziwieniem wziął początkowo za jakąś niewytłumaczalną depresję. Była to zazdrość krańcowo różna od zazdrości o Oktawiana, którą przez krótki czas czuł po odejściu Kate. Dzięki zazdrości o Oktawiana zrozumiał, że jego pozycja jest niewłaściwa i idiotyczna. Zazdrość o Willy'ego sprawiła, że zapragnął mieć swoją dziewczynę. A potem zapragnął mieć tę właśnie dziewczynę.

Przyszło mu do głowy, i myśl ta jeszcze bardziej wzmogła jego ból, że namawiał ją do małżeństwa z Willym tylko z obawy przed klęską swojej porażką w przyjaźni z Willym. Oczywiście Mary i Willy nigdy nie mogą się dowiedzieć o jego uczuciu. Kiedy wezmą ślub, w ogóle przestanie się z nimi spotykać. „Wypadłem z gry” - pomyślał. Miał wrażenie, że zawisł w idealnej próżni; wszyscy się od niego odsunęli, a jedyna osoba, która mogłaby mu pomóc, jest już zarezerwowana przez kogoś innego.

Spojrzał na Mary. Całe jego ciało aż krzyczało, jak wiele mogłaby dla niego zrobić. Chcąc zadać sobie ostry, otrzeźwiający ból, spytał:

- Jak się ma Willy?
- Och, chyba bardzo dobrze. To znaczy, jak zwykle.
- Kiedy ślub?

Mary odstawiła kieliszek na ośmioboczny marmurowy stolik. Oblała się rumieńcem i głęboko wciągnęła powietrze. - Nie wychodzę za Willy'ego.

Ducane okrążył fotel i usiadł.

- Mówiłaś, że to jeszcze nic pewnego...
- Ślubu nie będzie. Willy nie chce się ze mną ożenić. To była jedna wielka pomyłka. - Miała bardzo nieszczęśliwą minę.
- Tak mi przykro... - powiedział Ducane.
- Myślałam, że Kate ci powiedziała. - Nadal była spłoniona; mówiła ze wzrokiem wbitym w kieliszek.
- Nie - odparł Ducane. „Chyba lepiej będzie jak jej powiem” - pomyślał. - Kate i ja... no, chyba nie będziemy się już tak często spotykać... przynajmniej nie tak jak...

- Pokłóciliście się? - spytała Mary bez tchu.

- Niezupełnie. Ale... lepiej jak ci powiem, chociaż pewnie mnie potępisz. Do niedawna byłem związany z pewną dziewczyną z Londynu i Kate to odkryła. Poczułem się jak kłamca, chyba rzeczywiście nim byłem. Strasznie to było pogmatwane. W każdym razie wszystko zepsułem. Jak głupi myślałem, że... dam sobie radę z Kate i Jessiką.

„Ale to ująłem” - pomyślał. - „To zabrzmiało strasznie. Teraz już na zawsze jestem przekreślony w jej oczach”.

- Rozumiem. Dziewczyna z... Rozumiem.
- Pewnie ci smutno z powodu Willy'ego - powiedział sztywno.
- Przykro mi.
- Tak. Jakby nie było, dał mi kosza!

„Kocha go” - pomyślał. - „Ona go kocha. I w końcu go przekona. Och, mój Boże.”

Mary powoli zaczęła podnosić płaszcz z podłogi.

- Mam nadzieję, John, że będziesz szczęśliwy, że będziesz szczęśliwy z... Tak.
- Nie idź, Mary.

- Jestem umówiona.

Jęknął w duchu. Chciał ją wziąć w ramiona, chciał się przed nią całkowicie otworzyć, chciał, żeby go zrozumiała.

- Chciałbym ci coś dać zanim pójdziesz. - Rozejrzał się nieprzytomnie po pokoju. Na stercie jakichś dokumentów leżał francuski szklany przycisk do papieru. Wziął go do ręki i szybko rzucił go Mary na kolana. Wybuchnęła płaczem.

- Co się stało, moja miła? - Klęknął przy niej, odpychając stół. Dotknął jej kolana.

Trzymając kurczowo przycisk do papieru w jednej ręce i wycierając nos drugą, Mary odparła:

- John, pewnie pomyślisz, że zwariowałam, ale nie powinieneś się tym przejmować. Muszę ci coś powiedzieć. Nie wyjdę stąd dopóki ci nie powiem. Nie byłam zakochana w Willym. Kochałam go z całego serca i kocham nadal, ale to nie jest prawdziwa miłość. Miłość jest czymś niesamowitym. Nie powinnam ci tego mówić, bo masz tą swoją dziewczynę i zawsze byłeś dla mnie taki strasznie miły i nie powinnam ci zawracać głowy i naprawdę postanowiłam, że niczego ci nie powiem i jeżeli nie...

- Mary, o co ci, do licha, chodzi?

- Kocham cię, John, jestem w tobie zakochana. Przepraszam, wiem, że to niedorzeczne. Może mi nie wierzysz, ale to prawda. Strasznie cię przepraszam. Obiecuję, że będę rozsądna i nie sprawię ci żadnego kłopotu i wcale nie będziesz musiał się ze mną spotykać, teraz zresztą pewnie i tak byś tego nie chciał... O Boże! - Ukryła twarz w chusteczce.

Ducane podniósł się. Podeszedł do okna i spojrzął na przepiękne geranium, na przepiękne motocykle i niebieskie wieczorne niebo usiane przepięknymi samolotami kierującymi się ku lotnisku. Wreszcie odezwał się, usiłując zapanować nad głosem.

- Mary, czy naprawdę umówiłaś się z kimś na kolację?

- Nie, tylko tak powiedziałam. Przepraszam, John, pójdę już.

- Proponuję, żebyś została i żebyśmy omówili całą sytuację. W lodówce jest pełno jedzenia, mam też butelkę wina.

- Nie ma sensu niczego omawiać. To by jeszcze pogorszyło sprawę. Nie ma o czym mówić. Po prostu cię kocham. To wszystko.

- Nie, to tylko połowa - zaprzeczył Ducane. - A po kolacji mógłbym ci opowiedzieć resztę.

## Rozdział czterdziesty

- Naprawdę to zrobiliśmy?
- Tak.
- Jesteś pewien, że dobrze to zrobiłeś?
- Boże mój, pewnie, że tak!
- Wcale mi się nie podobało.
- Za pierwszym razem dziewczynom nigdy się nie podoba.
- Może jestem lesbijką.
- Nie wygłupiaj się, Barbie. Nie podobało ci się nawet odrobinę?
- No, może na samym początku.
- Och, Barb, byłaś taka cudowna. Uwielbiam cię.
- Coś mnie uwiera w plecy.
- Mam nadzieję, że nie leżysz na moich okularach.
- Olewam twoje okulary. Nie, to tylko korzeń bluszczu.
- Całe plecy masz w ślicznych śladach liści!
- Byłeś taki ciężki, Pierce.
- Czułem się ciężki jak już było po wszystkim. Miałem wrażenie, że jestem jakimś wielkim kamieniem, który cały zadowolony leży na tobie.
- Jesteś pewien, że nie będę miała dziecka?
- Tak.
- Myślisz, że kiedyś mi się to spodoba tak jak tobie?
- Na pewno to polubisz, ale nigdy tak jak ja, Barbie. Ja byłem w raju.
- Cóż, cieszę się, że chociaż jedno z nas miało z tego przyjemność.

- Och, Barb, kochanie...
- No już dobrze, dobrze. Myślisz, że zrobiliśmy coś złego?
- Nie. Przecież się kochamy. Kochamy się, prawda, Barbie?
- Tak. Ale i tak to mogło być coś złego.
- Mogło być, ale nie było. Czuję się tak, jakby cały świat był po naszej stronie.
- Ja też.
- Nie żałujesz tego, prawda? Nie będziesz na mnie zła?
- Nie. To się musiało stać i cieszę się, że było jak było.
- Kocham cię od tak dawna, Barb...
- Nie mogłabym tego zrobić z nikim innym. A ciebie znam tak dobrze, zupełnie jakbyś był moim bratem.
- Barb!
- No, wiesz, co mam na myśli. Pierce, kochany, twoje ciało wygląda teraz tak inaczej i jest takie cudowne.
- Nie mam pojęcia, dlaczego mężczyźni w ogóle podobają się dziewczynom. Jesteśmy tacy niedelikatni, niemili i toporni w porównaniu z wami. Nie zimno ci?
- Nie, w porządku. Co za gorąca noc. Jaki wielki księżyc.
- Jest tak blisko, że prawie go można dotknąć.
- Posłuchaj tej sowy. Pierce...
- Tak...?
- Myślisz, że któreś z nas kiedyś pójdzie z kimś innym do łóżka?
- No, wiesz, Barb... Jesteśmy jeszcze młodzi i...
- Ty już myślisz o innych dziewczynach!
- Barb, proszę cię, nie odsuwaj się, daj mi rękę. Skarbie, kocham cię. Dobry Boże, dobrze wiesz, że cię kocham!
- Kiedyś byłeś dla mnie taki okropny.
- Obiecuję, że już nigdy nie będę okropny. Zresztą ty też byłaś okropna.
- Wiem. Pierce, kochajmy się naprawdę. Jak należy.
- Zgoda. To nie będzie trudne.
- To nie będzie łatwe. Moglibyśmy się pobrać, kiedy zdasz maturę.
- Barb, nie musimy się tak śpieszyć... Och, kochanie, proszę...
- Kiedy znowu to zrobimy? Jutro?
- Jutro nie możemy. Muszę pojechać do Pember-Smithów.

- Nie możesz tego odłożyć?
- No, nie. Widzisz, mam okazję popływać na jachcie...
- A co ze mną? Myślałam, że mnie kochasz!
- Bo cię kocham, moja najdroższa. Ale jachty też są ważne.
  
- Zupełnie jakbym dostała obuchem w głowę.
- Ja też.
- Nie wiedziałam, że Mary to taka cicha woda. No i ta sprawa z Willym.
- Moja droga, zawsze zbyt pochopnie wyciągałaś wnioski. Mary wcale nie była taka pewna Willy'ego.
- Może i tak, ale jestem przekonana, że nigdy nie zamierzała sobie przywłaszczyć Johna.
- Może to John ją sobie przywłaszczył.
- Nie, nie, Oktawianie. To jej sprawka. Pewnie wpadła na ten pomysł, kiedy jej nie wyszło z Willym. Musiała kogoś mieć. Mam nadzieję, że im się uda.
- Na pewno.
- Jaki ty jesteś miłosierny, Oktawianie.
- Cóż, trzeba mu wybaczyć.
- Oczywiście, że mu wybaczymy. Chociaż trochę nas zaskoczył.
- Zaczął się sezon na śluby.
- Najpierw Richard i Paula, a teraz ten grom z jasnego nieba.
- John to doskonały negocjator.
- Myślisz, że to on pogodził Paulę i Richarda? Ja za nic w świecie bym za niego nie wyszła.
- Paula wygląda na zadowoloną. Myślę, że będą szczęśliwi. Najgorsze już za nimi; teraz są strasznie w sobie zakochani.
- Twoja wszechogarniająca życzliwość zaczyna mnie przygnębiać, Oktawianie.
- Przepraszam, skarbie. Zgasić światło?
- Tak. Teraz wyraźnie widać księżyc. Jest ogromny.
- Jak wielka morela.
- Słyszysz sowę?
- Tak, pięknie pohukuje.
- Gdzie się podziewa Barbie? Nie widziałam jej po kolacji.
- Chyba poszła spać.

- Całe szczęście, że Pierce trochę przystopował. Jutro jedzie do tych Pember-Smithów.

- Tak. Barb pewnie odetchnie z ulgą. Do kiedy zostają bliźniaki?

- Przynajmniej do końca następnego tygodnia. Paula zamierza zrobić remont domu w Chelsea.

- Coś w rodzaju egzorcyzmów.

- Raczej okadzenia. Nie zaszkodzi. A przy okazji - jak się nazywał ten facet, no pamiętasz, ten który się zastrzelił w twoim biurze?

- Radeechy.

- Mówiłeś, że John podejrzewał Richarda o udział.

- Okazało się, że to nic ważnego. Zdaje się, że mieli tę samą dziewczynę, czy coś takiego.

- Dlaczego John złożył rezygnację? Wstyd mu było, że spartaczył to śledztwo?

- Nie, nie wydaje mi się. Jego raport rzeczywiście był dosyć ubogi, ale i tak ta sprawa nie była aż tak ważna.

- No to dlaczego?

- Chciałby poświęcić się swoim badaniom i może trochę pouczyć. Już od lat mówi o rezygnacji.

- Pewnie chce rozpocząć nowe życie, odciąć się od przeszłości, i tak dalej.

- Mam nadzieję, że nadal tu będzie przyjeżdżał... że oboje będą przyjeżdżali.

- Pewnie tak. Oktawian, muszę zatrudnić nową gosposię. Możemy sobie na to pozwolić?

- Tak, kochanie. Postaraj się tylko nie zranić uczuć Casie.

- Do diabła z Casie. Zresztą zgoda. Ciekawe, czy ktoś by zrozumiał, gdybym napisała w ogłoszeniu, że poszukuję głównej pokojówki? Och, Oktawian, jakie to smutne, dom nam się rozpada, wszyscy odchodzą.

- Kochanie, wkrótce znajdziesz sobie innych.

- Jakich innych?

- No, innych ludzi.

- Jesteś okropny.

- Najdroższa, nie pozwalaj sobie.

- Ty niewdzięczny stary hedonisto. Po prostu nie możesz przeboleć tej hecy z Johnem i Mary. Nie wydaje ci się, że on może



być homoseksualistą, który musi się ożenić, żeby uwierzyć, że jest normalny?

- Mówisz, że jest homoseksualistą, bo zdołał do pewnego stopnia ci się oprzeć!

- Oktawian, ty potworze! Mary będzie dla niego kimś w rodzaju matki, prawda?

- Nie wydaje mi się, żeby John był gejem. A Mary po prostu jest w jego typie, taka poważna, i tak dalej.

- Tak. Widocznie ja nie byłam w jego typie. Teraz mam wrażenie, że zrobiłam z siebie beznadziejną idiotkę.

- Jesteś taka słodka, Kate.

- Nie mów tego takim tonem!

- John nie poznał się na tobie. Byłaś dla niego zbyt skomplikowana; właściwie nigdy cię nie rozumiał.

- Właściwie nigdy mnie nie rozumiał.

- John to przeziębiony facet, ale to już nie ten mądry, dobry człowiek, za jakiego go kiedyś mieliśmy.

- Myśleliśmy, że jest Bogiem, prawda? A w końcu się okazało, że niczym się od nas nie różni.

- Niczym się od nas nie różni.

- Gotowy, kochanie?

- Gotowy, najdroższa.

- Oktawian, tak bardzo cię kocham. Zawsze poprawiasz mi nastrój. Czy to nie cudowne, że nie mamy przed sobą tajemnic?

W rzeczywistości było jednak parę szczegółów z życia Oktawiana, dotyczących długich, późnych godzin wieczornych, kiedy to zostawał w biurze ze swoją sekretarką, których to szczegółów Oktawian nie uważał za konieczne roztrząsać z Kate. Szybko jednak się z tego rozgrzeszył i tak całkowicie zapomniał o swojej niewierności, że rzeczywiście czuł się niewinny, a jako że zawsze postanawiał, że to już ostatni raz, nie uważał się za kłamcę. Natomiast świadomość, że Kate niczego przed nim nie ukrywa, była dla niego źródłem niekłamanej radości i zadowolenia.

Na niebie świecił morelowy księżyc, a sowa pohukiwaniem wystawiała rytuał miłości.

- Wyjeżdżają - powiedział Theo.

- Tak - potwierdził Willy.
- Jesteś smutny.
- Zawsze jestem smutny.
- Nie zawsze. Jeszcze dwa tygodnie temu byłeś niemalże wesoły. Myślałem, że się zmieniłeś.
- Coś się wtedy wydarzyło w Londynie.
- Co takiego?
- Kochałem się z pewną dziewczyną.
- Na miłość boską, Willy! Chciałem powiedzieć, z całym szacunkiem, ale...
- Tak, ja też byłem zaskoczony.
- Jak wyglądała?
- Jak gazela.
- Kiedy znowu się spotkacie?
- Nigdy.
- Ależ dlaczego, Willy? Nie chciała?
- Chciała. Ale nie, nie, Theo. Ja jestem martwy.
- Martwi ludzie się nie kochają.
- To był jakiś cud. A cuda z definicji nie mogą mieć żadnych konsekwencji. Nie należą do zwyczajnego świata.
- A ja myślałem, że właśnie cud z definicji musi mieć jakieś konsekwencje. Zresztą sam przyznajesz, że się zmieniłeś.
- Nieprawda. To ty powiedziałeś, że się zmieniłem. Jestem tylko przeszłością bez terażniejszości.
- Tchórzliwe kłamstwo.
- Co można począć z przeszłością, Theo?
- Zapomnieć o niej. Niech umrze w tobie w pokoju.
- To niemożliwe.
- Musisz przebaczyć Hitlerowi, Willy. Już czas na to.
- Do diabła z Hitlerem. Nie, nigdy mu nie wybaczę. Ale nie o to chodzi.
- A o co?
- Problemem jest wybaczenie samemu sobie.
- Co masz na myśli?
- Nie chodzi o to, co on zrobił, lecz o to, co ja zrobiłem.
- Gdzie?
- *Da unten. Ld-bas Dachau.*

- Willy, Willy, pohamuj się.  
- Nic mi nie jest.  
- Nie, nie, ja miałem na myśli, żebyś mi o tym nie mówił.  
- Zawsze chciałeś, żebym ci powiedział, a teraz nagle mówisz „nie”.

- Jestem taki rozbity, Willy. Przez cały czas czuję się chory. No, dobrze, powiedz mi, ale bardzo ogólnie. Co się tam stało?

- Ze strachu zdradziłem dwoje ludzi. Oboje zginęli.

-W takim piekle... Powinieneś współczuć również samemu sobie, Willy.

- Zostali zagazowani. Mnie to nie zagrażało.

- Jesteśmy jak glina, Willy. Nie ma człowieka, którego rozsądku i dobroci nie dałoby się zniszczyć torturami. Nie myśl „To moja wina”. To się stało samo.

- Ale jednak to moja wina.

- W tej chwili przemawia przez ciebie duma.

- Oni zostali zagazowani, Theo.

Willy siedział w fotelu, bezwładną nogę wyciągnąwszy aż po miękką, szary kopczyk sypkiego popiołu w kominku. Theo siedział tyłem do ognia na krześle. Patrzył ponad głową Willy'ego w kierunku podłużnego okna pełnego skrzącego się błękitnego nieba. Jego ręka ciężko spoczywała na plecach Willy'ego, dłonią gładził jego ramię.

Willy odrzucił do tyłu długie, siwe włosy; jego twarz przybrała uprzejmy, lecz chłodny wyraz.

- Może i masz rację, ale ja nie mogę myśleć tak jak ty. To nawet nie są wspomnienia. Przeszłość po prostu we mnie żyje.

- Przez cały czas, Willy?

- O każdej godzinie i o każdej minucie. Żaden mechanizm nie zdoła jej zniszczyć, ani moralny ani psychologiczny.

- Zobaczymy, mój drogi. Tam gdzie stał się jeden cud, może zdarzyć się i drugi. Może rzeczywiście powinieneś mi o wszystkim opowiedzieć.

- Tak, też tak myślę.

„Nie będę tego słuchał” - pomyślał Theo. - „Zresztą on i tak mi tego nie mówi naprawdę.”

Theo podniósł nieco rękę do góry i przesunął palcami po kołnierzyku koszuli Willy'ego. Wzrok utkwiał w roziskrzonym oknie.

Promienie słońca wtopiły się w szybę, a spoza tego ekranu jarzącego się rozprysniętym światłem widać było błękitne niebo. Theo usilnie starał się nie słuchać szemrzącego głosu Willy'ego, za wszelką cenę chciał myśleć o czymś innym. Przypomniała mu się mewa ze złamanym skrzydłem, którą przyniosły mu bliźniaki. Henrietta, cała zapłakana, w jednej ręce niosła ptaka, drugą głaskała jego drżące ciało. Bliźniaki przybiegły do niego po kamienistej plaży. Kiedy jakiemś zwierzęciu działa się krzywda, bliźniaki stawały się bezradne i bezsilne. Czy coś można na to poradzić, czy złamane skrzydełko można nastawić, czy powinny zanieść mewę do weterynarza? Theo odparł, że nic nie da się zrobić ze złamanym skrzydłem. Weźmie od nich mewę i ją utopi. Była to jedyna rzecz, jaką mógł dla niej zrobić. Ptak nawet nie będzie wiedział, co się z nim dzieje. Ostrożnie wziął mewę z rąk Henrietty i kazał bliźniakom, żeby odeszły. Natychmiast pobiegły, teraz zapłakane już oboje. Theo nawet nie przystanął, żeby zdjąć buty, czy podwinąć spodnie; wszedł prosto do wody. Jego buty zachrzęściły na kamieniach pokrywających dno morza. Mewa leżała całkowicie nieruchomo w jego dłoniach, jej jasne oczy patrzyły obojętnie, spokojnie. Była lekka, tak lekka, a jej szare pióra miękkie, tak bardzo miękkie. Theo schylił się i szybko zanurzył w wodzie ten miękki szary kłębuszek życia. Ptak delikatnie poruszył się w jego dłoniach. Theo stał schylony jeszcze przez długi czas. Zamknął oczy, na karku czuł gorące promienie słońca. Wreszcie się wyprostował. Nie spojrzął na mokre zawiniątko w swoich dłoniach. Wolał nie zostawiać go w morzu, nie chcąc, by znalazły go bliźniaki. Wdrapał się na kamienisty brzeg i, nie zdejmując mokrych spodni oblepiających mu nogi, poszedł w odległe miejsce na plaży. Tam ukląkł i w obsypujących się kamykach wykopał głęboką dziurę. Włożył do niej martwego ptaka i starannie go przykrył. Potem odszedł parę kroków dalej i położył się twarzą do ziemi.

Głos Willy'ego nadal szemrał i Theo, jednym uchem wpuszczając jego słowa, a drugim wypuszczając, stłumił w sobie wspomnienie mewy. Wreszcie w pokoju zapadła cisza.

- Napiłbyś się herbaty? - spytał Theo.
- Tak. Zajmiesz się tym?

Theo wstał i poszedł do maleńkiej kuchenki Willy'ego. „O co w tym wszystkim chodzi?” - pomyślał. - „O co w tym wszystkim chodzi? Cóż ja mogę mu powiedzieć? Chyba to, że trzeba zapomnieć

o swoich grzechach. Ale jak można zapomnieć? Nie liczy się nic poza miłością do tego, co dobre. Nie zła należy wypatrywać, lecz dobra. Dopiero te poszukiwania pokonują tyranie przeszłości, wypleniają zło tkwiące w naturze człowieka, a wreszcie niszczą samą naturę. W świetle dobra widać zło takim, jakie jest w istocie. Czy zdoła to wszystko wytłumaczyć Willy'emu? Będzie musiał spróbować.

Nalewając wody do czajnika, dostrzegł przez narożne okno jakąś dziewczynę w niebieskiej sukience, z długimi, rozpuszczonymi jasnymi włosami, zbliżającą się do domu od strony bukowego lasu.

- Willy, masz gościa! - zawołał.

- Mary?

- Nie, jakaś nieznajoma.

Willy poderwał się na równe nogi i podskoczył do niego.

- Och, mój Boże! Theo, co ja teraz zrobię? To Jessica!

- Jaka znowu Jessica?

- Gazela.

- Nie cieszysz się?

- Skąd wiedziała, gdzie mieszkam?

- Poczęstuj ją herbatą. Ja już znikam.

- Theo, nie opuszczaj mnie! Słuchaj, nie dam rady. Wiesz, co? Schowam się na cmentarzu. Powiedz jej, że wyjechałem z Trescombe, że nie znasz mojego adresu i teraz ty tutaj mieszkasz. Dobrze? Musi ci uwierzyć. Pozbądź się jej. Kiedy się upewnisz, że już sobie poszła, przyjdź po mnie. Wyjdę tylnymi drzwiami.

Trzasnęły tylne drzwi. Theo w zamyśleniu dalej robił herbatę. Po chwili w drzwiach śmiało stanęła długowłosa i długonoga dziewczyna.

- Witaj, Jessiko - powiedział Theo, wychodząc jej naprzeciw.

Wyglądała na zdziwioną.

- Chciałam się zobaczyć z...

- Tak, tak, wiem. Szukasz Willy'ego. W tej chwili go nie ma, ale z łatwością go znajdziesz. - I drobiazgowo pouczył Jessikę jak dotrzeć na cmentarz.

Zamknął za nią drzwi i nalał sobie filiżankę herbaty. Było mu smutno, bardzo smutno.

- Coś takiego! Mingo i Montrose leżą w jednym koszyku!

- Zgadza się. Do widzenia, Mingo, do widzenia Montrose.
- Są zbyt leniwi, żeby się podnieść. Mam nadzieję, że Casie spodobał się nasz prezent.
- Na pewno, Mary. Ale smutno jej, że wyjeżdżasz.
- Tak płakała, że nie mogłam jej uspokoić. Mój Boże. Czy to źle, że jestem szczęśliwa, chociaż ktoś płacze?
- Nie, nie wydaje mi się. Szczęście jest obowiązkiem człowieka. Zwłaszcza, jeżeli wychodzi się za męża.
- Będę więc przykładnie szczęśliwą żoną, John. Wszystko wzięliśmy?
- Mamy od groma różnych rzeczy, ale nie mam pojęcia, czy o czymś nie zapomnieliśmy.
- Dobrze, że nie ma tu Oktawiana i Kate. Gdzie mieli pojechać?
- Do Petry.
- Pierce i Barb też już wyjechali. Jak to miło ze strony Pember-Smithów, że zaprosili również Barb!
- Hmm... Podejrzewam, że Barb jedzie tylko po to, żeby przypilnować Pierce'a.
- Och, John, jestem taka szczęśliwa. Mógłbyś potrzymać moją torebkę?
- Waży chyba z tonę. Ciągłe jeszcze nosisz ze sobą ten przycisk do papieru?
- Nigdy się z nim nie rozstanę.
- Chodźmy więc, moja ty sentymentalna dziewczyno.
- Myślę, że to już wszystko. Jak tu cicho bez kukułek.
- Chodźmy już, samochód czeka.
- To naprawdę twój samochód?
- Nasz samochód, najdroższa.
- Nasz samochód.
- Powinnaś go już rozpoznawać!
- Jest tak nieprawdopodobnie duży!

Ducane i Mary, obładowani walizami i koszykami, wyszli przez frontowe drzwi Trescombe House i przez trawnik skierowali się na podjazd, gdzie czekał na nich duży czarny Bentley.

Z samochodu wyłonił się rudowłosy mężczyzna. Otworzył bagażnik i tylne drzwi.

- Mary - powiedziała Ducane, - chciałbym, żebyś poznała mojego nowego szofera, Petera McGratha. To doskonały kierowca.

- Miło mi - powiedziała Mary, podając rękę McGrathowi.

Walizy zniknęły w bagażniku. Mary usiadła na tylnym siedzeniu i obciągnęła sukienkę na kolana. McGrath zasiadł za kierownicą, a Ducane, sprawdzwszy bagaż, zaczął sadzić się koło niego, lecz w porę się zreflektował i przesiadł się do Mary. W pewnej chwili zaczął się śmiać.

- Z czego się śmiesz?

- Nic, nic. McGrath, jedziemy do domu. Mary, zobacz.

Przycisnął jakiś guzik i przed nimi bezszelestnie wyrosła szklana szyba, oddzielająca ich od kierowcy.

Ducane zająrzył w oczy Mary Ducane. Jego małżeńskie życie z pewnością nie będzie pozbawione problemów, ale z czasem wytłumaczy jej wszystko, wszystko. Znowu zaczął się śmiać. Potem wziął swoją żonę w ramiona.

- Wujku Theo, czy mogę sobie wziąć ten indyjski znaczek?

- Oczywiście, Edwardzie. Proszę.

- Edward, ty świnió. To ja go pierwsza zobaczyłam!

Theo szybko oddał znaczek z koperty. Nie rozpoznał charakteru pisma, ale na widok znaczka przeszedł go dreszcz.

- Dokąd się wybieracie, bliźniaki?

- Na szczyt klifu. Idziesz z nami?

- Nie, przejdę się na łąkę.

Theo upchnął list w kieszeni. Przez chwilę patrzył za odchodzącymi bliźniakami, potem przeszedł przez trawnik, tunel w tawuli i usiadł na ławeczce. Znad horyzontu ku morzu płynęła mała ołowiana chmura. Theo zmrużył oczy w słońcu i przycisnął do boku list wciąż spoczywający w jego kieszeni. Wreszcie z cichym westchnieniem powoli go wyciągnął i otworzył.

Starzec nie żył. Theo przeczuł to, gdy tylko zobaczył list. Ktoś stamtąd napisał do niego tylko po to, żeby go o tym zawiadomić. Starzec nie żył. Tuż przed śmiercią tak życzliwie rozmawiał z Theo. Starzec nie żył - jedyny ze śmiertelników, który mógł mu dać ukojenie.

Theo nigdy nie wyznał swojej rodzinie, że podczas pobytu w Indiach, złożył śluby w buddyjskim klasztorze. Chciał tam dokończyć żywota, ale po paru latach opuścił klasztor, musiał

zeń uciekać po incydencie, w który wmieszany był pewien młody nowicjusz. Jakiś czas później chłopiec utonął w Gangesie. Każdy, kto o tym pisał do Theo, twierdził, że z pewnością był to nieszczęśliwy wypadek.

„Jedynie starzec może mnie uwolnić od tego jarzma” - myślał Theo, rok za rokiem zastanawiając się, czy nie powinien tam wrócić i rok za rokiem czując, jak bardzo się oddala od minionych nadziei, minionych prób. W snach widział szafranowe szary, ogolone głowy, zieloną dolinę, gdzie zamierzał dożyć końca swych dni. Teraz jednak już nie widział możliwości powrotu. Pamiętał, jakie wątpliwości starzec miał na początku. „Wolimy przyjmować młodych ludzi” - mawiał - „zanim zepsuje ich świat” i spoglądał powątpiewająco na Theo. Jednak wówczas Theo był jeszcze gorliwy jak zakochany młodzieniec. Pragnął tej dyscypliny, tej ciszy i tego, co się za nią kryło.

„Zatonąłem we wraku, jakim jestem ja sam” - myślał. - „Żyję wewnątrz siebie, jak mysz w ruinach. Jestem ogromny, rozlazły, zepsuty i pusty. Mysz biega tam i z powrotem, ruiny się rozsypują. To wszystko. Dlaczego w ogóle ich opuściłem, przed czym chciałem uciec? Czego nie mogłem wówczas znieść?” Nie mógł znieść utraty twarzy i samej świadomości tego, że z powrotem dał się wciągnąć w mechanizm, który udało mu się zniszczyć. Gdy z pasją, która zdawała się gwarantować początek nowego życia, dołączył do tamtej społeczności, wydawało mu się, że na zawsze pożegnał się ze swą przeszłością. Kiedy więc okazało się, że nawet tam pozostał niezmienny, poczuł się zraniony w swej dumie. Nieugięty egoizm, który dostrzegł dopiero teraz, ani trochę nie ucierpiał po ucieczce od świata. To miejsce go zepsuło. Oddał mu swoją wolność i prawość, a nie potrafił z pokorą pogodzić się ze swą zepsutą naturą. Być może zbyt mocno kochał starca.

Jednak czy chodziło tylko o utratę twarzy, czy też bał się i w końcu uciekł od czegoś jeszcze straszniejszego, od przerażającego głosu swojej natury? Theo zaczął niewyraźnie dostrzegać różnicę pomiędzy pozorami dobra a prawdziwym dobrem i wizja tej przepaści przeraziła jego duszę. Dojrzał gdzieś w oddali coś, co jest być może najstraszniejszą rzeczą na świecie - drugie oblicze miłości, oblicze martwe.



Wszystko, czym był, nawet najlepsza część jego osobowości, było nierozzerwalnie związane z *zaborczą*, ułomną miłością. Ten ślepy wewnętrzny nakaz oznaczał śmierć całego istnienia Theo. Starzec miał rację mówiąc, że należy zaczynać w młodości. Może właśnie po to, by uspokoić ten szalony strach, tak nagle i tak gwałtownie wziął w ramiona tamtego pięknego, gibkiego jak puma chłopca o złocistej skórze. Następstwem było oczywiście odrażające, wstrętne zamieszanie, znajomy, pełen zakłamania zamęt. W rzeczywistości tamte lata ani trochę go nie zmieniły. Poznał, co to radość, lecz była to radość bawiącego się dziecka. Przez wszystkie te lata bawił się otwarcie.

„W jaki sposób się zmieniamy?” - zastanawiał się. Kiedyś mógł wrócić do starca i zadać mu to pytanie. Znał jednak odpowiedź, a była ona czymś, czego jego natura znieść nie mogła.

Theo wstał i powoli ruszył w kierunku domu. Gdy wszedł do hallu, zapach domu wywołał w jego wyobraźni obraz Pierce'a o wysokim, prostym, zwierzęcym czole i nosie, które aż się prosiły o pieczętę. W kuchni poza Mingo i Montrose'em, przytulonymi do siebie w koszyku, było pusto. Zza otwartych drzwi do pokoju Casie dochodziły jakieś dźwięki. Casie oglądała telewizję.

Theo wszedł do mrocznego pokoju, wziął krzesło i, jak zwykł to często robić, usiadł koło niej. Dostrzegł, że Casie płacze; odwrócił wzrok i niezdarnie pogładził ją po ramieniu.

- Jaka to smutna sztuka - wymamrotała Casie w chusteczkę. - Ten chłopak zakochał się w tej dziewczynie i wziął ją na przejażdżkę samochodem i mieli wypadek i ona została kaleką do końca życia, a potem...

Theo nadal trzymał rękę na jej ramieniu, lekko je ściskając. Zapatrzył się w niebiesko migoczący ekran telewizora. Było już za późno na powrót. Pewna ręka już nigdy nie spocznie na jego głowie gestem uzdrawiającym i pełnym łaski.

Ale czyż nie dlatego, że było za późno, czyż właśnie nie z tego powodu powinien teraz wrócić? Starzec by to zrozumiał, zrozumiałby bezowocne działanie. Kiedyś myśl o powrocie była wyobrażeniem bardzo ułomnej miłości. Teraz była to idea tego drugiego rodzaju miłości. Dlaczego ma tu tkwić i rozkładać się za życia? Być może największa góra jego osobowości nigdy się nie zmniejszy, ale tam będzie mógł chociaż być świadkiem oświecenia innych i odzyskać

prostą niewinność dobrze strzeżonego dziecka. I chociaż nigdy może nie uda mu się na krok zbliżyć do tej wielkiej nicości, będzie świadom jej istnienia i w prostocie swego życia wyraźniej poczuje odległe szarpnięcia jego magnetycznej siły.

Po twarzy Theo nieoczekiwanie popłynęły łzy. Tak, chyba jednak tam wróci. I może mimo wszystko umrze w tej zielonej dolinie.

Bliźniaki leżały na krawędzi klifu nad jaskinią Gunnara. Nad morzem, kilkanaście metrów od nich, unosił się w powietrzu przepiękny latający talerz, bezszelestnie wirujący jak ogromna pokrywka garnka. Płytką kopuła z jakiegoś srebrnego metalu lśniła światłem, które zdawało się pochodzić z jej wnętrza i nie miało nic wspólnego ze słońcem, a wokół wąskiego, stożkowego czubka falowała wąska smuga migoczącego niebieskawego ognia. Trudno było ocenić wielkość spodka, który zdawał się zajmować jakąś własną przestrzeń, jak gdyby został umieszczony w wymiarze, do którego nie należał. Opierał się wszelkim próbom, jakie ludzkie oko mogło podjąć, chcąc go ocenić i zmierzyć. Zawisał w swym własnym żywiole, w swej własnej ciszy, niewątpliwie namacalny, niewątpliwie obecny, a jednak jakiś obcy. W pewnej chwili lekko się zakołysał i ni to odlatując, ni to rozplywając się w powietrzu, zniknął.

Bliźniaki westchnęły i usiadły. Nigdy nie rozmawiały, obserwując talerz.

- Dziś długo tu był, prawda?
- Długo.
- Jakie to dziwne, że wiemy, że on nie chce, żeby mu robić zdjęcia.
- Telepatia.
- To chyba dobrzy ludzie, co?
- Na pewno. Są tacy mądrzy i nie robią nic złego.
- Myślę, że są podobni do nas. Ciekawe, czy kiedyś ich zobaczymy.
- Wrócimy tu jutro. Nie zgubiłaś przypadkiem tej muszli?
- Nie, mam ją w kieszeni. Och, Edward, tak się cieszę, że tatuś do nas wraca!
- Ja też. Właściwie wiedziałem, że wróci.
- Ja też. Och, zrobiło się całkiem ciemno. Nad morzem pada deszcz.

- Tak. Wreszcie są prawdziwe bałwany! Ale świetnie!
  - Zaczyna padać. Wreszcie prawdziwy deszcz, przepiękny deszcz!
  - Chodźmy, Henrietto. Popływajmy w deszczu.
- Trzymając się za ręce bliźniaki pobiegły przez miękką, ciepłą mżawkę do domu.